

**JONATHAN  
GREEN**

**ZMOWA  
MILCZENIA  
POD  
CZO OJU**

# **MORDERSTWO W HIMALAJACH**



# **MORDERSTWO W HIMALAJACH**

# MORDERSTWO W HIMALAJACH

JONATHAN GREEN  
ZMOWA MILCZENIA POD CZO OJU

Przekład  
Agnieszka Kalus



WYDAWNICTWO  
POZNAŃSKIE

First published in the United States by PublicAffairs,  
a member of Perseus Group

Copyright © Jonathan Green, 2010

Tytuł oryginału: *Murder in the High Himalaya: Loyalty, Tragedy,  
and Escape from Tibet*

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow-Jopek

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Lidia Wrońska-Idziak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Maciej Majchrzak

Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Stelmach

Fotografie na okładce: Cho Oyu, fot. PAP/PHOTOSHOT

Mnisi, fot. PAP/EPA

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-479-2

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl

www.wydawnictwopoznanskie.pl

*Dedykuję tę książkę moim rodzicom,  
Anthony'emu i Sarah Green,  
którzy nauczyli mnie, że należy dążyć  
do prawdy i sprawiedliwości bez względu na koszty  
oraz Keishy.  
miłości mojego życia, mojej sile i oparciu.*

# Spis treści

[Od autora](#)

[Wstęp](#)

[1. Pieśni dla najdroższego](#)

[2. Święte przysięgi](#)

[3. Wykuci przez góry](#)

[4. Ucieczka](#)

[5. Zakazane królestwo](#)

[6. Lhasa](#)

[7. Turkusowa Bogini](#)

[8. Przemytnicy ludzi](#)

[9. Miasto na górze](#)

[10. Przełęcz wtajemniczonych](#)

[11. Śmierć kruków](#)

[12. Bardo: stan pomiędzy](#)

[13. Mroczny sekret](#)

[14. Pojmani przez Wujing](#)

[15. Odpowiedzialność wynikająca z oświecenia](#)

[16. Zdemaskowane kłamstwo](#)

[17. Kundun](#)

[18. Determinacja](#)

[19. Na krawędzi](#)

[20. Niepokojne Himalaje](#)

## **21. Cena wolności**

**Epilog**

**Przypisy**

**Bibliografia**

**Podziękowania**

**O autorze**

**Polecamy również**

# Od autora

Pisanie o Tybecie stawia przed reporterem mnóstwo problemów. Niezwykle trudno dotrzeć do prawdy oraz tych którzy są gotowi o niej mówić. Wprowadzanie w błąd, konspiracyjne milczenie oraz wypaczanie prawdy dla celów politycznych i osobistych staną na drodze każdemu, kto pragnie dowiedzieć się czegoś o współczesnym Tybecie.

Ze względu na surowe konsekwencje zagrażające Tybetańczykom przyłapanym na szczerej rozmowie o swoim kraju, a na pewno każdemu, kto przekazuje informacje reporterowi śledczemu takiemu jak ja, starałem się chronić tożsamość osób występujących w tej książce. Nadałem inne imiona wszystkim, którzy nadal mieszkają w Tybecie i zmieniłem różne istotne szczegóły, żeby chronić prawa i prywatność tych ludzi, którzy odczuli skutki wydarzeń na Nangpa La.

Szczegóły ucieczki zostały odtworzone na podstawie pisemnych relacji uchodźców i innych świadków, notatek, które otrzymałem od Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu oraz przeprowadzonych przeze mnie rozmów podczas pobytu w Himalajach. W niektórych przypadkach, pisząc o jakimś wydarzeniu lub odtwarzając dialog, opierałem się na relacjach tylko z jednego źródła.



# Wstęp

Tybet to bezkresny ląd położony poza czasem. Dach świata wznosi się na wysokość 4000–5000 m n.p.m. Najwyższy region na Ziemi jest płaskowyżem sześć razy większym od Europy Zachodniej. Na takiej wysokości w powietrzu znajduje się o połowę mniej tlenu niż na poziomie morza. Tybetańczycy nazywają swój kraj Krainą Śniegu.

Przez wieki Tybet znany był jako zakazana, niedostępna i tajemnicza ziemia, odseparowana od świata przez swoje położenie, oraz chroniona przez niemożliwe do zdobycia, najpotężniejsze na Ziemi pasmo górskie. Na zachód od Tybetu znajduje się łańcuch górski Karakorum, leżący w północnym Kaszmirze, będący obszarem spornym dla Pakistanu i Indii. Na północy wznoszą się pasma Kunlun i Qilian Shan, które oddzielają kraj od pustyni Gobi. Na południu króluje empirejskie, pokryte lodowcami pasmo Himalajów.

Wyżyna Tybetańska jest często nazywana trzecim biegunem. Na największe pole lodowe poza Arktyką i Antarktyką składa się 46 000 lodowców. Na północy leży Chang Tang, ogromna, nieprzebyta i niezamieszкана pustynia solno-boraksowa, przypominająca krajobraz księżycowy. Na południu rozciągają się tereny porośnięte jałowcami, dębami, świerkami, cyprysami oraz gąszczem rododendronów. Zamieszkują je pantery śnieżne, niedźwiedzie tybetańskie, w dolinach występują małpy i pandy rude, a na równinach antylopy i kiangi (dzikie osły). Tybetańska antylopa, chiru, wędruje po stepach podobnie jak afrykańskie gnu. Po niebie latają sępy płowe i orły przednie.

Według legendy Tybetańczycy pojawili się na świecie, gdy na Ziemi panowała spokojna, rozumna małpa. Małpi król mieszkał w jaskini na uboczu, ale został z niej wywabiony przez żalosne nawoływania mściwej i nienasyconej seksualnie ogrzycy. Spłodził z nią sześcioro dzieci, które dały początek Tybetańczykom.

Ludzie zamieszkują Wyżynę Tybetańską od 25 000 lat.

Do połowy XX wieku Tybet był przestarzałą teokracją. Do lat 50. niewielu mieszkańców Zachodu widziało Lhasę, stolicę kraju.

Życie było ciężkie. Jednakże nomadów, wodzów wojowników, mnichów i mniszki mieszkające w tym dużym, niespójnym kraju łączył kult Dalajlamy. Przez wieki w każdej reinkarnacji jego misją było nauczanie miłosierdzia. Jego imię oznaczało „Ocean Mądrości”. Tybetańczycy nazywali go „Najdroższym Zwycięzcą” lub „Klejnotem Spełniającym Życzenia”. Inni po prostu mówili o nim Kundun – Obecność.

Dziś Dalajlama mieszka na wygnaniu w Indiach, a Tybet, jego ojczyzna, jest często mitologizowany przez mieszkańców Zachodu i postrzegany jako tajemnicza kraina Shangri-La.

Tybetańczycy, których ojczyzna została zaanektowana przez Chiny, mieszkają obecnie w ściśle strzeżonej, tajnej strefie na dachu świata. Dalajlama nie może przekroczyć jej granicy, a przysięga wierności duchowemu liderowi kraju może skutkować długim pobytem w więzieniu. Setki tybetańskich mnichów, mniszek i laików odbywają kary więzienia za wyrażanie dumy ze swojego kraju, zabieranie głosu w sprawie wyzwolenia Tybetu oraz popieranie Dalajlamy publicznie lub prywatnie. We współczesnym Tybecie wolność wypowiedzi jest uznana za niezgodną z prawem. Za wygłaszanie poglądów na stronach internetowych, szczerą rozmowę telefoniczną lub mail dotyczący kraju wymieniony z osobą z zagranicy Tybetańczycy mogą zostać ukarani przez Komunistyczną Partię Chin, co najmniej 15 latami więzienia. Nawet ściąganie z internetu piosenek o Dalajlamie może skończyć się odsiadką.

Pomimo gwałtownego wzrostu ekonomicznego oraz rozwoju potęgi militarnej Chin, Partia Komunistyczna obawia się ruchów separatystycznych i rewolty w Tybecie – który stanowi jedną czwartą obszaru Chin – próbuje więc wzmocnić kontrolę i zasymilować kraj.

Tybetańskie miasta obecnie zalewają emigranci, głównie Chińczycy Han, którzy zaczynają przewyższać liczebnie tubylców, a także ograniczają im dostęp do edukacji, przez co, na dłuższą metę, pozbawiają możliwości rozwoju i odbierają życiowe szanse. Lhasa, dawniej Zakazane Miasto, teraz staje się szybko rozwijającą się chińską stolicą z licznymi barami karaoke, domami publicznymi, pięciogwiazdkowymi hotelami i salonami luksusowych samochodów.

Chińczycy nazywają Tybet *Xizang*, co oznacza Zachodni Skarbiec. Trwa eksploatacja naturalnych zasobów Tybetu<sup>[1]</sup>. Na wyżynie odkryto złoża 40 milionów ton miedzi, 40

milionów ton ołowiu i cynku oraz ponad miliard ton żelaza (sama tybetańska miedź stanowi jedną trzecią chińskich rezerw). Dochód z wydobywania w nadchodzących latach szacuje się na ponad półtora miliarda dolarów<sup>[2]</sup>.

Kiedyś nieujarzmione szczyty Himalajów, które przez długi czas odgradzały Tybet od sąsiadów, w międzyczasie stały się najważniejszym sprawdzianem dla poważnych zachodnich wspinaczy. Każdego roku coraz większa liczba osób pragnie chwały, ucieczki od znoju codziennego życia oraz poszukuje odpowiedzi na odwieczne zagadki świata w najwyższym na Ziemi łańcuchu górskim.

Każdego roku z Tybetu ucieka mniej więcej 2500 osób, wybierając trudną drogę przez Himalaje. Niektórzy uciekają, by rozpocząć nowe życie w Indiach. Wszyscy chcą spotkać swojego przywódcę duchowego, Dalajlamę.

Tybet tradycyjnie składał się z trzech głównych regionów: Amdo (północno-wschodni Tybet), Kham (wschodni Tybet) i U-Tsang (centralny i zachodni Tybet). W 1965 roku rząd chiński ustanowił Tybetański Region Autonomiczny (TRA). W jego skład wchodzi Tybet na zachód od rzeki Yangste oraz część Khamu. Reszta terenu zajmowanego przez Amdo i Kham została wcielona do chińskich prowincji. Tereny gęsto zaludnione przez Tybetańczyków są nazywane Tybetańskimi Autonomicznymi Prefekturami i Tybetańskimi Regionami Autonomicznymi. Władze chińskie nadal postrzegają większość Qinghai i niektóre części prowincji Gansu, Syczuanu i Yunnanu jako „tybetańskie”.

*Dusza ziemi  
Serce świata  
Odgradzona śniegiem  
Przystań dla wszystkich rzek  
Gdzie góry są wysokie, a ziemia nieskalana  
Państwo tak dobre  
Że ludzie rodzą się mędrkami i bohaterami  
I postępują według boskiego prawa  
Kraina najszybszych koni*

Z dokumentu opisującego Tybet,  
pochodzącego z IX wieku

# Pieśni dla najdroższego

Porywiste wiatry wyły nad płaskowyżem. Znowu usłyszała ten dźwięk wznoszący się ponad nieustępliwym zawodzeniem, przeciskającym się przez szczeliny w świerkowych drzwiach. Stukanie, a potem stłumione głosy ledwie słyszalne przez grube ściany domu. Dolma Palkyi otworzyła oczy, gardło ścisnął jej znajomy lęk. Niespodziewana wizyta o 22.30 w okupowanym przez Chińczyków Tybecie oznaczała kłopoty.

Jednoizbowy dom wypełniał mdły dym z paleniska podsycanego łajnem jaka. Pomieszczenie oświetlała pojedyncza, migocząca świeca z jego tłuszczu. Ośmioletnia Dolma, z kruczoczarnymi włosami, przenikliwymi oczami w kształcie migdałów nad szerokimi kośćmi policzkowymi, leżała nieruchomo pod okryciem ze skóry tego samego zwierzęcia. Jej matka, Nyima<sup>[3]</sup>, szybko poruszała się w ciemności. Rodzina przywykła do tych najść. Czasami członkowie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP) zostawiali w spokoju Tybetańczyków mieszkających na terenach wiejskich. Innymi razy zatrzymywali mężczyzn, kobiety i dzieci. Nyima wstała z łóżka i zdmuchnęła świecę. Pukanie do drzwi było coraz głośniejsze.

– Nie ruszaj się – powiedziała do córki. – Masz nic nie mówić, jeśli o coś cię spytają.

Brat Dolmy, Rinzin, tyczkowaty trzynastolatek, zaczął już się budzić. Nyima podeszła do swojej pięcioletniej córeczki Kyizom i wzięła ją na ręce. Odwróciła się jeszcze w stronę pozostałych dzieci i powtórzyła:

– Nie odzywajcie się.

Na zewnątrz burze śnieżne zasypały step metrową warstwą śniegu. Podczas tej wyjątkowo zjadłej zimy jaki, filar gospodarstwa domowego wielu tybetańskich rodzin, zamarzały na śmierć i umierały setkami.

Nyima z wysiłkiem podniosła nieporęczną drewnianą belkę zabezpieczającą ciężkie, wypaczone drzwi. Gdy je uchyliła, do środka wdarł się podmuch powietrza o temperaturze  $-30^{\circ}\text{C}$ . Z ciemności wyłonili się trzej mężczyźni w długich,

niedopasowanych chińskich płaszczach. Jeden z nich, ten z wąsami, trzymał ręce w kieszeniach, rozglądał się wokół i pochrząkiwał. Dwaj pozostali zabrali się do roboty, podnosili stojące przy palenisku garnki, zaglądali do środka i pod spód, po czym z irytacją rzucali je na miejsce.

– Przyszliśmy sprawdzić, czy korzystacie z elektrycznego pieca – skłamał mężczyzna z wąsami.

Podczas srogiej zimy w małej wiosce Juchen nie było prądu. Rzeka Nagchu, dopływ potężnej Saluin, zamarzała w miesiącach zimowych tworząc autostradę z lodu. Kiedy lód blokował rzekę, zbudowane przez Chińczyków hydroelektrownie nie mogły funkcjonować i brakowało prądu.

Mężczyźni byli przebranymi oficerami Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, tajnej policji, która bezpodstawnie wyciągała ludzi z domów i zatrzymywała na ulicach za czynności „niepatriotyczne” w stosunku do Chin, Mao Zedonga oraz spuścizny komunistycznej. Tego wieczoru szukali obrazków przedstawiających Dalajlamę. Trzy lata wcześniej, w 1995 roku, postanowiono, że posiadanie zdjęcia wygnanego przywódcy duchowego Tybetu jest przestępstwem i może zostać ukarane torturami, wyczerpującymi sesjami reedukacji patriotycznej, więzieniem lub ciężkimi robotami.

Trzej mężczyźni w ciężkich butach zgromadzili się przy piecu, szukali za nim, szturchali stos tłącego się łąjna. Nyima tylko raz przelotnie zerknęła na złożony przy glinianym piecu stos opału. Kilka godzin wcześniej wetknęła tam zdjęcia przedstawiające Jego Świątobliwość.

Dla mieszkańców Zachodu Dalajlama jest laureatem Pokojowej Nagrody Nobla oraz przywódcą duchowym jednej ze światowych religii. Dla Tybetańczyków Tenzin Gjaco, czternasty Dalajlama, jest bogiem w ciele człowieka. Dla chińskich urzędników w Tybetańskim Regionie Autonomicznym jest „separatystą” – wrogiem publicznym numer jeden. Zhang Qingli, przywódca Komunistycznej Partii Tybetu, nazwał go „wilkiem w szatach mnicha, potworem z ludzką twarzą i sercem bestii”[\[4\]](#), zwolennikiem gwałtu, morderstwa i dziecięcego kanibalizmu[\[5\]](#).

Mężczyźni bez słowa rozpoczęli rewizję, odsunęli cztery małe łóżka od ściany, zdjęli wciąż ciepłe nakrycia z legowisk. Na dłużej zatrzymali się przy *choesom*, pięknie zdobionym ołtarzu stojącym w kącie izby. Były tam obrazki przedstawiające lamów, ale nie Jego Świątobliwości. Zdawkowo kłaniając się Nyimie, funkcjonariusze UBP zakończyli przeszukanie i opuścili jej dom równie szorstko jak do niego weszli. Nie powiodła się ich misja przyłapania rodziny na posiadaniu zakazanych obrazków.

Nyima zabezpieczyła drzwi. Do środka wdarł się śnieg i opadł na kuchenny stół. Pospiesznie podeszła do pieca i wyjęła trzy wizerunki Jego Świątobliwości. Obrazki

parowały, jeden był nadpalony w rogu. Dalajlama siedział na nim w pozycji lotosu w dużym, żółtym nakryciu głowy, przypominającym szafranowego irokeza, oznaczającym wierność Szkole Buddyizmu Tybetańskiego Gelug. Na innym mężczyzna unosił się nad Pałacem Potala, jego byłej siedzibie w Lhasie. Trzeci, będący wisiorkiem, który Nyima zawsze nosiła pod warstwami ubrań, przedstawiał błogosławiącego Dalajlamę. Nyima przytuliła obrazki do piersi i uśmiechnęła się z ulgą. Kilka godzin wcześniej sąsiad ostrzegł ją, że zauważono nieoznaczony samochód UBP zbliżający się do wsi Juchen. Wielu mieszkańców ledwie zdążyło ukryć swoje obrazki.

Dzieci Nyimy podeszły do niej i mocno się przytuliły. Uspokoila je opowieścią o tym, jak wyglądało życie zanim 7 października 1950 roku posępne komunistyczne zbiry zajęły Tybet, co było początkiem przyłączenia ich kraju do „ojczyzny”.

W komunistach w bezkształtnych, żabiozielonych mundurach, którzy potępiali religię i żyli zgodnie z przepisami partyjnymi, tybetańscy mnisi i mniszki w zwiewnych brązowych szatach, spędzający godziny na śpiewaniu buddyjskich mantr, budzili odrazę. Chińczycy pogardzali Tybetańczykami, nazywając ich prymitywnymi barbarzyńcami, a religijną elitę – leniami. Około 15% populacji było mnichami lub mniszkami, poświęcali się medytacji, żyli na uboczu czcząc Buddę. Chińczycy uznawali tę społeczność za pasożytów, wyzyskujących ciężką pracę służących. Czuli obrzydzenie ich niekwestionowaną lojalnością wobec Dalajlamy.

Dalajlama w wieku 23 lat opuścił swoją świętą siedzibę w Pałacu Potala po nieudanym powstaniu przeciw rządowi chińskim w 1959 roku. Przebrany za żołnierza, pod ochroną 700 partyzantów Khampa, uciekł do Indii. Od czasu jego ucieczki kraj opuściło ponad 100 000 Tybetańczyków.

Gdy dzieci się opatuliły, Nyima opowiedziała o ich dziadku, wodzu. Oczarowana Dolma słuchała o dworzanach w brokatowych szatach i czapkach wyściełanych futrem, którzy uwijali się wokół jej dziadka, kiedy składał wizytę w Lhasie. Był zamożny i zawsze stroił się w starą złotą biżuterię, w uszach miał kolczyki z rzadko spotykanego turkusu. Dolma wtuliła się mocniej w matkę, w jej kojący, ziemisty zapach. Małe dłonie Nyimy pokryte były zgrubieniami, pod paznokciami miała warstewkę brudu od prac wykonywanych na polu za domem. Ale było w niej coś królewskiego – ostre kości policzkowe i wyzywające spojrzenie, które odróżniało ją od pozostałych wieśniaków.

Nyima opowiadała, jak chińska armia najeźdźców zabiła tysiące ludzi w Kham, maszerując pod łopoczącymi krwistoczerwonymi komunistycznymi proporcami.

– Zabici ożyli, stali się *rolang* (zombie), przemierzają ziemię szukając ludzi do pożarcia – wyszeptała. Jeszcze ciszej dodała: – Ale Tybetańczycy budują drzwi

z wysokimi progami i niskimi nadprożami. Rolang nie potrafią się schylać, więc nie wejdą do naszych domów.

Trójka dzieci wbiła wzrok w liche drzwi. Rzeczywiście, były niewielkie, dorośli musieli się pochyłać, kiedy wchodzili. Nyima ciągnęła:

– Potrafią tylko skakać, nie chodzą normalnie.

Wiatr szarpał drzwiami, które stukały o zamek. Nyima zachichotała w półmroku. Wreszcie Dolma poczuła się bezpiecznie. Odsunęła od siebie wspomnienie nieproszonych gości. Jej powieki zrobiły się ciężkie, nadszedł sen.

Zanim Dolma skończyła dziesięć lat i zaczęła wykonywać prace poza domem, nie rozstawała się ze swoją najbliższą przyjaciółką i sąsiadką, Dolkar Tomso. Domy obu dziewczynek stały naprzeciw siebie, po dwóch stronach skrawka wyboistej, nieuprawnej ziemi, w pobliżu małego stawu. Każdego dnia chodziły do niewielkiego strumienia za domami, żeby przynieść wodę na potrzeby swoich rodzin (zimą musiały siekierami rozbijać gruby lód). Dolkar była kapryśna i bardzo energiczna. Chuda jak patyk, z pełnymi, karminowymi ustami i dużymi brązowymi oczami potrafiła również zachowywać się powściągliwie i tajemniczo. Przede wszystkim jednak była uparta jak osioł.

O rok starsza od niej Dolma stanowiła przeciwwagę dla impulsywnej natury przyjaciółki. Nawet gdy szła, charakteryzowała ją oszczędność ruchów. Miała przyjemny, lecz stanowczy głos. Zachowywała się wytwornie i zasłaniała usta, gdy kaszlała. Okoliczne dzieci wyglądały mizernie na skutek ubogiej diety i ciężkiej pracy, Dolma natomiast odznaczała się dobrym zdrowiem i chodziła w kolorowych ubraniach, które szyła jej mama.

W Juchen, osadzie w tybetańskim okręgu Driru (chińskim Biru), u podnóża góry stoi 70 prostych domów z piaskowca. Wioska znajdująca się na wysokości ponad 4000 m n.p.m. jest prawie niewidoczna na tle panoramy głębokich parowów i wysokich gór. Okręg Driru otacza 40 potężnych szczytów Śnieżnych Gór Yargong. Zimą okrywa je warstwa oślepiająco białego śniegu. Przez kilka krótkich miesięcy wiosną i latem brunatne piaskowce gór porasta gęsta alpejska trawa.

Juchen leży przy dopływie głównej rzeki Saluin, która dostarcza wody południowo-wschodniej Azji. Tybetańczycy nazywają ją Nagchu (*Nag* oznacza czarny, *chu* to rzeka lub woda); jej atramentowy odcień bierze się od metamorficznych skał w pobliżu przemysłowego miasta Nagchu. Tybet dostarcza wody setkom milionów ludzi (w Indiach i południowo-wschodniej Azji). Swoją początek mają tu rzeki Huang He, Jangcy, Mekong, Brahmaputra i Indus. Zanim dotrą do Himalajów, wiją się przez



wielkie równiny, stepy i zielone doliny jako łagodne, zielonkawe strumienie. Tysiące metrów niżej, dudniąc ogłuszająco, Saluin tworzy potężne, zalesione wąwozy gęsto porośnięte rododendronami.

Juchen jest jedną z wiosek, które wyrosły na brzegach rzeki. Dochodzi do niej główna droga, prowadząca do większego miasta Driru przez lichy żelazny most. Aby w nagłych wypadkach zasięgnąć porady lekarskiej lub zrobić zakupy spożywcze, ludzie muszą jechać do Driru.

Góry zapewniały Dolmie i Dolkar miejsce do zabaw i niezrównaną kryjówkę. Kiedy roznosiły się wieści, że wkrótce dojdzie do rewizji przeprowadzanej przez UBP, Nyima przekazywała Dolmie obrazki i nagrania z Dalajlamą, które dziewczynka zносиła do jaskini w górze Bungga (niektóre rodziny chowały kontrabandę w wiosce; inni wkładali ją do obciążonych plastikowych toreb i zanurzali w rzece).

Z wejścia do stęchłej jaskini Dolma i Dolkar widziały wznoszące się na południu pasmo Kongpo. Największa w łańcuchu góra, również zwana Kongpo, była opiekunem Juchen i siedzibą groźnej bogini, Jomo Kongchoe. Dziewczynki modliły się do niej prosząc o ochronę. Czuły się bezpiecznie w kryjówce, którą zapewniały potężne góry. To było ich terytorium.

Chińczycy byli w Tybecie wszechobecni. Na południowy zachód od Juchen stała baza wojskowa z bielonymi ścianami i skorodowanym stalowym dachem. Dolma i Dolkar mogły zajrzeć do środka, gdy wspięły się wysoko, żeby zbierać dzikie cebule. Czasami widziały jak żołnierze biegają w równym szyku wzdłuż dróg i coś śpiewają. Dziewczynki przywykły do tego, że są poddawane przesłuchaniom. Gdziekolwiek się udały, spotykały chińskie blokady drogowe i punkty kontroli. Ponurzy funkcjonariusze zadawali im niezliczone pytania, szukali jakichkolwiek oznak naruszenia przepisów. Przyjaciółki szybko nauczyły się, żeby ujawniać im jak najmniej informacji.

Driru jest pierwszym regionem Kham, do którego dociera się obierając północ przy wyjeździe z Lhasy. Dawniej rządził nim wodzowie i Kham był górską twierdzą. Do teraz zarówno Chińczycy, jak i Tybetańczycy obawiają się jego mieszkańców.

Po chińskiej inwazji na Tybet w 1950 roku wielu Khamów opłacanych i wyszkolonych przez amerykańskie CIA ustanowiło groźną rebeliancką armię, zwaną Chushi-Gangdruk, Cztery Rzeki, Sześć Pasm. Poruszali się konno, posługiwali ładowanymi odprzodowo flintami i bezlitośnie atakowali chińskie konwoje i bazy. Ubierali się w kurtki z owczej skóry i czapy z lisiego futra, byli tak dzicy jak ziemia, które zamieszkiwali. Chińczycy szybko nauczyli się, żeby z nimi nie zadzierać. Chociaż

brutalnie podporządkowali sobie resztę Tybetu, mieli problemy z kontrolowaniem regionów podobnych do Driru. Dla Khamów chińskie władze były tylko przejściową niedogodnością na tle wielkiej historii, a ich ziemie zbyt potężne, by ktokolwiek mógł rościć sobie prawo do ich posiadania.

Czerwona Gwardia zburzyła 6000 buddyjskich klasztorów w Tybecie przed i podczas rewolucji kulturalnej, zabroniła stawiania *stupa* (budowli sakralnych pełniących funkcję relikwiarza) oraz pomników buddyjskich. Ale zdeterminowani mieszkańcy wsi Juchen potajemnie przywozili cegły z Lhasy. Nocą wnosili ciężkie kamienie wysoko w góry, na wschód od wsi, i stawiali *stupę*. Kilka tygodni przed jej ukończeniem chińscy funkcjonariusze odkryli dwupiętrową budowlę. Nie będąc w stanie sprowadzić w góry ciężkiego sprzętu do jej zburzenia, Chińczycy byli zmuszeni zezwolić na ten akt niesubordynacji.

Partia Komunistyczna ściśle kontrolowała edukację w Tybecie. Dzieci miały być uczone w szkołach prowadzonych przez rząd chiński, gdzie poznawały język chiński, angielski i „oficjalną” wersję historii Tybetu. W Juchen miejscowego języka nauczała miły człowiek o cerze koloru orzecha włoskiego. Kiedy Dolkar i Dolma miały jedenaście i dwanaście lat przez krótki czas uczęszczały na lekcje odbywające się w prowizorycznej, jednoizbowej szkole. Ale kiedy Chińczycy zaczęli coś podejrzewać, placówka została pospiesznie zamknięta.

Wielu rodziców nie chciało posyłać dzieci do chińskich szkół. Bali się, że zostaną зараżone dogmatem komunistycznym i skończą jako prostytutki obsługujące wielką chińską armię w Tybecie lub zamiast pomagać w domu, zatrudnią się w sklepach. Nyima zabroniła Dolmie uczęszczać do szkoły z bardziej pragmatycznych powodów. Wszystkie dzieci, które tam chodziły, wracały do domów z zatruciem pokarmowym.

Zanim Dolma i Dolkar zostały nastolatkami, wykonywały coraz trudniejsze prace poza domem, takie jak opieka nad należącymi do ich rodzin jakami, co oznaczało wyprowadzanie zwierząt na pastwisko przed śniadaniem i zaganianie do domu o zmroku. W ciągu dnia dziewczynki przeszukiwały stoki górskie i zbierały drewno na opał, dzięki czemu zarabiały na utrzymanie oraz zaopatrywały swoje rodziny.

Dolkar była impulsywna. Raz, wracając do domu i garbiąc się pod ciężarem wyjątkowo ciężkiego ładunku drewna, ciasno związała swój tobołek łącznie z siekierą. Zanim Dolma zdążyła ją powstrzymać, z niecierpliwością rzuciła go w dół wzgórza. Odbijał się dotąd aż się otworzył, a jego zawartość rozsypała. Przepadło wszystko, co tego dnia zebrała. Co gorsza, zginęła również siekiera.

Wiedziały, że ojciec Dolkar, Tsedup, będzie zły, gdy się dowie, że straciły jego siekierę. Dziewczynki spędziły trzy godziny przeczesując stok góry. Wreszcie Dolma triumfalnie

uniosła siekierę nad głowę. Kiedy wróciły do domu, był już późny wieczór, a Tsedupa, wysokiego, nieprzewidywalnego mężczyznę, który nie miał cierpliwości do głupot, poniosła złość o to, że nie mogą rozpalić ognia, bo Dolkar przez swoją nieodpowiedzialność zmarnotrawiła potencjalny zysk. Czasami żołnierze Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ALW) z pobliskiego garnizonu żądali opału od każdej rodziny. Wieśniacy nieposiadający drewna byli bici. Tsedup nie mógł ryzykować zapasów łąjna jaków. Tej nocy rodzina drżała pod okryciem ze skóry tych zwierząt, starając się nie zamarznąć.

Ludzie w Juchen zawsze żyli skromnie, dopiero niedawno zaczęli odczuwać skutki rozwoju gospodarczego. Wcześniej dla Tybetańczyków z Driru i okolicznych regionów podstawą utrzymania była produkcja rolna na własne potrzeby oraz kilka juań, które zarabiali sprzedając nadmiar zbiorów, drewno i produkty pozyskiwane z jaków. Potem odkryli, że otaczają ich niewiarygodne ilości zasobów naturalnych – kordycepsu chińskiego lub *yartsa gunbu*[\[6\]](#), który rośnie na wysoko położonych łąkach. *Yartsa gunbu* jest znane w Azji od XV wieku, ale w ostatnich kilku dekadach popyt na tego grzyba mocno wzrósł. W latach 90. trzech chińscy biegacze pobili rekord świata na dystansie 1500, 3000 i 10 000 metrów, po czym przyznali, że ich tajną bronią był kordyceps. Podczas przygotowań do olimpiady w Pekinie w 2008 roku chińscy sportowcy łykali ten specyfik w olbrzymich ilościach. W obliczu tak wielkiego zapotrzebowania w Chinach, grzyby stały się cenniejsze od złota (Tybetańczycy nazywają je „miękkim złotem”). Od 1997 do 2006 roku ich cena wzrosła o 500%. W Tybecie chińscy muzułmanie trudniący się handlem płacili od 2800 do 11 200 dolarów za kilogram suszonego *yartsa*, czyli więcej niż tybetańska rodzina potrzebuje na utrzymanie w ciągu całego roku.

UBP zabraniało Tybetańczykom spoza okręgu udawać się na zbiór miękkiego złota w Driru, ponieważ prowadziło to do aktów przemocy. Brat koleżanki Dolkar, Thinley Wangmo, został skazany na rok więzienia po zacieklej walce z muzułmańskimi handlarzami Hui o terytorium górskie, będące miejscem występowania dużych ilości kordycepsu. W letnich miesiącach Dolkar i Dolma udawały się z rodzinami w góry, żeby zbierać grzyby. Nyima złośliwie twierdziła, że z dziewczynek nie było większego pożytku, bo często nie zauważały cennych grzybów rosnących u ich stóp.

Dochody z kordycepsu zmieniły ubogie wsie podobne do Juchen. Po raz pierwszy od bardzo dawna wieśniacy mieli dostęp do gotówki. Kupowali błyszczące motocykle od dealerów, którzy wzbogacili się dzięki Khamom, gdy ci przerwali się na dwa kółka z takim samym rozmachem, z jakim dawniej poruszali się na tybetańskich koniach.

Wieśniacy przemeblowali wnętrza swoich domów. Matka Dolmy wydawała pieniądze na zbytckowne elementy wyposażenia: jaskrawe, błyszczące kolory, czerwone sufity, zdobione filary i piękne, jasne blaty z drewna.

Każdego roku Dolma i Dolkar mogły cieszyć się kilkoma niedługimi wakacjami od codziennych obowiązków. Podczas tybetańskiego Nowego Roku, *Losar*, który trwa 15 dni w lutym i marcu, wieśniacy z Juchen urządzali wystawne przyjęcie świętując pojawienie się nowego roku. Wieczorem przed świętem, Dolkar i Dolma wyprowadzały swoje jaki na pastwisko w górach, uwalniając się od nich na całe dwadzieścia cztery godziny. Piły napoje gazowane i tańczyły na dziedzińcu jedynej świątyni w mieście.

Juchen leżało na suchym, twardym jak żelazo terenie, który nigdy całkowicie nie odmarzał. Surowe zimy od listopada do marca sprawiały, że większość mieszkańców zamykała się w swoich domach, gdzie spędzała ciemne, niekończące się dni. Ale wiosną i latem ciepłe promienie słoneczne znowu ożywiały krajobraz i zapraszały dziewczynki do zabawy na zewnątrz. Wiosną mężczyźni okrążali pola ze świętymi księgami i modlili się o rekordowe zbiory jęczmienia. Podczas dożynek tańczyli, żeby za nie podziękować.

W słoneczne wieczory Dolma i Dolkar oraz pół tuzina innych dziewcząt w ich wieku wymykały się poza obszar zabawy i udawały w odosobnione miejsce za wsią, gdzie nie mogły zostać podsłuchane przez komunistycznych urzędników. Na pastwisku, pod rozgwieżdżonym niebem, które jak aksamit rozciągało się u ich stóp, śpiewały pieśni o Dalajlamie i niepodległości Tybetu. Potem tańczyły. To był jeden z nielicznych przypadków, kiedy Dolkar czuła się wolna i mogła być sobą. Śpiewając pieśni i krzycząc w ciemnościach czuła wyzwolenie.

Dziewczęta śpiewały:

Na złotym tronie

Zasiada Najdroższy, Jego Świątobliwość Dalajlama

Podarowaliśmy mu *kata*

W zamian za jego błogosławieństwo.

Kiedy zaczynało brakować im tchu od śpiewu i tańca, kładły się na trawie i rozmawiały o swoich marzeniach. Często powracał temat ucieczki do Indii, gdzie mogły zobaczyć Dalajlamę. Po prostu dotknąć go i otrzymać błogosławieństwo dla swoich rodzin. Zaledwie kilka koleżanek Dolmy i Dolkar odbyło niebezpieczną podróż do Dalajlamy w Indiach. W Dharamsali, gdzie mieści się Tybetański Rząd na

Uchodźctwie, Tybetańczycy mogą pobierać tradycyjną tybetańską edukację i otwarcie praktykować swoją religię bez obawy przed represjami.

Podobną podróż odbyło kilka młodych mniszek z Juchen. Jedna z nich, Monlam Sangmo, przysłała zdjęcia z soczyście zielonego pogórza i pastwisk w Dolinie Kangra w górach Dhauladhar, gdzie otrzymała specjalne błogosławieństwo od Jego Świątobliwości. Dolkar widziała fotografie Dolma Ling, pięknego klasztoru żeńskiego w pobliżu Dharamsali, który był domem dla 228 mniszek. Po drugiej stronie potężnych Himalajów istniała obietnica wolności.

*Podaruj mi wizję bezpośredniego oświecenia,  
Którego naturą jest wszechobecna próżnia!  
Uczniowie powinni złożyć ręce,  
Chwalić mistrza i błagać go:  
Wielki Zbawco, podaruj mi wizję  
Bezpośredniego oświecenia,  
Wolną od ewolucji i urodzenia.*

*Powszechne oświecenie  
z Pięciu kroków do doskonałości Nagardżuona*

# Święte przysięgi

W osadzie Juchen, z dala od szczytów pożądaných przez łowców przygód, Dolma i Dolkar pielęgnowały swoje marzenie o ucieczce przez góry do Indii.

Dolkar Tsomo była jedyną dziewczynką w siedmioosobowej gromadce dzieci. Mając tyle głodnych gęb do wykarmienia, jej rodzina z trudem wiązała koniec z końcem. Domu Dolkar, dużego, dwupiętrowego budynku, nie dało się ogrzać w zimie. Gokarmo, matka dziewczynki, nabawiła się silnego artretyzmu. Gotowanie i sprzątanie spadło na Dolkar, gdy miała dziesięć lat. Często głodowała. Ubrania ledwo się na niej trzymały. Ale bez względu na porę roku zawsze nosiła swój ulubiony brązowy szal w białe i srebrne paski.

Kiedy Dolkar miała czternaście lat, jej mama urodziła dziewczynkę. Dziecko było chorowite od pierwszych dni życia. Z Lhasy przywieziono prowizoryczny inkubator (szklane pudełko), ale to było wszystko, co dało się dla niej zrobić. W rolniczej części Tybetu jest niewielu lekarzy, więc często dochodzi do śmierci noworodków. Siostrzyczka Dolkar umarła 15 miesięcy po urodzeniu. Tego samego roku, ale wcześniej, rodzina pożegnała bliską im ciotkę. Te dwa wydarzenia pogrążyły rodzinę w dużym smutku. Po śmierci siostry Dolkar często szukała schronienia w domu Dolmy.

W przeciwieństwie do domu Dolkar, który kojarzył jej się z pracą i presją ze strony rodziny, w domu Dolmy panowały rozluźnione stosunki. Wieczorami Nyima siadała i nawijała wełnę na krosna, opowiadając o swoich pielgrzymkach do Lhasy lub ludowe przypowieści o starożytnym Tybecie.

Nyima, która była dla Dolkar inspirującym przykładem religijności, czerpała dumę ze swojego pochodzenia. Ubierała się kolorowo w tradycyjne tybetańskie szaty: czerwone swetry, fartuchy w duże wzory i ozdobne kolczyki z jadeitu. Nie chciała wychodzić za mąż i mówiła dzieciom, że nie chce być podległa żadnemu mężczyźnie

ani „stać się panną młodą w domu jednego z nich”. Tybetańskie kobiety słyną ze swojej niezależności. Nyima utrzymywała, że ojciec nie traktował jej dobrze, mimo swojej pozycji i reputacji w lokalnej społeczności. Dolma nigdy nie poznała swojego taty, Lobsanga, który zginął w wypadku samochodowym, kiedy była jeszcze mała.

Nyima była silnie zakorzeniona w tybetańskiej tożsamości. Kiedy inni mieszkańcy wsi wieszali obrazy przedstawiające Przewodniczącego Mao lub chińskiego premiera Hu Jintao, do czego zachęcały lokalne władze, ona sprawdzała, czy powiesili również wizerunki tybetańskich lamów i królów.

Jednakże, mimo swojego temperamentu, wykazywała się dużą wyrozumiałością nawet w stosunku do chińskich okupantów. W 2002 roku, kiedy ruszyła budowa hydroelektrowni na północny wschód od Juchen, do pracy przybyli Chińczycy z różnych miast kraju. Plac budowy pochłonął cenne ziemie uprawne i nadal się rozrastał. Chińscy robotnicy stanowili smutną, niedożywioną zbieraninę, od ciężkiej pracy mieli zupełnie zniszczone dłonie. Nyima często przynosiła im herbatę i ciastka, gdy układali drogi lub stawiali słupy telegraficzne w pobliżu wsi. Robotnicy kłaniali się z wdzięcznością, nieprzyzwyczajeni do takiej hojności. Nyima potrafiła wznieść się ponad przekonanie, że wszyscy Chińczycy są wrogo nastawieni.

– To tacy sami nieszczęśnicy jak my – powiedziała córce.

Kiedy Nyima nie pracowała na polach, gdzie uprawiała jęczmień i warzywa, często wyjeżdżała na pielgrzymki. Każdego roku udawała się do Lhasy, żeby złożyć hołd w Świątyni Jokhang, najświętszym miejscu w całym Tybecie. Z biegiem lat Dolma dostrzegła zmianę w Dolkar. Rzadko narzekała na obciążenie obowiązkami, marne ubrania czy niezbyt sprzyjające warunki w domu. Jednak Dolma miała świadomość, że jej przyjaciółka była bardzo nieszczęśliwa. Śmierć jej siostrzyczki, choroba matki, oporządzanie tak dużej rodziny oraz wybuchowy ojciec niechlubnie zapisali się w pamięci młodej Dolkar. Doszła do wniosku, że nie chce zakładać swojej rodziny. W przeciwieństwie do jej matki, Nyima była całkowicie oddaną wyznawczynią buddyzmu i fakt, iż nie wyszła za mąż, był inspiracją dla młodej Dolkar.

Dziewczyna widziała swoje przeznaczenie w podążaniu ścieżką tybetańskiego buddyzmu. Według niej religia była drogą do szczęścia poza ziemskim życiem. Wiele z jej nastoletnich przyjaciółek miało takie same poglądy. Pochodząca z pobliskiej wsi Lobsang Samten, drobna nastolatka z mnóstwem piegów, została mniszką, żeby uniknąć zaaranżowanego małżeństwa. Z czasem Dolkar patrzyła na świat coraz rozsądniej. Przestała jeść mięso i tańczyć podczas obchodów tybetańskiego nowego roku. Rodzice byli przeciwni jej planom zostania mniszką.



– Jesteś moją jedyną córką – błagała ją matka. – Potrzebuję cię do pomocy w domu. Ojciec wpadał w złość na samo wspomnienie religijności Dolkar.

Według tybetańskiej tradycji przynajmniej jedno dziecko z rodziny powinno wstąpić do klasztoru, żeby zapewnić łaski swojej rodzinie. Brat Dolmy, Rinzin, był mnichem w miejscowym klasztorze, ale jego ciągłe żarty i wygłupy skonfliktowały go ze starszymi mnichami. Mimo to Nyima była z niego dumna.

Historycznie ujmując, Tybet miał największą na świecie społeczność żyjącą w klasztorach. Od czasów chińskiej aneksji kraju ta liczba drastycznie się zmniejszyła. Chińczycy ściśle regulują liczbę osób otrzymującą pozwolenia na wstąpienie do klasztoru, ponieważ jako jego członkowie przede wszystkim muszą być lojalni wobec swojego przywódcy na wygnaniu, Dalajlamy, który domaga się całkowitej autonomii dla Tybetu.<sup>[7]</sup>

Chińskie władze były niezmiennie podejrzliwe wobec tybetańskich mniszek i mnichów. Nocą mieszkańcy Juchen rozmawiali o pobożnych ludziach, którzy zostali aresztowani i odsiadywali kary więzienia w Drapchi w Lhasie. Każdego roku urzędnicy rejestrowali wszelkie konflikty z władzą, w jakie popadał każdy mnich. Ci z najdłuższą listą wykroczeń musieli poddać się „reedukacji patriotycznej” – wykańczającym kursom z doktryny komunistycznej. Pomyłka podczas recytacji mogła się skończyć pobiciem lub więzieniem.

Brat Dolmy wrócił z klasztoru do domu i opowiadał okropne historie. Znany wszystkim lama z okręgu Shabdrung Rinpoche – opat klasztoru – miał asystenta z blizną na plecach po rozległej ranie postrzałowej, którą wyniósł z chińskiego więzienia. Brat Dolmy widział ją, gdy siedział za nim podczas modlitwy. Gdy syn Nyimy opowiadał o problemach wewnątrz klasztoru, matka słuchała go z wielką uwagą. Wszyscy mnisi musieli mieć Certyfikat Zawodowego Personelu Religijnego, wydawany przez Demokratyczny Komitet Zarządzający („komitet” składał się czasami z jednego chińskiego urzędnika stacjonującego w klasztorze, a niekiedy był znacznie większą grupą). Aby uzyskać certyfikat, trzeba było zadeklarować umiłowanie dla państwa komunistycznego i całkowitą lojalność, co oczywiście stało w sprzeczności z miłością do Buddy. Dokument stwierdzał ich reedukację patriotyczną i brak przywiązania do idei separatyzmu. Kto chciał otrzymać certyfikat i wstąpić do klasztoru w Tybecie, koniecznie musiał potępić Dalajlamę.

Represje podsycaly urazę. Pewnego razu uzbrojeni policjanci i żołnierze spacyfikowali Driru, kiedy mnisi i mniszki zjednoczyli się w proteście. Grupa mnichów z Juchen wsiadła do samochodu, żeby stanąć do konfrontacji z policją i porozmawiać o niesprawiedliwości i restrykcjach. Zauważyli, że pod przednim kołem siedzi czarny

kot. Nie zamierzał się stamtąd ruszyć. Nie chcąc przejechać zwierzęcia, mężczyźni porzucili swój plan. Od tej pory mówi się, że opiekuńczy bóg z Juchen, Melong-dho, zmienił się w kota, żeby ochronić mnichów.

Dziesięć lat później nacisk wywierany na mnichów i mniszki stał się jeszcze większy. Odmowa współpracy z Partią Komunistyczną groziła więzieniem i torturami. Kary były drakońskie i surrealistyczne, na przykład w sierpniu 2007 roku wydano dekret, który zabraniał *tulku* (reinkarnowanym lamom) dalszej reinkarnacji bez wcześniejszej zgody Partii Komunistycznej.

Dolkar nie zniechęcała się, słysząc o brutalnych atakach. Zimą, kiedy miała mniej pracy, spędzała coraz więcej czasu w klasztorze Choeling, leżącym we wschodniej części miasta Driru. Położone na południe od głównej autostrady łączącej Syczuan z Lhasą trzydziestodzieciotysięczne miasto, zajmuje wapienne klify na północnym brzegu rzeki Saluin. Choeling był jednym z trzech klasztorów w tej okolicy. Przycupnął na stoku góry. W trzypiętrowym budynku znajdowały się wielkie komnaty, wypełnione religijnymi malowidłami i rzeźbami. Budowla zwrócona była na południe, aby ogrzewały ją promienie słoneczne. Rzeka Saluin leniwie wiła się u jej stóp.

Wysoko na górskim stoku pod statuą Buddy, w dymie jałowcowego kadzidła o piżmowym zapachu, Dolkar odnajdowała spokój. Mnisi wstawali o czwartej rano, zaczynali dzień śpiewnie recytując, ich twarze oświetlały lampy wypełnione tłuszczem jaka. Dolkar siadała wśród mnichów z tyłu podłużnej świątyni i po cichu recytowała wraz z nimi, przesuwając w palcach różaniec lub obracając młynek modlitewny. Mnisi, którzy częstowali ją herbatą z tłuszczem jaka, czasami wciągali ją w rozmowę o wierze. W końcu Dolkar znalazła spokojną odskocznnię od swojego chaotycznego domu. Chociaż jej rodzice wzdrygali się na myśl, że ich córka zostanie mniszką, szanowali jej rozkwitającą duchowość.

Kiedy dziewczyna zdradziła Dolmie, że zamierza przyjąć święcenia na mniszkę i zapytała czy przyjaciółka przyłączy się do niej, ta zawahała się. W głębi serca Dolma lubiła swoją niezależność, jaskrawe, piękne ubrania, które szyła dla niej mama, oraz jadeitową biżuterię. Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w zgrzebnej, mnisiej, brązowej szacie. Mimo to, ponaglana przez przyjaciółkę, czuła, że chyba jest to właściwy wybór.

Przez kilka tygodni rodzice Dolkar nie chcieli się ugiąć i pozwolić córce zostać mniszką. Tsedup zagroził, że ją wydziedziczy, jeśli wstąpi do klasztoru bez ich zgody. Kiedy już dłużej nie mogła tego znieść, Dolkar po raz ostatni spojrzała butnie na ojca i uciekła do domu sąsiadów, do Dolmy. Błagała przyjaciółkę, by poszła do klasztoru

i razem z nią złożyła śluby. Kiedy ich rozmowę podsłuchał brat Dolmy, stanowczo się temu sprzeciwił.

– Nigdzie z tobą nie pójdzie – powiedział. – Tutaj jest jej miejsce.

Zasmucona Dolma spuściła głowę. Dolkar pożegnała się i wyszła.

W ciągu roku Dolkar zżyła się z Kalsangiem Labsumem, lamą w lokalnym klasztorze Dephong. Dziewczyna nie marnowała czasu. O godzinie dwudziestej trzeciej poszła prosto do siedziby Kalsanga. Jego służący, młody mnich, udał się do wewnętrznej komnaty, żeby obudzić swojego mistrza. Po chwili Kalsang wyszedł z pokoju. Był to szczupły, zgarbiony osiemdziesięciolatek z ogoloną głową. Posiadał tylko okrągłe okulary w metalowej oprawce, które zwisały mu na czubku nosa.

Miał *geshe*, najwyższy stopień akademicki, jaki może uzyskać mnich. Aby otrzymać status *geshe*, trzeba poświęcić 20 lat intensywnym studiom i nauczyć się na pamięć pięciu głównych traktatów filozoficznych z zakresu buddyzmu tybetańskiego oraz znać teksty, takie jak *Doskonała mądrość*. Nauce towarzyszy wnikliwa debata. Po rewolucji kulturalnej Chińczycy zakazali *geshe*, bardzo szanowanego przez Tybetańczyków i postrzeganego jako zagrożenie dla rządów chińskich. Ci, którzy nie chcieli ustąpić, musieli uciec do Indii, żeby poświęcić się studiom.

Dolkar uspokoiła oddech i spojrzała na Kalsanga.

– Jestem gotowa – oświadczyła.

Stary mnich potaknął ze zrozumieniem. Życie Dolkar zmieni się nie do poznania w chwili, gdy pójdzie za swoim powołaniem. Ale nie kwestionował jej pobożności. Kazał jej poczekać, a sam poszedł przygotować kaplicę.

Zgodnie z tradycją, podczas święceń nowicjusze składają ofiarę na potrzeby klasztoru, żeby podkreślić chęć wyzbycia się wszelkich dóbr doczesnych. Przybywając w pośpiechu, Dolkar pojawiła się z pustymi rękami. Przebiegła od pokoju do pokoju i obudziła znajomych mnichów, prosząc ich o pieniądze. W mniej niż godzinę udało jej się zebrać 500 juanów (ok. 70 dolarów).

*Geshe* gestem zaprosił Dolkar do kaplicy. Rozświetlało ją kilka grubych świec. Na ołtarzu wystawiono zdjęcia przedstawiające Dalajlamę, które zwykle były schowane przed chińskimi rezydentami. Dolkar podała Kalsangowi zebrane banknoty. Ukłonił się w podziękowaniu i odłożył je na bok. Jakiś mnich przyniósł herbatę i ciasto dla Dolkar, po czym złożono ofiarę z jęczmienia.

Dolkar złożyła 36 ślubów, które były częścią procesu inicjacyjnego. Pięć najważniejszych dotyczyło: celibatu, niewyrządzania krzywd (ludziom i zwierzętom), prawdomówności, czystości (żadnych środków odurzających) oraz zakazu kradzieży. *Geshe* obciął kilka kosmyków włosów z głowy Dolkar, co symbolizowało zerwanie

więzi, wyzbycie się niepewności oraz wrogości (po ceremonii zgoli resztę włosów). Dziewczyna trzy razy padła na ziemię i wezwała boga mądrości i czujności, Manjushri.

Ostatnia część ceremonii wymagała od niej wybrania nowego imienia, które symbolizowałoby jej odrodzenie.

– Kelsang Namtso – powiedziała. Zachowując tradycję i pragnąc uhonorować Kalsanga, wybrała żeńską wersję imienia *geshe*. Oznaczało pomyślność. Namtso znaczy „Jezioro Klejnotów”.

Wówczas dobiegło końca jej ponowne narodzenie jako Kelsang Namtso. Na jej twarzy zagościł uśmiech. Nikt już nie mógł cofnąć tego, co się stało.

*Jestem pewien, że kluczem do zrozumienia  
wspinaczki jest powrót. To znaczy,  
że jeśli jesteś w niedostępnych miejscach,  
w niebezpiecznych miejscach, jesteś gdzieś...  
na końcu świata, a potem wracasz,  
czujesz się tak, jakbyś ponownie dostał szansę.  
Odradzasz się. I tylko wtedy naprawdę rozumiesz,  
że życie jest największym darem, jaki mamy.*

Reinhold Messner

# Wykuci przez góry

Dobrze było wrócić. Luis Benitez uśmiechnął się na widok wąskich, pylistych ulic Katmandu wypełnionych turystami i sprzedawcami. Z telefonem przyciśniętym do ucha przeszedł obok ciasnych sklepików ze sprzętem wspinaczkowym i trekkingowym, wschodnią sztuką i rzemiosłem, wymijał turystów i nepalskich naciągaczy sprzedających wszystko: od marihuany po wycieczki do podnóża Himalajów.

To był Thamel, modna dzielnica turystyczna w sercu zatłoczonego, brudnego miasta, stolicy królestwa Nepalu. Był to również drugi dom dla pochodzącego z Kolorado Beniteza oraz epicentrum wspólnoty himalaistów, punkt startowy większości ekspedycji w Himalaje. Benitez spędzał tu kilka miesięcy w roku, znał więc wszystkich – od właścicieli prywatnych firm po kelnerów w swoich ulubionych restauracjach. Tego ranka poddał się zabiegom pielęgnacyjnym u Nadine, męskim zakładzie fryzjerskim, gdzie się zwykle golił i strzygł. Pachniał wodą kolońską. To był jego rytuał przed wyprawą.

Mocno zbudowany i dziarski, z wyrazistymi rysami, trzydziestotrzyletni Benitez był już znany jako jeden z najlepszych w świecie przewodników po najwyższych górach. Artykuły o nim ukazywały się w kolorowych magazynach i czasopismach fachowych. Benitez dbał o swoją popularność. Zatrudnił agenta, który miał w jego imieniu podpisać umowę na wydanie książki i korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by znaleźć się w mediach. Od czasu do czasu zatrudniał własnego publicystę, co było dość niezwykle jak na alpinistę. Jego garaż w Kolorado wypełniał najnowszy sprzęt górski od sponsorów – jakieś sto kurtek oraz każdy dostępny rodzaj wyposażenia.

Nawet w górach Benitez był elegancko ubrany i roztaczał swój urok osobisty.

– Nieważne gdzie byliśmy, Benitez ni z tego, ni z owego nagle zniknął – powiedział Didrik Johnck, jego przyjaciel. – Można go było znaleźć w kącie baru, na przykład w Lukli, leżącej na trasie prowadzącej do bazy pod Everestem, gdzie flirtował z jakąś

gorącą laską.

Wśród osób chodzących po górskich szlakach w Nepalu i Indiach ci, którzy wspinają się na Everest, są tak popularni jak gwiazdy rocka. Kilka miesięcy wcześniej Benitez zdobył tę górę po raz piąty. Był to wówczas jeden z najlepszych wyników na świecie dla wspinaczy niebędących szerpami.

Benitez zarabiał rocznie około 100 000 dolarów jako starszy przewodnik w Adventure Consultants (AC), jednej z największych firm obsługujących trasy wspinaczkowe, która zabierała bogaczy na Koronę Ziemi – siedem najwyższych gór na siedmiu kontynentach. Benitez doskonale radził sobie w trudnym terenie i tak zwanej harówce na wysokościach. Był jakby stworzony do zdobywania Everestu i innych wysokich gór, gdzie wielu mozolnie wspinąło się w maskach tlenowych i gdzie zawziętość była najważniejszą cechą.

Przy cenie 65 000 dolarów za Everest, wspinanie się na najwyższe góry jest przede wszystkim rozrywką dla bogatych. Benitez szczycił się tym, że aby ich zadowolić, potrafi zarówno „przewidzieć pogodę stojąc na szczycie Everestu, jak i zamówić butelkę doskonałego wina w każdym miejscu na świecie”. Poza tym mógł to zrobić w kilku językach: hiszpańskim, niemieckim, rosyjskim, tybetańskim i nepalskim.

Ze swojej pracy czerpał dodatkowe korzyści. Od kanadyjskiego przedsiębiorcy, Lena Stanmore, którego zabrał na szczyt Everestu, dostał zegarek marki Rolex Oyster Explorer II, warty prawie 7000 dolarów. Wdzięczni klienci użyczali Benitezowi kluczy do swoich letnich domów. W związku z czym, dzięki jednemu z nich, spędzał wakacje w wartej wiele milionów dolarów posiadłości na Florydzie.

Spędzał lato prowadząc klientów na szczyty w Afryce i Rosji. Zimą udawał się do Ameryki Południowej na Aconcaguę i Masyw Vinsona na Antarktyce. Zanim przyszła jesień znowu był w Nepalu i Tybecie. Spędzał tak dużo czasu w Himalajach, że korzystał z usług dentystycznych u Pasag Sherpani, nepalskiej *sherpani* (żeński odpowiednik słowa szerpa), która miała mały gabinet w Namche Bazar, ostatnim przystanku przed Everestem.

W sierpniu 2006 roku Benitez powrócił do Nepalu, żeby poprowadzić ekspedycję na Czo Oju, szósty najwyższy szczyt na świecie. Siedmiu szerpów przeniosło ponad 2000 kg zapasów zapakowanych w niebieskie studziesięciolitrowe plastikowe beczki przez nepalską granicę do Tybetu, a potem wniosło je pod górę do obozu. Chongba był kucharzem podczas tej wyprawy. Ang Tshering był *sirdarem* (przywódcą szerpów); Chulidum prowadził ekspedycję w góry. Pozostali czterej pomagali taszczyć sprzęt i wytyczać drogę.

Przygotowanie do ekspedycji przypominało wyprawianie niewielkiej armii na bitwę.

Oprócz sprzętu kuchennego, prysznic, toalety, zapasów lekarstw (wśród nich były prezerwatywy i testy ciążowe oraz rozmaite krople i opatrunki), na górę trzeba było wnieść namioty do przechowywania tego wszystkiego, telefony satelitarne, laptopy, drukarkę i zapas papieru. Waga jedzenia zabieranego na wyprawę – w skład którego wchodziły takie luksusy, jak sushi czy M&M's – musiała być określona co do grama, żeby obliczyć, ile potrzeba jaków do wniesienia ich w góry.

Pierwsze kroki w Katmandu Benitez skierował do biura podróży prowadzonego przez Ramesha Kumara<sup>[8]</sup>, małego, jędrzowatego mężczyznę przed pięćdziesiątką. Rodowity Nepalczyk wiedział, gdzie posmarować, umiał wręczać łapówki, pozyskiwać wizy lub odgadywać żądania skorumpowanych biurokratów, dzięki czemu ekspedycje takie jak te, które prowadził Benitez, w ogóle mogły dojść do skutku. AC wynajmowała mieszkanie ponad jego biurem, w którym przechowywała namioty, liny i inny sprzęt. Kumar, dobrze obeznany z podejrzaną naturą wielu zawieranych w górach transakcji, powitał Beniteza nie odrywając się od dwóch dzwoniących telefonów komórkowych. Później, omawiając ostatnie szczegóły, wręczył Benitezowi 25 000 dolarów w gotówce, które miał zabrać do Tybetu, żeby zapłacić Chińsko-Tybetańskiemu Związkowi Alpinizmu (CTZA) za wydanie pozwolenia na wejście na Czo Oju. Benitez wsadził banknoty do plecaka.

Benitez kręcił się po Katmandu, spotykając się i witając ze swoimi pięcioma klientami. Każdy z nich zapłacił 16 000 dolarów za przywilej wejścia na Czo Oju z asystą. Przybyli z całego świata, zatrzymali się w zatęchłym, średniej klasy Hotelu Tybet w Katmandu. Benitez entuzjastycznie powitał klientów, rozwiewając obawy związane z czekającą ich wspinaczką. Każdy z nich trenował przez kilka poprzednich miesięcy.

Brytyjczyk Phil Varcas, mocno zbudowany, niezależny trzydziestojednolatek, który pomagał zarządzać rodzinną firmą z branży klimatyzatorów w Berkshire w Anglii, był starym znajomym Beniteza. Podobał mu się jego entuzjazm oraz przyjemność, jaką czerpał z „uczenia ludzi wszystkiego, co sam umiał”. Wspinał się z nim podczas innych ekspedycji i rok wcześniej pracował jako kierownik obozu pod Everestem.

Wśród klientów była też Australijka, Jan Anderson, czterdziestotrzyletnia księgowa w szpitalu z Brisbane, która alpinizm traktowała jako hobby, lecz często pokonywał ją strach. Ona również rok wcześniej wspinała się z Benitezem na Ana Dablam w Nepalu, ale choroba wysokościowa zmusiła ją do odwrotu. Benitez uwielbiał pracę z klientami takimi jak Anderson, których mógł зараżać pewnością siebie. Postrzegał ją jako swój „osobisty projekt”. Mimo kilku prób, nigdy nie udało jej się wejść na szczyt ośmiotysięcznika.



Australijczyk Scott Curtis, trzydziestotrzylatek, żartowniś, osobisty doradca kredytowy w banku w Brisbane w Australii, podczas urlopu naukowego odbywał wyprawę po Azji, kiedy zapragnął zdobyć jakąś górę.

Najmłodszy i najbardziej ambitny w grupie był dwudziestoczteroletni, szczupły, jasnoskóry Emanuel Smith<sup>[9]</sup>. Pochodzący z nizinnej Belgii Smith chciał zdobyć Czo Oju w ramach przygotowań do wejścia na Everest.

Kevin Cubitt, brytyjski deweloper, szukał nowego kierunku w życiu. Miał nadzieję, że podczas wyprawy wysokogórskiej znajdzie jakieś rozwiązanie.

Benitez miał asystenta, Paula Rogersa, Brytyjczyka, który od wielu lat mieszkał na Nowej Zelandii.

Dzień przed wyjazdem z Katmandu Benitez siedział w Java House, kawiarni urządzonej w zachodnim stylu, wznoszącej się nad chaosem rikszy i skuterów jeżdżących po ulicach, sączył kawę, omawiał ostatnie szczegóły organizacyjne przez telefon komórkowy i rozmawiał ze swoim szefem Guyem Cotterem z Nowej Zelandii.

Jako dziecko Benitez cierpiał na astmę i różne alergie. Był synem Ekwadorczyka i Amerykanki; nienawidził lata, ponieważ wówczas pojawiały się męczące go alergeny. Wypatrywał nadejścia mroźnych zim w Missouri. Śnieg i zimno przynosiły mu ukojenie. Latem przez całe dni przebywał w swoim pokoju, gdzie przeglądał stare wydania magazynu „National Geographic”. W błyszczących, kolorowych fotografiach Benitez odkrył inny świat. Były tam nasycone barwami zdjęcia wodzów afrykańskich. Przyciągały go obrazy Himalajów oraz alpinistów z niesfornym zarostem i popękkanymi od słońca ustami.

Jeden z magazynów zwrócił jego szczególną uwagę. Był w nim rozległy reportaż, dotyczący pierwszej amerykańskiej wyprawy na Everest pod kierownictwem Amerykanina Jima Whittakera. Kiedy przeczytał, że Whittaker w dzieciństwie cierpiał na astmę, zawiesił na ścianie pokoju wielki plakat przedstawiający Mount Everest. Postanowił, że on również wejdzie na podniebne wysokości najwyższej góry świata.

Stopniowo Benitez sprawdzał swoje umiejętności, ukradkiem wymykał się z domu i wspinał na wysoki dąb na podwórku. Siadywał godzinami wysoko na gałęzi i przyglądał się dachom pobliskich domów. Z czasem, po intensywnych treningach pływackich, płuca Beniteza zaczęły się wzmacniać, astma i alergie ustąpiły.

Zanim skończył jedenaście lat, każdego roku spędzał kilka tygodni w Quito w Ekwadorze, gdzie mieszkała jego ciotka. Z łatwością oddychał czystym, górskim powietrzem i czuł się tam jak ryba w wodzie. Z domu ciotki widział potężny Cotopaxi, drugi co do wysokości szczyt w kraju i najwyższy na świecie aktywny wulkan.

Wyrastał z porośniętych karłowatą roślinnością wyżyn, jego szczyt przykrywała warstwa śniegu.

Gdy miał szesnaście lat, postanowił wejść w tajemnicy na Cotopaxi. Po półgodzinnej wspinaczce dotarł do schroniska Jose Ribas. Spał tam do północy, po czym wyruszył za grupami zmierzającymi na szczyt. Wkrótce wyprzedził innych, ale dopadł go silny ból głowy oraz mdłości, które rzuciły go na kolana. Nie poddawał się, chociaż kręciło mu się w głowie.

Na szczycie okrążył wulkan i zajrzał w głąb krateru. Około godziny 5.30 rano zaczęło świtać. Wokół szczytu utworzył się efekt halo. Beniteza ogarnęła euforyczna radość. Przed nim rozciągała się potężna kordyliera Andów, częściowo zasłonięta czarnymi chmurami. Poniżej widział światło błyskawic oraz słyszał grzmoty. Surowa potęga gór sprawiała, że czuł do siebie szacunek. Światło słoneczne pieszczące jego skórę wzmagало poczucie niezłomności.

Wejście na Cotopaxi ośmieliło Beniteza. Podczas ferii wiosennych na pierwszym roku w college'u zadeklarował, że zamierza udać się na wspinaczkę do Europy. Jednak ojciec nie pozwolił mu tam jechać. Benitez porzucił pomysł, ale zasugerował, że zamiast tego wybierze się do Kolorado.

Znajdował się wysoko nad Atlantykiem i rozkoszował lotem w pierwszej klasie odrzutowca American Airlines zmierzającego do Szwajcarii, kiedy rodzice odkryli jego prawdziwe plany. Żeby kupić bilet, skorzystał z punktów promocyjnych zebranych przez ojca w programach lojalnościowych linii lotniczych. Gdy tylko mógł, Benitez wspinał się na każdą wysoką górę w Alpach. Wszedł na liczący 4809 m n.p.m. szczyt Mont Blanc na granicy włosko-francuskiej. Autostopem dostał się do podnóża niezwykle trudnego Eigeru i wspiął się nań po ścianie zachodniej. Strawersował szczyt, żeby wejść na Mönch, a następnie na Jungfrau. Wyprawy w pojedynkę były bardzo niebezpieczne.

Dezaprobatą rodziców tylko podsycala jego pasję. Góry stały się symbolem buntu przeciw wygodnemu życiu. Po tym jak został skreślony z listy studentów University of Missouri, przeprowadził się do Kolorado, żeby pracować w Outward Bound. Niespodziewanie odkrył, że może być ponad wpływowymi szefami korporacji. Mimo wątlej sylwetki i lichych, farbowanych t-shirtów, czuł ekscytację podczas pieszych wędrówek, spływów kajakami i wspinaczek po Górach Skalistych, gdy mógł wydawać polecenia prezesom 500 najważniejszych firm według rankingu magazynu „Fortune”.

– Chłopak z niską samooceną, który miotał się w ciemności, znalazł coś, co dawało mu ogromną satysfakcję – powiedział młodszy brat Beniteza, David. Kiedy nie pracował w Outward Bound, mieszkał w swojej hondzie civic, którą parkował na

kampingach na zachodzie kraju, skąd wyruszał w góry.

Awansował w Outward Bound i został starszym *course director*. Podczas gdy inni instruktorzy musieli zadowalać się niższymi górami w Kolorado, Benitez, dzięki znajomości hiszpańskiego, bywał przewodnikiem po wysokich górach w Peru i Ekwadorze. Mimo to, ojciec kpił z niego.

– Jesteś tylko zwykłym opiekunem na obozie – irytował się.

Gdy miał dwadzieścia sześć lat Benitez został przewodnikiem w Alpine Ascents International, jednej z nowych firm specjalizujących się w organizowaniu wypraw w wysokie góry. Wkrótce dostanie szansę, by ziścić największą ambicję każdego alpinisty.

W maju 2001 roku Benitez po raz pierwszy próbował zdobyć Everest, prowadząc niewidomego mężczyznę, Erika Weihenmayera. Wytrawni wspinacze uznali, że wyprawa to szaleństwo, zwykła głupota, która skończy się tragicznie. Ed Viesturs, sławny amerykański himalaista, który sześć razy zdobył Everest i wspiął się na wszystkie czternaście najwyższych gór świata, wyraził się jednoznacznie. W wywiadzie dla „Men’s Journal” Viesturs powiedział: „Życzę mu dużo siły i popieram jego decyzję, ale sam nie chciałbym go tam prowadzić”. Dodał również: „Według mnie ryzyko jest za duże. To będzie najtrudniejsze w historii wejście na Everest z przewodnikiem, jeśli w ogóle im się uda”[\[10\]](#).

Benitez widział w tej wyprawie szansę na spełnienie swojego marzenia z dzieciństwa. Aktualne zadanie: Zaprowadzić niewidomego na najwyższy punkt na Ziemi, było ogromnym wyzwaniem. Czy był jakiś lepszy sposób dla przewodnika, żeby udowodnić swoje kompetencje?

Na początku wyprawy wydawało się, że rację mieli ci, którzy krytykowali to przedsięwzięcie. Pierwsze wyjście z bazy zajęło trzynaście wypełnionych bólem i niebezpieczeństwami godzin, podczas których musieli przejść przez lodospad Khumbu, ogromny, będący w nieustannym ruchu lodowiec. W ciągu kilku sekund otwierały się szczeliny, które pochłaniały rozłożone przez wspinaczy drabiny. Na tak nieprzewidywalnym podłożu wystarczył jeden ruch, by wywołać lawinę. W takiej sytuacji Weihenmayer nie mógł polegać na swoich wyczulonych zmysłach dotyku i słuchu, żeby wejść w miarowy rytm wspinania. Musiał przechodzić przez drabiny rozciągnięte nad bezdennymi szczelinami. Czasami jego stopy ześlizgiwały się ze szczebli i niebezpiecznie zwisał nad przepaścią. Zanim dotarli do pierwszego obozu, Benitez, który pomagał Weihenmayerowi przekroczyć szczelinę, przypadkowo uderzył go w twarz kijem narciarskim, prawie łamiąc mu nos.

24 maja Benitez i Weihenmayer weszli ramię w ramię na Everest. Byli na szczycie świata. Pod maską po twarzy Beniteza płynęły łzy. Odczuwał niezwykłą harmonię. Odrodzenie. Miał świat u swoich stóp.

Niebo miało turkusowy odcień. Za Benitezem znajdował się Nepal. Przed nim, daleko na horyzoncie, krzywiznę Ziemi obejmował Tybet.

*Wszystkie przedmioty kultu religijnego  
na świecie, czy to w niebie czy w piekle,  
czy dotyczą chrześcijaństwa, czy buddyzmu,  
są produktami ludzkiej wyobraźni  
i nie mają prawa bytu w prawdziwym życiu.*

Oficjalny dokument,  
pochodzący z klasztoru Serthar w Kham

# Ucieczka

Dolma schodziła pełną koleiną drogą, gdy usłyszała warkot silnika małego pickupa. Ze zdziwieniem ujrzała biegnącą w jej stronę i radośnie machającą Kelsang. Wczesnym rankiem Dolma udała się z dwoma kuzynami do pracy przy żniwach, na należące do jej rodziny pola jęczmienia. Był jednym z dwóch zbóż, które dało się uprawiać na nieurodzajnej, kamienistej glebie na wyżynie. Przez cały dzień ich sierpy bezustannie śmigały, ścinając zboże tuż nad ziemią.

Był sierpień 2006, tybetański rok Ognistego Psa. Powietrze było aż gęste od zapachu gliniastej ziemi. Pojazd zwolnił, gdy się z nią zrównał, a Kelsang aż zadrżała z zadowolenia.

– Chodź, Dolmo! – zawołała. – Musimy porozmawiać. Chcę ci coś powiedzieć. – Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

Dolma pożegnała się ze swoimi kuzynami i patrzyła na oddalającą się ciężarówkę. Dwie przyjaciółki zostały same pod bezkresnym niebem. Kelsang miała bardzo krótkie włosy, wokół nadgarstka owinęła różaniec z drzewa różanego.

Minął prawie rok od czasu jej święceń i od tej pory była mniszka Kelsang. Po ceremonii zasnęła w antyszambrze *geshe*. Następnego dnia *geshe* nauczał na świeżym powietrzu. Przybyły tłumy. O godzinie osiemnastej, gdy cienie się wydłużyły, a ludzie rozeszli, pojawili się rodzice Kelsang wraz z Dolmą. Dolma podbiegła do niej, jak tylko zauważyła przyjaciółkę na krużganku klasztoru. Kelsang nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Dolma chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Udało ci się! – wykrzyknęła tylko.

Rodzice Kelsang podeszli i spuścili wzrok. Tsedup stanowczym tonem poprosił o widzenie z *geshe*. Matka Kelsang poparła ojca. Dziewczyna wskazała, gdzie znajduje się siedziba *geshe*. Ojciec niezwłocznie się tam udał. Później Kelsang zrozumiała, że co do grosza spłacił zaciągnięty przez nią dług.

Kiedy wrócił, uśmiechnął się niechętnie. *Geshe* powiedział mu, że powinien być zadowolony z decyzji córki. Posłał długie spojrzenie matce dziewczyny.

– Oboje jesteśmy z ciebie dumni – powiedział.

Kelsang spuściła głowę, kosztowało ją to zbyt wiele emocji. Ojciec zacisnął usta i spojrzał na nią jeszcze raz, zanim odwrócił się i ruszył z powrotem do wioski.

Po opalonej twarzy Kelsang spływały krople potu, gdy stała teraz na drodze ściskając rękę Dolmy.

– Znalazłam sposób. Możemy przedostać się do Indii.

Od rozpoczęcia nowicjatu w Gelugpa Kelsang ogarniała coraz większa frustracja. Tylko kilka mniszek mogło przebywać w klasztorze Depong, a limit przyjęć już się wyczerpał. Kilka lat wcześniej grupa mniszek z Juchen i okolicznych wsi zbudowała mały, niewyszukany klasztor żeński. Władze chińskie zburzyły go i zagroziły, że aresztują każdego, kto podejmie się odbudowy. Funkcjonariusze byli szczególnie zawzięci w stosunku do tybetańskich mniszek. Według nich miejsce kobiety było w domu, gdzie ma pomagać w pracy na roli. Mnisi dostawali jałmużnę, natomiast mniszki nie otrzymywały żadnej pomocy z zewnątrz.

Kiedy Kelsang miała dziesięć lat, w Lhasie wybuchły zamieszki, ponieważ mnisi i mniszki zaczęli lobbować w sprawie niepodległości Tybetu. Wielu ludzi pobito, inni zostali zastrzeleni na ulicach. Niektórzy później pomierali w więzieniach. W Barkhor, dzielnicy Lhasy, aresztowano kilkaset mniszek i wsadzono je do więzienia za udział w pokojowej demonstracji przeciw odebraniu niepodległości Tybetowi. Czternaście kobiet, które brutalnie torturowano w więzieniu Drapchi, w tajemnicy nagrało na przesmuglowanym magnetofonie pieśni chwalcące Dalajlamę, by pokazać ludziom na zewnątrz, że nie można ich złamać. Gdy pieśni dotarły do tybetańskich organizacji pozarządowych na Zachodzie, nagrano je na CD. Ale mniszki przyłapano w 1993 roku i dostały zwiększone wyroki, z pięciu do dziewięciu lat więzienia. W 1998, w przededniu wizyty przedstawicieli Unii Europejskiej, odmówiły zaśpiewania piosenki chwalcącej przewodniczącego Mao. Później okazało się, że pięć z nich zmarło, po trwających wiele tygodni torturach. Niektórzy przypuszczali, że umarły na skutek zadanych im obrażeń, lecz pojawiły się również pogłoski, że popełniły samobójstwo.

Mniszki stanowiły jedną trzecią wśród 600 więźniów politycznych, osadzonych w tybetańskich więzieniach pod koniec lat 90. W 2008 roku mnisi i mniszki stanowili 62% z 715 tybetańskich więźniów politycznych, chociaż liczby te szybko się zmieniały<sup>[11]</sup>. W 1997 roku Międzynarodowa Komisja Prawników podała w raporcie, że „kobiety, zwłaszcza mniszki, poddawane są najokrutniejszym, związanym z płcią



torturom, włącznie z gwałtami przy użyciu pastuchów elektrycznych oraz takimi skupiającymi się na piersiach”[\[12\]](#).

W 2005 roku, czyli kiedy Kelsang złożyła śluby, władze chińskie wprowadziły dalsze obostrzenia. Kampania pod hasłem „Celne uderzenie” była częścią powtarzających się czystek w całym Chinach. Jednak w Tybecie przybrała ona wymiar antyreligijny, jako że głównym celem obławy było środowisko duchownych oskarżanych o łamanie zasad.

Władze lokalne zauważyły ogoloną głowę Kelsang, poddano ją więc ścisłej kontroli. Teraz była potencjalnym celem władz i musiała przestrzegać drakońskich przepisów, którym podlegały osoby duchowne. W związku z tym musiała praktykować swoją religię w samotności i tajemnicy. Izolacja i brak dostępu do jakiegokolwiek przywódcy duchowego sprawiły, że czuła się zagubiona. Pragnęła zamieszkać w klasztorze. W międzyczasie zyskiwała coraz większą pewność, że jedynym sposobem na odzyskanie wolności jest ucieczka do Indii, gdzie mogłaby zgłębiać swoją wiarę. Wyobrażała sobie, że za górami odcinającymi ją od reszty świata, na jałowej wyżynie, poza zasięgiem okrutnego ustroju komunistycznego, istniała prawdziwa wolność.

Kiedy dorastając, Dolma czasami mówiła głośno o pomysłach przedostania się do Indii, jej brat tylko strofował ją i oskarżał o samolubstwo – była potrzebna w domu. Dolma przez większość życia nie interesowała się polityką. Mieszkała w jednym z najbardziej sterroryzowanych krajów na świecie, miejscu, gdzie dochodziło do bezpodstawnych aresztowań, zatrzymań oraz notorycznego łamania praw człowieka. Mimo to Dolma nie odczuła na własnej skórze represji ze strony komunistów. Miała dobre życie. Jednak pod wpływem niezachwianej religijności Kelsang oraz swojego przywiązania do przyjaciółki, zaczęła coraz bardziej angażować się w plany ucieczki do Indii.

W codziennym życiu Dolma zaczęła zauważać rzeczy, które wcześniej jej umykały. Jej pradziadek, wysoki, gadatliwy mężczyzna, często zniknął na dłuższy czas. Gdy wracał, był zamknięty w sobie. Jako były wódz plemienia – aktywnie przeciwstawiał się Chińczykom w pierwszych latach po inwazji, więc uznawany był za kontrrewolucjonistę – był częstym celem władz, które wzywały go na przesłuchania i zatrzymywały w areszcie.

W 1949 niebo nad Tybetem rozświetliła kometa. Najwyżsi lamowie zinterpretowali jej pojawienie się jako wizytę boga Rahula, węża, który połyka Słońce i Księżyc oraz wznieca terror. W 1947 roku Państwowa Wyrocznia przepowiedziała, że rok Żelaznego Tygrysa, 1950, będzie czasem wielkich kłopotów dla Tybetu. Pewnego słonecznego dnia w Lhasie woda niewytłumaczalnie wypłynęła z gargulca na dachu centralnej katedry. Wkrótce potem w pobliżu klasztoru Sera słyhać było 40 wybuchów. Piąte



największe w historii świata trzęsienie ziemi miało miejsce prawie 2000 kilometrów od Tybetu. Wstrząsy odczuwalne były nawet w Kalkucie.

Nad Tybetem zawisła groźba inwazji. Po latach krwawej rewolucji, 1 października 1949 roku, Przewodniczący Mao Zedong, przywódca Armii Czerwonej, proklamował Chińską Republikę Ludową (ChRL). Następnie za swój cel obrał Tybet. Mao uważał, że kluczem do dominacji w Azji jest przyłączenie Tybetu. Związanie go z Chinami nie tylko „zamknie tylne drzwi” przed zachodnimi potęgami, takimi jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja, lecz również pozwoli zająć strategiczną pozycję, by wypowiedzieć im wojnę. W Tybecie znajdowały się bogate zasoby naturalne. Dla Chin, które posiadały zaledwie 7% światowych gruntów uprawnych oraz aż 22% światowej populacji, Tybet był bogatym źródłem wody, prawie nienaruszonych złóż minerałów i, co najważniejsze, ziemi.

O świcie 7 października 1950 roku, 52., 53. i 54. Dywizja Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w liczbie około 40 000 żołnierzy najechała wschodnią część Tybetu, by wyzwolić państwo od „zagranicznych imperialistów”. Rzeczywiście znajdowało się tam wówczas kilka osób z zagranicy: Robert Ford i Reginald Fox, którzy pracowali jako radiooperatorzy w Chamgo; austriaccy alpinści Heinrich Harrer i Peter Aufschnaiter; oraz Geoffrey Bull, angielski misjonarz.

Żałośnie naiwni Tybetańczycy dali się podejść jak owce głodnym wilkom. Później Dalajlama przyznał, że ich poglądy religijne sprawiły, iż nie potrafili przeciwstawić się chińskiemu zagrożeniu. Powiedział:

– Wiara w to, że nasz kraj zostanie ocalony bez udziału ludzi, jedynie za sprawą modlitw, brała się z niewielkiej wiedzy. Jeśli spojrzymy na to z tej strony, na drodze stanęła nam religia<sup>[13]</sup>.

Tybetańczycy wzywali na pomoc Zachód i Indie. Za wieki utrudnionego dostępu do Krainy Śniegu oraz braku komunikacji ze światem zewnętrznym Tybet zapłacił swoją niepodległością.

W kolejnych latach Chiny szybko zajęły resztę kraju, a Dalajlama nieprzerwanie starał się uzyskać pomoc Zachodu i Indii. Chińczycy jednak utrzymywali, że Tybet jest ich problemem i nie powinien interesować państw postronnych. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Indie udawały, że tak naprawdę nie miały pojęcia o niepodległości państwa (choć Wielka Brytania podpisała traktat uznający suwerenność Tybetu). Dalajlama i jego urzędnicy wnieśli skargi do ONZ w 1959, 1961 i 1965 roku. Jediną reakcją były rezolucje wyrażające „niepokój” oraz „głęboką troskę”, a nawet przyznanie faktu, iż Tybet miał prawo do „samostanowienia”, ale ostatecznie ONZ nic w tej sprawie nie zrobił.

Po inwazji Mao brutalnie pozbył się tych Tybetańczyków, którzy przeciwstawiali się chińskim najeźdźcom, również wcielając w życie programy, takie jak rewolucja kulturalna oraz wielki skok naprzód. We wsi Doi w Amdo w północno-wschodniej części Tybetu doszło do zbiorowej egzekucji – strzałem w plecy zabito 300 właścicieli ziemskich. Pozostali mieszkańcy, których zmuszono do przyglądania się scenie, usłyszeli od żołnierzy, iż jest to kara za sprzeciwianie się komunizmowi. Tybetańczyków zabijano ciągnąc ich za pędzącymi końmi lub zrzucano z samolotów. Dzieci zmuszono do strzelania do rodziców. Mnichów i mniszki poddawano torturom i krzyżowano. Opaci musieli zjadać własne odchody. Święte teksty służyły za papier toaletowy. Niektórzy rzucali się w nurt rzeki na pewną śmierć, żeby uniknąć denuncjacji Dalajlamy. Międzynarodowa Komisja Prawników, grupa składająca się z prawników i sędziów z 50 krajów, w 1959 roku opracowała raport „The Question of Tibet and the Rule of Law”, w którym stwierdza, że Chiny prowadzą w Tybecie politykę ludobójczą.

Amdo zmieniono w gułag. Setki tysięcy Tybetańczyków umarło z głodu lub na skutek przemocy oraz stało się ofiarami programu wielki skok naprzód.

Podczas rewolucji kulturalnej chińska Czerwona Gwardia próbowała unicestwić „Cztery stare rzeczy” – stare zwyczaje, starą kulturę, stare nawyki i stare idee, by wyeliminować przejawy niepodległości kraju. Publicznie szkalowano, nękanono i zabijano lamów. Spalono święte malowidła buddyjskie, zrównano z ziemią klasztory, ogień pochłonał księgi. Później, na polach przylegających do wsi, rozstawiono przenośne kina i zmuszono wieśniaków do oglądania chińskich filmów propagandowych o „wyzwoleniu Tybetu”.

Dziadek Dolmy był świadkiem wielu aktów terroru. Sprawował funkcję wodza plemiennego, przynależne mu z tego tytułu złoto i turkusy Chińczycy skonfiskowali i rozdali między innych mieszkańców wsi. Widział jak sąsiad zwracał się przeciw sąsiadowi, barbarzyńskie tortury, jakim poddawano tych, którzy według Czerwonej Gwardii byli „panami”. W pierwszym okresie rewolucji kulturalnej w imię „kolektywizacji” oddziały Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej chodziły od drzwi do drzwi i odbierały ludziom ziemię oraz rzeczy osobiste. Właściciele ziemscy, ludzie szlachetnie urodzeni oraz mnisi byli poddawani *thamzing*, czyli publicznym sesjom oskarżania. Na ich szyjach zawieszono odróżniające ich tabliczki, byli bici przez żebraków, mianowanych przez Chińczyków na gorliwych wykonawców. Podczas przesłuchań Tybetańczycy byli zmuszani do przyznania się do „zbrodni przeciw ludziom”. Przyznanie równało się egzekucji. Nikt z zagranicy nie mógł wjechać do tego regionu, żeby nie było żadnych postronnych świadków masowych mordów i głodu.

Tybet znalazł się za nieprzepuszczalną żelazną kurtyną. Choć w Chinach rewolucja kulturalna dobiegła końca w 1976 roku, w Tybecie do dziś trwają brutalne prześladowania religijne.

Prawie 50 lat po przejściu władzy przez Chiny próba ucieczki z Tybetu była niebezpiecznym przedsięwzięciem. Dolma i Kelsang będą musiały znaleźć nielegalnego przewodnika, „przemytnika ludzi”, który przeszmugluje je z kraju do Nepalu, a potem do Indii, lawirując pomiędzy wszechobecnymi chińskimi posterunkami. Żeby się wydostać, trzeba będzie przejść Himalaje.

Istnieje siedem lub osiem dróg ucieczki, różniących się między sobą stopniem trudności i prowadzących przez 34 przełęcze i szlaki górskie położone między Tybetem a Nepalem. Ucieczka z Tybetu zależy od tego, jak sprawnie uda się uniknąć skomplikowanej sieci informatorów, działających pod przykrywką oficerów UBP oraz paramilitarnych i militarnych punktów kontroli. Przełęcze górskie są nieustannie kontrolowane przez żołnierzy Wujing<sup>[14]</sup>, którzy mają rozkaz wynikający z artykułu 322 chińskiego Kodeksu karnego, żeby aresztować, a jeśli zajdzie konieczność, zabić każdego, kto „potajemnie przekracza” granicę państwa. Przewidziana kara jest bardzo umiarkowana, ale grozi za to minimalnie kilka miesięcy w ciężkim przygranicznym więzieniu.

Jednak bardziej prawdopodobna od złapania jest śmierć z rąk chińskiej policji przygranicznej. O ile to możliwe, tuszuje się przypadki takie jak zabicie piętnastoletniego Yeshe Dundruba, zastrzelonego nocą w okręgu Saga (chińskie Saga Xian) w listopadzie 1999 roku, podczas próby ucieczki do Nepalu wraz z 40 innymi osobami (Dundrub, który marzył o zostaniu mnichem, zmarł w szpitalu wojskowym dziewięć godzin po postrzale).

Najłatwiejsza droga do Nepalu wiedzie przez Dram (chiń. Zhangmu), ośrodek przemysłowy leżący na granicy Tybetu z Nepalem. Uchodźcy często posługują się podrobionym pozwoleniem na wyjazd lub są szmuglowani na ciężarówkach przejeżdżających na drugą stronę. Inne drogi leżą w pobliżu nepalskich regionów Mustang lub Humla. Poza nimi są już tylko niebezpieczne przejścia położone wysoko w górach.

Jest jeszcze jedna droga w wysokich Himalajach: naturalny lodowy szlak na wysokości 5806 m n.p.m., który dochodzi aż do Nepalu. Nangpa La jest bardziej zdradliwa niż inne przełęcze w Tybecie i według podań od VIII wieku była drogą, którą przemieszczali się kupcy oraz inni śmiałkowie pragnący dostać się do Tybetu lub z niego wydostać. W ciągu ostatnich stu lat stała się trasą handlową i przemytniczą.

Dla Tybetańczyków *Nangpa* to „człowiek z wewnątrz”. Odnosi się to do buddystów i tych, którzy uważają się za „ludzi z wewnątrz” w przeciwieństwie do ludzi z zewnątrz, *phyipa*, którzy nie są buddystami<sup>[15]</sup>. *La* oznacza przełęcz. *Nangpa La* była, oprócz trasy przerzutowej, drogą używaną przez pielgrzymów zmierzających do świętych miejsc w Indiach i Nepalu.

Według legendy mędrzec *Padmasambhava* krył się w kilku dolinach w Himalajach. *Nangpa La* prowadziła do jednej z jego kryjówek – tej łączącej się z regionem *Solu Khumbu* w Nepalu, zwanym również *Beyul*, będącym świętym miejscem Tybetańczyków. Teren od dawna zamieszkują Szerpowie ze wschodniego Tybetu, którzy obecnie zarabiają na życie jako tragarze pracujący dla wypraw organizowanych przez zachodnich alpinistów. Według buddyjskiego podania, *Padmasambhava* zakopał zwoje na *Czo Oju*, górze wznoszącej się nad *Nangpa La*, żeby uchronić świat przed chaosem.

Fizjologia Tybetańczyków daje im ogromną przewagę w tym nieprzyjaznym środowisku. Chińscy żołnierze nie są w stanie przebywać w rozrzedzonym powietrzu na *Nangpa La*. Tutaj Tybetańczycy mogą przechytryć chińską machinę militarną, wyposażoną w aparaturę do zdjęć satelitarnych, telefonię komórkową oraz uzbrojoną w karabiny policję. Udaje im się to z łatwością, ponieważ są ludem górskim, zdolnym poradzić sobie z warunkami, które chińskich żołnierzy *Han* oraz ludzi Zachodu rzucają na kolana<sup>[16]</sup>.

W latach 70. *Nangpa La* stało się najważniejszą trasą ucieczki.

Jedynym z nielicznych przedstawicieli Zachodu, który z powodzeniem przekroczył *Nangpa La* jest szwajcarski fotograf *Manuel Bauer*, który przeszedł przez przełęcz w towarzystwie Tybetańczyka i jego sześciolatniej córki. Prawie wyzionąwszy ducha ze zmęczenia, zimna, głodu i pragnienia, *Bauer* dotarł do Nepalu, ale zapadł na zdrowiu po trzytygodniowej mordędze, w jego moczu pojawiły się duże ilości krwi. Ojciec próbował amputować jego odmrożony palec u nogi zardzewiałą brzytwą.

– Gdybym spróbował to zrobić dziś, na pewno bym umarł – powiedział *Bauer*. – Miałem szczęście, że przeżyłem. Mój mózg przestał pracować na przełęczy; majaczyłem, brakowało mi tlenu. Panowało takie zimno, że brak mi słów, by to opisać. W takich warunkach ciało przestaje reagować. Poza tym cały czas towarzyszy ci strach przed złapaniem.

*Bauer* przeszedł przełęcz w 1995 roku. W latach 90. Chiny nieoficjalnie przyjęły politykę ignorowania uchodźców, być może uważając, że łatwiej będzie zawładnąć krajem, jeśli opuści go wielu Tybetańczyków. Zanim nadszedł 2006 rok, i na horyzoncie widać już było Igrzyska Olimpijskie w Pekinie w 2008 roku, uchodźcy

z okupowanego przez Chiny Tybetu zepsuli misternie budowany wizerunek organizatora. Rzucali złe światło na biznes olimpijski. Bezwzględnie trzeba ich było powstrzymać.

Od 2006 roku Nangpa La było tak ściśle patrolowane jak jeszcze nigdy.

Kelsang i Dolma dopiero w ostatniej chwili miały się dowiedzieć którędy opuszczają Tybet. Jeśli miałyby to być Nangpa La, droga na pewno będzie trudna i potrwa od dwóch do sześciu tygodni. W tym czasie doświadczą głębokiego śniegu, temperatur spadających poniżej  $-40^{\circ}\text{C}$  oraz zdradliwych, przykrytych śniegiem szczelin. Niezauważone będą musiały przekroczyć aż trzy państwa i dwie granice.

Gdy znajdą się poza Tybetem, za granicą z Nepalem, nadal będą w wielkim niebezpieczeństwie. W ostatnich latach Chińczycy wytrwale przekupywali Nepal dużymi sumami pieniędzy i szkolili jego wojska, starając się zacieśnić wzajemne stosunki. Nepalscy funkcjonariusze ochrony pogranicza sami z siebie byli skorumpowani i niebezpieczni, czasami dopuszczali się gwałtów na nepalskich uchodźcach. Chińczycy płacili im dużo za aresztowanie Tybetańczyków i wydalanie ich do Chin. Z tej przyczyny oni również mieli swoje sieci informatorów i polowali na uchodźców, kiedy ci przekraczali granicę kierując się do Indii. Pomagali również chińskiej Ludowej Policji Zbrojnej (LPZ), kiedy funkcjonariusze nielegalnie przekraczali granicę, żeby pojmać Tybetańczyków.

Oprócz niebezpieczeństw grożących ze strony wrogich żołnierzy i policji, przejście do Nepalu przez Himalaje było takim wyzwaniem, że nawet doświadczony himalaista, wyposażony w nowoczesny sprzęt, dobrze zastanowiłby się nad nim. Pewnego razu dwudziestu ośmiu uchodźców wyruszyło w styczniu na Nangpa La i zginęło pod lawiną. Troje dzieci umarło, zanim udało im się dotrzeć do Nepalu, więc zostały pochowane pod śniegiem. Kolejne trzy czy cztery osoby miały odmrożone kończyny i wymagały natychmiastowej operacji po dotarciu do Katmandu.

Żołnierze LPZ mieli rozkaz strzelać do każdego uchodźcy, którego wypatrzą na przełęczy. W październiku 2005 roku 30 Tybetańczyków podjęło próbę ucieczki. Żołnierze otoczyli ich i otworzyli ogień w miejscu, gdzie Himalaje przechodzą w kamieniste wyżyny w pobliżu Tingri w prefekturze Xigazê. Tylko trzy osoby zdołały uciec, reszta została pojmana, uwięziona i poddana torturom.

Wśród nich były dwie mniszki: Sonam Nyima i Pema Wangdu. Ich nadgarstki związano liną, po czym zostały wrzucone na ciężarówki wojskowe. Później zostały pobite, torturowane elektrycznymi pastuchami, przesłuchane, sfotografowane i zatrzymane na trzy miesiące w więzieniu Xigazê.

Dolma i Kelsang znalazły te mniszki. Pewnego dnia Kelsang uważnie słuchała, gdy jedna z dziewczyn opowiadała tę historię, ostrzegając je przed niebezpieczeństwami czyhającymi na drodze. Ale nawet to nie zdołało zmienić decyzji Kelsang.

– Nas to nie spotka – zapewniała Dolmę.

Szczegóły ucieczki były ściśle strzeżoną tajemnicą. Zwykle ludzie po prostu znikali bez słowa. Za górami istniała dochodowa, niezwykle niebezpieczna branża, w której zatrudnienie znajdowali przewodnicy oraz właściciele kryjówek. Podobnie do zachodnich alpinistów, którzy wykorzystywali sieć kontaktów, by zyskać pozwolenia na wspinaczkę, Tybetańczycy, którzy chcieli uciec z kraju, polegali na odrębnej strukturze. Niektóre z tych podziemnych sieci istniały, by czerpać zyski. Inne powstały ze szczerego altruizmu.

Przez wiele miesięcy Kelsang wypytywała każdego znajomego mnicha i mniszkę o nowe grupy opuszczające Tybet. Ci przebywający w zakonach musieli znać kogoś, kto udawał się do Dharamsali po błogosławieństwo z rąk Jego Świątobliwości. Najpierw znalazła grupę, do której mogła dołączyć, ale sama, bez Dolmy. W tajemnicy przed wszystkimi spakowała swoje rzeczy. Ale doszła zaledwie do końca wsi, gdy została przyłapana przez ojca, który nakrzyczał na nią i odesłał do domu. Innym razem kuzynka zaproponowała jej towarzystwo, gdy sama będzie uciekać do Indii. O jej potajemnym wyjeździe kilka tygodni później Kelsang dowiedziała się po fakcie.

Kelsang obsesyjnie myślała o podróży. Jej przyjaciółka, Thinley Wangmo, mniszka modląca się w tym samym klasztorze, naraziła się na kpiny z jej strony, ponieważ dotarła zaledwie do Lhasy, skąd zawróciła, bo się rozchorowała. Siedząc po turecku w klasztorze i modląc się, podała przyjaciółce karteczkę z pytaniem: „Co zrobisz, jeśli nie uda ci się dostać do Indii?”. Oczy Kelsang złośliwie zaśniły.

Pewnego dnia, kiedy Kelsang przekraczała Saluin w drodze do Driru, dowiedziała się od kilku mniszek, że jeden z mnichów organizuje wyprawę. Po kilku dniach poszukiwań dziewczyna odnalazła go w Driru. Z początku mnich nie chciał jej zabrać, tłumacząc, że grupa składająca się ze zbyt wielu osób byłaby narażona na większe niebezpieczeństwo. Kelsang nalegała. W końcu się zgodził. Nie chcąc zdradzić szczegółów, przekazał jej tylko informację o porze wymarszu.

– Lepiej znajdź swoją przyjaciółkę i bądźcie dziś wieczorem w Driru – powiedział. – To jedyna szansa, jaką dostaniecie.

Kelsang nie słyszała ostatniego zdania, ponieważ biegła już, żeby odszukać Dolmę.

Kelsang i Dolma często rozmawiały o ucieczce, wspominając czasem, że powrócą do



Tybetu, gdy ten wyzwoli się spod kontroli Chin. Miały nadzieję uczyć się tybetańskiego w Indiach i spotkać Jego Świątobliwość. Dolma myślała, że może zostanie mniszka, gdy dotrze do Indii. Daleko jej jednak było do gorliwej religijności przyjaciółki.

Kiedy Kelsang powiedziała rodzicom, że chce wyruszyć do Indii zobaczyć Dalajlamę, oni, w trosce o bezpieczeństwo córki, ostro sprzeciwili się jej planom. Jednak, jak to miała w zwyczaju, Kelsang bezustannie suszyła im o to głowę. Przypomniała, że sześć tygodni wcześniej z Juchen wyszły dwie mniszki. Kiedy bezpiecznie dotarły do Indii, oddalonych w linii prostej o ponad 600 kilometrów, zadzwoniły, żeby donieść o swoim sukcesie. Podekscytowani wieśniacy zebrali się wokół telefonu, żeby wysłuchać zachwyconych mniszek opowiadających o swoim spotkaniu z Jego Świątobliwością. W końcu rodzice Kelsang nieco złagodźli swoje stanowisko względem planów córki.

W powietrzu wisiał zapach świeżo ściętego jęczmienia.

– Dziś wieczorem musimy wyruszyć! – naciskała Kelsang wpatrując się w twarz przyjaciółki i czekając na odpowiedź.

– Dobrze – zgodziła się i uśmiechnęła Dolma.

Miały niewiele czasu. Trzeba było zdobyć pieniądze, ubranie i jedzenie.

Kiedy dotarły do domu Dolmy, jej brat Rinzin malował zewnętrzne ściany budynku. W klasztorze nie mógł znieść presji ze strony Chińczyków. Niechętnie powrócił do życia świeckiego. Nyima była za domem, gdzie zajmowała się grządkami. Gdy pojawiły się dziewczęta, w rękach trzymała pęczki świeżych rzodkiewek. Stały przed nią ramie przy ramieniu.

– Mówcie – zachęciła je Nyima. – O co chodzi?

Kelsang szturchnęła Dolmę, która powoli uniosła głowę.

– Wyruszam do Indii – powiedziała Dolma.

Nyima pozwoliła, by jej słowa zawisły między nimi w powietrzu. Podejrzewała, że pewnego dnia córka ją o to poprosi.

– Sama zdecydowałaś? – zapytała łagodnie Nyima. – Jeśli podjęłaś tę decyzję tylko dlatego, że inni uciekają, nie zgodzę się na twoje odejście – mówiła jednym tchem. Dolma stała sztywno i patrzyła na matkę. – Jeśli podjęłaś tę decyzję sama i jest to naprawdę twój wybór, możesz to zrobić – uspokoiła ją Nyima. Zanim udzieliła ostatecznego błogosławieństwa, powiedziała, że musi mieć zgodę *geshe*.

Rinzin przestał malować i podejrzliwie zerkał na to, co dzieje się za domem, wyczuwał, że chodzi o coś ważnego. Nyima kazała mu wracać do pracy, kiedy zapytał, co wpadło jego siostrze do głowy. Posłała Dolmie porozumiewawcze spojrzenie.

Dziewczyny miały mało czasu. Było południe i wszyscy, którzy udawali się do Driru,

już wyjechali. Ojciec Kelsang był nadal w domu. W ubiegłym tygodniu nieco przychylniej wyrażał się o planach córki. Powoli zaczęło do niego docierać, że Kelsang nie zrezygnuje z marzenia zdobycia religijnego wykształcenia w Indiach. Zgodził się zabrać obie przyjaciółki do *geshe*. Cała trójka wsiadła na jego czerwony motocykl yamaha, którym pomknęli do Driru.

W mieście dziewczyny musiały potwierdzić miejsce w grupie, ale nie mogły otwarcie mówić o Indiach. Biegały wokół rynku poszukując mnicha. Wreszcie zauważyły tego mocno zbudowanego mężczyznę przy jednym ze straganów. Kelsang chciała go zapytać o Indie, ale zawahała się. Postanowiły iść za nim, trzymając się w bezpiecznej odległości, dopóki nie będą mogli bezpiecznie porozmawiać.

Gdy tak czekały na stosowną chwilę, natknęły się na dalekiego krewnego Kelsang, również mnicha, z którym dziewczyna nie utrzymywała jednak żadnych bliższych kontaktów. Kelsang poprosiła go, żeby się dowiedział, czy ten drugi mnich wybiera się do Indii. Gdy wrócił, pokręcił głową.

Kelsang i Dolma poszły do herbaciarni, usiadły i milczały.

– Zapytajmy *geshe*! – zakrzyknęła z determinacją Kelsang. Nadal się nie poddawała.  
– Będzie wiedział, czy jest nam dane wyruszyć, czy nie. A jeśli tak, to pójdziemy.

Pospiesznie udały się do klasztoru Choeling. Latem *geshe*, który udzielił Kelsang święceń, wycofywał się z życia publicznego, zamykał na kilka miesięcy i pogrążał w medytacji, przyjmując niewielkie ilości jedzenia. Do klasztoru wrócił dopiero miesiąc wcześniej. Luźna skóra wisiała mu na rękach, miał zapadniętą twarz. Kelsang zaczęła paplać o planowanej podróży. *Geshe* zamknął oczy i kołysał się w przód i w tył przez minutę lub dwie. Kazał dziewczynom zaintonować pieśń. Zza łóżka wyjął zdobione, drewniane pudełko. Wyciągnął z niego dwa jasnoczerwone, jedwabne, ochronne sznurki związane na środku w węzeł.

– Musicie być ostrożne – ostrzegł je trzeźwo. – Noście te sznurki, żeby się chronić. Śpiewajcie *Vajra Guru* [buddyjską mantrę] ilekroć znajdziecie się w niebezpieczeństwie.

Gestem pokazał, że mają podejść bliżej i dotknąć sznurkami ich czoł, po czym włożył je w ich dłonie.

– Możecie wziąć w tym udział – powiedział. – To odpowiednia pora. Będziecie bezpieczne.

Dziewczyny wstały, ukłoniły się i wyszły. Dolma po raz ostatni obejrzała się przez ramię. *Geshe* usiadł na podwiniętych, wychudzonych nogach i z na wpół przymkniętymi powiekami pogrążył się w medytacji.

Dziewczyny zapytały kilku mnichów, kto jeszcze mógłby wybierać się do Indii. Był



wśród nich jeden, który zdawał się wiedzieć więcej, niż chciał wyjawiać. Pemę, niskiego, życzliwego mnicha zawsze otaczał wianuszek ludzi. W ich obecności dziewczyny nie mogły poruszyć tak delikatnej kwestii. Nie miały nic innego do roboty, więc, ukrywając niepokój, rozkoszowały się promieniami słońca. Gdy czekały na rozejście się tłumu, przybył Tsedup. Kelsang pokazała mu Pemę i wyjaśniła, dlaczego czekają na rozmowę z nim. Jej ojciec skinął głową, zdecydowanym krokiem podszedł do mnicha i odciągnął go na bok. Po pięciu minutach wrócił do nich.

– Zawarliśmy umowę – powiedział. – Ktoś po was przyjdzie. – Tsedup upewnił się, że wyruszą o północy i że za domem Dolmy będą czekać dwa jeepy.

Podszedł do nich Pema.

– Gdy będziecie wychodzić, nie możecie zabrać ze sobą zbyt wielu rzeczy i nie wolno wam zakładać na siebie ubrań, które mogłoby zdradzić, dokąd się wybieracie – wysyczał w stronę Kelsang. – Nie płaczcie, kiedy będziecie żegnać się z rodziną. – Gdyby ktoś ciekawski zobaczył łzawe pożegnanie, od razu wiedziałby, co oznacza.

Kiedy Dolma wróciła do domu z błogosławieństwem *geshe*, Nyima wyruszyła rowerem, aby odzyskać długi od wierzycieli. Dolma poszła pożegnać się ze swoim dziadkiem i ciotką, a oni dali jej swoje zdjęcia, żeby dostarczyła je mieszkającym w Indiach krewnym. Dziadek wsadził jej do ręki 800 juanów (120 dolarów).

– Bądź ostrożna – ostrzegł ją, tuląc do siebie na pożegnanie.

Dolma wróciła do domu, gdzie jej mama liczyła rozłożone na kuchennym stole pieniądze. Miała gruby plik banknotów, w sumie jakieś 15 000 juanów (ok. 2000 dolarów). Wręczyła Dolmie 12 000. W rolniczej części Tybetu była to równowartość kilku lat pracy.

W domu obok matka Kelsang usilnie starała się utrzymać na wodzy emocje. Jakoś poradziła sobie ze święceniami córki i jej religijnością, ale sama myśl o niebezpiecznej ucieczce przez nieprzyjazne tereny była nie do zniesienia. Tsedup wyjął z kieszeni 800 juanów, które wetknął w dłoń córki.

Obie rodziny wyszły na zewnątrz. Była północ, przeraźliwie zimno. Wszyscy nerwowo spoglądali na drogę, rozglądając się za chińskimi funkcjonariuszami. Dziewczyny ubrały się w zwykłe stroje, ale miały na sobie kilka warstw. Obie założyły solidne, wysokie czarne buty i brązowe kurtki produkcji chińskiej. Miały jedną wspólną torbę.

Powoli zbliżyli się do dwóch stojących na jałowym biegu jeepów. Dolma szła kilka kroków za matką, emocje rozpierały ją od środka.

Pema stał obok jednego z brudnych samochodów. Obok niego Rinzin. Nieporadnie otarł dłoń o spodnie, gdy ujrzał siostrę. Powiedział jej, żeby była ostrożna.

– Wspomnij mnie, gdy staniesz przed obliczem Jego Świątobliwości – poprosił. Dolma

tylko przytaknęła.

W sumie było tam dziesięć osób uciekających z Juchen i pobliskich wsi. Wśród nich pięciu zdenerwowanych młodych ludzi, głównie dwudziestolatków. Dolma знаła kilku. Był tam Dorje, dwudziestosiedmiolatek, który nauczał tańców tybetańskich, i Palden, nomada, który planował wrócić do domu po spotkaniu z Dalajlamą. Był też Nuba, który wybierał się do klasztoru Sera<sup>[17]</sup> w południowych Indiach, żeby kontynuować swoje studia religijne.

Dolma widziała, jak oczy matki wypełniają się łzami. Postawny ojciec Kelsang próbował ukryć targające nim emocje.

– Szybko – poganiał ich Pema.

Gdy Kelsang i Dolma weszły do jeepa, zobaczyły trzy ciche mniszki siedzące na tylnym siedzeniu. Były to Thinley Wangmo, wysoka, wiotka dwudziestolatka, która już raz próbowała uciec, ale zawróciła; Lobsang Samten, drobnej budowy mniszka, która wstąpiła do klasztoru, żeby uniknąć aranżowanego małżeństwa, oraz Tenzin Choetso.

Krewni dziewcząt zbili się w jedną grupę, ale nie machali, gdy jeepy wyjechały na drogę. Przez brudne szyby Dolma próbowała uchwycić ostatnie spojrzenie matki. Ale wszystko pochłonęła ciemność. Jedyne, co widziała, to czerń.

*Jutro, kiedy wjedziemy do Lhasy, odkryjemy ostatnią tajemnicę Wschodu. Nie ma więcej zakazanych miast, które nie zostały opisane na mapach ani sfotografowane. Nasze dzieci będą się śmiać z naszych opowieści z podróży. Im będzie musiał wystarczyć Guliwer i Harun ar-Raszid. I wkrótce się nimi znudzą. Ponieważ teraz nie ma już prawdziwych tajemnic, nie ma nieodkrytych lądów, gdzie wciąż mogą żyć dżiny w butelkach i mahatmani, więc tego rodzaju literatura przestanie być interesująca. Dzieci zrobią się sceptyczne, pozbawione wyobraźni i rozczarowane, baśnie przestaną się sprzedawać. Ale my jesteśmy dziećmi. Dlaczegoż by nie zostawić co najmniej jednego zakazanego miasta?*

Edmund Candler, *The Unveiling of Lhasa*

# Zakazane królestwo

Luis Benitez rozsiadał się w wygodnym fotelu Airbusa 319 linii Air China, a stewardesa w wykrochmalonym uniformie podała mu schłodzoną colę. Pod nimi pojawiły się pierwsze zaśnieżone szczyty Himalajów.

Alpiniści nazywają to „ucieczką za milion dolarów”. Z zakurzonego, chaotycznego Katmandu do Lhasy, Zakazanego Miasta na skraju Wyżyny Tybetańskiej, leciało się godzinę ponad pasmem Himalajów.

Benitez spokojnie patrzył na pofałdowane morze himalajskich szczytów. Tam była Czo Oju, Turkusowa Bogini. Obok dostrzegł wschodnią ścianę Everestu. Przecinała tor lotu odrzutowca bardziej bezczelnie i butnie niż kiedykolwiek wcześniej.

W XIX wieku odkrywcy ścigali się ze sobą na biegunie północnym i południowym. Uważano, że w pewnym sensie Tybet jest trzecim biegunem. Stał się elementem rozgrywki, wielkiej gry, pomiędzy światowymi supermocarstwami – Wielką Brytanią i Rosją – walczącymi o terytoria w Azji Centralnej. Po skolonizowaniu Indii, Imperium Brytyjskie rozszerzało się na północ, a carska Rosja na południe. Pomiedzy nimi leżały kilometry niezbadanych gór i pustyń.

Starożytne trasy handlowe Jedwabnego Szlaku, łączące Europę z Azją, przechodziły przez Tybet. Przez jałowe przełęcze górskie, przecinające przerażające góry Ałtyn-Tag na północnym krańcu Tybetu oraz piaszczystą pustynię Takla Makan (teraz w Autonomicznym Regionie Singciang), podążali kupcy w długich karawanach obciążonych jedwabiem, przyprawami i złotem. Jeśli przeżyli, szli dalej przez Hindukusz do Afganistanu, Iranu i Europy. Góry Kulun w północnym Tybecie miały tak złą sławę, że unikali ich nawet złoczyńcy.

Najbardziej kuszące w wielkiej grze było odkrycie baśniowej, górskiej teokracji w Tybecie, „brakującym pionku na imperialnej szachownicy”. Dla wiktoriańskich

odkrywców był krainą mityczną. Dość wcześnie, bo w 1802 roku, Brytyjczycy podjęli się rozrysowania mapy Indii i Azji Centralnej w ramach projektu mierniczego Great Trigonometric Survey. W 1852 roku ustalono, że Mount Everest jest najwyższą górą świata. Nieposiadający specjalistycznych instrumentów Tybetańczycy wiedzieli, że góra dominuje nad innymi. Nazwali ją Czomolungma, czyli bogini matka świata.

Ci, którzy pragnęli odkryć, co znajduje się za Everestem, rzadko powracali z wyprawy. Trudny teren i klimat wraz z plemionami i rozbójnikami, którzy objęli we władanie górskie przełęcze w Afganistanie, Pakistanie i Tybecie, szybko pozbawiali ich życia. Andrew Dagleish, szkocki podróżnik i kupiec, pracujący w Centralnoazjatyckiej Kompanii Handlowej, próbował nanieść na mapę niezamieszkane tereny północnego Tybetu pod koniec lat 80. XIX wieku, lecz został zabity przez rozżłoszczonego Afgańczyka na przełęczy Karakorum, leżącej między Chinami i współczesnym Pakistanem. W powieści *Kim* Rudyarda Kiplinga, opowiadającej o chłopcu, który zaprzyjaźnia się z lamą na ścieżce do oświecenia podczas wielkiej gry, agent E-23 mówi do głównego bohatera: „My, gracze, wyjęci jesteśmy spod wszelkiej opieki. Jak ktoś z nas kipnie, to kipnie. Wymażą z książki nasze nazwisko... i kwita”.

Wielu pociągał Tybet będący dla nich wyzwaniem i wielką niewiadomą. Zdawał się mieć erotyczny posmak. W angielskim magazynie „The Spectator” opisywano Tybet jako „kobięcy apartament”. Pewien Brytyjczyk porównał go do „współczesnej Brunhildy śpiącej na szczycie góry”. Mnóstwo książek o tytułach takich jak *Lhasa i jej tajemnice* albo *Tajemniczy Tybet* zyskiwało status bestsellerów. Według członka parlamentu, sir Henry’ego Cottona, „czar Zakazanego Miasta był nie do odparcia” dla wielu młodych oficerów stacjonujących w Indiach w 1903 roku.

Na początku XX wieku europejscy i rosyjscy odkrywcy zaczęli się przebierać, żeby dotrzeć do Lhasy. Legendarny szwedzki badacz Sven Hedin, w przebraniu lamy, ze skórą przyciemnioną tłuszczem i sadzą, został zatrzymany przez tybetańską milicję w okolicach jeziora Tengri Nor, znajdującego się o pięć dni drogi od Lhasy. Trzynasty Dalajlama wydał obowiązujący milicję nakaz, by powstrzymać wszystkich przybyszów od wkroczenia do „królestwa świętych ksiąg”. Hedin później zapałał sympatią do ruchu nazistowskiego oraz Mao Zedonga, co wpłynęło na pamięć o jego niezwyklej spuściźnie odkrywcy. Jednakże Tybet go pokonał. Każda jego próba dotarcia do Lhasy została udaremniowana przez Tybetańczyków, którzy unikali kontaktu ze światem zewnętrznym.

W końcu brytyjscy oficerowie wpadli na pomysł, żeby dostać się do Tybetu wraz z doskonale wyszkolonymi indyjskimi szpiegami, sprawnie posługującymi się sekstansami, kompasami i wiedzą astronomiczną. Pundyci, bo tak ich nazywano,

zawsze stawiali kroki o długości 33 cali, niezależnie od nawierzchni czy nachylenia terenu. Odmierzając kroki z taką dokładnością, mogli obliczyć odległość pół mili na zaadaptowanych do tego celu różańcach z setką koralików.

Nain Singh, nauczyciel z himalajskiej wioski, zanim dotarł do Lhasy, wielokrotnie zmieniał przebrania, stawiał czoło zbójnikom, przechodził przez wysoko położone przełęcze oraz wywodził w pole wysoko postawionych Tybetańczyków. Określił położenie geograficzne miasta na 29 stopniu i 41 minutach, co okazało się zdumiewająco dokładne (obecnie Google Earth podaje położenie 29°39N 91°07E). Kiedy wkroczył do osławionego miasta na dachu świata, z zaskoczeniem odkrył, że znajduje się w przedsionku piekła.

W międzyczasie zginęło wielu ludzi. Sarat Chandra Das dostał się do Tybetu w 1879 i 1881 roku, gdzie pozyskał dla swoich angielskich szefów tajne informacje dotyczące polityki i wojska. Kiedy Tybetańczycy dowiedzieli się, że Dasowi pomógł Sengchen, będący lamą z Xigazê i sekretarzem generalnym, natychmiast został zdenuncjowany jako zdrajca i publicznie wychłostany. Jego sługom obcięto dłonie i stopy oraz wyłupiono oczy, a rodzinę dożywotnio uwięziono. Po karze chłosty lama został zaszyty żywcem w worku ze skóry jaka i wrzucony do rzeki Tsangpo.

Angielskim szpiegom udało się nanieść na mapy milion mil terytoriów w obrębie Tybetu. Sfrustrowani tym, że nie mogą podbić kraju, Brytyjczycy w końcu postanowili zaatakować. Sir Francis Younghusband był brytyjskim oficerem, który niegdyś przeszedł przez pustynię Gobi, a potem przez potężną przełęcz na górze Muztagata; na wysokości 5700 m n.p.m. znajdowała się granica pomiędzy Indiami i Chinami. W jednej z najbardziej niesamowitych prób z początków himalaizmu wykorzystał cugle powiązane ze zwojami turbanów zamiast lin oraz ciężki kilof. Był właściwym człowiekiem do tego zadania. Wyruszył na czele ogromnej karawany składającej się z 1100 żołnierzy, 10 000 tragarzy, tysiący zwierząt jucznych oraz dwóch dziesięciofuntowych armatek zwanych Bubble i Squeak. Younghusband zabrał tyle ubrań, że wypełniły 29 pojemników. 88 tragarzy zmarło na skutek odmrożeń i wyczerpania podczas wspinaczki na wyżynę.

W dolinie w okolicach Tuna, 120 kilometrów na południe od Gyangzê, Tybetańczycy przekonali się, że otrzymane od Dalajlamy skrawki papieru, noszone przez nich w zawieszonych na szyi pudełkach-talizmanach, nie ochronią ich przed 1400 pociskami z karabinów maszynowych, 50 szrapnelami i 14 351 kulami karabinowymi, które były na wyposażeniu atakującej armii pod dowództwem Younghusbanda. W ciągu czterech minut zastrzelono 700 Tybetańczyków. „Zrobiło mi się tak niedobrze na widok tej rzezi, że kazałem wstrzymać ogień, chociaż z rozkazu generała miałem

spowodować jak największe straty”, napisał w liście do domu porucznik Hadow, operator karabinów maszynowych Maxim. „Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał zabijać wycofujących się ludzi”[\[18\]](#).

Pierwszego sierpnia 1904 roku Younghusband triumfalnie wmaszerował do Lhasy przez zachodnią bramę Zakazanego Miasta. Zabiwszy 3000 ludzi Brytyjczyk uważał siebie za wyzwoliciela uciśnionego, zacofanego narodu. Nadał się z dumy, kiedy na ulicach ujrzał Tybetańczyków klaszczących na widok wkraczającej armii. Nie wiedział jednak, że to nie był aplauz, lecz próba odparcia złych duchów. Dalajlama zbiegł do Mongolii.

Tybet oraz lamowie nauczający o miłosierdziu odmienili Younghusbanda. Później porzucił karierę wojskową i został mistykiem religijnym. „Poddałem się emocjom, które czerpałem z tej chwili”, pisał, gdy po raz ostatni opuścił Lhasę. „Ta radość robiła się coraz większa, aż swoją intensywnością przeszła mnie na wskroś. Już nigdy nie będę miał grzesznych myśli ani nie okażę wrogości innemu człowiekowi. Cała natura i cała ludzkość zostały skąpane w różowej poświacie...[T]a jedyna godzina, gdy wyjeżdżałem z Lhasy, była warta całego mojego późniejszego życia”[\[19\]](#). W 1936 został założycielem Parlamentu Religii Świata, organizacji ekumenicznej.

Po podbiciu Tybetu w 1919 roku Younghusband został wybrany na przewodniczącego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i wkrótce, bo już w latach 20., zorganizował pierwszą ekspedycję na Mount Everest. Z Khamba Dzong, dawniej punktu postojowego podczas inwazji na Tybet, kierował pierwszą próbą zdobycia Everestu przez George’a Leigh Mallory’ego.

Chińczycy wykorzystali przykład inwazji Younghusbanda na Tybet w celach propagandowych jako ostrzeżenie przed „zachodnim imperializmem”. Obecnie w forcie na południe od Gyangzê, w pobliżu miejsca masakry, do której doszło z rozkazu Younghusbanda, znajduje się obskurny pomnik – Antybrytyjska Sala Pamięci. Murale przedstawiają brytyjskie okrucieństwo, a puszczany na okrągło film fabularny *Dolina Czerwonej Rzeki* pokazuje Tybetańczyków i Chińczyków przeciwstawiających się przejawom brytyjskiego imperializmu.

Ściganie się kto zdobędzie jaką górę zawsze miało niezbyt klarowne, niepokojące powiązanie z polityką. Pierwsze misje rozpoznawcze na Everest pod kierownictwem Younghusbanda były możliwe dzięki zgodzie wydanej przez Dalajlamę. W zamian sir Charles Bell, pierwszy zaproszony do Lhasy Europejczyk, obiecał Dalajlamie tajny kontyngent broni. Jednak w 1925 roku trzynasty Dalajlama miał dość intruzów z Zachodu i zakazał im wchodzić na Everest przez dekadę.

Wspinacze osiągnęli już biegłość w omijaniu polityki w swoim dążeniu do zdobycia najwyższych punktów na Ziemi. W latach 50. XX wieku sir Edmund Hillary i Tenzin Norgay, z zapałem godnym zdobywców, zachwycili świat swoim wejściem na sam szczyt. W tamtych czasach pokonanie Everestu było tak samo wielkim osiągnięciem, jak dotarcie na Księżyc.

Europejczycy tłumnie rzucili się na Himalaje, by zaznaczyć tam swoją obecność. Niemcy mieli obsesję na punkcie Nanga Parbat, Włosi i Amerykanie chcieli zdobyć K2, a Brytyjczycy Mount Everest. Ardito Desio, któremu udało się wejść na K2, inspirował swoją grupę do dalszego wysiłku, mówiąc: „Cały świat uzna was za orędowników waszej rasy”[\[20\]](#).

Ustaliwszy swoje prawa do Tybetu, Chińczycy sprawowali kontrolę nad wszystkimi zachodnimi ekspedycjami i zwykle zabraniali wstępu w Himalaje od strony północnej. Dzięki coraz lepszym stosunkom ze Związkiem Radzieckim, który podsycił zainteresowanie wspinaczką podczas zimnej wojny, Chińczycy zwrócili się ku tybetańskim szczytom. Pomyślne wejście chińskich wspinaczy umocniłoby ich roszczenia w stosunku do tybetańskiej suwerenności. Z typowo komunistycznym zapałem zbudowali dwustumilową drogę z Lhasy do klasztoru Rongbuk, którą ukończyli w marcu 1959 roku. W tym samym miesiącu w Tybecie wybuchło krwawe powstanie, a Dalajlama musiał uciekać z kraju.

Wiosną 1960 roku Chińczycy wwieźli sześć ton sprzętu oraz tyle namiotów, by pomieścić armię 214 wspinaczy czekających w obozie bazowym pod Everestem, by zdobyć górę. Rozstawili wielkie transparenty z hasłami komunistycznymi, by przypominać robotnikom o ich obowiązkach: „Bohaterowie wznoszą się do nieba głośno śmiejąc się z Czomolungmy, którą mają pod sobą” oraz „Człowiek zatriumfuje nad naturą”. Dla Tybetańczyków te hasła miały świętokradczy charakter, dla zachodnich wspinaczy były równie szokujące. Mówi się, że kiedy grupa chińskich wspinaczy weszła na szczyt 25 maja 1960 roku, zostawiła tam popiersie Przewodniczącego Mao owinięte chińską flagą (jednakże wielu nie daje wiary, że im się udało)[\[21\]](#).

Po tym pierwszym wejściu Chińczyków na szczyt Everestu, władze chińskie nie pozwalały prawie nikomu na dostęp do Himalajów od strony północnego Tybetu. Nie życzyli sobie potencjalnych świadków swojej ofensywy militarnej. Ponadto zimna wojna sprawiała, że zachowywali się bardzo nerwowo.

W międzyczasie w latach 50. Nepal otworzył granice przed wspinaczami. Nepalska monarchia, na czele której stał król Tribhuvan, bała się, że komunistyczne Chiny zamierzają odebrać im niepodległość, więc szukała sojuszników wśród zachodnich



mocarstw. Wpuszczenie do kraju wspinaczy było sposobem na wzmocnienie stosunków dyplomatycznych oraz przynosiło korzyści finansowe.

Im więcej ekip próbowało wspinać się w Himalajach, tym bardziej rozwijała się technika wspinaczki. Lata 60. były erą „superekspedycji” – ekip liczących od 80 do 150 wspinaczy. W latach 70. pojawiła się technika zwana obłęźniczą, zastąpiona wspinaczką w stylu alpejskim, gdzie najważniejsza jest sprawność fizyczna jednostki. Coraz lepsze ubrania i sprzęt pozwoliły himalaistom zrezygnować z niezliczonych tragarzy obciążonych zapasami. Ci należący do elity, jak Reinhold Messner, który w 1978 roku pierwszy wszedł na Everest bez tlenu, używali lekkiego sprzętu, dzięki któremu mogli szybko wchodzić i schodzić.

Prawdopodobnie najlepszy na świecie wspinacz, Messner, traktował wejście na najwyższe szczyty jako wypełnienie swojej wędrówki duchowej. W 2006 roku powiedział magazynowi „National Geographic”: „Jestem pewien, że kluczem do zrozumienia wspinaczki jest powrót. To znaczy, że jeśli jesteś w niedostępnych miejscach, w niebezpiecznych miejscach, jesteś gdzieś... na końcu świata, a potem wracasz, czujesz się tak, jakbyś ponownie dostał szansę. Odradzasz się. I tylko wtedy naprawdę rozumiesz, że życie jest największym darem, jaki mamy”[\[22\]](#).

Pierwsze komercyjne grupy, próbujące zdobyć szczyty Himalajów w latach 80., dały początek erze zamożnych amatorów oraz nowej modzie na sporty ekstremalne. W 1985 roku na Everest wszedł początkujący Dick Bass, bardzo zamożny pięćdziesięcioletniak z Teksasu, który został wprowadzony na sam szczyt. Towarzyszył mu młody, ambitny wspinacz, David Breashears. Ich sukces potwierdził, że płatny przewodnik może nawet „wciągnąć” początkującego klienta. Komercja i egoizm dotarły do Wysokich Himalajów. Rob Buchanan napisał w magazynie „Men’s Journal”: „Poza Edmundem Hillarym i Jonem Krakauerem nie ma chyba nikogo, kto bardziej niż David Breashears przyczyniłby się do tego, żeby z MountEverestu zrobić temat medialny i przyciągnąć doń turystów”[\[23\]](#).

Uwaga świata przeniosła się z cichej szlachetności zdobywców, takich jak sir Edmund Hillary, na osoby w stylu supermana, zdobywające kolejne szczyty. Zawzięta determinacja potrzebna do wejścia na wierzchołki ośmiotysięczników oraz wrodzony narcyzm i wybujały egoizm charakteryzowały wspinaczy i przewodników, którzy swoim blaskiem zaczęli przyćmiewać same góry.

Na początku lat 90. zaczęły ze sobą konkurować liczne komercyjne firmy zabierające chętnych, płacących klientów na himalajskie szczyty. Ponadto coraz więcej niedoświadczonych wspinaczy zaczęło podejmować próby wejścia na góry, takie jak

Everest, co często kończyło się ich śmiercią. Rząd nepalski zrozumiał już, że szczyt może być źródłem dochodów i siedmiokrotnie, czyli do 70 000 dolarów, podwyższył opłatę za pozwolenie dla grupy liczącej maksymalnie siedmioro ludzi oraz po 10 000 za każdego dodatkowego członka.

W maju 1996 roku w bazie pod Everestem tłoczyło się 30 ekspedycji. W większości byli to niedoświadczeni neofici. Manhatańska lwica salonowa, była redaktorka w nowojorskich magazynach modowych, Sandy Hill Pittman, razem ze sprzętem wspinaczkowym kazała szerpom wnieść do obozu ekspres do kawy robiący cappuccino. Teksański pięćdziesięciosześcioletni patolog Beck Weathers nie powiedział liderowi wyprawy z ramienia Adventure Consultants, Robowi Hallowi, że niedawno przeszedł operację oka. W okolicy Przełęczy Południowej, czyli będąc już bardzo wysoko, zupełnie stracił wzrok i dopiero wówczas przyznał, że miał operację i natychmiast musi zejść na dół.

Nie zamocowano jeszcze poręczówek potrzebnych do przebycia najbardziej stromego odcinka, dlatego wszyscy musieli czekać godzinę, aż szerpowie naprawią to niedopatrzenie. 33 wspinaczy utknęło w wąskim gardle w strefie śmierci, wyczerpując swoje zapasy tlenu i walcząc z przeraźliwym mrozem w oczekiwaniu na zbawcze liny. Niektórym udało się dotrzeć na szczyt, ale zaraz rozpoczęli zejście do obozu. Trzy godziny później gwałtowna burza śnieżna uderzyła w południowo-zachodnią ścianę Everestu. Wspinacze znaleźli się w dramatycznej sytuacji, nie widzieli drogi prowadzącej do namiotów w obozie IV, temperatura spadła, zerwał się porywisty wiatr. W takiej śnieżycy nie widzi się nawet własnej wyciągniętej ręki.

Zginął Doug Hansen, amerykański listonosz, który pracował na dwóch etatach, żeby zarobić na swoją wymarzoną wyprawę. Andy Harris próbował wyruszyć po pomoc, ale zniknął gdzieś bez śladu. Hall, nie mogąc trawersować w drodze na dół, ponieważ miał poważnie odmrożone dłonie i stopy, położył się na śniegu. Jego maska tlenowa wypełniła się lodem. O dziewiątej rano połączył się z obozem bazowym i poprosił o przekazanie swoich ostatnich słów żonie Jan, mieszkającej na Nowej Zelandii, która była w ciąży z ich pierwszym dzieckiem. Umarł wkrótce po tej rozmowie.

Łącznie zginęło osiem osób.

Himalajskie wejścia komercyjne zyskały jeszcze większy rozgłos. Ludzie ekscytowali się opowieściami o życiu i śmierci oraz heroicznymi wyczynami na Evereście podczas katastrofy z 1996 roku i zaczęli szturmować agencje oferujące wejście na szczyty z przewodnikiem. Do 2006 roku podwoiła się liczba ekspedycji w Himalaje. W 1996 roku było ich w sumie 188. W 2006 roku już 388.

Obecnie w obozie bazowym pod Everestem dochodzi do częstych przypadków

kradzieży i prostytucji, a góra zyskała niechlubną nazwę najwyżej położonego wysypiska śmieci. W maju 2008 roku podczas jednej tylko akcji usunięto ze stoków tony śmieci. Droga prowadząca z Nepalu do obozu, dawniej porośnięta gętymi krzakami jałowca i inną roślinnością, teraz przypomina pustynię, ponieważ kolejne ekspedycje podsycaly nimi swoje ogniska.

Sir Edmund Hillary nie krył oburzenia:

– Everest, niestety, staje się przede wszystkim celem iście komercyjnym. Jeśli jesteś w dość dobrej kondycji fizycznej i masz 35 000 dolarów, możesz zostać wprowadzony na szczyt świata[24]. – Żachnął się: – Obecnie Everest to bzdura. – Największą niechęć czuje do tych, którzy pragną sławy i chcą „dostać się do gazet”[25].

Adventure Consultants była jedną z kilku firm oferujących wyprawy z przewodnikiem, które konkurowały ze sobą o klientów. Ścisłe powiązania pomiędzy ekipami przewodników, którzy umieją przetrwać w tym nieprzyjaznym klimacie dorobiły się wpadającej w ucho nazwy „braterstwa liny”.

Dwa dni przed wylotem do Lhasy, Benitez siedział w hotelu Tybet w Katmandu czekając na gościa. Pod oknem hotelu, w którym płaci się 35 dolarów za noc, brudne, zakorkowane ulice wypełniały ryksze i skutery oraz parszywe, bezpańskie psy, kradnące jedzenie z przydrożnych stoisk. Na adamaszkowej narzucie na łóżku leżało 5230 dolarów. Dodatkowe 25 000 miał schowane w leżącym pod łóżkiem plecaku. Słyszając pukanie do drzwi Benitez zaciągnął zasłony.

W drzwiach stanął rosły, ogorzały na twarzy człowiek w niebieskiej koszuli w kratę i bojówkach khaki. Pierwsze, co ludzie zauważają w wyglądzie Henry’ego Todda, to jego wielkie dłonie. Benitez zawsze odnosił wrażenie, że wyglądały jak kiście bananów. Mężczyzna podał mu swoją niedźwiedzią łapę.

– Wszystko w porządku? – zapytał pogodnie Todd z silnym brytyjskim akcentem. Sześćdziesięciodziesięcioletni miał 189 cm wzrostu, pomarszczoną twarz, opadające powieki oraz popielate włosy, które nadawały mu szlachetnego wyglądu. Jako wieloletni operator wypraw w Himalaje, który wiele dokonał i wiele przeżył, cieszył się dużym szacunkiem ze strony Beniteza. Przewodnicy czasami mówili swoim szefom, że nie chcą z nim pracować. Jednak Todd znał świat wspinaczki lepiej niż ktokolwiek inny, a poza tym miał różne dojścia.

– Całkiem dobrze – odparł Benitez. – Tu masz pieniądze.

Todd był założycielem Ice 8000, firmy będącej jednym z głównych dystrybutorów ubrań turystycznych oraz największym dostawcą tlenu współpracującym z ekipami wspinającymi się w Himalajach. Pieniądze leżące na łóżku Beniteza miały pokryć

koszt 21 trzykilogramowych butli z tlenem potrzebnych podczas wyprawy.

Benitez robił interesy z Toddem od lat. W Himalajach to normalne, że komercyjni przewodnicy zawiązują przyjaźnie, robią wspólne interesy i oddają sobie przysługi. Dziesięciu wspinaczy mogło skorzystać z jednego pozwolenia za 80 000 dolarów. Zamiast płacić za puste miejsca w grupie, AC i Todd rozdzielali je między siebie w ramach jednego zezwolenia. Tego roku Todd poprosił AC o zdobycie zezwolenia na wejście na Czo Oju. Ice 8000 i AC dzielili się również kosztami za zgodę na użycie telefonów satelitarnych.

W latach 70. Todd był zamieszany w największą operację przeciwko handlarzom LSD, jaką przeprowadziła brytyjska policja. Miał powiązania z Brotherhood of Eternal Love, amerykańską siecią dystrybucji współpracującą z Timothyem Learym i Hell's Angels. Todd, ukrywający się pod wieloma nazwiskami, był europejskim ogniwem Brotherhood. Kiedy w marcu 1978 roku podczas nalotu 15 policjantów wyważyło drzwi jego londyńskiego domu, odkryli tam trzy miliony działek LSD. Według detektywa Dennisa Greenslade „dywany były nasączone taką ilością narkotyku, że zwijający je oficerowie zaczęli odczuwać symptomy takie, jak po zażyciu kwasu”[\[26\]](#). Po trwającym dwa i pół roku śledztwie, zwanym „operacją Julia”, Todda skazano na 13 lat więzienia za udział w „największej na świecie wytwórni kwasu”. Został zwolniony po odsiedzeniu siedmiu i pół roku.

Po wyjściu z więzienia w 1985 Todd zaangażował się w przemysł związany z alpinizmem. Niebezpieczne granice Himalajów, gdzie życie było tanie i spisane na straty, okazały się doskonałym miejscem dla człowieka, który chciał uciec od przeszłości. Katmandu było domem Todda. Założył kilka agencji oferujących najtańsze wyprawy w Himalaje: podniszczone namioty, niewiele jedzenia i innych udogodnień. Nie wprowadzał klientów na szczyt: po prostu zabierał ich w góry, gdzie w dalszą drogę wyruszali sami.

Todd rządził swoim terytorium silną ręką i znany był z wybuchowego charakteru. Złośliwie zaatakował jednego z klientów, dziennikarza Finna-Olafa Jonesa, kiedy ten przedstawił niepochlebny wizerunek Todda na Discovery Channel Website, podczas transmisji, jaką nadał po zdobyciu góry. Todd uderzył Jonesa w głowę i wrzucił go do moreny. Zanim Jones wsiadł do helikoptera, którym odleciał z obozu pod Everestem, poruszał się w towarzystwie szerpów uzbrojonych w czekany.

Wiadomość o napaści przedostała się do mediów i nawet zwykle przekupni Nepalczyki nie mogli tego zignorować. Firma Todda, Himalayan Guides, dostała dwuletni zakaz działania na terenie Nepalu. Ale te restrykcje niewiele zmieniły; Todd prowadził swoje ekspedycje przez radio, instruując wspinaczy stojąc na północnej

stronie Everestu w Tybecie i korzystając z kontaktów z Chińczykami. Wrócił do Nepalu i przemianował swoją firmę na Ice 8000. Człowiek, który kiedyś zaopatrywał pół świata w LSD, teraz wyposażał wspinaczy po nepalskiej stronie Himalajów w butle tlenowe.

Todd przeliczył leżące na łóżku pieniądze i wsunął banknoty do kieszeni marynarki.

– Przyjdiesz później do Toma i Jarry’ego na drinka? – zapytał, kierując się do drzwi.

Gorący, duszny bar w dzielnicy Thamel w Katmandu był ulubionym miejscem spotkań przewodników wypraw.

– Może – odpowiedział Benitez, chociaż dobrze wiedział, że szybko położy się spać.

Todd uściskał mu dłoń i wyszedł.

Ci, którzy zawodowo zajmują się prowadzeniem klientów na szczyty najtrudniejszych gór świata w najcięższych warunkach, jakie występują na Ziemi, trzymają ze sobą, nie dopuszczając do układów nikogo z zewnątrz i pilnując się nawzajem na granicy bezprawia, gdzie rządzi wszechwładny dolar. Benitez zawsze znajdował w Toddzie sprzymierzeńca.

– Mamy tu tylko siebie – przyznawał. – W pewnym sensie to jest krzepiące, że taki człowiek zabezpiecza ci tyły. Jeśli ktoś wyświadczy ci przysługę, jesteś jego dłużnikiem – wyjaśniał potem. – Prowadziliśmy z Henrym Toddem różne interesy, był pośrednikiem, zawsze był i będzie. Jeśli chciałeś kupić towar, on mógł go sprowadzić. Po prostu nigdy nie pytałeś, skąd go ma i jak go zdobył.

*Co się stanie, jeśli Chiny naprawdę się przebudzą,  
wybudują kolej łączącą Szanghaj z Lhasą  
i zaczną kontrolować swoje fabryki broni i arsenaty?*

Rudyard Kipling

# Lhasa

Dwa jeepy pojawiły się na wąskim, stalowym moście przecinającym rzekę Saluin. W kanionie pod nimi echem odbijał się ogłuszający metaliczny odgłos. Była chłodna wrześnie noc. W miarę oddalania się od Juchen, nastroje w ciasnym wnętrzu pojazdu zmieniały się od smutku do zdenerwowania. Na przedzie obok Pemy siedziały Tenzin Choetso i drobniutka Lobsang Samten. Z tyłu Kelsang usiadła pomiędzy Dolmą i Thinley Wagmo, która przycisnęła się do drzwi.

Jeepy z trudem pokonywały wyboisty szlak z piaskowca oraz drogi ciągnące się na stokach głębokich, stromych wąwozów. Szosa położona na wysokości 5000 m n.p.m. była zdradliwa. Gdy tak jechali raz w górę, raz w dół po krętej górskiej trasie, Kelsang kręciło się w głowie i buntował się jej żołądek.

Zatopiona w myślach Dolma wyglądała przez szybę i pogrążała się w coraz większym smutku. Próbowwała drzemać, ale przed oczami stawały jej wspomnienia rodziny. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczy matkę. Przez cały czas nie dawały jej spokoju obrazy pożegnania: matka usilnie starająca się powstrzymać napływające do oczu łzy. I ostatnie spojrzenie na siostrę, Kyizom, która spała w domu.auta podążały na zachód, a ona rozmyślała o swoim planie. Czy zostanie złapana? Czy trafi do więzienia? Będzie torturowana i przesłuchiwana?

Świt wydobył z ciemności kilka przydrożnych osad składających się z glinianych domków. W rogu każdej budowli powiewała chińska flaga, zawieszona na rozkaz lokalnego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego grożącemu karą tym właścicielom posesji, którzy nie wywieszą flagi. W pobliżu przemysłowego miasta Nagchu nawierzchnia zmieniła się z polnej w prostą, asfaltową szosę.

Przy drodze przed Nagchu był punkt kontrolny, zlokalizowany w opuszczonej chacie nomadów zarekwirowanej przez policję. Od tego miejsca podróż będzie stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Miasto przekształcono w bazę wojskową, transportową



i logistyczną i obecnie w wielkich garnizonach stacjonowały tysiące żołnierzy.

– Jeśli nas zatrzymają, powiedzcie, że jedziemy na pielgrzymkę do Lhasy – poinstruował Pema. Dziewczyny przytaknęły nerwowo. Zniknięcie dużej grupy ludzi pochodzących z Juchen może również zostać zauważone przez władze lokalne. Jeep zwolnił, gdy oficer UBP kazał im się zatrzymać.

Dolma i Kelsang udawały, że śpią, ale spojrzały na funkcjonariusza spod przymkniętych powiek. Chociaż nie widziały jego twarzy, zauważyły naoliwiony karabin, który miał przewieszony przez pierś. Dziewczyny powtykały całe garście banknotów pod podszewkę płaszczy. Resztę, grubą plik, który miały wydać na opłacenie nielegalnych przewodników w Lhasie, leżał na kolanach Dolmy. Pieniądże, jedzenie i zdjęcia znajdowały się w torbach, co byłoby jasnym sygnałem, że zamierzają uciec, gdyby ktoś je przeszukał. Dolma mocno objęła swój bagaż.

Policjant spojrzał znudzonym wzrokiem na prawo jazdy kierowcy i machnął, że mają jechać dalej. Tego rodzaju kontrole były normalne w Tybecie. Jednak bliskie spotkanie z umundurowanym Chińczykiem sprawiło, że dziewczyny się wystraszyły.

W Nagchu mieszka 100 000 niezarejestrowanych emigrantów, a po bokach szerokich dróg stoją chińskie restauracje prowadzone przez byłych żołnierzy. Znajdujące się na wysokości 4526 m n.p.m. miasto jest całkowicie pozbawione drzew. Jedno z najwyższych położonych, najzimniejszych i smaganych wiatrem osad w Tybecie przez cały rok ma podobną temperaturę. Wydobywa się tam miedź i złoto (warte według niektórych szacunków aż 722 miliardy dolarów), więc miasto wypełniają ciężarówki załadowane urobkiem.

Jeepy wjechały na ponurą stację benzynową na zachodnim krańcu miasta, ale było tam zbyt wielu żołnierzy i policji, więc nie chcąc ryzykować, nie zatrzymały się, żeby zatankować. Gdy zrobiło się jasno, dziewczyny zobaczyły nomadów na stepach. Kłęby dymu buchały z rur odprowadzających, zainstalowanych w brązowych namiotach ze skór jaków. W oddali, pod nisko wiszącymi kobaltowymi chmurami, wznosiło się pasmo gór.

Częścią kosztującej miliard dolarów i zapoczątkowanej w 1999 roku strategii rozwoju zachodu (lub wielkiego skoku zachodu) mającej na celu „pozbycie się zacofania” oraz eksploatację i uprawę zaniedbanych zachodnich regionów Chin, była podjęta już w 2000 roku próba osiedlenia tybetańskich koczowników w ponurych komunistycznych osiedlach mieszkaniowych. Ich celem było, jak ujął to przedstawiciel władz, „położenie kresu wędrownemu stylowi życia wszystkich pasterzy do końca wieku”<sup>[27]</sup>.

Do 2005 roku w Quinghai (regionie w północno-wschodnim Tybecie, na który składa



się głównie historyczna ziemia Amdo), 89% (około 100 000) nomadów zostało usuniętych z zajmowanych ziem. Chiny sprawują obecnie kontrolę administracyjną nad obszarami (i zasobami naturalnymi) wcześniej zarządzanymi przez koczowników. Buduje się na nich drogi, linie kolejowe, hydroelektrownie, kopalnie i garnizony wojska, natomiast nomadzi zostali wtłoczeni do obskurnych bloków komunalnych, zwanych „nowymi wsiami socjalistycznymi”. Pozbawieni swoich obyczajów i prawa do przemierzania ziem, społeczności nomadów niszczone są przez alkoholizm i bezrobocie.

W oddali dziewczyny zobaczyły szybko przesuwający się ciemnozielony pasek. W miejscu, gdzie patrzyły, nad wyżyną wznosiły się ogromne, szare, betonowo-stalowe łuki flagowego osiągnięcia Chińczyków – najwyższej na świecie linii kolejowej – wartego 4,3 miliarda dolarów Sky Train. Linia o długości 4064 kilometrów łączy Pekin z Lhasą. Mniej więcej co milę zmęczeni żołnierze w oliwkowych mundurach stacjonują przy torach, chroniąc je przed atakami. Chińczycy obawiali się, że Tybetańczycy będą próbowali je wysadzić. Sky Train jest postrzegany przez Tybetańczyków jako „druga inwazja komunistyczna”. Unaocznia fakt, iż Chiny są w stanie narzucić swoją wolę i dostosować do swoich potrzeb nieprzyjazne ziemie Tybetu. Zrównano z ziemią setki tybetańskich domów, żeby przygotować teren pod linię kolejową. W najlepszym przypadku ich właściciele dostawali 100 dolarów rekompensaty za ziemię, którą rodziny zajmowały od pokoleń.

Pociągami przywieziono do Tybetu ciężki sprzęt wojskowy, czołgi i pociski, żeby ufortyfikować region będący chińskim bastionem przeciwko Zachodowi i Indiom. Wyżyna daje możliwość użycia pocisków nuklearnych średniego i dalekiego zasięgu. W 2008 roku zachodni analitycy wskazali w Tsaidam, w północnej części Quinghai, 60 wyrzutni raketowych dla pocisków nuklearnych typu DF-21, znajdujących się w odległości 160 kilometrów od krańcowego punktu linii kolejowej w Golmud i połączonych z nim szybką, nową drogą<sup>[28]</sup>.

Do pracy przy budowie linii kolejowej przywieziono tysiące chińskich robotników. W pobliżu wąwozu Yanhpachen, gdzie wyrastało szerokie, trzykilometrowe wzgórze, inżynierowie uświadomili sobie, że nie będą w stanie przetransportować na wyżynę ogromnych niemieckich maszyn do kopania tuneli. Wobec tego wykorzystali robotników, którzy za pomocą kilofów i dynamitu przekopali się przez górę. Mimo dumnej deklaracji rządu chińskiego, że żaden robotnik nie stracił życia podczas realizacji projektu, Tybetańczycy często widywali chińskich funkcjonariuszy zakopujących ciała. Prace pochłonęły dwa lata oraz nieznaną liczbę istnień ludzkich.

Linia kolejowa umożliwiła chińskim kolonistom dotarcie do Tybetu i pomogła spełnić

kolonizacyjną wizję Mao. Częścią strategii rozwoju zachodu było ekonomiczne, nie militarne, podbicie Tybetu. Kolej wymusiła na Tybecie modernizację i asymilację.

Partia Komunistyczna rozpowszechnia romantyczny wizerunek Tybetu jako odpowiedniego miejsca dla osadników, co jest częścią polityki „zjednoczonych Chin”. W rzeczywistości większość Chińczyków nic nie wie o tajemniczej krainie na zachodzie, która stanowi większość ich kraju. Informacje o Tybecie podlegają ścisłej kontroli w sieci. Chińczycy karmieni są propagandą o „szakalu” Dalajlamie. W międzyczasie reklamuje im się Tybet jako ziemię obiecaną, położoną z dala od trujących chińskich miast (w Chinach leży 16 z 20 najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie, gdzie według szacunków Banku Światowego każdego roku na skutek chorób związanych ze skażeniem przedwcześnie umiera ok. 750 000 osób). Pensje w Tybecie bywają dwa razy wyższe niż w pozostałych częściach Chin<sup>[29]</sup>. Poza tym władze oferują zachętę finansową oraz ulgi podatkowe dla tych Chińczyków Han, którzy zdecydują się na przeprowadzkę. Kiedy przybywają, są traktowani na specjalnych warunkach w pracy i szkołach.

Patrząc na tory, Dolma zwróciła się do Kelsang:

– Pamiętasz jak Kalsang Shagya się złościł, gdy dowiedział się o kolei? – zapytała.

Kalsang Shagya był zagorzałym nacionalistą i mnichem z Driru. Z tyłu swojego samochodu woził flagę przedstawiającą legendę Syna Śnieżnych Gór, będącą elementem tybetańskiej tożsamości. Ta odważna deklaracja przysparzała mu wielu kłopotów. Kiedy podczas inauguracyjnego przejazdu pociąg jechał przez Nagchu, Kalsang chciał spalić publicznie chińską flagę. Władze nie spuszczały go z oka. Na rynku postawiono ogromny billboard, obwieszczający „wspaniałe” otwarcie linii kolejowej. Pewnej nocy Kalsang potajemnie pochłapał plakat farbą. Uciekł, kiedy w jego celi w klasztorze UBP znalazło kasety z nagraniami nauk Dalajlamy. Szybko odnotowano jego nieobecność w Juchen i wzmożono kontrolę w miasteczku.

Jeepy zatrzymały się w Damshung, mieście oddalonym 90 kilometrów w linii prostej na północ od Lhasy. Tak duża grupa wiele ryzykowała, ale musieli coś zjeść. Ruszyli zaraz po prostym posiłku w przydrożnej restauracji.

Późnym popołudniem przybyli na zachodnie przedmieścia Lhasy. Przejechali przez dzielnice nowych apartamentowców, które powstały tam, gdzie buldożerami zrównano z ziemią całe tybetańskie wsie. W miejscu walących się tybetańskich chat biegły teraz brukowane, idealnie proste drogi wysadzone po bokach zadbanymi klombami kwiatowymi, prowadzące przez bezimienne chińskie przedmieścia. Nie było widać żadnych mieszkańców ani ukończonych budynków, tylko perfekcyjną miejską drogę

biegnącą przez pola. Wszystko jakby czekało na przybycie nowych kolonistów z Chin.

Niegdyś zakazane Święte Miasto – żeby je zobaczyć podróżnicy ryzykowali życiem – szybko stawało się wielką metropolią. Tempo zmian dyktowanych przez chiński rząd było niewyobrażalne; postęp dokonywał się przy ciągłym hałasie wiertel drogowych i jeżdżących śmieciarek.

Bliżej centrum miasta, na trzech wznoszących się w górę betonowych fabrycznych silosach, wisiały reklamy telefonów komórkowych Motorola Razr, frywolnej bielizny i Budweisera. Kelsang nigdy wcześniej nie widziała różowych i błękitnych neonów. SUV-y i sedany ze świstem zatrzymywały się przy portierach w liberiach, stojących przed pachnącym hotelem Jardin Secret, jednym z licznych nowych, luksusowych hoteli w mieście. Przejechali obok wejścia do XZTV, stacji telewizyjnej, która przez 24 godziny na dobę nadawała komunistyczną propagandę, w tym opery mydlane, pokazujące w przychylnym świetle lekarzy Wujing, leczących dozgonnie wdzięcznych im Tybetańczyków.

Gdy jechali przez miasto, Dolma i Kelsang przelotnie ujrzały błyszczący dach byłej siedziby Dalajlamy, Pałacu Potala.

– Spójrz – wykrzyknęła Kelsang. – Jest tam!

Wcześniej widziała go tylko na zdjęciach. W dużym pokoju w jej domu wisiała inspirująca ilustracja przedstawiająca święty pałac w otoczeniu puchatych obłoków.

W Lhasie, gdzie wiele pozornie niezależnych biznesów miało powiązania z UBP, niebezpiecznie było zatrzymywać się w herbaciarni czy hotelu. Zamiast tego grupa skierowała się do pierwszego postoju na nielegalnej trasie kryjówek, prowadzonych przez osoby pomagające uciekinierom wydostać się z Tybetu. Gdy mijali zajmujące duży obszar pole, Dolma i Kelsang przyglądały się skazańcom rozłupującym skały.

Kierowcy zaparkowali jeepy w głębi opuszczonej uliczki, na której stały niskie, dwupiętrowe domy z wapienia. Zanim dotarli do wiadomego domu, szli pieszo przez 20 minut i minęli niewielki plac. Przed budynkiem siedziała para staruszków. Pema zamienił z nimi kilka słów i skinął na resztę grupy. Mężczyzna po sześćdziesiątce był wysoki i łysy, miał mocno pomarszczoną twarz. W środku zaprowadzono ich do obszernego pokoju, przypominającego dormitorium. Powitało ich osiem nowych twarzy, wśród nich dwie mniszki, które, jak później dowiedziały się Dolma i Kelsang, zostały już wcześniej przyłapane na ucieczce i strzelano do nich.

Kiedy grupa zrzuciła swoje bagaże na łóżka, gospodarze kryjówki pojawili się z termosem herbaty z masłem jaka. Herbata sprawiła, że Dolmę przestała boleć głowa. Kiedy wychodzili, żeby kupić sobie coś do jedzenia, Pema ostrzegł ich, że mają być ostrożni, nie chodzić w grupach większych niż trzyosobowe i z nikim nie

rozmawiać.

Dolma, Kelsang i Tenzin Choetso wyszły z kryjówki. Ponieważ w okolicy nie było żadnych restauracji, musiały iść przez godzinę zanim natknęły się na chińskiego ulicznego sprzedawcę. Zachwalał *lianfang*, popularną przekąskę zrobioną ze skrobi pozyskiwanej z białej mąki. Dolma podała mu pieniądze za kilka paczek, wzięła też trochę ciastek i coś do picia. Wróciwszy do pokoju, dziewczyny padły wyczerpane na swoje łóżka.

Następnego ranka obudził je telefon komórkowy Pemy. Mężczyzna odebrał i od razu spoważniał. Mniszki patrzyły na niego z niepokojem. Kiedy zakończył rozmowę, wyjaśnił, że policja szuka Kalsanga Shagya i dokładnie sprawdza Tybetańczyków przyjeżdżających z Driru. Policja mogła już odnotować ich zniknięcie i powiadomić władze w Lhasie.

Po chwili Pema uspokoił grupę, mówiąc, że dalej będą postępować zgodnie z planem, chociaż być może objadą dookoła most Przyjaźni. Ta obstawiona przez policję przeprawa łączy Nepal z Tybetem i jej przekroczenie wiąże się z posiadaniem drogie sfalszowanych dokumentów zakupionych od skorumpowanych urzędników.

Przez wyjazdem z Lhasy Pema doradził uchodźcom, by uzupełnili swoje zapasy o dodatkową parę butów, ciepłe ubrania i koce, które mogą im się przydać w dalszej podróży.

Dolma i Kelsang ponownie wyszły z Tenzin Choetso i udały się na zachód, w stronę centrum Lhasy. Pochyliły nisko głowy, ale od czasu do czasu Kelsang patrzyła na Dolmę starając się ją uspokoić. Im bliżej centrum, tym bardziej eleganckie sklepy: butiki, sklepy z bielizną i wszechobecne salony z najnowszymi modelami telefonów komórkowych.

Pośrodku Lhasy znajdowało się Stare Miasto, Dzielnica Tybetańska. Setki turystów fotografowało rozstawiony pod gołym niebem rynek Barkhor, otaczający świątynię Jokhang (najświętsze miejsce w Tybecie). W każdym kącie placu błyszczały strategicznie rozstawione kamery, a między straganami chodzili nierozpoznani tajniacy.

W 1989 roku w Lhasie wybuchły największe zamieszki od czasu powstania w 1959 roku. 5 marca w Barkhor rozpętała się bitwa pomiędzy policją a tybetańskimi demonstrantami, walczącymi o niepodległość. W tym czasie podpalono kilka budynków i zdemolowano komisariaty. W końcu Armia Ludowo-Wyzwoleńcza najechała na świątynię Jokhang. Wkrótce potem ogłoszono stan wojenny. Nigdy nie podano liczby ofiar.

W wyniku tych zamieszek nastąpiły brutalne represje. Władze wyburzyły domy i przesiedliły mieszkańców okolic Barkhor, żeby wybudować duży plac, który można łatwiej kontrolować. Dla uciekających z kraju Lhasa była niezwykle niebezpieczna. Restauracje i hotele często podlegały zwierzchnictwu UBP, więc zgłaszano im wszelkie ruchy uchodźców. Wszędzie czaili się informatorzy. Nawet pozornie zwykli ludzie mogli być policjantami w przebraniu żebraków, pielgrzymów, mnichów, ulicznych sprzedawców lub fotografów<sup>[30]</sup>.

Starając się nie zdradzić swojej ekscytacji, Kelsang przecisnęła się przez tłumy turystów na Barkhor i stanęła przed wspaniałą fasadą świątyni Jokhang. W dużych urnach paliło się masło jaka, a rozciągniętych na ziemi pielgrzymów witał zapach jałowca, bijący od purpurowych zasłon. Przez ponad sto lat w kamiennych stopniach powstały wgłębienia od ciał modlących się pielgrzymów. Oddziały Wujing, składające się z siedmiu lub ośmiu silnych mężczyzn, maszerowały w tę i z powrotem ubrane w moro. Na dachach nad placem, pod parasolami, usadowili się oficerowie z karabinami i lornetkami, przez które obserwowali rynek.

Znalazłszy się w środku pochodzącej z VII wieku świątyni, Kelsang niemal zemdląła z wrażenia. Świat zwolnił. Widmowe kształty pochylonych mnichów przesuwają się ciemnymi krużgankami rzucając długie cienie w blasku świec. Kamienne płyty lepiły się od plam z masła jaka.

Z tyłu świątyni górowała nad nimi nieruchoma, złota rzeźba Jowo Shakyamuni, Buddy, zwana Klejnotem Spełniającym Życzenia. Mówiło się, że Jowo Rinpocze raz opuścił świątynię Jokhang i złożył wizytę człowiekowi, który miał w sobie tyle wiary, że w pobliżu pomnika zostawił buty, najcenniejszą rzecz będącą w jego posiadaniu. Odbicie Jowo Rinpocze rzekomo pojawiło się wiosną w pobliżu domu tego mężczyzny.

Nisko pochylona Kelsang modliła się do Jowo Rinpocze, prosząc go o ochronę podczas niebezpiecznej podróży, jaką miała przed sobą. Podobizna Przewodniczącego Mao na banknotach o nominale jednego juana, które Kelsang wetknęła w zdobioną balustradę, zdawała się zupełnie nie na miejscu w tym świętym przybytku.

Po wyjściu ze świątyni Jokhang, dziewczęta poszły kupić niezbędne rzeczy. Dolma nabyła dwie pary butów, wełnianą czapkę, czerwone okulary przeciwsłoneczne oraz ciepłą kurtkę. Wiedziały, że mają wybierać rzeczy w ciemnych kolorach, żeby były niewidoczne nocą. Ale Kelsang wybrała jaskrawą kurtkę w kolorze fuksji, wyjaśniając, że to kolor odpowiedni dla mniszki.

Następnego ranka Pema obwieścił, że grupa musi się podzielić. Było ich zbyt dużo, żeby wyruszyć razem. Kelsang spojrzała z niepokojem na Dolmę. Nie było takiej możliwości, żeby przyjaciółki poszły oddzielnie.

Wszyscy napisali swoje imiona na kawałkach papieru. Ręce Dolmy i Kelsang drżały, gdy je kaligrafowały. Zapadła nieprzyjemna cisza, gdy Pema pomieszał kartki w torbie i zaczął losowanie. Wyciągnął te z imionami Kelsang i Dolmy. Miały obie dołączyć do pierwszej grupy.

Dwie mniszki, które zostały złapane podczas poprzedniej próby ucieczki zostały teraz rozdzielone. Wraz ze wzrostem napięcia, gdy przygotowywano się do wyjścia, opuściła je wola ucieczki. Poprzednim razem zostały pobite i zmuszone do podpisania dokumentów, w których zobowiązały się, że kolejna próba ucieczki skończy się aresztowaniem członków ich rodzin. Po przedyskutowaniu sprawy postanowiły zawrócić.

Późnym rankiem przyszedł zgarbiony mężczyzna w średnim wieku, z okrągłą twarzą, żeby zebrać opłatę od uciekinierów. Powiedział, żeby nazywać go Tenzin.

– Koszt to 5000 juanów; teraz płacisz 1400, a resztę kiedy dotrzesz do Nepalu – mówił.

Dolma pomyślała o czasie, jaki jej mama musiała spędzić wysoko w górach, gdzie zbierała kordyceps, mieszkając w namiocie ze skóry jaka, żeby móc dać jej pieniądze na dotarcie do Jego Świątobliwości. Rodzice Kelsang oddali jej ostatnie pieniądze, żeby mogła otrzymać błogosławieństwo od Dalajlamy. Dolma zwinęła razem ich banknoty i podała je Tenzin.

Mając jeden wolny dzień do wyjazdu, Dolma, Kelsang i Pema zwiedzili Pałac Potala. Gdy zaczął zapadać zmrok nad rzeką Kyichu, zapalono pierwsze neony na budynkach Zhonghe International City, czy też Mieście Grzechu, jak zwali to miejsce Tybetańczycy. Była to nowoczesna dzielnica, w której mieszkali chińscy urzędnicy i najwyżsi rangą wojskowi. Neony reklamowały domy publiczne, takie jak trzypiętrowy budynek Xibu, w którym prominenci wysiadający z błyszczących, czarnych SUV-ów witani byli przez rząd atrakcyjnych hostess.

Zanim wyszli z Potali, Kelsang i Dolma chciały utrwalić tę chwilę. Lokalni sprzedawcy, Chińczycy Han, oferowali turystom zdjęcia robione polaroidem. Gdy fotograf miał zrobić zdjęcie, Kelsang krzyknęła:

– Czekał, czekał. – Odwróciła się. Na wysokim, strzeżonym przez dwóch żołnierzy Wujing maszcie stojącym przed Potalą, powiewała czerwona, chińska flaga. – Nie chcę zdjęcia z tą flagą w tle – powiedziała buńczucznie.

Fotograf skinął głową, odsunął się o kilka kroków, by zmienić ujęcie. Dolma wetknęła zdjęcia do swojej torby. Gdy wtapiali się w tłum turystów, Dolma usłyszała, że Kelsang modli się do Dalajlamy. Teraz obie były gotowe na ucieczkę ze swojej świętej ojczyzny.

*Świat wydawał się przepojony nieznaną  
dotąd życzliwością i dobrocią. Zniknęła  
bariera pomiędzy mną a resztą stworzenia.  
Te nieliczne zjawiska, które składały się  
na życie: niebo, lód, skała, wiatr i ja stały się  
nierozłączne i święte. Czułem się potężny  
jak Bóg i jednocześnie nic nieznaczący  
jak ziarnko piasku, co tylko pozornie się wyklucza.*

Herbert Tichy na Czo Oju



# Turkusowa Bogini

Wśród wspinaczy znajdujących się na pokładzie samolotu dało się odczuć znaczne poruszenie, gdy maszyna lecąca do Lhasy opadła poniżej pasma chmur. Luis Benitez był tam już pięć razy prowadząc wyprawy, ale nadal czuł się w Tybecie nie tyle podenerwowany, ale jakby bardziej przewrażliwiony.

Ostentacyjną, całą w marmurach halę przylotów na lotnisku Gonggar w Lhasie przyćmiewała ogromna tablica ogłoszeniowa, zabraniająca wstępu każdemu, kto cierpi na chorobę zakaźną oraz ostrzeżenie, że konfiskacie podlegają wszystkie urządzenia służące do komunikacji satelitarnej. Władze chińskie zawsze obawiały się, że z Tybetu wypłyną jakieś informacje. Przez lata Benitez przywykł do tego, że musi chować telefony satelitarne w skarpetkach lub na dnie toreb ze sprzętem.

W 2003 roku, po kontroli jednego z klientów AC na lotnisku, zginęło 700 dolarów. Od tamtej pory Benitez patrzył na ręce celnikom. Jego klienci, podobnie jak wszyscy inni, zostaną dokładnie sprawdzeni przez oficerów UBP w cywilnych ubraniach oraz funkcjonariuszy urzędu imigracyjnego.

Po wyjściu z ponurego lotniska wzrok przyciągały żywe barwy. Rozrzedzone powietrze i jaskrawe, nieprzefiltrowane słońce na wysokości 3570 m n.p.m. sprawiały, że świat wydawał się wyraźniejszy. Ale nie opuszczało go wyraźne poczucie lęku. Obok Beniteza pojawił się przydzielany zgodnie z prawem oficer łącznikowy z Chińsko-Tybetańskiego Związku Alpinizmu. Do obowiązków mężczyzny wyznaczonego na ich „przewodnika” należała ścisła kontrola przybyszów z Zachodu. Niektórzy członkowie ekspedycji próbowali się z nim przywitać, ale mężczyzna, który kazał mówić do siebie Tenzin, trzymał dystans. Z zewnątrz dobiegał odgłos klaksonów SUV-ów oraz okrzyki i narzekania kierowców rozmaitych wypraw. Benitez dostrzegł wśród nich logo Adventure Consultants. Po umocowaniu na dachu land cruisera bagażu i zapasów ekspedycja wyruszyła do oddalonej o 64 kilometry Lhasy.



Ludziom z Zachodu, przybywającym z zapyłonych i zatłoczonych ulic Katmandu, Tybet wydawał się wyjątkowo spokojny. Chociaż hotel Himalaya na północnym brzegu rzeki Lhasa jest nowoczesnym i ponurym miejscem, jest tam czysto i wygodnie. Wczesnym rankiem następnego dnia Benitez udał się do CTZA, gdzie wydał 25 000 dolarów, które dostał od Kumara, by zapłacić za pozwolenia oraz pokryć inne wydatki.

Po całodziennym odpoczynku Benitez zaprowadził swoją grupę do głównych atrakcji Lhasy, zaczynając od klasztoru Drepung. Ta zabytkowa budowla została wzniesiona w 1416 roku, na zachodnich przedmieściach u stóp góry Gephel. Dawniej mieszkało w niej 10 000 mnichów, ale teraz liczba ta zmniejszyła się do kilkuset. Na jednym z pięter mieściło się biuro Demokratycznego Komitetu Zarządzającego, który miał za zadanie zadbać o zachowanie całkowitego posłuszeństwa Chinom.

Po zwiedzaniu Drepung Benitez zaprowadził grupę do Pałacu Potala. Na południe od niego znajdował się plac z trzydziestopięciometrowym pomnikiem, będącym symbolem domniemanego „wyzwolenia” Tybetu. Stojące wokół placu kamery bez przerwy obserwowały ludzi w celu zapobieżenia potencjalnym kłopotom. Czasami zdarzało się, że Tybetańczycy próbowali dokonać aktu wandalizmu na pomniku. Muskularnie zbudowani tajniacy próbowali wtopić się w tłum.

Grupę olśnił Pałac Potala, niegdyś siedziba Dalajlamy. „Jest wysoki na ponad czternaście pięter, potężne schody prowadzą do pokoi ozdobionych malowidłami ściennymi, ikonami, statuami i modlitewnikami. To był widok wart zapamiętania”, napisał Benitez w dzienniku wyprawy. W wielkim pałacu było tysiąc pokoi, korytarz o długości 90 metrów wypełniony sięgającymi sufitu posągami, loch oraz obszerny taras na dachu, z którego widać całą Lhasę. Ale nawet w tym świętym miejscu poutykano po kątach kamery i mikrofony.

Nie można było nie zauważyć braku jakichkolwiek odniesień do obecnego Dalajlamy. Nawet w zapierającym dech w piersi Pałacu Potala, grupa Beniteza nie mogła się skupić. Wszyscy myśleli już o czekającej ich wyprawie, zajmowało ich tylko to, że muszą dobrze wypocząć i nawodnić organizmy. Po zwiedzeniu Potali udali się na wschód, do Barkhor. Śmiali się z prowizorycznych straganów sprzedających filcowe kapelusze kowbojskie, popiersia Mao, baterie i blendery. Turystyczny charakter tego miejsca nie zdołał jednak przyćmić zagrożenia – wielu szorstkich, ubranych w czapeczki bejsbolowe właścicieli straganów to mówiący po angielsku tajniacy, którzy pracowali w wydziale spraw zagranicznych. Ich praca polegała na tym, by donosić o wszelkich podejrzanych lub niepatriotycznych zachowaniach. Angielscy i amerykańscy turyści, znani z tego, że sympatyzują ze sprawą tybetańską, znajdowali się pod szczególną obserwacją.

Wszelobocna machina bezpieczeństwa sprawiała, że ludzi ogarniała paranoja. Dwóch Brytyjczyków znalazło ujście dla stresu w opowiadaniu dowcipów i podjudzaniu się półgłosem, który z nich odważy się zdjąć jedną z chińskich flag i zastąpić ją flagą Tybetu.

W bocznej uliczce odchodzącej od Barkhor, w tym obcym dla nich miejscu, znajdowała się oaza zachodniej normalności.

– Zupełnie jak Starbucks! – wykrzyknął Kevin Cubitt, gdy Benitez zaprowadził grupę do urządzonej w zachodnim stylu kawiarni, gdzie mogli zamówić cappuccino i posłuchać jazzu. Tutaj zderzała się nowoczesność z tradycją. Pielgrzymi zmierzający do świątyni Jokhang zupełnie nie pasowali do grającego w tle Milesa Davisa, hałasującego ekspresu do kawy oraz szelestu stron kolorowych magazynów. Wielu z nich miało za sobą wyczerpującą podróż i przebyło setki kilometrów, by tu się dostać. W brudnych fartuchach ze skóry jaka, wełnianych ochraniaczach byle jak przywiązanych do rąk, kładli się na ziemi przed kawiarnią.

Gdy Benitez przyglądał się pielgrzymom coś nie dawało mu spokoju. Poświęcił swoje życie na podróżowanie do najodleglejszych i najbardziej mrocznych zakątków świata oraz dbanie o bezpieczeństwo klientów w trudnym, górskim środowisku i w bezkompromisowych kulturach Trzeciego Świata. Ale w Tybecie nie odczuwał komfortu. Zapomniana kultura tego kraju – chociaż po prostu była przekazywana z pokolenia na pokolenie, podczas gdy reszta świata parła do przodu – sprawiała, że odczuwał coś w rodzaju winy, gdy uprzywilejowani wspinacze popijający kawę napawali się widokami.

Przez ułamek sekundy wzrok Beniteza spotkał się ze spojrzeniem pomarszczonej staruszki za oknem. Na czole miała wielkie zgrubienie w kształcie lilii, którego nabawiła się na skutek wielu tysięcy pobożnych ukłonów. Niewyjaśniony niepokój ogarnął Beniteza, gdy kobieta znowu pochyliła się do ziemi.

W tym samym tygodniu, gdy jego grupa przechadzała się po zabytkowych ulicach Lhasy, rozklekotany jeep wjechał do wschodnich przedmieść i minął o dwie ulice kawiarnię, w której siedział przewodnik. W aucie były dwie pełne nadziei dziewczyny z odległego krańca Tybetu.

Okrutnie ponury krajobraz, na który składały się skały i ziemia, urozmaicały łopoczące na wietrze, splecione flagi modlitewne. Benitez i jego grupa kierowali się na zachód od mlecznych, splecionych ze sobą rzek w Dolinie Kyichu do Xigazê, drugiego pod względem wielkości miasta Tybetu. Tam skręcają na południe, gdzie wznosi się pasmo Himalajów, i będą pieli się w górę po coraz węższych drogach i przełęczach. Co

kilka godzin zatrzymywali się przy nędznych przydrożnych straganach. Przez lata wspinacze należący do różnych ekspedycji kupowali tam Red Bulla, żeby pobudzić się w wysokogórskim klimacie. Pewien właściciel straganu ustawił puszki w stos tak wysoki, jak aspiracje przejeżdżających obok łowców przygód.

Na wspornikach wysokiej na 18 metrów bramy, wznoszącej się nad nieutwardzoną drogą, wisiała tabliczka: „Właśnie wjeżdżasz na teren Narodowego Rezerwatu Przyrody Czomolungma”. Kiedy zatrzymali się, żeby zrobić zdjęcia, Benitez ostrzegł członków grupy, żeby zbyt gwałtownie nie wyskakiwali z SUV-a, ponieważ znaleźli się na dużej wysokości. Brama, najwyższy punkt na przełęczy, udekorowana spłowiałymi i poszarpanymi buddyjskim flagami modlitewnymi, uważana była za miejsce, gdzie dusze przechodzą z królestwa ziemskiego do niebieskiego. Na zewnątrz wspinacze zaczęli kaszleć, wdychając wiatr niosący drobinki pyłu.

Z brudnego, szarego namiotu wyszedł chłopiec z małą kozą. Jego rodzina mieszkała przy bramie utrzymując się z tego, co wyżebrała od turystów i wspinaczy, którzy zatrzymywali się, żeby zrobić zdjęcia. Chłopiec został sfotografowany jak buńczucznie patrzy w obiektyw aparatu, następnie wystawił rękę w oczekiwaniu na zapłatę. Wyglądało na to, że nie ma tu niczego za darmo; było zbyt wielu potrzebujących.

Mijały godziny, nadal jechali. Nagle z otaczających ich zasolonych równin wyłoniły się ośnieżone szczyty najwyższego na Ziemi pasma górskiego. W popołudniowym świetle dumne stoki spowite jaskrawym blaskiem robiły oszałamiające wrażenie.

Kilka godzin po tym, jak po raz pierwszy zobaczyli Himalaje, dotarli do leżącej na zasolonej równinie nadgranicznej osady Tingri, biednej, zapomnianej przez bogów placówki, będącej ostatnim skrawkiem cywilizacji przed górami. Kiedyś Tingri było ważnym punktem handlu między Nepalem i Tybetem, ale po chińskim zagospodarowaniu terenu Tybetańczycy przenieśli się do Lhasy.

Benitez zaprowadził grupę do herbaciarni, gdzie członkowie rozlokowali się w pokojach z prymitywnymi łózkami. Nieprzerwanie wiejący wiatr dmuchał pyłem przez szpary w rozeschniętych, drewnianych drzwiach.

Następnego dnia rano Benitez zabrał grupę na aklimatyzacyjny spacer za miasto, gdzie wspinali się na łagodne wzgórze w kształcie wieloryba. Znajdując się na wysokości 4200 m n.p.m. wspinacze musieli się mocno wysilać. Im wyżej się wejdzie, tym wolniej dostosowują się mięśnie, ponieważ spada poziom tlenu w krwi. Przez kilka dni członkowie zespołu Beniteza cierpieli na silne bóle głowy.

Wchodząc na to niewielkie wzniesienie widzieli w dole plac, znajdujący się w garnizonie Ludowej Policji Zbrojnej, na którym żołnierze rozgrywali mecz koszykówki. Był to jednopiętrowy chiński garnizon, który złowieszczo wybudowano na

końcu jedynej w osadzie drogi. Zanim wyruszyli na wędrowkę, pewien mądry stary człowiek powiedział Benitezowi, żeby uważali, wchodząc na wzgórza za bazą, ponieważ żołnierze nie lubią być podglądani i często strzelają w stronę gór, kiedy się nudzą.

Po kilku godzinach Benitez i jego klienci po raz pierwszy ujrzeli w całej okazałości cel swojej wyprawy. Za płaskim jak talerz terenem niebo przecinał lodowy kolos – Czo Oju. W przeciwieństwie do zbliżonego do piramidy kształtu Everestu, Czo Oju jest zawiłą płataniną pomniejszych szczytów składających się na masyw. Z północy profil góry jest wysmukłą granią, prowadzącą na szeroki i płaski szczyt. Wyglądająca jak nieposkromiony goliat, w grupie wzbudziła zarówno strach, jak i respekt.

W 1951 roku Hillary zamierzał ją zdobyć w ramach przygotowań do wejścia na Mount Everest. W celu opracowania trasy wysłał na rekonesans grupę mającą przejść przez lodowiec Gyabrang i Nangpa La. Hillary wraz ze znanym pisarzem i alpinistą Erikiem Shiptonem rozbili obóz na wysokości prawie 6000 m n.p.m., a szerpowie zeszli niżej na Nangpa La, by sprawdzić czy uda się znaleźć drogę podejścia z północnego zachodu od strony Tybetu. Jednak Hillary coraz bardziej niepokoił się tym, że chińscy żołnierze z garnizonu w Tingri mogą złapać wspinaczy „w pułapkę jak szczury”. Ostatecznie ich grupę zatrzymał ogromny lodowy klif, a wkrótce potem skończyły się zapasy. Człowiek, który zyskał sławę zdobywając Everest, nie dał rady wejść na Czo Oju. Wspominał potem, że czuł „wstyd, że tak szybko i chętnie się poddaliśmy”<sup>[31]</sup>.

Czo Oju po raz pierwszy zostało zdobyte w 1954 roku przez Austriaków z Herbertem Tichym na czele zespołu. Wspinacze musieli omijać chińskie patrole, żeby przez Nangpa La dostać się nielegalnie na zachód. Czo Oju, stojąca pomiędzy Tybetem a Nepalem, miała strategiczne znaczenie militarne dla Chińczyków, którzy zaczęli budować tam bazy wojskowe.

Cierpiąc z powodu poważnych odmrożeń, Tichy wszedł na szczyt, doznając nieziemskiego uczucia jasności, czegoś, o czym marzą wszyscy wspinacze, poczucia transcendencji i oświecenia, ucieczki od spraw doczesnych. Napisał, że było w tym „niemożliwe do opisanie uczucie bezosobowego szczęścia”, kiedy „zniknęła bariera pomiędzy mną a resztą stworzenia”. Opisywał: „Przedarłem się przez metafizyczną powłokę i dotarłem do nowego świata... Czułem się potężny jak Bóg i jednocześnie nic nieznaczący, jak ziarnko piasku, co tylko pozornie się wyklucza”<sup>[32]</sup>.

W buddyjskiej świętej księdze Czo Oju ma generalnie pozytywny wydźwięk. Turkusowa Bogini dbała o pozostawione przez Padmasambhavę instrukcje, jak ocalić świat przed chaosem.

Święte góry są kluczową częścią tybetańskiego życia. Buddyjscy i hinduscy pielgrzymi regularnie udają się do Kajlas, położonej na wschodnim krańcu Himalajów, w pobliżu granicy z Indiami, która, według wiary buddyjskiej, jest siedzibą Buddy. Podobnie jak zachodni alpiniści uważają, że wejście na szczyt Everestu otworzy ich na doznania transcendentalne, tak pątnicy postrzegają możliwość duchowej pielgrzymki do śmierci i odrodzenia. Dla uchodźców Kajlas byłaby najlepszą drogą ucieczki, ale jest górą, na którą wspinanie jest surowo zabronione.

Podczas pierwszej wyprawy na Everest, sir Charles Bell zauważył: „Ekspedycja białych ludzi niewierzących w tybetańskie bóstwa i stojących poza braterstwem buddystów z konieczności naruszy spokój duchom tego miejsca”<sup>[33]</sup>. Przez wieki buddyjscy pustelnicy kryli się w górskich jaskiniach, gdzie doznawali oświecenia, ponieważ góry postrzegali jako ścieżkę wiodącą do nieba. Lamowie ostrzegali przed wchodzeniem na nie, gdyż były siedzibą bóstw. Podczas jednej z pierwszych wypraw na Everest w 1924 roku ośmiu szerpów zdmuchnęło do lodowej szczeliny, a wkrótce potem pięciu zabiła lawina. George Mallory i jego kompan Andrew Irvine po prostu zniknęli w tajemniczej chmurze kilkaset metrów od szczytu. Lama z Rongbuk, Ngawang Tenzin Norbu, zorganizował ceremonię na cześć poległych, żeby oczyścić ich ze złej karmy, którą zgromadzili wkraczając do panteonu górskich bóstw na Evereście. Kilka lat później inni wspinacze powrócili do klasztoru Rongbuk, gdzie zastali misternie wykonane freski naścienne, przedstawiające rozwścieczone górskie bóstwo otoczone armią ludzi z włóczniami i agresywnych yeti. U stóp bóstwa leżało nagie ciało białego człowieka podziurawionego włócznią.

Czo Oju stało się częścią niekontrolowanej komercjalizacji Himalajów. W 1987 roku, kiedy Chińczycy wreszcie otworzyli północno-wschodnią grań oraz szlaki z Tingri na Czo Oju, przybyło wiele ekspedycji. Komercjalizacja świętego szczytu zaczęła się od wybuchu przemocy. We wrześniu 1989 roku dwie rywalizujące ze sobą wyprawy doprowadziły do przelewu krwi (zdarzyło się to po raz pierwszy w Himalajach). Zespół belgijsko-francuski, prowadzony przez Alaina Huberta i Regisa Maincenta, podchodził od południowo-wschodniej ściany, podczas gdy zespół z Korei Południowej, z Lee Ho-Sangiem, szedł granią południowo-zachodnią. Obie grupy zetknęły się ze sobą na wysokości około 7000 m n.p.m. i starły w sprawie użycia zamocowanych poręczówek. Zakładanie poręczówek w górach przypomina nieco budowanie płatnych dróg. Wspinacze zazdrośnie strzegą swoich lin i czasami każą płacić innym alpinistom za możliwość ich wykorzystania. Wspinacze zaczęli ze sobą zaciekle walczyć, w użycie poszły pięści i czekany. Maincent został pojmany i związany, ale zdołał uciec z krwawiącą raną na głowie. Wraz ze swoimi towarzyszami zszedł z góry. Tydzień

później Ang Lhakpa, szarpa ekspedycji Koreańczyków, sam wspinał się na 8000 m n.p.m., lecz zaginał pod lawiną. Inni szerpowie uznali to za zły znak – bóstwa się rozzłościły – i nie chcieli się dalej wspinać. Koreańczycy musieli zrezygnować.

W 2006 roku na Czo Oju było 573 wspinaczy. Poza onieśmielającymi ścianami lodu, Czo Oju nie jest trudna technicznie, dlatego wydaje się idealną górą dla nowicjuszy. Między 1986 a 2006 zginęło na niej tylko 28 ludzi (na Evereście 128), więc zasłużyła sobie na miano jednej z najbezpieczniejszych gór w Himalajach.

Benitez miał złe wspomnienia z Czo Oju. Ostatnim razem był na niej 11 września 2001 roku. Amerykańscy wspinacze wyskoczyli ze swoich śpiworów i wybiegli z herbaciarni na smagane wiatrem ulice Tingri, gdzie pospiesznie podłączali telefon satelitarny do laptopa. W taki sposób mogli połączyć się ze stroną internetową CNN, choć transmisja czasem się rwała. Wpatrywali się w niewyraźny obraz i oglądali walące się wieże. Po ataku zamknięto granicę z Katmandu. Odwołano wszystkie loty do i z Lhasy. Pomimo protestów szerpów, którzy uważali, że okoliczności nie wróżą niczego dobrego, Benitez nie zrezygnował z próby wejścia na szczyt. W maju tego samego roku, czyli kilka miesięcy przed atakiem, Benitez po raz pierwszy wszedł na Everest. Ale doświadczenie podpowiadało mu, że musi powściągnąć swój entuzjazm na Czo Oju, więc tym razem wspinał się niechętnie. Nie zdołał zdobyć szczytu.

Guy Cotter miał również niewesołe wspomnienia związane z Czo Oju. Zanim jeszcze wyruszył ją zdobywać, podczas pierwszej nocy spędzonej w Lhasie w 1995 roku usłyszał głośną eksplozję. W połowie lat 90., gdy Chiny wprowadzały duże obostrzenia, Tybetańczycy odpowiadali zamachami bombowymi w Lhasie i sąsiadującym z Driru okręgu Sog oraz wszędzie tam, gdzie wciąż panowało silne poczucie tybetańskiej niepodległości. Po wysłaniu faksu do swojej dziewczyny, w którym Cotter napisał, że usłyszał wybuch w Pałacu Potala, w jego pokoju w Holiday Inn pojawił się dziesięcioosobowy oddział UBP i zabrał go do więzienia w Lhasie. Po 48 godzinach przesłuchań Cotter został publicznie oskarżony w gazecie „Tibet Daily” o rozprzestrzenianie plotek i został zmuszony do podpisania „pisemnego wyrażenia skruchy” oraz do odwołania tego, co wysłał faksem. Po odbyciu kary aresztu domowego, został deportowany do Nepalu. Nigdy nie dotarł pod Czo Oju.

Benitez odwrócił się tyłem do góry i poprowadził swoich klientów z powrotem do Tingri. Człowiekowi tak skupionemu na karierze, ambitnemu przewodnikowi, Czo Oju nie mogła w niczym pomóc. Turkusowa Bogini nie pomoże mu zdobyć żadnego wartego tysiąc dolarów zlecenia na publiczne wystąpienia, nie przyda się również w planowanej książce *The Everest Within*. Takie korzyści przynosiła tylko wielka góra na literę E.



6 września 2006 roku Benitez i jego klienci rozpoczęli wspinaczkę na Czo Oju. Wyminęli chiński garnizon, najeżony antenami radiowymi sterczącymi z szarych murów. Kiedy wyjeżdżali z miasta i zmierzali na południe w kierunku bazy, obserwowało ich kilku chińskich żołnierzy zaciągając się papierosami.

Domy stojące na skraju Tingri były prymitywnymi, niskimi budynkami. Zaraz wyszły z nich usmolone dzieciaki, żeby zobaczyć przejeżdżających wspinaczy. Do chińskiej bazy jechało się cztery godziny po wyboistej drodze. Opuszczone obozowisko chińskich żołnierzy i przedstawicieli Chińsko-Tybetańskiego Związku Alpinizmu znajdowało się przy końcu szosy, na jałowej równinie na wysokości około 4800 m n.p.m.

Żołnierze byli ubrani w oliwkowozielone mundury moro, niektórzy mieli płaszcze wojskowe, wszyscy byli wyposażeni w błyszczące karabiny SKS i emanowali wrogością. Nosili buty Nike lub Reeboki, które nie pasowały do mundurów. W 2001 roku żołnierz złapał jednego z klientów Beniteza na robieniu zdjęć i zażądał aparatu. Benitez uważał, że była to kiepsko maskowana próba wyłudzenia sprzętu fotograficznego i nie chodziło o względy bezpieczeństwa. Żołnierze często wyłudzali pieniądze od wspinaczy, powołując się na niezgodności w dokumentach. Czasami po prostu zaglądali do ich bagaży i wybierali sobie to, co wpadło im w oko. Dla osoby, która zapłaciła 20 000 dolarów za wejście na Czo Oju jest to niewielki koszt dodatkowy. Nikt nie ma o to pretensji.

Morris Cooper<sup>[34]</sup> brał udział w brytyjskiej wyprawie z Jagged Globe. To były snajper Armii Brytyjskiej, który wcześniej przebywał w strefach działań wojennych.

– Pamiętam, że z jakiegoś powodu czułem z ich strony [Ludowej Policji Zbrojnej] większe zagrożenie niż kogokolwiek innego – powiedział. – Stali tylko i patrzyli, a w tobie uruchamiał się jakiś szósty zmysł i jeżyły ci się włosy na karku. Nie do końca wiedziałem, dlaczego czułem się zagrożony. Już wcześniej celowano do mnie z broni, ale wówczas byłem mniej przerażony, niż gdy gapił się na mnie jakiś Chińczyk.

Nie chodziło tylko o niedojrzałość chińskich żołnierzy, których spotkał w bazie pod Czo Oju (choć wielu było bardzo młodych), lecz przede wszystkim o ich bezwzględność.

– Wyglądało to tak, jakby było im obojętne, że strzelają, nawet nie drgnęłyby im powieka. Nie mieli żadnych zasad.

Oficerowie Ludowej Policji Zbrojnej pod żadnym pozorem nie mogą rozmawiać

z ludźmi z Zachodu, a za wymianę zdań z dziennikarzem mogą trafić do więzienia lub zostać skazani przez sąd wojskowy. W związku z tym Akar, wyższy rangą oficer LPZ, był wyraźnie niespokojny, kiedy spotkaliśmy się w pewnej metropolii.

Był niskim, tęgim mężczyzną z fryzurą typową dla żołnierza, poprzetykaną siwizną oraz chłodnym, zamyślonym spojrzeniem. Założył lakierowane, czarne, skórzane mokasyny. Na czubku nosa miał okulary przeciwsłoneczne Armani ze złotymi detalami. Niemrawo uścisnął mi rękę, gdy udaliśmy się do chińskiej restauracji. Do jego obowiązków należała walka z „separatystycznymi działaniami Dalajlamy”, jak stwierdził.

Akar był dumny ze swojego oddziału, o amerykańskim wojsku wyrażał się z lekceważeniem i uważał je za swojego wroga.

– Jesteśmy mistrzami kick-boxingu i zawsze zwyciężamy z Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Nie jesteśmy tacy jak Amerykanie – powiedział z pogardą – którzy odmawiają walki, gdy nie pasuje im uzbrojenie albo Hummer wydaje się zbyt mały. Walczymy w każdej sytuacji i nie boimy się śmierci.

Ale Akar nie był całkowicie lojalny. Siedząc i pijąc zieloną herbatę, mówił o dumie z tego, że jest Tybetańczykiem, pomimo wykonywanej pracy był oddany przebywającemu na wygnaniu duchowemu przywódcy swojej ojczyzny. Cena za tę rozmowę, gdyby został złapany, byłaby niewyobrażalna.

– Muszę uważać na to, co mówię – przyznał, przechylając głowę do tyłu i patrząc na swój nos.

Był nieustępliwy i małomówny – cechy te nabył po latach pracy w samym sercu chińskiej maszyny wywiadowczej w Tybecie.

W 1989 roku, gdy w Lhasie wybuchły protesty, również Pekin zalał się krwią, a mające tam miejsce wydarzenia, po raz pierwszy od czasów założenia Republiki Ludowej 40 lat wcześniej, poważnie zagroziły władzy sprawowanej przez Komunistyczną Partię Chin (KPC). Tysiące zwykłych chińskich obywateli zebrały się na placu Tiananmen, żeby uhonorować niedawno zmarłego polityka, będącego zwolennikiem reform, zażądać wprowadzenia obiecanych zmian i demokracji oraz by zaprotestować przeciw ograniczaniu wolności w państwie totalitarnym.

Na całym świecie chwiały się reżimy komunistyczne. Przedstawiciele chińskiego wiedzili, że jeśli miliard obywateli Chin zjednoczy się w rewolcie, nie da się ich powstrzymać. To była iskra, która mogła rozniecić płomień, wstrząsnąć krajem i obalić reżim.

4 czerwca 1989 roku KPC podjęła zdecydowane kroki i wysłała na plac Tiananmen czołgi i oddziały szturmowe. Nie wiadomo, ile było ofiar masakry<sup>[35]</sup>. Chiny zrujnowały



swój wizerunek tak zwanego łagodnego smoka. Bank Światowy przestał wypłacać krajowi pożyczki. Ze swojej strony Chiny zakazały wstępu zagranicznym mediom. Po zamieszkach zatrzymano setki ludzi. Wielu zginęło w zbiorowych egzekucjach.

Reżim uświadomił sobie, że musi coś szybko zrobić, by przywrócić swoje dobre imię na arenie światowej. Przywódca Deng Xiaoping wcześniej zainicjował wolnorynkowe reformy, zmierzające do przekształcenia Chin w ekonomiczną potęgę, bo, jak twierdził, „bycie bogatym jest chlubą”. Po wydarzeniach na placu Tiananmen reformy przyspieszyły. Deng miał świadomość, że brutalne stłumienie protestów obywateli chińskich było trudne do przełknięcia dla zagranicznych partnerów handlowych. Poza tym KPC nie mogła kontrolować miliarda obywateli uciekając się jedynie do przemocy. Najsprytniejszym sposobem kontroli ludności było danie im dobrobytu w zamian za wolność, co opierało się na przesłance, iż chciwość weźmie górę nad prawami człowieka.

Po Tiananmen Komunistyczna Partia Chin nie mogła ryzykować użycia wojska przeciw własnym obywatelom, żeby nie drażnić zachodnich krajów demokratycznych. Zamiast tego zwiększono kompetencje Ludowej Policji Zbrojnej, wysoce tajnej, paramilitarnej organizacji, która zajmuje miejsce gdzieś między wojskiem a policją. Kontrolowana jest przez Centralną Komisję Wojskową – najwyższe zwierzchnictwo Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – oraz Radę Państwa poprzez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Bezpośrednie zwierzchnictwo Rady Państwa daje LPZ ogromną władzę.

LPZ jest gwarantem tego, że „pokojowy wzrost” Chin ludziom z zewnątrz wydaje się wiarygodny, ale wewnątrz LPZ ściśle kontroluje wszelkie przejawy sprzeciwu wobec Partii Komunistycznej. Chiny chcą, by wszystkie 56 mniejszości narodowych zjednoczyło się pod sztandarem Chińskiej Republiki Ludowej. W rzeczywistości sprawienie, żeby Ujgurzy, Tybetańczycy i Mongołowie, czyli ci, którzy kiedyś mieli własne państwa i niepodległość, stali się częścią „jednych Chin”, wymaga użycia siły. Ci, którzy potrafią się oprzeć bogactwu i wolą osobistą wolność, mają do czynienia z oddziałami LPZ, które tłumią sprzeciw. W krnąbrnych, odległych prowincjach, takich jak Tybet, gdzie ludność jest wierna Dalajlamie, bogactwo i rozwój ekonomiczny nie mają żadnego znaczenia, a żołnierze Wujing są „ostrym nożem” lub „pięścią”, która zmusza do lojalności wobec reżimu komunistycznego.

Ich działania sprowadzają się do tortur, przesłuchań i egzekucji. Akar mówi ironicznie:

– Kiedy Armia Ludowo-Wyzwoleńcza cię dopadnie, umrzesz. Kiedy cię dorwiemy, chcemy pełnej kontroli.

Rekrut z prefektury Nagchu, który wstąpił do Ludowej Policji Zbrojnej w 2004 roku i został wysłany do służby na odcinku przygranicznym (chiń. Bianfangbudui) powiedział:

– Nasz dowódca nauczył nas stosować różne rodzaje kar.

Dowiedział się, że kobiety ma wieszać nago do góry nogami, polewać ich ciała lodowatą wodą i bić pasem. Nauczył się technik rażenia prądem i jak najlepiej łamać kości. LPZ często najeżdża klasztory w ramach ćwiczeń; gdy dochodzi do zamieszek, ataki są dokładnie rozplanowane, ponieważ żołnierze znają rozkład pomieszczeń każdego klasztorowego budynku. Głównym zadaniem LPZ jest wewnętrzna kontrola Chin, stąd niektórzy przywódcy właśnie na nich opierają swoją władzę. Przywódca komunistyczny Jiang Zemin wykorzystywał LPZ jako własną armię pretoriańską.

Akar przez wiele lat zajmował się rekrutacją do oddziału paramilitarnego. Mógł czerpać korzyści z systemu i brać łapówki od młodych Chińczyków i Tybetańczyków chcących uciec od biedy w rolniczych regionach kraju zapisując się do Ludowej Policji Zbrojnej. Dla niektórych LPZ to wymarzona praca, dzięki której zyskuje się *guanxi*, czyli układy, dostęp do pieniędzy oraz względną wolność, której nie mają zwykli obywatele Tybetu. Oficerowie zarabiają maksymalnie 1000 juanów na miesiąc (145 dolarów), równowartość rocznego przychodu w regionach wiejskich Tybetu.

– Będąc rekruterem dostaję od ludzi prezenty, samochody i pieniądze, żebym przyjął ich synów – powiedział. Miał niski, mroczny głos, ponieważ bardzo dużo palił. Gdy ktoś zostawał wyższym oficerem LPZ w Tybecie to tak, jakby dostał klucze do miasta oraz licencję na drukowanie pieniędzy. Dodał ze śmiechem: – W Chinach wszędzie panuje korupcja. Żołnierze LPZ chcą tylko zarabiać i wygodnie żyć. Taką mają ambicję.

Podobnie jak większość oficerów LPZ, Akar miał silne powiązania z biznesem. W dużym chińskim mieście miał udziały w sieci hoteli.

– Lubisz dziewczynki? Lubisz tańczyć? – roześmiał się drapieźnie. – Przyjedź do Tybetu, oprowadzę cię.

W LPZ zachęca się do inicjatyw prywatnych. W przeciwieństwie do zachodnich armii, które utrzymywane są przez rząd centralny, LPZ podlega finansowaniu z dwóch źródeł – rządowych oraz z mętnych interesów. Wiąże się to z kopalniami złota w Tybecie, gdzie dochodzi do współpracy z firmami z Zachodu. Dochód z biznesu urósł o 20% od połowy lat 80. Korupcja w tej branży jest nie do powstrzymania. Według Tai Ming Cheunga, analityka Institute of Global Conflict and Cooperation na Uniwersytecie Kalifornijskim, który w swojej pracy *Guarding China's Domestic Front Line* napisał: „Niektóre przybrzeżne jednostki w prowincji Guandong notorycznie same zajmują się

piractwem oraz przemytem, czasami przekraczając granice terytorialne sąsiednich prowincji i krajów”. I dodał: „Korupcja, przemyt, spekulancтво i inne niezdrowe praktyki stają się coraz większym problemem dla Ludowej Policji Zbrojnej, ponieważ wiele oddziałów zajmuje się biznesem”.

LPZ dzieli się na cztery główne oddziały: zajmujące się ochroną osobistą, strzegące budynków, utrzymujące infrastrukturę i kontrolujące granicę. Ma niezliczone obowiązki związane z drogami, tamami; ochroną dygnitarzy; kontrolą lasów; ochroną przeciwpożarową; ochroną więzień i granic. LPZ odpowiada również za przeprowadzanie egzekucji. To bardzo dużo pracy, ponieważ Chiny stosują karę śmierci najczęściej ze wszystkich państw na świecie<sup>[36]</sup>.

Te grupy (chiń. *Fajing*) działają w Drapchi i w innych więzieniach. Tybetańczycy nie są przyjmowani do oddziałów egzekucyjnych, w skład których wchodzi tylko Chińczycy Han, z obawy przed tym, że odmówią wykonania obowiązków z litości dla rodaków. Według już rozwiązanego Tybetańskiego Serwisu Informacyjnego członkowie grupy egzekucyjnej są rekrutowani przymusowo spośród oddziałów LPZ. Jeden z byłych żołnierzy LPZ w wywiadzie przeprowadzonym w Dharamsali w 1999 roku powiedział:

– Ludzie rzadko chcą dobrowolnie dołączyć do tego rodzaju służby wojskowej. Przeprowadza się więc losowanie. – Dodał jeszcze: – Dowódcy domagają się takiego losowania, a ci, którzy mają pecha, zostają przydzieleni do tej służby.

Oddziały egzekucyjne LPZ działają na terenie zakładów karnych. Yantun Pasang, były oficer Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, pracował w więzieniu Drapchi, gdzie często dochodziło do egzekucji.

– Pewnego dnia Wujing wyciągnęli dwóch mężczyzn z cel i wywlekli z więzienia w celu przeprowadzenia egzekucji – wspominał. Oddział zabił ich w obecności innych osadzonych. – Miało to na celu zastraszenie pozostałych więźniów – powiedział.

Opisuje, że więźniom kazano stać na dworze, gdy temperatura spadała poniżej zera i polewano ich wodą. Natomiast gdy do więzienia przybywali nowi oficerowie, kazano im przyglądać się lub wykonywać karę chłosty pod nadzorem starszych rangą oficerów, żeby sprawdzić, czy nadają się do tej pracy.

Z biegiem czasu działania LPZ przyciągnęły uwagę mieszkańców Zachodu przebywających w Tybecie, którzy, sympatyzując z tym krajem, mogli stać się załącznikiem niepokojów. LPZ ma duże osiągnięcia w tajnych działaniach operacyjnych, zwłaszcza związanych z dużymi grupami obcokrajowców, takimi jak wspinacze. Funkcjonariusze uczą się angielskiego i jak wtopić się w tłum nie przyciągając uwagi.

W regionach przygranicznych LPZ kontroluje, kto wjeżdża i wyjeżdża z Tybetu, co

daje im kolejną możliwość pobierania łapówek i zarabiania pieniędzy. Jednostki przygraniczne przechodzą specjalne szkolenia w odróżnianiu fałszywych dokumentów.

– Masz kogoś, kto chce się wydostać z Chin? – zapytał Akar. – Mogę mu pomóc za 5000 do 10 000 juanów. Nie będzie żadnego problemu. Jedyne, czego potrzebujesz to właściwe pozwolenie, które mogę dla ciebie zdobyć. W Tybecie Nangpa La kontrolowana przez LPZ jest ostatnią deską ratunku dla zdesperowanych Tybetańczyków, którzy chcą wydostać się z kraju – kpił Akar. – Ludzie, którzy muszą tamtędy przejść, nie mają środków finansowych ani koneksji – stwierdził. Są to ludzie bez paszportów i pieniędzy, którymi mogliby przekupić urzędników za odpowiednie papiery. Od dawna przypuszczano, że uciekinierzy, do których strzela się na przełęczy, nie zapłacili łapówek. Jakkolwiekby nie było, często dochodzi tam do strzelaniny. Akarowi nawet nie drgnęła powieka, gdy powiedział: – Każdego roku odnotowujemy około 30 incydentów, kiedy strzelamy do ludzi na terenach przygranicznych.

Benitez miał w ukrytej przegrodzie plecaka około 10 000 dolarów przeznaczonych na wypłaty dla szerpów pod koniec ekspedycji i co najmniej dodatkowy tysiąc na łapówki. W laptopie w arkuszu Excela eufemistycznie nazwał je: „koszt chińskiego personelu”. Tego pliku banknotów mógł użyć, żeby opłacić skorumpowanych urzędników lub żołnierzy – stanowiących jedyne prawo w górach Tybetu i łatwych do przekupienia – gdyby grupa miała jakieś kłopoty lub została zatrzymana po drodze. Już zapłacił nepalskiemu urzędnikowi na lotnisku, gdy znaleziono w jego plecaku 25 000 dolarów podczas podróży z Katmandu do Lhasy. W latach 90. LPZ podobno zażądała 4000 juanów od niemieckiej ekspedycji za zgodę na wyjście w góry.

W obozie do grupy Beniteza dołączył Tenzin, oficer łącznikowy Chińsko-Tybetańskiego Związku Alpinizmu. Oficjalnie miał zajmować się rozwiązywaniem wszelkich nieporozumień z żołnierzami. W praktyce był pośrednikiem pomiędzy wspinaczami i żołnierzami (nie szedł dalej niż do Chińskiego Obozu Bazowego). Oficerowie CTZA czasami wyłudzali duże sumy pieniędzy od ekspedycji, według własnego widzimisię potrajali opłaty za land cruisery lub podnosili ceny za pozwolenia, gdy wspinacze już znajdowali się na miejscu i nie mieli innego wyboru jak zapłacić. To był koszmar dla organizatorów. Pewna ekspedycja zapłaciła dodatkowo w sumie 30 000 dolarów podczas pobytu w Tybecie i miała problemy z wyjazdem.

Jedyne, czego potrzebowała grupa Beniteza w chińskiej bazie to zamiana SUV-ów na jaki (jedno zwierzę może przetransportować 55 kilogramów sprzętu). W ciągu dnia ekipa ćwiczyła umiejętności wspinaczki z liną na graniach prążkowanych skał.

Intensywny grad zmusił ich do wycofania się do namiotów. Po dwóch dniach wreszcie z ulgą wyruszyli w górę. Wędrówka do bazy głównej (ABC), znajdującej się na wysokości 5800 m n.p.m. na południowo-zachodniej ścianie Czo Oju, trwała dwa dni.

Po ich prawej stronie, w pylistej dolinie, tuż przy zamarznętej rzece, widzieli chińską bazę wojskową, Gyaplung. Można do niej dotrzeć w pół godziny, idąc pieszo od obozu bazowego. Leży na wysokości 4800 m n.p.m. i jest najwyższą umiejscowioną bazą straży granicznej w Chinach. Została zbudowana w 2003 roku przez oddziały inżynierskie LPZ, które położyły również drogę prowadzącą do Gyaplung. Z bazy widać Nangpa La, wzniesiono ją jako punkt operacyjny do polowania na uchodźców. Baza znajduje się w odległości 11 do 14 kilometrów od granicy z Nepalem.

Wspinacze szli przez 10 godzin, zanim droga zmieniła się w wąską, krętą ścieżkę. Kierownik szerpów, Ang Tshering, szedł obok Beniteza. Przez lata między nim a Benitezem stworzyła się ojcowska więź, wykształcona podczas wielu wejść na Everest. Był korpulentnym mężczyzną z pogodnym usposobieniem, szeroką twarzą i okularami w złotych oprawkach. Będący legendą w kręgach wspinaczy, Ang został przez króla Nepalu uhonorowany orderami za pracę w górach. Był synem kuriera z ekspedycji sir Edmunda Hillary'ego i przewodniczącym Nepalskiego Związku Alpinizmu, organizacji, która zajmuje się wyprawami górskimi w Nepalu. Jako *sirdar*, Ang zarabiał 2291 dolarów, czyli o 300 więcej niż pozostali szerpowie biorący udział w ekspedycji. Podczas gdy inni przewodnicy usługiwali klientom, zadania *sirdara* polegały na zatrudnianiu i zarządzaniu wszystkimi wynajętymi tragarzami, kontrolowaniu budżetu ekipy oraz dbałości o sprzęt. Mógł się przyczynić do rozwoju bądź przerwania kariery dowolnego szerpy.

Podchodząc pod Czo Oju, Ang i Benitez dyskutowali o logistyce wspinaczki. Za nimi szedł młody, roześmiany szerpa. Podczas poprzedniej ekspedycji na Everest, Sankay Dorje był kiepskim kucharzem, ale zrobił na wszystkich wrażenie swoimi umiejętnościami wspinaczkowymi, gdy został poproszony o chwilowe zastępstwo za chorego szerpę i wnosił sprzęt w góry. O świcie wyruszył z obozu II na Przełęcz Południową, wyprzedził inne ekspedycje i wrócił na dół na tyle wcześnie, że mógł swojemu klientowi podać lunch. Marzeniem każdego Szerpy jest zostanie przewodnikiem górskim, ale Szerpowie z niższej kasty mogą pracować tylko jako kucharze lub pomocnicy, nie wolno im się wspinać.

– Całkowicie zaskoczył starą gwardię – wspomina Benitez.

Ang, po długim zastanowieniu, pozwolił Sankayowi zostać wspinaczem. Nowy status odmienił jego życie. Teraz Sankay szedł z nimi na szczyt Czo Oju.

Obecnie w górskiej Dolinie Khumbu mieszka około 3000 Szerpów. W XVI wieku

Szerpowie (co dosłownie oznacza „ludzie ze wschodu”) przybyli z Khamu, żeby założyć farmy, pracować jako przewodnicy i kierowcy na szlakach handlowych pomiędzy Chinami a Indiami. Mozolnie przeszli przez Nangpa La w cieniu Czo Oju, żeby osiedlić się w Dolinie Khumbu, położonej u stóp Everestu. Obecnie wielu z nich utrzymuje się z pracy w ekspedycjach górskich.

Pod względem fizjologicznym Szerpowie są niezwykli, na dużych wysokościach mają niemal nadludzką wytrzymałość, głównie dzięki tybetańskiej spuściźnie i przystosowaniu do życia na wysokościach, które wykształciło się przez 500 lat. Dźwigają bardzo ciężkie ładunki. Obszerne badania z 1999 roku, w których wzięło udział 635 tragarzy, wykazały, że średni ciężar, jaki niosą, to 72 kilogramy. Nawet dwunastoletnie dzieci przenoszą między wioskami ładunki o wadze 25 kilogramów. Czasami do Nepalu przybywają podekscytowani doktorzy, żeby przeprowadzić eksperymenty medyczne na Szerpach. Belgijski lekarz odkrył, że mają niewiarygodnie wydajny metabolizm, dwa razy sprawniejszy niż ludzie z Zachodu. Niektórzy Szerpowie śmieją się ukradkiem ze swoich grubych, bogatych, białych klientów. Nawet kierownicy ekip są czasem postrzegani jako słabeusze.

Benitez dołożył starań, żeby zasłużyć na swoją reputację, choć czasem jego działania były dość kontrowersyjne. W 2003 roku przebywał w obozie II na Evereście przygotowując się do ataku szczytowego, kiedy do bazy przyniesiono chorego szerpę, Karmę. Benitez i kilku innych wspinaczy zrezygnowali z ataku, żeby uratować mu życie. Przez radio próbowali wezwać pomoc, ale prawie wszyscy ich zignorowali. Z pomocą przyszedł Argentyńczyk Willie Benegas, który dochodził do siebie po wyczerpującej dwutygodniowej wspinaczce na Nuptse, gdzie wybrał się ze swoim bratem bliźniakiem, Damianem. Skonstruowali prowizoryczne nosze i próbowali znieść szerpę z góry, ale chory zmarł po drodze. Po wszystkim Benitez padł w mesie w ABC. Nie udało mu się uratować Karmy. Jak tylko wziął się w garść, kilka godzin po tym jak znieśli ciało do obozu, natychmiast zamieścił na stronie MountainZone wpis o akcji ratunkowej.

Ze względu na podobne wypadki, nowoczesne technologie, które pozwalają na bieżące raportowanie zdarzeń, uznano za kontrowersyjne. Już w 2001 roku na Evereście Benitez zamieścił w sieci wpis o zdobyciu góry przez jego ekipę. Od tego czasu nieustannie dokumentował przebieg swojej kariery na różnych stronach internetowych poświęconych wspinaczce górskiej.

Zasadniczo chodzi o to, że ekspedycje, które dotychczas były odcięte od świata zewnętrznego, są obecnie bardziej odpowiedzialne za swoje czyny, ponieważ wieści o przebiegu wypraw docierają do przestrzeni publicznej w ciągu kilku sekund.

Na Evereście Benitez zamieścił emocjonalną relację, w której minuta po minucie opisał swój udział w akcji ratowniczej. Napisał: „Jedyne, co pamiętam to bieg. Bieg na wysokości niemal 6700 m n.p.m., żeby pomóc człowiekowi, którego nawet nie znałem”. Benegas, który również brał udział w akcji, był wstrząśnięty.

– W górach są dwa rodzaje ludzi – powiedział. – Ci, którzy chcą pomóc, bo naprawdę tego chcą. I ci, którzy chcą pomóc, ponieważ potrzebują sławy.

Po wysłaniu tej relacji Benitez wrócił do obozu razem z szerpami, którzy musieli zająć się swoimi klientami. Nie spodziewali się, że Benitez da radę wytrzymać ich tempo oraz 36-godzinny marsz. Okazało się, że nie mieli racji. To była bezprecedensowa prędkość, zwłaszcza dla człowieka z Zachodu.

– Wpłynęło to na stosunek szerpów do mnie – wspominał Benitez. – Dotrzymałem im kroku w drodze na dół, kiedy próbowaliśmy uratować Karmę, i potem, gdy wchodziliśmy do góry. Zyskałem ich szacunek.

Niektórzy ludzie gór postrzegali to inaczej. Wielu z nich oniemiało na wieść, że Benitez tak szybko nagłośnił śmierć Karmy. W kwietniu 2006 roku, ponownie będąc na Evereście, Benitez napisał na stronie AC o śmierci trzech szerpów, którzy zginęli na lodospadzie, już w chwili, gdy informacja o tym dotarła do obozu. Cotter twierdzi, że zakazał nagłaśniania wypadku.

– Luis napisał wzruszającą depezę o tragicznych zdarzeniach, w której wyraził sympatię i uznanie dla szerpów, ale nie zmienia to faktu, że zamieścił informację o śmierci tych ludzi, zanim udało się zawiadomić ich rodziny – mówi Cotter, który natychmiast skasował wpis. – Wśród ekip panuje porozumienie, że tego rodzaju informacje podaje się do publicznej wiadomości dopiero po powiadomieniu bliskich. Za sprawą łączy satelitarnych wieści o tragedii dotrą szybciej do ludzi na drugim końcu świata niż do członków rodzin w Nepalu.

W 2003 roku decyzja Beniteza o porzuceniu grupy i dołączeniu do ekipy ratunkowej nie przysporzyła mu popularności wśród liderów ekspedycji, którzy postrzegali go jako niezrównoważonego indywidualistę.

– Zszedł z jednej ścieżki, żeby zostać bohaterem na innej – powiedział jeden z kierowników grup, który pracował z Benitezem. – Na szczęście jest silny i mógł wrócić do swoich klientów. Jednak nikomu nie ocalił życia i naraził na ryzyko misję, za którą mu zapłacono. Pamiętam, że pracując z nim czułem się tak, jakby w namiocie nie było wystarczająco dużo tlenu dla nas obu. Odnosiłem wrażenie, że on przez cały czas chce być gwiazdą.

W połowie drogi do ABC grupa Beniteza zatrzymała się w obozie pośrednim, gdzie

prosto z namiotów Chińczycy sprzedawali herbatę i ciastka. Jan Anderson była osłabiona i miała zawroty głowy. Nie była w stanie składnie mówić. Benitez natychmiast przypisał jej stan chorobie wysokościowej. Paul Rogers uważał, że Jan doznała udaru cieplnego. Odeszli na stronę i zaczęli się sprzeczać. Benitez powrócił, by podać Anderson płyny oraz lekarstwo na chorobę wysokościową.

Rogers, który w Adventure Consultants pracował od lat, ale jeszcze nie wspiał się na żaden ośmiotysięcznik, czuł coraz większą irytację, że Benitez, mając na koncie tyle udanych wejść, mógł się uważać za lidera przewodników. Nie przepadał za aroganckim Amerykaninem i jego olśniewającym uśmiechem oraz nieustannym parciem na szkło. Za plecami nazywał go „Donny Osmond”.

Według Davida, brata Beniteza, jego ego rosło z każdym zdobytym szczytem.

– Ma ogromne ego, ale podejrzewam, że jest związane z terytorium – zauważył David. – Zawsze taki będzie. To jest jego nierozzerwalną częścią.

Benitez zatrudnił się w Adventure Consultants w 2003 roku. Jego największym atutem było to, że w dobie postępującej komercjalizacji Himalajów sprzedawał wycieczki w góry. Wśród współpracowników nie zasłynął jako wspinacz.

– Nie szukał żadnych nowych dróg wejścia, przez co zyskuje się szacunek w środowisku – mówi brytyjski przewodnik Victor Saunders.

Zamiast tego Benitez był uznawany za kompetentnego przewodnika, łatwo nawiązującego kontakt z klientami, podobnie jak nowy narybek młodych komunikatywnych wspinaczy, umiejących oczarować sponsorów i media oraz potrafiących zareklamować góry z charyzmą i urokiem osobistym.

– Marketing był jego silną stroną – powiedział Cotter. – Bardzo dobrze radził sobie z motywowaniem ludzi i sprzedawaniem wycieczek. – Ale ta umiejętność była również wadą Beniteza. Naruszył tabu mówiące o tym, że wspinacze powinni być lakoniczni i skromni w opowiadaniu o swoich osiągnięciach. – Częste wystąpienia publiczne i flirtowanie z mediami nie są mile widziane – powiedział Cotter. – Jednak kiedy nadarza się okazja, nie wahamy się z niej skorzystać.

Benitez szlifował swoje umiejętności. Każdego roku Everest zdobywało coraz więcej osób, wspinacze próbowali przebić jeden drugiego ciężkimi doświadczeniami życiowymi, żeby tylko zdobyć kontrakt na wydanie książki i serię wykładów. Oprócz niewidomego Erika Weihenmayera był również siedemdziesięcioletni mężczyzna, następnie siedemdziesięciosześcioletni, atak szczytowy w wykonaniu głuchoniemego, człowieka po amputacji obu kończyn, jednej kończyny i wielu innych z różnymi niepełnosprawnościami. Benitez ze swojej strony dołożył własną historię o tym, jak pokonał dręczące go w dzieciństwie alergie i astmę.



Cotter był przyzwyczajony do łagodzenia sporów między przewodnikami, które były nieodłączną częścią zarządzania nowoczesną firmą przewodnicką.

– Zawsze dochodzi do nieporozumień między przewodnikami, którzy nie pasują do siebie pod względem charakteru – powiedział. – Pracujemy w najbardziej ekstremalnym i najtrudniejszym środowisku. Problemem zawsze są nieadekwatne zarobki i wysoki stres. W takich okolicznościach uzewnętrzniają się różne problemy psychologiczne.

Kiedy Benitez i Rogers zadzwonili do Cottera z Czo Oju, żeby opowiedzieć o swoich pretensjach, kazał im skupić się na ekspedycji. Cotter miał świadomość umiejętności przywódczych Beniteza, ale wiedział też, iż ze szkodą dla klientów ma skłonność do wikłania się w akcje ratunkowe oraz przedsięwzięcia, które przyciągały uwagę mediów.

Następnego dnia ekipa zeszła na lodowiec Balung, który rozciągał się od północnego zachodu i stapał z Nangpa La. Grupa szła na południe przez skalistą ścieżkę dochodzącą do ABC. Po prawej wznosił się Jobo Rabzang. Niebo koloru ołowiu pociemniało jeszcze bardziej. Rozpadał się mokry śnieg, brnęli pod wiatr. Nawet idąc z opuszczonymi głowami ludzie Beniteza smagani byli śniegiem.

– Bardzo źle, bardzo źle – stwierdził jeden z szerpów idących za Angiem i Benitezem. Uważano, że burze śnieżne to zły omen, świadczący o gniewie bóstw górskich (ten szerpa został wynajęty przez brytyjskiego dewelopera Kevina Cubitta; najzamożniejsi klienci mogą sobie pozwolić na wydanie dodatkowych 1500 dolarów na osobistego szerpę, który niesie ich zapasy).

Kilku szerpów ciężko pracowało w bazie głównej na Czo Oju, uprzątając skały i kamienie, żeby zrobić platformy pod namioty. Dotarła dopiero połowa jaków; reszta wciąż przedzierała się przez burzę. Mimo gęsto sypiącego śniegu, wszyscy spotkali się na miejscu, żeby postawić Zielonego, długi na prawie sześć i pół metra namiot, pełniący rolę mesy. W Zielonym włączyli ogrzewanie gazowe. Zaparzyli herbatę, żeby wspinacze mogli ogrzać sobie stopy.

Baza główna na Czo Oju ma kształt jednopoziomowego amfiteatru długości około 1,6 kilometra, wznoszącego się nad Nangpa La. Każdego dnia handlarze prowadzący jaki, niczym długa kolumna mrówek przechodzą przez lśniąca, białą autostradę pomiędzy Tybetem a Nepalem. Są obładowani podrabianymi ubraniami sportowymi wyprodukowanymi w Chinach, które transportują do nepalskich sklepów sprzedających odzież trekkingową i wspinaczkową.

W ABC Ang przez chwilę obserwował przełęcz. Setki lat temu tą drogą przyszli jego rodacy w poszukiwaniu wolności. Ang pokonał ją wiele razy. Opowiedział Varcasowi

o tym, jak został kiedyś zatrzymany przez LPZ i spędził kilka dni w areszcie.

Wielu szerpów często znajdowało się w moralnie dwuznacznej sytuacji przez dostatek i partnerstwo ze wspinaczami z Zachodu. Byli zależni od zachodnich firm, które kierowały się moralnie wątpliwymi zasadami. Dwóch tybetańskich kucharzy pracowało w bazie ABC na Czo Oju, przygotowując obóz na przybycie klientów z Zachodu. We wrześniu 2003 roku zajmowali się tym samym, kiedy zobaczyli jak szesnastolatka, uciekinierka z Lhasy, wpada do szczeliny na Nangpa La. Jej piętnastoletnia siostra i pozostali członkowie grupy nie mieli lin, więc powiązali ze sobą swoje paski i opuścili do szczeliny, z której dochodziły paniczne wrzaski. Nie widzieli dziewczyny, nie mogli jej dosięgnąć, ale słyszeli głos. Jej ciało utknęło w lodzie, ale im bardziej walczyła, tym więcej wydzielała ciepła i topiła lód wokół siebie, przez co wpadała coraz głębiej do ciemnej szczeliny. Inni uciekinierzy odchodzili od zmysłów, rzucili jej *tsampa* (prażony jęczmień), ale sytuacja szybko zrobiła się beznadziejna. Obaj tybetańscy kucharze, którzy widzieli to przez lornetkę, pobiegli do wspinaczy, dla których pracowali. Ci byli wyposażeni w liny, drabiny i wszystko, co było potrzebne do uratowania dziewczyny. Mimo to zignorowali prośby, ponieważ był to dzień ataku szczytowego, odwrócili się na pięcie i wyruszyli na szlak, skazując nastolatkę na pewną śmierć.

Ang spojrział na groźne niebo, które z każdą godziną robiło się coraz ciemniejsze. Nadchodziła burza śnieżna. Trzeciego dnia w ABC, 12 września, szerpowie odprawili *puja*, prosząc górskie bóstwa o przychylność podczas wspinaczki na Czo Oju. W ciągu kilku dni wzniesli wysoki na półtora metra kopiec z kamieni, prowizoryczny *chorten*, relikwiarz, w którym przechowuje się buddyjskie święte przedmioty. Umieścili na nim baner Adventure Consultants oraz flagi modlitewne. Wokół ołtarza rozłożyli czekany. Na ołtarzu stały świece i ofiara z jedzenia.

Gdy Ang się modlił, szerpowie pochylili głowy, naciągnęli kaptury, ręce ukryli w kieszeniach chroniąc się przed wiatrem. Od czasu do czasu rzucali na ołtarz garść poświęconego ryżu. Ich klienci cierpieli na tej wysokości na ból głowy, ale sączyli piwo z butelki. Po mniej więcej godzinie ceremonia dobiegła końca. Mimo krótkich przerw, burza śnieżna nie ustępowała.

*Wielu mieszkańców Zachodu postrzegało Tybet  
jako tajemnicze, niedostępne sanktuarium,  
Tybetańczycy natomiast szukali takiego miejsca  
gdzie indziej.*

Edwin Bernbaum, *The Way to Shambala*

# Przemytnicy ludzi

Późnym wieczorem, kiedy 13 uciekinierów było gotowych do drogi, właściciel kryjówki szorstko pożegnał się ze swoją żoną i wyruszyli, wysoko stawiając kołnierze i nerwowo rozglądając się w poszukiwaniu funkcjonariuszy UBP. Żeby nie przyciągać uwagi, grupa podzieliła się na kilka mniejszych. Ulice były zapchane samochodami. Łatwo można było rozpoznać auta należące do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, ponieważ miały czarno-białe nalepki oraz rzędy dodatkowych świateł, ale LPZ nie była równie ostentacyjna. Starsi oficerowie jeździli w nieoznaczonych land roverach i toyotach land cruiser. Kelsang chwyciła dłoń Dolmy. Lobsang Samten, drobna mniszka, szła razem z nimi.

Pół godziny wcześniej Dolma i Kelsang zebrały burę za opóźnianie wyjścia. Dziewczyny straciły poczucie czasu w Pałacu Potala. Kiedy wpadły biegiem do kryjówki, zarumienione i bez tchu, spotkały się z dezaprobatą. Dolma próbowała się usprawiedliwiać, mówiąc o tym, że po raz ostatni były w Potali.

Zanim wyruszyli, właściciel kryjówki powiedział, że będą podróżować do Indii przez Nepal i most Przyjaźni. Droga z Lhasy miała im zająć dwa dni. Uchodźcom wydawało się, że szli przez kilka godzin, przechodzili między domami i przez dziesiątki pól. Dolma sądziła, że idą na zachód, kierując się na północno-wschodnie dorzecze Lhasy. Całe miasto otoczone było obiektami wojskowymi, ale na południowym wschodzie i południowym zachodzie było ich szczególnie dużo. Mijali zabudowania ogrodzone drutem kolczastym i skąpane w blasku pomarańczowego światła lamp fabryki sprzętu Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, magazyny i więzienia.

Idąc dalej uchodźcy mijali liczne place budowy. Na jednym z nich zebrał się tłum robotników, żeby przyglądać się walce toczonej przez dwóch chińskich budowlańców. Dzięki temu grupa mogła łatwo przemknąć niezauważona.

Wychodząc z za rogu natknęli się na uzbrojonych żołnierzy, stojących na warcie

przed obiektem wojskowym. Dolma poczuła jak kurczy się jej skóra na głowie, przyływ adrenaliny zaraz zmienił się w paniczny strach. Ale wartownicy zupełnie się nimi nie zainteresowali.

Na południu leżało więzienie Drapchi. Dawniej był to rozległy garnizon wojskowy, teraz przebywało tam tysiąc osadzonych, wielu z nich pod zarzutem „zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa”, ponieważ brali udział w pokojowych protestach w imię wolności Tybetu.

Wkrótce droga zmieniła się w kamienny szlak, biegnący wzdłuż śmierdzącego rowu. Za osłonę służyły gęsto nasadzone topole, które miały powstrzymać erozję ziemi. Na chaotyczny krajobraz składały się opuszczone i zbudowane do połowy budynki oraz ciężki sprzęt. Po 90 minutach od opuszczenia bezpiecznego domu Dolma rozpoznała w oddali klasztor Sera.

Na górze wznoszącej się nad ich głowami rozciągało się największe w Lhasie miejsce podniebnego pochówku, Gyaltzen Ri<sup>[37]</sup>.

Staruszek kazał im się zatrzymać. Stali i czekali przez pół godziny prawie ze sobą nie rozmawiając, niespokojni i bezbronni, przestępując z nogi na nogę. Wreszcie ujrzeli nadjeżdżającą ciężarówkę oraz dwa samochody. Ciężarówka, ośmiotonowy Qitong z niskim podwoziem długości około sześciu metrów, była popularnym środkiem transportu w Tybecie.

Z kabiny wyszło dwóch ciepło ubranych mężczyzn i przywitało się z człowiekiem z kryjówki. Dolma rozpoznała ich akcent – pochodzili z Khamu. Penpa był wysoki, miał wydatne kości policzkowe i posępne spojrzenie. Gyaltzen<sup>[38]</sup>, mocno zbudowany człowiek z kozią bródką, przyglądał się stojącej w półmroku grupie.

Penpa i Gyaltzen byli elitarnymi przewodnikami górskimi, którzy eskortowali ludzi podczas niebezpiecznych ucieczek z Tybetu. Można ich odnaleźć tylko wtedy, gdy ma się kontakty w tybetańskim podziemiu. Podobnie jak ich zachodni odpowiednicy, którzy przeprowadzają przez góry łowców przygód, tak zwani przemytnicy ludzi są wysoce cenieni i dużo zarabiają. Pracują w niezwykle niebezpiecznej branży. Gdyby zostali złapani, groziłaby im wysoka kara więzienia, sięgająca nawet 20 lat.

Przewodnicy z najlepszą reputacją, a tych jest tylko kilkunastu, zarabiają stosownie do swoich kompetencji. Jeden z nich, o imieniu Dorje, jest łatwo rozpoznawalny, ponieważ jego ciało pokrywają blizny po odmrożeniach, których nabawił się na Nangpa La, gdy musiał zdjąć koszulę w burzy śnieżnej, żeby związać nią rozpadające się buty. Wyprowadził na wolność ponad 500 ludzi.

Jest duży popyt na tych, którym udało się bezpiecznie przeprowadzić uchodźców. Najślawniejszy w podziemnej sieci jest Namkha z Amdo, o którym mówi się, że jest

najszybszym i najefektywniejszym przewodnikiem w Tybecie (potrafi podobno przeprowadzić grupę przez Nangpa La w czasie krótszym niż osiem dni). Chińscy przygraniczni strażnicy w obrębie Himalajów ustawiają mobilne punkty kontroli, ale Namkha potrafi czytać znaki na ziemi i wie, gdzie można się na nich natknąć.

Nawet on nie mógł jednak uchronić swoich podopiecznych od brutalności Nangpa La. Podczas jednej nieudanej wyprawy 22 uchodźców dostało się w obszar burzy śnieżnej przy granicy z Nepalem. Pięciu z nich zmarło z wyziębienia. Ciała dwóch dziesięciolatków i jedenastoletniej siostry jednego z nich zostawiono na przełęczy owinięte w koce. Jeden z tych, którzy przeżyli, po dotarciu do Katmandu musiał mieć amputowane obie nogi poniżej kolan ze względu na silne odmrożenia.

Przewodnicy mają złą reputację. Czasami porzucają uchodźców na pewną śmierć na wysoko położonych przełęczach. Zdarza się, że to zwykli bandyci, którzy domagają się seksu od kobiet, które mają pod opieką, a w razie odmowy dopuszczają się gwałtów. Na przełęczach w Wysokich Himalajach nie istnieje coś takiego jak prawo i moralność.

Trudno znaleźć nielegalnych przewodników, ale w Katmandu pod koniec 2006 roku udało mi się odnaleźć jednego chętnego do rozmowy. Dwudziestodwuletni Lubum[39] utrzymuje się z nielegalnego przemytu ludzi, za co został poddany torturom i osadzony w więzieniu. Ma szczupłą, podejrzliwą twarz, rzadko wygląda na zrelaksowanego.

– Chińczycy mówią, że jestem przemytnikiem ludzi. Ale ja robiłem to dla Tybetańczyków. To jedyny sposób, żeby zachować kulturę i język tybetański – powiedział. Nie chciał zdradzić czy w dalszym ciągu aktywnie działa w branży. – Całe pokolenie Tybetańczyków nic nie wie o życiu przed Chińczykami – stwierdził. On sam poznał swoje dziedzictwo dopiero po ucieczce do Indii w połowie lat 90. – Niczego nie wiedziałem o Chinach, ale na obczyźnie usłyszałem jak niszczą naszą kulturę i nasz język.

Postanowił wrócić, żeby pomóc innym w ucieczce, aby i oni mogli skorzystać z tybetańskiej edukacji.

Opłata za przeprowadzenie jednej osoby z Tybetu do Dharamsali, według Lubuma, wynosi 2000 juanów (ok. 300 dolarów). Ofiary prześladowań są eskortowane za darmo. W nieoznaczonych ciężarówkach Lubum przewoził uchodźców do Xigazê przez wojskowe punkty kontrolne. Dzieciom, których nie stać na rękawiczki, na Nangpa La czasami owijają ręce kawałkami materiału i plastikowymi woreczkami, żeby uchronić je od odmrożeń.

– Przez cały czas byliśmy namierzani przez Chińczyków – opowiadał o swojej

niebezpieczniej pracy. – Poruszanie się w obrębie wsi było ryzykowne, ponieważ Chińczycy płacili wieśniakom za informacje na nasz temat, więc zawsze musieliśmy wybierać trudniejszą drogę. Przez góry, przez strumienie, żeby ominąć wojskowe punkty kontrolne.

Przez większość czasu miał szczęście. Często prowadził grupy składające się aż z 50 ludzi. Jednakże pewnego razu jakiś młody mnich, cierpiący na żółtaczkę, poważnie się rozchorował podczas podróży.

– Niosłem go, ale umarł na moich plecach – powiedział Lubum. – Musieliśmy zostawić jego ciało w śniegu, tak, żeby nie znaleźli go żołnierze.

W grudniu 2002 roku przewodnik zapłacił wysoką cenę za swoją pracę. Jakiś informator przekazał ważne dane władzom chińskim. Lubum był przesłuchiwany przez osiem miesięcy w więzieniu Gutsa, kilka kilometrów od centrum Lhasy. Więzienie specjalizowało się w „przyznawaniu się do winy” wymuszonym drewnianymi kijami i elektrycznymi pastuchami. Lubum został tak pobity, że nie mógł utrzymać się na nogach. Podwinął nogawkę spodni, żeby pokazać mi paskudną bliznę, której nabawił się, gdy został rzucony na pręty grzejnika elektrycznego stojącego w pokoju przesłuchań.

– Chcieli, żebyśmy uznali zwierzchnictwo Chin i wyparli się Tybetu – powiedział, oczy błyszczały mu pod daszkiem bejsbolówki. – Ale my tego nie mogliśmy zrobić.

W końcu Lubum został skazany na cztery lata więzienia. Po kilku latach jego rodzina uzbierała dość pieniędzy, żeby przekupić funkcjonariusza więziennego, który go wypuścił.

– Oddali mu wszystko, co mieli – przyznał.

Penpę motywowały dobre zarobki, nie altruizm. Stał koło ciężarówki, ale dominował nad innymi samą swoją obecnością, co było spuścizną po latach służby w Ludowej Policji Zbrojnej. Kilka lat wcześniej zgubił pistolet podczas patrolu w górach. Został skazany przez sąd wojskowy i wtrącony do więzienia. Gdy został wypuszczony, jego byli chińscy koledzy ze służby i tybetańscy rodacy zaczęli go unikać. Teraz Penpa zarabiał na życie prowadząc uchodźców przez te same góry, które kiedyś patrolował. Był gburowaty i przewrażliwiony. W ostatnich latach ryzyko związane z branżą mocno wzrosło, ponieważ chińskie władze próbowały ukrócić ucieczki przed olimpiadą w 2008 roku. W związku z tym przewodnicy zwiększyli stawki.

Według Dolmy, coś tu się nie zgadzało. Właściciel kryjówki powiedział grupie, że będą jechali jeepami, ale zamiast tego pojawiła się wielka ciężarówka, znacznie większa niż było to konieczne.

Kwadrans po tym jak przybyła ich grupa, niezliczone postaci zaczęły wynurzać się z ciemności, nadciągały ze wszystkich kierunków, niektórzy na rowerach, inni samochodami, pozostali szli pieszo. Niektórzy pochodzili z dalekiego wschodu, nawet z Syczuanu oraz dalekiej północy, z Amdo. Rodzice wysyłali dzieci po to, by dać im możliwość nauki tybetańskiego na imigracji. Jeden czterolatek, Jinpa<sup>[40]</sup>, przybył ze swoim starszym bratem, Jigme Kaldenem. Wszystkie dzieci miały małe plecaki, w których niosły pożywienie i zdjęcia swoich rodzin.

Dwudziestoczteroletnia mniszka Dechen Pema była wysoką, smukłą kobietą pochodzącą z prefektury Chamdo, ale obecnie mieszkała w Lhasie. Opiekowała się Samdhup, psychicznie chorą szesnastolatką, której rodzice uważali, że jeśli uda im się przenieść córkę do Indii, zyska tam szansę na lepsze życie. Przez kilka dni Dechen spotykała się z tajemniczym pośrednikiem, który wreszcie doprowadził do finalizacji umowy z przemytnikami. Tego dnia wyjechała z Samdhup po łzawym pożegnaniu z jej rodzicami. Wieziono je zygzakiem przez Lhasę, co kilka godzin zatrzymując się i zmieniając samochody. Jej pośrednik niczego nie zostawiał przypadkowi. Przez cały czas Dechen uspokajała Samdhup, uciszając ją, żeby nie zaalarmowała władz jakimś hałasem lub dziwnymi pytaniami.

W poprzedzających dniach w Lhasie odbyło się kilka sekretnych spotkań związanych ze zbliżającym się przerzutem: odbywały się w pobliżu Pałacu Potala, w restauracjach, w okolicy Barkhor. Wszyscy zostali poinformowani o czasie przyjazdu ciężarówki na przedmieścia.

Ostatecznie wokół pojazdu zebrało się 74 ludzi. Przerzut takiej grupy wiązał się z dużym ryzykiem. Przewodnicy połączyli swoje zasoby, żeby zarobić więcej pieniędzy.

Kelsang rzuciła się do przodu, gdy wszyscy zaczęli wspinać się na ciężarówkę. Przewodnicy najpierw wprowadzili dzieci. W środku stały się niewidoczne. Na zewnątrz wybuchła kłótnia. Dwóm mężczyznom nie pasowała cena oraz liczba zabieranych ludzi.

– Powiedzieliście nam, że będzie 11 osób – protestował zdenerwowany mężczyzna starając się mówić szeptem. – Co to ma znaczyć?

Jeden z nich domagał się zwrotu pieniędzy. Zapłacili po 5000 juanów (730 dolarów), co było najwyższą stawką za przerzut.

Przewodnik Penpa zabrał ich na stronę i zapewnił, że wszystko będzie w porządku.

– Nie martwcie się – powiedział cicho. – Nie wszystkim się uda. Niektórzy zrezygnują, inni polecą w dół, ale wam nic się nie stanie – powiedział ze złowieszczym uśmiechem.

Uniósł plandekę, żeby wpuścić ich na przyczepę ciężarówki. W świetle księżyca błysnęła jakaś twarz. Dzieci płakały w ciemności, niektóre szlochały i wzywały



rodziców. Nagle z lewej strony samochodu rozległ się huk, to jeden z przewodników uderzył w karoserię z zewnątrz, każąc uciszyć dzieci.

Silnik odpalił z prychnięciem.

I kiedy ciężarówka ruszyła, kierowca nagle wcisnął hamulce. Na zewnątrz pojawiły się dwie postacie i pobiegły do samochodu przewodników (dla zachowania bezpieczeństwa przewodnicy jechali za ciężarówką; podróżowanie z podopiecznymi było zbyt niebezpieczne). Po krótkiej rozmowie z przewodnikami, ludzie ci wskoczyli na tył dużego auta, w chwili, gdy znowu ruszyło.

Jednym z nowo przybyłych był Jamyang Samten, twardy piętnastolatek z nastroszonymi włosami. Mimo bólu w rękach – gdy samochód przyspieszał, przytrzymywał się poprzeczki nad głową – rozpierała go energia. Od dawna na to czekał.

Wychowywał się w oddalonej wsi Theshur w okręgu Jomda w Chamdo, głęboko w sercu Khamu, i od lat pielęgnował w sobie nienawiść do Chińczyków. Jego rodzina mieszkała w szmaragdowych wąwozach i na skalistych górskich graniach w okolicy, która słynęła z silnego tybetańskiego nacjonalizmu. Należące do jego rodziny wytrzymałe tybetańskie kuce były dumą wsi i duszą tej na wpółkoczowniczej społeczności. Ale pewnego roku przybyli chińscy biurokraci i podzielili ich ziemie. Wkrótce potem zabrali wszystkie kuce i umieścili je w zarządzanych przez państwo stajniach. Jamyang był zdruzgotany, kiedy zabrano jego cennego czarnego ogiera. Włamał się więc do chińskiej stajni, żeby sprawdzić, co dzieje się z jego koniem, ale go złapano, pobito i zatrzymano.

Nomadzi zostali zmuszeni do płacenia za ogrodzenia, które podzieliły wielki step na kawałki, teraz dzikie gazy i jaki nie mogły się już po nich przechadzać. Tak, według sekretarza partii Tybetańskiego Regionu Autonomicznego (TRA), Zhanga Qingli, miała wyglądać „piękna, nowa, socjalistyczna wieś”. Nieliczne źródła wody zostały do cna wyczerpane. Zwierzęta pozdychały z pragnienia i głodu.

Wkrótce potem Jamjang został posłany do szkoły z internatem, gdzie odkrył, że wśród Tybetańczyków i Chińczyków panuje segregacja. W 37-osobowej klasie był jednym z zaledwie siedmiu Tybetańczyków. Chińscy uczniowie dostawali lepsze jedzenie i zakwaterowanie, natomiast Tybetańczycy – lanie za każde przewinienie. Każdego ranka ćwiczyli na głównym dziedzińcu szkoły. Potem musieli recytować myśli Przewodniczącego Mao. W klasie wtłaczano w nich retorykę prokomunistyczną.

Po tym jak został wychłostany za złe zachowanie, Jamyang wraz z kilkoma kolegami wymyślił plan, że ucieknie ze szkoły na trzy dni w nadziei na wydalenie z niej w ramach kary. Udało się. Po powrocie do domu Jamyang jeszcze bardziej

znienawidził Chińczyków. Kiedy na szyi kucharza z pobliskiego klasztoru przypadkiem zobaczył wisiołek przedstawiający Dalajlamę, zrobił wielkie oczy. Później mężczyzna opowiedział mu o ucieczce Jego Świątobliwości oraz chińskiej inwazji na Tybet. Chłopak po raz pierwszy usłyszał prawdziwą historię Tybetu. Postanowił również uciec do Indii. Kiedy ojciec sprzeciwił się jego planom, chłopak zmienił taktykę i powiedział, że chce się udać na pielgrzymkę do Lhasy.

W Lhasie Jamyang namierzył krewnego, któremu powiedział o swoim planie wyjazdu do Indii. Był tylko jeden warunek: Jamyang musiał udać się po przepowiednię do lamy w Barkhor. Kiedy go odnalazł, mężczyzna nie miał dobrych wieści – powiedział, że to zła pora na podróż do Indii. Ale Jamyang był zdeterminowany. Kiedy wrócił, krewny zapytał, co powiedział lama.

– Przepowiednia była pomyślna – skłamał chłopak.

Po kilku dniach w mieście został zaprowadzony przez mnicha na spotkanie odbywające się po wschodniej stronie Lhasy. Tam spotkał się z Tsultrimem Lhodoe, chłopakiem mniej więcej w jego wieku, który podobnie jak on był niepokorny i uparty. Szybko się zaprzyjaźnili. To miała być przygoda ich życia.

W ciemności Dolma poczuła, że dłoń Kelsang mocniej zaciska się na jej ręce. Dzieci jęczały, kiedy ciężarówka wpadała w koleiny. Z tyłu przyczepy dochodziły ich modły kilku pasażerów. Było bardzo gorąco i klaustrofobicznie. Dolma usłyszała głos Kelsang, która szeptała w ciemności:

– Umrzemy tutaj. Nie da się tego przeżyć.

Za każdym razem, gdy ciężarówka stawała, napięcie w pozbawionej powietrza przyczepie stawało się nieznośne. Na jednym z przystanków jakiś człowiek wyskoczył i uciekł gdzieś w ciemność. Gdy ciężarówka zwalniała, uciszano dzieci. Raz czy dwa razy Dolma usłyszała jak ktoś bije dzieci, ponadto słychać było stłumione krzyki, pełne złości szeptu i powstrzymywany szloch. Gorsza od klaustrofobii i niewygody była tylko nieświadomość tego, jakie niebezpieczeństwo czai się na zewnątrz. Po dwóch godzinach jazdy ciężarówka stanęła, ktoś uniósł plandekę. Dzieci wyciągały szyje, żeby coś zobaczyć. Ktoś głośno wciągnął powietrze do płuc, a potem ulga, bo ujrzeli twarz Penpy.

Dolma i Kelsang próbowały odgadnąć, gdzie się znajdują. Widziały zarys krzaków jałowca i rododendronów oraz stromą wapienną skarpe. Na wzgórzu było 80 grot medytacyjnych i kamiennych chatek. Dojechali do Dra Yerpa, głębokiej, kamiennej doliny i jednego z najświętszych miejsc poza Lhasą, do których udawały się pielgrzymki. Oddalali się od celu. W ten sposób, objeżdżając miasto dookoła

i wybierając rzadziej kontrolowane drogi, przewodnicy próbowali ominąć liczne punkty kontrolne na wschód od Lhasy, gdzie zapewne zostaliby obfotografowani.

Znalazłszy się na świeżym powietrzu uchodźcy, podzielili się na mniejsze grupy, według miast, z których pochodzili. Grupa z Driru liczyła 13 młodych mężczyzn i kobiet.

Po spędzeniu dnia w Dra Yerpa, podczas którego uchodźcy udawali pielgrzymów, gdy tylko zapadła ciemność wszyscy z powrotem weszli na pakę ciężarówki. Droga była gładka, noc chłodna, świeża bryza przedostawała się pod plandekę. To chłodne powietrze znad rzeki Tsangpo, która płynęła wartkim nurtem pod Autostradą Przyjaźni. Droga wiała się wzdłuż rzeki.

Wczesnym rankiem jechali opuszczoną autostradą między Lhasą a Xigazê. To było wysoce zmilitaryzowane miasto, otoczone punktami kontrolnymi. Władze rozprawdzały po mieście ulotki oferujące nagrody tym, którzy doniosą na uchodźców. Gdy zbliżali się do centrum, trzydziestojednoletni Lobsang Choedon był coraz bardziej zdenerwowany. Miał zniszczoną, miedzianoczerwoną twarz oraz niewielki, wystający brzuch.

Choedon i jego żona, Yeshe Dolma, marzyli o podróży do Indii, żeby zobaczyć Dalajlamę. Para wraz z dwójką małych dzieci mieszkała w okręgu Kardze (chiń. Ganzi) w Syczuanie (tybetański Kham), bastionie wsparcia dla Dalajlamy i wolnego Tybetu. Chińczycy nazywali go „szyją Tybetu” – wystarczy ją ścisnąć, żeby przejąć kontrolę nad państwem.

Mężczyzna o nazwisku Kardze wraz z żoną handlował kordycepsem chińskim oraz skórą jaka. Za pół kilograma grzyba zarabiał nawet do 30 000 juanów. Posiadał również dobrze prosperujące gospodarstwo i specjalizował się w uprawie pszenicy, ale chińskie władze nakazały mu zasadzić drzewa na najlepszych polach, by zapobiec erozji ziemi. Kiedy skupił się na handlu grzybem, nałożono na niego bardzo wysoki podatek.

Rolnik pomagał swojemu staremu ojcu, który przez całe życie co jakiś czas trafiał do więzienia za domaganie się niepodległości dla Tybetu. Choedon odsiedział wyrok w więzieniu Drapchi za posiadanie noża, którego używał do pracy w gospodarstwie. Dotąd go bito, aż przyznał się, że jest złodziejem.

Mimo przeciwności, Choedon i Yeshe Dolma zdołali odłożyć dość pieniędzy na podróż do Indii. Choedon złożył wniosek o paszport na posterunku policji. Było to niewykonalne zadanie, biurokratyczny koszmar, który musiał być autoryzowany przez policję, okręg, prefekturę i administrację TRA. Podanie Choedona zostało odrzucone ze względu na to, co nazwali nadchodzącym „wielkim pokazem”. Choedon

potem dowiedział się, że chodziło im o olimpiadę w Pekinie w 2008 roku. To przez nią zakazano Tybetańczykom podróży poza ich kraj: Chiny, które z tego powodu były na oczach całego świata, nie miały zamiaru pokazywać się w złym świetle ani narażać na złą prasę ze strony uchodźców.

Mimo wszystko Choedon i jego żona, koścista kobieta o radosnym usposobieniu, z dużymi białymi zębami, byli zdeterminowani. Spotkanie z Dalajlamą miało im przynieść błogosławieństwo w tym życiu oraz dobrą reinkarnację w kolejnym. Zostawili dwójkę małych dzieci, czteroletniego syna Tenzina Dodje i dwuletnią córkę Lobsang Youdon, pod opieką jego rodziców. Wyruszyli razem z lamą i mniszką. Para dotarła do Lhasy, a następnie do Xigazê. Zostali zatrzymani podczas kontroli drogowej przez UBP i zabrani na przesłuchanie w Tingri, niedaleko granicy. Rozdzielono ich, Choedon został pobity i zmuszany do wyznania, że jechał do Dalajlamy. Trzymał się dzielnie, zacisnął usta i do niczego się nie przyznał. Wiedział, że kara będzie o wiele gorsza, jeśli potwierdzi ich przypuszczenia.

Po dwóch dniach wreszcie ich zwolniono, nie uzyskawszy żadnych dowodów na domniemaną ucieczkę. Ale zatrzymanie napędziło Yeshe strachu. Miała teraz ataki paniki na sam widok oficera UBP. Nie dałaby rady podczas drugiej próby ucieczki. Niezniechęcony Choedon postanowił, że spróbuje jeszcze raz. Po łzawym pożegnaniu na dworcu autobusowym w Lhasie, Choedon i Yeshe rozstali się. Teraz Choedon mijają te same punkty kontrolne, gdzie aresztowano go kilka dni wcześniej.

Ciężarówka zwolniła i zatrzymała się. Penpa okrążył ją i stanął z tyłu, żeby ostrzec ich, że mogą zostać zatrzymani. Pod plandeką powietrze było gęste i gorące. Nie było czym oddychać. Dolma wstrzymywała oddech; Kelsang znieruchomiała obok niej. Z zewnątrz dochodził język mandaryński. Chińscy żołnierze. Ktoś zakaszłał i zaraz został uciszony. Słyszeli kroki. Nikt nie mógł zrozumieć, co mówili żołnierze. Dolma patrzyła do tyłu, spodziewając się, że jeśli ktoś odsunie plandekę, ujrzy lufy pistoletów oraz latarki. Ale po około pięciu minutach ciężarówka ruszyła.

Odbili od chodnika i ruszyli w noc. Kiedy wreszcie się zatrzymali, Dolma zobaczyła, że znajdują się w odludnym wąwozie. W przeciwieństwie do Xigazê, gdzie duże ciężarówki nie były niczym nadzwyczajnym, w Lhartse mogły budzić podejrzenia. Samochód zjechał do miasta przed głównym punktem kontrolnym. Odpoczywali za dnia, a gdy zapadła noc znowu wyruszyli.

Kiedy wreszcie odchyłono plandekę, Kelsang i Dolma wraz z innymi zeszły z paki ciężarówki. Dolma szczelniej okryła się płaszczem, ponieważ wył wiatr. Drobnny żwir uderzał ją w twarz, dlatego musiała mrużyć oczy. Inni odwrócili się tyłem do porywistych podmuchów. Obok niej stanęła Kelsang, chroniąc się od wiatru.

– To nie jest Dram – krzyknęła zdruzgotana. – Zostaliśmy oszukani!

Wyjątkowo mocny podmuch zerwał z głowy Dolmy czapkę, którą kupiła w Barkhor. Poleciała gdzieś w noc. Próbowwała ją złapać, ale była zbyt wolna. Gdy się uspokoiła, odniosła wrażenie, że w ciemności ziemia ucieka jej spod nóg. Gdzieś tam była przełęcz Nangpa La.

*Jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby pomóc.  
Powyżej 8000 metrów  
nie ma miejsca na moralność.*

Japoński wspinacz Eisuke Shigekawa

# Miasto na górze

Od samego początku klienci Beniteza byli zaskoczeni stopniem trudności. Wyruszyli o siódmej rano na pierwsze wejście do obozu I, znajdującego się na wysokości 6594 m n.p.m., co miało im zająć od czterech do ośmiu godzin. Kierując się na południowy wschód ekipa przeszła przez lodowiec, a następnie wspięła na zachodnią ścianę Czo Oju. Szli przez wiszący parów, który wytworzył się na skalistej ścianie. W połowie drogi, po dwóch godzinach, minęli pole lazurowych penitentów, skupisko wysokich na 9 i 12 metrów formacji lodowych, skierowanych w stronę słońca. Następnie doszli do przerażającej skarpy. Wspinacze nazywali ją: „okropnym wzgórzem”, „wzgórzem zawału serca” lub „strasznym wzgórzem”. Szlak prowadził zygzakiem przez niemal pionową ścianę. Gdy rozpoczęli mozolną wspinaczkę po zdradliwej ścieżce, spod ich butów osuwały się kamienie.

Wspinając się coraz wyżej grupa zaczęła proces aklimatyzacji znany jako „wchodzić wysoko, spać nisko”. Przez następne dwa tygodnie będą wspinąć się do wyżej położonych obozów i wracać do bazy głównej, żeby przyzwyczaić organizmy do wysokości przez atakiem szczytowym.

Kilkaset metrów pod obozem I wspinaczka była szczególnie niebezpieczna. Na stoku góry wisiały skały wielkości telewizorów. Nieostrożny ruch ze strony himalaisty mógł skończyć się oderwaniem skały. Benitez widział już powalonych przez nie ludzi.

Poprzedniego dnia obok swojego namiotu w ABC Benitez skonstruował „górski sejf”. W góry docierało coraz więcej ludzi, często zdarzały się kradzieże. Obozy bazowe przez kilka miesięcy były jak wyuzdane miasta przygraniczne i rozrastały się na zboczu gór jak porosty. Parę miesięcy wcześniej ukradziono potężny akumulator, którego używali filmowcy z Discovery Channel. Z namiotów wyciągano nawet liny, ubrania oraz butle z tlenem. W bazie pod Everestem usługi świadczyły prostytutki. Benitez obciążył kamieniami dużą niebieską beczkę. Do środka wsadził pieniądze przeznaczone na

wypłaty dla szerpów pod koniec ekspedycji. Zamknięcie zabezpieczył dużą kłódką.

Tego wieczoru grupa Beniteza ogrzewała się w Zielonym i oglądała *Matrixa*. Rano, gdy już wyszli z obozu, zaczęło się przejaśniać i ukazały się wspaniałe widoki. Po pięciu godzinach dotarli do obozu I, znajdującego się na sterczącej skale, pokrytej kryształowo białym śniegiem po zachodniej stronie góry, z której rozciągał się widok na Nangpa La. Drobny śnieg, okrywający wyższe partie w blasku zachodzącego słońca, mienił się brzoskwiowym odcieniem. Po krótkim odpoczynku zawrócili i zaczęli schodzić do obozu bazowego.

Schodząc, zmagając się z bólem głowy, grupa Beniteza minęła kilka innych zespołów podchodzących pod obóz I. Benitez zauważył wyjątkowo dziwnego człowieka z długą, rudą brodą. Wyszkolone oko przewodnika oceniło, że mężczyzna wspina się niebezpiecznie szybko. Tym bardziej że był sam.

Walcząc o oddech mężczyzna osunął się na ziemię obok grupy AC. Mówiąc z silnym wschodnioeuropejskim akcentem nawiązał rozmowę z Paułem Rogersem o wspinaczce w Alpach Południowych na Nowej Zelandii. Twierdził, że znalazł się na Czo Oju, żeby nakręcić film dokumentalny.

Gdy mężczyzna się pozbierał i ruszył pod górę po stromym szlaku, Benitez pokręcił głową.

– Co za cudak! – powiedział.

Sergiu Matei był kamerzystą z Rumunii. Oszczędzał, wyprzedał cenny dobytek i pracował po godzinach, żeby spełnić swoje marzenie: wejście na szczyt ośmiotysięcznika w Himalajach. Prostolinijny i zadziorny były zawodnik rugby miał skłonność do mówienia prosto z mostu i używania wulgarnego języka. Ten muskularny dwudziestodzieciolatek uwielbiał ekstremalne wyzwania związane ze wspinaczką górską.

Matei zainteresował się wspinaczką, kiedy filmował demonstrację alpinistów, którzy zjeżdżali po linie ze ściany budynku rumuńskiej stacji PRO TV w Bukareszcie. Zdobywał doświadczenie na skałach Karpat w Rumunii, gdzie najwyższy szczyt miał zaledwie 2544 m n.p.m. Podczas jednej z wypraw poznał Alexa Gavana, dwudziestoczterolatek, który podobnie jak on marzył o zdobyciu Czo Oju. Pełen pasji alpinista, który pod swoimi mailami umieszczał zdanie: „Wspinaczka wysokogórska to także zdobywanie szczytów, które masz w sobie”. Gavan twierdził, że nie skorzysta z pomocy szerpów ani tlenu podczas podejścia pod Czo Oju. Żeby zaoszczędzić, sam wniesie swój sprzęt na górę i zniesie go.

Matei zainspirował się Gavanem i zapytał, czy może do niego dołączyć. Zebranie



15 000 dolarów na pozwolenia, koszty utrzymania oraz przelot było dużym wyzwaniem, ale Matei postawił na swoim. Sprzedał swojego ukochanego volkswagena corrado i dwa obiektywy fotograficzne oraz poświęcił mnóstwo energii na zdobycie sponsorów, nie odrzucając żadnej propozycji (przekonał hodowcę trzody chlewnej do wpłacenia 3000 euro w zamian za umieszczenie nazwy firmy we wszystkich materiałach). Matei i Gavan mogli sobie pozwolić tylko na sprzęt najniższej klasy. Kupili używane śpiwory i czekany.

Współpracownicy Matei z PRO TV myśleli, że oszalał. Był nagradzonym kamerzystą, który pracował w Iraku, Afganistanie i Kosowie. Dorastał w cieniu upadającego komunizmu. Nie miał długiego doświadczenia we wspinaniu, ale czuł zew gór i pragnął zobaczyć Himalaje.

Matei przybył do Katmandu 26 sierpnia 2006 roku przygnębiony i stęskniony za żoną. Teraz, gdy ekspedycja już się rozpoczęła, zaczął wątpić w swoje doświadczenie i zastanawiać się, ile go to wszystko kosztuje. Po prostu chciał już być w domu. Jego nastrój nie uległ poprawie, gdy okazało się, że austriackie linie lotnicze gdzieś po drodze zagubiły cały jego sprzęt. Matei i Gavan, którzy wcześniej dogadali się z inną grupą bez przewodnika, zapłacili tylko za transport do ABC. To był kiepski pomysł. W Katmandu musieli targować się o beczki, w których mogliby przetransportować swój sprzęt. Nie mając pieniędzy na przelot, wynajęli ciężarówkę z Nepalu do Tybetu.

Po dwóch dniach znaleźli się w gwarnym chińskim obozie bazowym. W przeciwieństwie do dobrze zaopatrzonych wspinaczy wokół siebie, Matei i Gavan mieli tylko trzy beczki i swoje plecaki. Bez szerpów i tlenu rzucali się w oczy jako najbiedniejsi alpiniści na górze. To również czyniło ich wyprawę kontrowersyjną, ponieważ wspinacze umierali bez odpowiedniego wsparcia, a wiele osób uważało, że Rumuni bezmyślnie narażają się na ryzyko. Duże firmy nie przepadały za indywidualnymi wspinaczami, ponieważ to na nich spadała krytyka za nieudzielenie im pomocy, kiedy coś szło nie tak, a zorganizowane wyprawy były ich ostatnią szansą.

Dwa dni po opuszczeniu obozu bazowego Gavan i Matei dotarli do ABC. Wtoczyli się do namiotowego miasteczka, znajdującego się na nierównej morenie o długości mniej więcej 1600 metrów. Kilkupoziomowy obóz rozrastał się z dnia na dzień, gdyż przybywało coraz więcej wspinaczy; obok flag państwowych z całego świata zatknięto banery reklamowe sponsorów. O miejsce walczyło około 40 międzynarodowych ekspedycji. Doświadczeni alpiniści, tacy jak Słoweniec Pavle Kozjek, twierdzili, że to największy obóz, jaki kiedykolwiek widzieli w Himalajach. Był żywym dowodem na szybką komercjalizację gór. Trzeba było 45 minut, żeby przejść przez całe gwarne miasteczko.

Większość ludzi w ABC znalazła się na Czo Oju, ponieważ traktowali tę górę jako rozgrzewkę przed Everestem. Wielu międzynarodowych wspinaczy było zawodowcami, którym za to płacono: była wśród nich duża, osiemnastoosobowa grupa brytyjskich lekarzy, którzy badali wpływ dużych wysokości na organizm, rosyjski fizyk nuklearny, inżynierowie, geolodzy, księgowy, czterech policjantów oraz kilku biznesmenów. Pośrodku obozu stał duży, zielony namiot, a obok niego najwyższy maszt, na którym powiewała chińska flaga. Chińczycy nie tylko mieli najliczniejszy zespół, lecz także dobrze wyposażone ambulatorium medyczne. Krążyły plotki, że niektórzy na dwa lata przed olimpiadą trenują wnoszenie ognia olimpijskiego na szczyt Everestu.

W ABC panowała gorączkowa atmosfera. Nocą urządzano imprezy hojnie podlewane winem, z namiotów sączył się zapach przyrządzanych potraw, sprzęt stereo dudnił amerykańskim rockiem. Przy niektórych namiotach rozstawiono leżaki, na których wylegiwali się wspinacze, opalając się i sącząc chłodne piwo. Pewnej nocy do namiotu Matei dotarł ostry zapach palonej marihuany, więc nabył jointa od tybetańskiej rodziny. Kilka razy głęboko się zaciągnął, narkotyk rozchodził się po jego ciele, a on podziwiał otaczające go góry. Wszystko dało się tu kupić.

Zdaniem wspinaczy nieoficjalnym burmistrzem ABC był pięćdziesięcioletni właściciel Cho Oyu Himalayan Experience (Himex) Russell Brice, Nowozelandczyk z wybuchowym temperamentem. Miał srebrne włosy i spiętą, szczupłą twarz. Szerpowie mówili na niego Ban Dai, „Wielki SzeF”.

Himex (jedna z pierwszych firm oferujących wyprawy na Czo Oju) była największą spółką działającą w Himalajach. Przez 23 lata pomogła 300 wspinaczom wejść na więcej ośmiotysięczników niż podobne firmy. Himex była najznakomitszą oraz najdroższą firmą przewodnicką i mogła poszczycić się godnymi pozazdrosczenia statystykami bezpieczeństwa.

Brice był twardym, doświadczonym alpinistą. Dwa razy zdobył Everest, z Czo Oju zleciał na paralotni i zjechał na nartach. W drodze na szczyt ustanowił rekord najszybszego wejścia w stylu solowym, bez tlenu, zdobywając górę i schodząc z niej w jedenaście godzin. Jego firma była jedną z pierwszych zachodnich spółek, które poprowadziły wyprawy na Czo Oju już w 1996 roku.

Na samych wyprawach na Everest Brice zarabiał ponad milion dolarów rocznie. Lubił przechwalać się, że urządza najlepsze imprezy na Evereście – luksusowe przyjęcia z obficie lejącym się piwem, winem i innymi alkoholami, stołami uginającymi się pod ciężarem jedzenia, telewizorami wyświetlającymi najnowsze filmy o wspinaczce. Niestroniący od drinka lub dwóch Brice znany był z tego, że bywa wybuchowy, szybko się obraża i bierze do siebie każdy afront.

Pod względem finansowym 2006 rok był dla Brice'a bardzo udany. Latem ukończył projekt filmowy z Discovery Channel o wyprawie na Everest organizowanej przez Himex. Widzowie przed telewizorami na całym świecie ekscytowali się herosami zdobywającymi szczyt. Show *Everest: Beyond the Limit* rozślawił Brice'a poza społecznością alpinistów (mówi się, że główny zainteresowany zapłacił kilka milionów dolarów za ten kontrakt).

Ale według wspinaczy, niektórych byłych klientów i wzmianek w prasie, Brice w górach zyskiwał reputację niezyczliwego, kontrowersyjnego operatora. W maju brytyjski wspinacz David Sharp, wchodzący w stylu solowym, został pozostawiony na pewną śmierć na grani północno-wschodniej. Znalazła go grupa wspinaczy z Himexu – miał sine usta i przekrzywioną maskę tlenową. Wszyscy wspinacze wchodzący w skład czterdziestoosobowej grupy widzieli jak Sharp dosłownie zamarza na śmierć na dużej wysokości, gdzie prawdopodobnie nie można go było ocalić, i kontynuowali atak szczytowy. Rzekomo Brice przez radio kazał im iść dalej (Brice zaprzeczył i jedna osoba jak dotąd odwołała swoje oskarżenia).

Brice, będąc sprytnym biznesmenem wspinającym się w Tybecie od 1974 roku, miał dobre stosunki biznesowe z władzami chińskimi oraz monopol na północną ścianę Everestu. W Tingri utrzymywał magazyn i dostawał pozwolenia na wejścia w Tybecie nawet wtedy, gdy innym ekspedycjom ich odmawiano.

Alpinista z Nowej Zelandii, Marty Schmidt, energiczny, zażywny przewodnik górski z Kalifornii, wspomina swoje pierwsze wejście na Everest z Bricem od strony północnej. Niewiele brakowało, by zmiotła ich lawina, a jednak wejście zakończyło się sukcesem. Brice miał świadomość, że trafił na żyłę złota.

– Russell był w Pekinie, gdzie negocjował z Chińczykami lepsze warunki na górze na następny rok, zanim jeszcze dotarłem do szczytu – mówi Schmidt. – Dzięki Russellowi przekształciło się to w biznes. Ma bieżące wydatki, więc musi każdego roku zarobić pewną sumę, żeby je pokryć.

W 2003 roku Schmidt musiał wycofać się z Czo Oju, gdy zabrakło siły jego klientowi, sześćdziesięciosiedmioletniemu bankierowi Cliftonowi Maloneyowi<sup>[41]</sup>.

Czterdziestojednoletni Schmidt, zapalony alpinista i były ratownik w siłach powietrznych, organizuje rozsądne ekspedycje w stylu militarnym z naciskiem na samodzielność. Nie korzysta z usług szerpów i podczas ataków szczytowych nie używa dodatkowego tlenu. Gdy sprowadzał Maloneya z Czo Oju, natknął się na stupę ustawioną na środku szlaku. Znajdował się wtedy jakieś 50 metrów przed swoim klientem.

Sto metrów w dole na Nangpa La Schmidt ujrzał gromadę Tybetańczyków trzymanyh na muszce przez żołnierzy LPZ. Na ziemię wyrzucono zawartość ich plecaków i walizek – ubrania, jedzenie, buty. Nagle powietrze przeszył strzał. Kilku uchodźców chwyciło za kamienie i zaczęło rzucać nimi w żołnierzy. Jeden z nich upadł. Pozostali szybko się poddali.

Uchodźcy pospiesznie pozbierali swoje rzeczy i ruszyli przełęczą do Nepalu, zabierając również część broni należącej do żołnierzy. Ci zaraz doszli do siebie i zaczęli strzelać do uciekających. Tybetańczycy odwziewali się tym samym.

– Woleliśmy zginąć niż wracać do Tybetu – mówi Dhukar, twardy młodzieniec z Amdo, który był członkiem tej grupy.

Jego ojciec angażował się w działalność podziemną, wytwarzając nielegalne wydruki przedstawiające Dalajlamę oraz broszury z jego naukami. Później podejrzewał, że ktoś z grupy był informatorem i zdradził ich pozycję żołnierzom LPZ.

Tybetańczycy kilkakrotnie strzelili do żołnierzy. Po wszystkim Schmidt ostrożnie zszedł na przełęcz. Znalazł ciało młodej Tybetanki leżącej na Nangpa La i uznał, że już nie żyje. Nie mogąc otrząsnąć się z przerażenia, obaj opuścili to miejsce oraz Tybet tak szybko, jak tylko mogli. Dotarli do obozu bazowego, skąd udali się do Tingri, gdzie postanowili natychmiast opuścić kraj.

– Chciałem się wydostać z Chin. To był mój cel.

– Nic nie mów. Uciekaj – powiedział Schmidt.

Kilka godzin po strzelaninie w pobliżu Nangpa La żołnierze LPZ otworzyli ogień w stronę Amerykanina Dave'a Mortona i jego wspinaczkowego towarzysza. Na wysokości 4500 m n.p.m. nie da się biegać. Jednak obu mężczyznom udało się uniknąć kul, kierując się do Namche Bazar.

W tym czasie Brice prowadził ekspedycję na Czo Oju. Kiedy po strzelaninie w górach żołnierze zeszli do bazy, Brice poczęstował ich jedzeniem, udzielił schronienia oraz opieki medycznej. Powiedział, że będąc w obozie bazowym słyszał strzały – strzelał Chińczyk Han, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Zniesiono go do bazy, miał poważnie odmrożone nogi. Wcześniej zostawiono go na przełęczy, gdzie przeleżał kilka dni. Brice leczył go, zanim żołnierze z oddziału zabrali go do bazy.

Ku oburzeniu Chińczyków Morton upublicznił tę historię. Kiedy w 2005 roku wrócił na Czo Oju, został zatrzymany przez LPZ i zabroniono mu wspinania się z chińskiego obozu bazowego.

Schmidt natomiast, nie będąc pewny, komu powinien to zgłosić, zachował dla siebie szczegóły sceny, której był świadkiem, nie chciał narażać się na zakaz wjazdu do kraju<sup>[42]</sup>. W Himalajach niewielu miało odwagę podnieść głos, bo było to ryzyko –

mogli stracić pozwolenie na wspinanie.

Na Czo Oju jednym z największych sprzymierzeńców Brice'a był Henry Todd. Brytyjski przedsiębiorca poślubił kierowniczkę obozu Brice'a, Sue Harper. Para przez lata mogła na sobie polegać i oboje pamiętali strzelaninę z 2002 roku, kolejny przykład dzikiego pogranicza, gdzie robili interesy.

– Russell i Henry to samce alfa – mówi przyjaciel obu mężczyzn, brytyjski przewodnik górski Victor Saunders. – Urodzeni przywódcy stada.

Benitez w tym towarzystwie postrzegany był jako nowicjusz, pretendujący do kręgów, w jakich obracali się Brice i Todd. W namiocie Brice'a w ABC cała trójka popijała herbatę i rozmawiała o warunkach panujących w górach. We wrześniu 2006 roku Todd przebywał na Czo Oju, żeby organizować wsparcie logistyczne dla kilku ekspedycji.

Sen na wysokości 6000 m n.p.m. jest nierówną walką, ponieważ ciało musi przystosować się do mniejszej ilości tlenu. Ze względu na to, że wejścia na Czo Oju można dokonać posiadając stosunkowo niewielkie umiejętności, często się jej nie docenia. Benitez i jego zespół wspinali się z ABC do obozu I. Od dziesięciu dni znajdowali się na górze.

Tuż przed Wzgórzem Złamanego Serca natknęli się na francusko-kanadyjską grupę, L'échappée Belle Cho Oyu 2006, która właśnie próbowała ratować jednego ze swoich członków. Mężczyzna miał sparaliżowaną prawą stronę ciała, co kierownik grupy zdiagnozował jako wylew. Rogers z początku myślał, że chory może być odwodniony. Benitez od razu zaangażował się w sprawę, potwierdził, że to wylew i zaczął wydzwaniać do wspinaczy w ABC, prosząc ich o pomoc i nosze.

Todd siedział w ABC, gdzie skanował różne częstotliwości radiowe. Dzięki temu wspinacze dobrze orientowali się w najnowszych postępach i plotkach o zespołach przebywających na górze. Todd na pomoc wysłał szerpów. Chwalił szybkie działania Beniteza.

– To jedna z takich sytuacji, gdzie liczy się jakość ludzi na stoku – powiedział. – To mnie nie martwi. Wiem, że go ocalisz.

To było coś, co dodawało Benitezowi skrzydeł. Pochwała Todda była dowodem, że Benitez zdobywa szacunek starej gwardii. Zespół francusko-kanadyjski zdołał ściągnąć swojego człowieka z góry i uratować mu życie, chociaż do końca już będzie odczuwał skutki tej wyprawy.

Rogers szedł z klientami do obozu I, podczas gdy Benitez pomagał nadzorować akcję

ewakuacyjną. Kiedy dotarł na niewielki zaśnieżony występ, na którym leżał obóz, stało już na nim wiele pomarańczowych namiotów. Otaczały je granitowe ściany, pierzaste chmury otulały kanciasty masyw pobliskiej Sziszapangmy. W obozie I panowały odmienne warunki od komfortu bazy ABC, gdzie stoją gorące natryski, toalety oraz przyjemna mesa. Przenikliwie zimno i podstawowe udogodnienia grupa Beniteza uznała za prymitywne i surowe.

Droga w górę z obozu I prowadziła przez śliski i oblodzony teren. Po nocnym odpoczynku zespół przez dwie godziny brnął przez wysoki do kolan śnieg, zanim dotarł do prawie pionowej ściany, dwustutrzydziestometrowego lodowego klifu. W okolicy było wielu wspinaczy czekających na wpięcie się do dwóch poręczówek. Zanim dotarli do lodowych urwisk, Varcas powiedział Rogersowi, że ma złe wieści z domu. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła jego matka i poinformowała, że umarł jego kuzyn. To odebrało mu chęć do kontynuowania wyprawy, więc się wycofał.

Benitez wbił swoje raki w kruchy lód i poprowadził resztę grupy w stronę obozu II. Poruszali się powoli, brnąc pod górę przez nieprzetarte, pokryte śniegiem i lodem ramie skalne. Wspinaczka z plecakami o wadze 18 kilogramów, z czekanami i linami w dłoniach była bardzo wyczerpująca. Liny trzeszczały, spadały na nich oderwane kawałki lodu i śniegu kłując ich twarze, gdy powoli zdobywali lodowy klif. Nad nimi rozciągało się szafirowe niebo. Na szczycie lodowych klifów po burzach pozostały grube nawisy śnieżne. Światło odbijające się od śniegu oślepiało nawet przez grube, ciemne szkła. Cubitt dotarł na szczyt klifu, ale był zupełnie wyczerpany. Zjechał na dół, podczas gdy Benitez zabrał trzech pozostałych członków grupy do obozu II. 21 września dotarli do namiotów rozbitych u podnóża północno-zachodniej ściany góry na wysokości około 7000 m n.p.m. Z zachwytem patrzyli na gęstniejące chmury pod nimi.

W innym miejscu tej samej góry, nie mając lidera w grupie, Matei i Gavan zaczęli się kłócić. Po sprzeczce o to, ile sprzętu zabrać podczas pierwszego wejścia do obozu I, późno wyruszyli w drogę i dotarli do celu późnym popołudniem. Wrócili do ABC po zapadnięciu ciemności. Matei miał dość całego przedsięwzięcia. Brakowało mu cierpliwości potrzebnej przy wejściach na tak wysoki szczyt, a Gavan zaczął mu grać na nerwach.

Po dwóch dniach odpoczynku w ABC weszli do obozu I i spędzili w nim noc, po czym ruszyli w stronę obozu II. Gdy Matei wpinał się w poręczówki, by wejść po lodowym klifie, tuż obok niego przeleciał amerykański alpinista z nogami oplątanymi linami. Matei zatrzymał się, żeby mu pomóc, wyplątał go z lin i pomógł zejść. Akcja

ratownicza oderwała go od rozmyślań nad coraz silniejszym bólem, który odczuwał w prawym płucu oraz nieznośnym kaszlem, który utrzymywał się od rana. Gdy ponownie założył rękawice, pochylił głowę i ruszył w górę do obozu II, zaczął mieć halucynacje. Śnieg nagle zmienił kolor na jaskrawozielony. Gavan zobaczył, że coś złego dzieje się z jego partnerem.

– Wszystko w porządku? – krzyknął.

Matei znalazł w sobie dość energii, żeby odpowiedzieć. Kręciło mu się w głowie, musiał zejść niżej. Gavan parł do przodu.

Matei z trudem zszedł po linach, na wpół szedł, na wpół wlekl się, jego mózg szalał. Widział kalejdoskopowe wzory, czasami wszystko mu się rozmywało przed oczami. Ogarnęła go panika, ale po dwóch i pół godzinie dotarł do obozu I. Duński wspinacz rozpoznał u niego symptomy rozedmy płuc i wezwał lekarza. Do tego stanu przyczyniła się niecierpliwość Matei, który zbyt szybko chciał zdobyć szczyt.

Podano mu Diamox, żeby zmniejszyć ilość płynów w płucach. Lekarz zasugerował, że powinien unikać wysiłku i pozostać w obozie. Schodzenie po poręczówkach na lodowych klifach w jego stanie było niedorzecznością.

Jednak Matei myślał już tylko o komforcie bazy ABC oraz telefonie do żony. Sytuacja mocno nim wstrząsnęła. Z namiotu w obozie I wyjął swój śpiwór i kombinezon. Częściowo zjechał, częściowo zszedł na dół. Po dziewięciu zabójczych godzinach, w kompletnej ciemności dotarł do ABC.

Rozpętała się burza. Porywisty wiatr uderzał we wznoszące się wokół skały, ludzie utknęli na kilka dni w ABC, więc zaczęli urządzać imprezy. Benitez i inni przewodnicy zostali zaproszeni na obiad w obozie Brice'a, podczas którego serwowano steki. Benitez napisał maila do domu. Podczas ekspedycji umieszczał wpisy dotyczące wspinaczki na stronie internetowej AC. Post z 24 września 2006 roku został zatytułowany „Fiesta przy złej pogodzie!”. Napisał w nim: „Muzyka grała głośniejsze, lało się wino, przyjęcie okrzyknięto mianem imprezy odstraszej złą pogodę”. Gdy burza szarpała namiotami, wspinacze upijali się winem, Emmanuel Smith i Scott Curtis wygłupiali się w maskach tlenowych, inni wznosili toasty.

Wybuchła wojna na śnieżki. Najpierw Brytyjczycy, Amerykanie, Nowozelandczycy i Australijczycy walczyli z chińskimi wspinaczami. Około sześćdziesięcioletni Chińczyk usiadł przed ich namiotem i dyrygował chińskimi alpinistami jak żołnierzami, rozkazując im atakować z flanki i każąc rzucać mocniej i szybciej. Wspinacze żartobliwie nazywali go generałem.

Wiatr szalał po górach, metal zrobił się tak zimny, że nie dało się go dotknąć. Nie

można było odróżnić dnia od nocy, ponieważ każdego dnia przybywało około 80 centymetrów śniegu, który cichutko wszystko zakopywał i sprawiał, że świat zdawał się delikatny i istnieć poza czasem.

Niebo i góry gładko połączyły się w brudnoszarą masę.



*Oczywiście poczucie zagrożenia narasta,  
wdziera się stopniowo, niepostrzeżenie  
– im głębiej docierasz, im dalej zapuszczasz się  
w podróż. Aż w końcu się budzisz:  
w nocy, w miejscu, gdzie nie można liczyć  
na czyjąkolwiek pomoc.*

Colin Thubron, *Cień Jedwabnego Szlaku*[\[43\]](#)

# Przełęcz wtajemniczonych

Wiatr szarpał ubraniami Dolmy. Suche podmuchy uderzały piaskiem w jej twarz, gdy wraz z Kelasang zakładały kaptury, naciągnęły na twarz maski upodabniające je do bandytów i pomaszerowały w burzę, podczas gdy ich długie, brązowe *chuba* – grube, wełniane płaszcze – łopotały wokół kostek. Pod stopami miały ocean pokrytych trzeszczącym lodem pagórków, pod którymi czaiły się głębokie zagłębienia. Gdy Dolma wpadła w dołek po raz pierwszy, przecięła sobie rękę o niskopłożące cierniowe krzewy. Kolce wbiły się jej w ręce i pokłuły nogi, swędziło ją i krwawiła. Kelsang pomogła jej wstać i poszły dalej.

20 minut wcześniej ciężarówka zatrzymała się w smaganym piaskiem parowie, z trzech stron otoczonym potężnymi ramionami gór o łagodnych szczytach. Po wyjściu z ciasnej, dusznej, przegrzanej ciężarówki Dolmie marzły kończyny. Męczyło ją pragnienie, ale nie było czasu na postój. Tylko kilku uchodźców miało latarki, więc poruszali się w nieprzeniknionej ciemności. Szli powoli, potykając się o nierówności trawiastych wzgórz, po omacku wchodząc i schodząc z wzniesień poza obrębem światła latarek.

Penpa zapewnił grupę, że od granicy dzieli ich zaledwie kilka dni. Po kilku godzinach swoje żniwo zebrały nachylenie terenu i wyczerpanie uchodźców. Ludzie zaczęli odciążać swoje bagaże. Mnich z Kongpo, Thupten Tsering, wyrzucił z torby ciężką kiełbasę; inni zostawiali przy ścieżce dodatkowe ubrania. Mnich z Kongpo był jedynym, który przygotowywał się fizycznie do męczącej podróży. W Lhasie zakupił parę podrobionych nike oraz szary kombinezon chińskiego robotnika i każdego dnia uprawiał jogging. W położonej na dużej wysokości nad poziomem morza stolicy Tybetu rzadko spotyka się biegaczy, więc jego zachowanie wzbudzało podejrzenie. Szedł na przedzie grupy, więc było to opłacalne.

Kilka godzin po rozpoczęciu wędrówki doszli do górskiego potoku. Woda była

zapiaszczona, ale zaspokoila ich pragnienie. Kilku uciekinierów napełniło nią duże butelki po coli. O świcie zobaczyli wysokie, czerwone mury klasztoru Sakya, który wznosił się nad małym miastem. Znajomy widok dodał im otuchy, był punktem orientacyjnym pośród zarośli i ogołconych pagórków, które ucierpiały przez wieki intensywnego wypasania bydła.

Drugiego dnia uchodźcy wspięli się na wysoki szczyt, po czym zeszli do doliny, gdzie stał niewielki, opuszczony budynek, z którego zimą korzystali nomadowie. Wypili już większość wody zaczerpniętej ze strumienia, więc przewodnik kazał Jamyangowi i Tsultrimowi rozejrzeć się w poszukiwaniu innych źródeł. Obeszli okolicę i znaleźli starą pompę wodną. Skrzypiała, ale nic z niej nie pociekło. Chłopcy wrócili z pustymi rękami.

Po przeliczeniu członków grupy okazało się, że brakuje jednego chłopca. Penpa zadzwonił do kierowców ciężarówki. Sparaliżowany strachem chłopak dalej krył się na pace samochodu. Kierowcy wyciągnęli go i kazali mu iść w stronę grupy. Gyaltsen wyruszył mu naprzeciw. Reszta rozłożyła się na podłodze, żeby odpocząć.

Zanim Gyaltsen zawrócił, Lhundrup, krępy, dojrzałe zachowujący się łagodny mnich, który został nieoficjalnym przywódcą uchodźców z Driru, podszedł do przewodnika ogrzewającego ręce nad gazowym płomieniem kuchenki turystycznej. Kilka osób zabrało ze sobą przenośne gazowe palniki, ponieważ ognisko mogłoby zaalarmować wojsko i zdradzić ich położenie. Lhundrup, który już wcześniej dostał się do Indii, rozpoznał trasę, którą szli. Wiedział, że nie kierują się na Dram. Kiedy doszło do konfrontacji mnicha z Gyaltsenem, przewodnik przyznał mu rację. Będą się dalej wspinać, przejdą przez Góry Śnieżne, jak je nazwał, aż do Nangpa La. Inne trasy są zbyt niebezpieczne.

Gdy Lhundrup odwrócił się, zobaczył, że inne grupki wygodnie moszczą się w śpiworach, zakładają ciepłe ubrania, kupione na tę okazję i przeżuwiają jedzenie z obfitych zapasów. Było jasne, że niektórzy byli lepiej poinformowani od pozostałych. Dolma i Kelsang stoicko potakiwały, kiedy Lhundrup przekazał im najnowsze wieści. Miały jedzenia na około cztery dni.

Gyaltsen powrócił jeszcze tego samego dnia, ale był sam. Pierwsza ofiara tej podróży. Nie mogąc liczyć na pomoc ani zawrócić, reszta musiała iść dalej.

Gdy zaczęła zapadać noc, grupa wznowiła wędrówkę. Grunt łagodnie się podnosił, a ziemia pod ich stopami zmieniła się w pozbawiony roślinności szlak usiany kamieniami. Po pewnym czasie Penpa nakazał ciszę, ponieważ weszli w skomplikowany labirynt gór i przełęcz. Na szczycie pewnego wzgórza zatrzymali się

jak wryci. Pod nimi rozciągała się jasno oświetlona baza LPZ w Dakmarze, w której aż roiło się od żołnierzy.

– Żadnych latarek – wyszeptał Penpa do kulących się za nim ludzi.

Szybko zgaszono tych kilka słabych światełek. Szlaki były dobrze przetarte przez tysiące uchodźców, którzy nimi przeszli, ale w ciemności trudno było się po nich poruszać. LPZ rozstawiała sprytnie ukryte pułapki: przywiązane do liny puszki zawieszane na wysokości piszczeli oraz, co gorsza, ostry drut kolczasty na wysokości twarzy.

Po mniej więcej godzinie grupa zeszła do spokojnej doliny. Na jej dnie szemrał strumień. Dręczeni pragnieniem wędrowcy rzucili się na wodę. W ciemności wydawała się jedwabista i krzepiąca, Dolma obmyła nią twarz.

Z tego miejsca ścieżka wiodła przez solne równiny Tingri, nieosłoniętą, wysuszoną słońcem, bezdrzewną mozaikę pól. Świat był martwy. Nie było owadów, żadnej roślinności, nawet porostów. Tylko nieruchomy krajobraz pozbawiony życia niczym powierzchnia księżyca. Nieważne, jak długo szli, wydawało się, że nigdy nie dojdą do krańca tej ziemi bez końca. Daleko przed nimi, za tą rozległą pustką, w miejscu, gdzie krajobraz wznosił się, stały lśniące bielą stożki potężnych, zagradzających drogę Himalajów.

Onieśmielające bóstwo Czo Oju było szersze i potężniejsze niż inne szczyty widoczne na horyzoncie. Na zachód od góry znajdowało się głębokie wcięcie, z tej odległości niepozorne, ale nie dało się go z niczym pomylić. To była Nangpa La. Portal do wolności.

Na wschodzie wyrastał Mount Everest lub Czomolungma w języku Tybetańczyków: Bogini Matka Świata. Jamyang zaczął śpiewać pieśń pochwalną na cześć Everestu. Ogromna góra symbolizowała to, że Tybet nigdy nie zostanie podbity przez Chińczyków. Zacerpnął zapyłonego powietrza i śpiewał ile sił w płucach pieśni o Dalajlamie i potężnej tybetańskiej górze wznoszącej się ponad ogołoconym, bezludnym krajobrazem, z dala od cywilizacji.

Niepostrzeżenie grunt pod ich nogami zaczął się wznosić. Wiatr szarpał włosami Dolmy, gdy zaczęli podchodzić pod Laiya La, która miała 4572 m n.p.m. Niezrażona tym Kelsang skorzystała z możliwości wyciągnięcia informacji od Lhundrupa, który już kiedyś spotkał się z Dalajlamą.

– Czy to będzie przypominało spotkanie z lamą w naszej wiosce? – entuzjasmowała się ze śmiechem. – Czy on dotknie naszych głów podczas każdego spotkania?

Kelsang naiwnie wyobrażała sobie, że na co dzień będzie miała Dalajlamę obok siebie. Lhundrup cierpliwie uniósł brew.

– Jako nowo przybyła widzisz się z nim tylko raz – wyjaśniał cierpliwie. – Nie możesz się z nim ciągle spotykać.

Kelsang przytaknęła bez słowa.

Przez kilka dni grupa maszerowała nocą, spała w dzień. Penpa prowadził ich pod rozgwieżdżonym niebem, nad nimi migotała wysadzana cekinami kopuła galaktyki. Brnęli przez niezmierny krajobraz, nic nieznaczący, zdani na litość żywiołów. Drugiego dnia od opuszczenia ciężarówka burza przysłoniła gwiazdy. Spadł przygnębiający, szary, ulewny deszcz. Przemarznięci i zmęczeni doszli do małego domku z kamieni mani, skał, na których wyryto modlitwy do duchów strzegących tego miejsca. Gdy wpełzali do środka, słyszeli zawodzenie wiatru. Kelsang drżała z zimna, tuliła się do Dolmy, żeby się rozgrzać. Kilka osób udało się na poszukiwanie opału. Znaleźli jedynie porzucone, podarte, płócienne trampki zostawione przez koczowników oraz trochę łąjna jaków. Wykorzystując stare buty rozpalili prowizoryczne ognisko, które wypełniło pomieszczenie duszącym dymem z gumy. Ale przynajmniej było ciepło.

Jamyang i Tsultrim wraz z Norbu Paldenem, mężczyzną pochodzącym z Kardze, utworzyli grupę uchodźców z Amdo. Norbu Palden, niezważając na trudność terenu, zawsze chodził trzymając ręce za plecami, jak profesor zgłębiający jakiś akademicki problem. Ten pięćdziesięciolatek był permanentnie zły na Chińczyków za to, jak zaszkośli jego interesom. Siedząc w półmroku przy ognisku splotował gniewnie i opowiadał o tym, jak walczył z nimi w sądzie i spierał się w zaciętych bitwach słownych. Jamyang i Tsultrim ukradkiem podśmiewali się z gadatliwości Kardzego, sądząc, że jego zapalczywość i nadęcie są udawne.

Wreszcie wszyscy zapadli w sen. Żadne z dzieci nie posiadało śpiwora, więc, jeśli mogły, wpełzały do śpiworów osób dorosłych. Kelsang spała niespokojnie.

Następnej nocy wznowili marsz. Kiedy wychodzili spomiędzy kamieni, wśród których wypoczywali, byli ścierpnięci, zmarznięci i obolali. W grupie Driru Dolma podeszła do dziewczynki w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat, ubranej w zieloną kominiarkę i fioletową kurtkę, która szła szurając nogami i szlochając. Dolma zostawiła Kelsang i zbliżyła się do dziecka.

– Co się stało? – zapytała, opiekuńczo chwytając ją za rękę.

Jąkając się dziewczynka opowiedziała, że jej matka cierpiała na nieuleczalną chorobę, a ojciec nie żył. W domu było ciężko, ale pomagała utrzymać rodzinę, piorąc rzeczy dla sąsiadów w pobliskiej rzece. Jej matka wiedziała, że jej dni są policzone. Pomyślała, że łatwiej jej się będzie umierało ze świadomością, że syn i córka zdobędą właściwe tybetańskie wykształcenie w Indiach. Niedługo potem rodzeństwo zostało

wyprawione w drogę. Ich matka uzgodniła wszystko w tajemnicy i powiedziała im o swoim planie dopiero kilka dni przed wyjazdem. Brat dziewczynki siedł obok niej i nic nie mówił. Dolma potakiwała, nie odzywała się za dużo, po prostu trzymała dziecko za rękę i słuchała. W końcu dziewczynka uspokoiła się.

Dzieci zostawały w tyle, padały na ziemię i zasypiały. Wyczerpany Choedon zwolnił kroku i wkrótce siedł sam. Bez latarki prawie potknął się na czymś, co leżało na drodze. Wyglądało jak kamień. Kiedy próbował przesunąć go nogą, usłyszał cienki głosik. To był zagubiony dziesięciolatek. Grupa nazywała go Paduk, co oznaczało kluskę. Zwykle dzieci otrzymywały przyzwiska związane z jedzeniem, za którym najbardziej tęskniły, gdy dręczył je głód. Paduk miał biegunkę i kiedy musiał oddalić się na stronę, wszyscy zniknęli mu z oczu. Choedon pomógł chłopcu wstać, złapał go za rękę i pociągnął za sobą próbując dogonić pozostałych.

Na zboczach gór były głębokie pęknięcia. Silne wiatry sprawiły, że na wierzchu pojawiły się minerały utleniające się w zetknięciu z powietrzem, co powodowało, że na dużej powierzchni skała przybierała barwę purpurowobrązową.

Po kilku godzinach napotkali pasterzy. Podeszedł do nich stary mężczyzna. Od lat spędzonych na wietrze i słońcu miał pomarszczoną twarz. Przewodnicy zapytali go o rozlokowanie patroli wojskowych. Staruszek zastanawiał się nad ich pytaniem.

– Ludzie mieszkający wysoko w górach, również pasterze, są informatorami – powiedział im. – Doniosą na was do Chińczyków, za co dostaną 500 juanów (75 dolarów) od osoby. Uważajcie na siebie.

To była znaczna suma pieniędzy na dzikim, biednym, tybetańskim pograniczu. Tybetańczycy mieszkający na terenach przygranicznych albo sprzyjali i pomagali uchodźcom, albo byli przekupni. Chińczycy opłacali wielu z nich. Nie wiadomo było, kto jest kim. Jedynie przewodnicy wiedzieli, komu zaufać. Ci, którzy pracowali dla Chińczyków afiszowali się swoją władzą. Kiedy natykali się na grupy uciekinierów, zabierali im ubrania, które mieli na sobie, buty, telefony i wszystko, czego zapragnęli. Uchodźcy musieli im wszystko oddać. Chińczycy, oprócz tego, że próbowali ustanowić sieć informatorów, zorganizowali również przygraniczną milicję – *yulmag* – składającą się tylko z Tybetańczyków, którzy również mieli wypatrywać nielegalnych podróżników.

Podziękowali pasterzowi. Zanim odeszli, Penpa i Gyaltsen zapytali go, czy sprzeda im porcję *tsampa*. Po kilku godzinach mężczyzna wrócił z małymi woreczkami napełnionymi prażoną mąką jęczmienną. Gdy uchodźcy zajadali się kleikiem, staruszek usiadł na pobliskiej skale i pograżył w myślach. Zdziwił go widok tak wielu młodych Tybetańczyków chcących rozpocząć nowe życie. Zasmucił się swoimi

przemijającymi latami i straconymi szansami w życiu. Uchodźcy z trudem mogli zrozumieć jego akcent.

– Jedyne, co robiłem w życiu to pilnowanie zwierząt. Nie mam szans na audiencję u Jego Świątobliwości. Ale wy jesteście młodzi. Wciąż możecie się z nim spotkać. – Ogarnęła go melancholia. – Kiedy się z nim zobaczycie, pomódlcie się za mnie. – Skinęli potakująco. – Nie musicie się mnie obawiać. Nic nie powiem Chińczykom. – Wskazał im, w którą stronę powinni iść.

W surowym krajobrazie ranili stopy i wykręcali kostki na ostrych jak brzytwa skałach i stromych podejściach, z każdym krokiem mieli coraz mniej siły. Jeden z mężczyzn miał tak opuchnięte stopy, że zaczerwieniona skóra aż rozpychała jego buty. Kilka razy pod Dolmą ugięły się kolana. Buty, które kupiła w Barkhor zaczęły rozchodzić się w szwach zaledwie po czterech dniach wędrówki. Jeden z mężczyzn z grupy dał jej parę trampek na gumowej podeszwie, ale były o kilka numerów za duże. Kiedy odpoczywali, Dolma wydtubała trochę wełny z płaszcza i zaimprovizowaną igłą zszyła je tak, żeby móc w nich chodzić. Nadal wyglądały jak klapki na jej filigranowych stopach, ale i tak było to lepsze niż nic.

Wielu członków grupy miało foliowe płachty, których używali jako śpiworów. Piątego dnia wędrówki znowu padało, krople uderzały o plastik, pod którym leżała Dolma, pozbawiona świeżego powietrza, spocona i drżąca. Szli dalej. Mnisi i mniszki stoicko odmawiali mantry i między palcami przesuwali koraliki różańców, ich głosy były jedynym dźwiękiem, który towarzyszył marszowi przez jałową ziemię.

Nuda przeplatała się ze strachem. Penpa kazał im uważać.

– W następnej wsi mieszka mnóstwo donosicieli, więc musimy przez nią szybko przejść – ostrzegł.

Świtało, na szlak padało słabe światło. Ruszyli szybkim krokiem przez osadę składającą się ze smutnych, kamiennych domków przyciśniętych do zbocza góry. W szparach pod drzwiami Dolma widziała pełgające płomyki świec. Starła się tak stawiać kroki, żeby buty nie zgrzytały na obluzowanych skałach i kamieniach. Przeszli przez wieś, gdy wschodzące bursztynowe słońce zaczęło nadawać jej odcień szarości.

Po pokonaniu lodowatego potoku, znajdującego się za osadą, Dolma i Kelsang miały przemoczone stopy. Przemarżyły na wskroś, więc niespokojnie spały w kolejnej dolinie, wyciągając spod siebie kamienie, by mieć chociaż namiastkę komfortu. Niewygodę pogłębiało ostre światło słoneczne, które przenikało przez powieki.

Wyruszyli, gdy zapadła noc. Nad nimi wisiał jasny księżyc w pełni, migotliwe światło

obmywało ich sylwetki na tle ciemnego krajobrazu, byli więc łatwi do namierzenia. Przewodnicy popędzali ich i spoglądali karcąco w górę. Po kilku godzinach, poza osadą znajdującą się kilkaset jardów przed nimi, zobaczyli pięć osób. Penpa kazał im położyć się na ziemi. Zrobili to szybko i sprawnie, ponieważ mieli już w tym dużą wprawę. Za wszelką cenę musieli wydostać się z tej okolicy nie będąc zauważonymi. Pozostało okrążenie wsi tak szybko, jak to możliwe.

Nisko pochyliwszy się, uciekinierzy obeszlili domy, nerwowo się rozglądając i wypatrując najmniejszego ruchu. Pomiedzy nimi a terenem zapewniającym im bezpieczeństwo przepływał wartki górski strumień. Dolma próbowała go przeskoczyć. Jak tylko się wybiła, straciła równowagę i wpadła do lodowatej wody. Ktoś wskoczył za nią i chwycił ją za płaszcz.

Znalazłszy się z powrotem na ziemi, Dolma zużyła całą pozostałą energię, by ruszyć przed siebie. Po chwili zamarzyły jej ubrania. Kelsang objęła ramieniem przyjaciółkę. Nie było czasu na przebranie się w suche spodnie, które miała w czarnej torbie. Z każdym krokiem słyszała pęknięcie, to lód twardniał i trzaskał przy najmniejszym ruchu, jakby posąg budził się do życia.

Dolma pocieszała się, że przynajmniej udało im się ominąć wioskę. Po kilku godzinach, gdy szli przez pole jęczmienia, nagle stracili nadzieję na bezpieczną ucieczkę. W ciemności przed sobą ujrzeli kilkanaście latarek omiatających ziemię. Wyglądało to tak, jakby żołnierze przeczesywali teren w poszukiwaniu uciekinierów. Ktoś wyszeptał, że wieśniacy na pewno wydali ich chińskim żołnierzom. Grupa położyła się pośród zboża szukając jakiegoś schronienia. Dolma zacisnęła zęby, usilnie próbując powstrzymać szcęknięcie.

Niewyraźne kształty przeszły obok dziewczyn. Spanikowani ludzie zobaczyli w oddali światła i zaczęli uciekać. Przyjaciółki również zerwały się z ziemi i ruszyły za nimi, przy każdym kroku walcząc z łodygami jęczmienia. Najbardziej obawiały się psów, z którymi często chodzili żołnierze Wujing. Zasapany Lhundrup biegł obok nich.

– Schylcie się – upomniał. – Nie zauważyli nas.

Przykucnęli. Lhundrup zaryzykował i wystawił głowę ponad falujące kłosa. Światła, teraz w tyle za nimi, nie zmieniły swojej pozycji. Kelsang odwróciła się do Dolmy i wyszeptała, że żeby przetrwać, muszą trzymać się Lhundrupa.

Żołnierzy można było ominąć, wybierając drogę przez przełęcz górską wznoszącą się nad bazą wojskową. Szli skrajem doliny aż znaleźli się nad swoimi prześladowcami. W niebieskawym świetle kończącej się nocy zobaczyli wieśniaków zbierających jęczmień przy świetle latarek czołowych. To był fałszywy alarm.

Kelsang przysiadła na ziemi, ręce schowała do kieszeni. Wkrótce zacznie świtać,



musieli znaleźć jakieś miejsce, by się zatrzymać. Pomiedzy uchodźcami a bezpieczną górską kryjówką leżała jeszcze jedna wieś. Idąc przez nią Dolma wystraszyła się na widok nomadki, stojącej bez ruchu na ścieżce pomiędzy dwoma budynkami i bez słowa obserwującej grupę. Po przejściu osady schronili się w głębokiej dolinie.

Z niespokojnej drzemki wyrwało Dolmę jakieś zamieszanie. Było jasno, zobaczyła parę odznaczających się na tle nieba postaci. Kilku śmiałków podczołgało się bliżej nich. Okazało się, że to były straszdyła na wilki poustawiane przez wieśniaków. Nieustanny strach, że zostaną złapani przyprawiał ich o szaleństwo.

Kolejnej nocy pod bezchmurnym, wysadzonym gwiazdami niebie, oddaliwszy się od wyżyny, wspinali się przez zapomnianą przez bogów skalistą dolinę otoczeni szarością skał. W okolicy zauważyli kilka namiotów LPZ. Żołnierze patrolowali horyzont szukając uciekinierów. Światła pojawiały się niczym ciekawskie palce. Gdzieś w oddali czekały psy.

Dni zaczęły się zlewać w jedno. Grupa znajdowała się na takim odludziu, w całkowitej dziczy, że mogła korzystać z ogrzewających promieni słonecznych i maszerować w dzień. Ale chociaż szli w ciepłe, podrywane wiatrem cząsteczki pyłu dostawały im się do płuc, łzawiły im oczy, czuli szorstkość w gardłach. Trudy podróży zaczęły odciskać się na ich zdrowiu – dochodziło do poparzeń słonecznych, pojawiały się otarcia, bezustannie bolały ich mięśnie. Najgorszy ze wszystkiego był ciągły strach, że zostaną złapani. Kiedy Dolmę dopadał lęk, recytowała mantrę do Padmasambhavy, która, według *geshe*, miała ich chronić: *Om Ah Hum. Vajra Guru Padma Siddhi Hum*. Kelsang zawiesiła różaniec na nadgarstku i przesuwiała w palcach koraliki z drzewa różanego, na jej twarzy rysowała się determinacja, gdy recytując szła przed siebie, a każdy krok zbliżał ją do celu.

Po pewnym czasie nawet Kelsang zaczęła narzekać na głód. Inni przypominali sobie z żalem, jak na początku podróży wyrzucali jedzenie. Bez strawy szybko tracili siły, a w górskim terenie zużywali dużo energii. Każdy krok był wymuszony i niezgrabny. Dechen Pema, mimo wzmagającego się głodu, nie chciała zjeść poświęconego jęczmienia, nazywanego *chakne*, który niosła w plecaku. Chociaż była bardzo głodna, uważała, że jęczmień jest święty.

Trzy mniszki dołączyły do grupy uchodźców z Driru: Tenzin Dolma, Tenzin Wangmo i Dechen Palmo. Te wycieńczone kobiety wyglądały na co najmniej dziesięć lat więcej niż te dwadzieścia kilka, które miały. Przez wyprawą udały się na kilka tygodni w góry w pobliżu Lhasy, żeby tam pościć. Podróż do Nepalu okazała się za trudna dla ich wyczerpanych organizmów. Tenzin Dolma, drobna, pełna współczucia mniszka, zaczęła zostawać w tyle. Ilekroć grupa odpoczywała, siadała sama z dala od innych,

powtarzała mantry, chcąc przewyciężyć swoje cierpienia. Jeszcze przez podróżą miała problemy z żołądkiem i zażywała leki, ale teraz wysokość dawała jej się we znaki. Przewodnicy ogłosili przerwę na odpoczynek, wdzięczna za nią mniszka opadła na kolana. Zajęły się nią Dolma i Kelsang.

Nie mieli czasu na postoje. Stawiali kroki w równym tempie, poruszając się pomiędzy szarymi skałami a okrutnie zdradliwymi wzgórzami. Poczucie skali zostało wypaczone, jako że nie miała tam zastosowania normalna percepcja odległości.

Wysoko w górach to, co z daleka wygląda na małe jest ogromne. Zaczynali podchodzić pod dość łagodnie wznoszące się wzgórze, po czym okazywało się, że wejście zajmowało im godziny i musieli wspinać się na czworakach. Gdyby skręcili w złą stronę w tym labiryncie dolin, krążyliby przez wiele dni, a może już nigdy nie odnaleźliby właściwej drogi. Im wyżej się znajdowali, tym bledszy, pozbawiony kolorów stawał się krajobraz. Małe dziecięce postaci wspinające się po zboczu góry zdawały się również tracić kolor. Intensywne błękity i czerwienie ich kurtek w srebrzystym świetle zmieniały się w szarość.

Granitowe skały wyłaniały się spomiędzy chmur, po czym ponownie się chowały. Temperatura zmieniała się jak szalona. Na dnie wąwozów, gdzie nie dochodziły żadne podmuchy wiatru, temperatura sięgała prawie 21°C, a na wysoko położonych przełęczach lodowate podmuchy chłodziły powietrze do -18°C. Drżeli, gdy się zatrzymywali.

Najgorsze było pragnienie. Plastikowe butelki po coli, które nieśli w plecakach, od dawna były puste. Z każdą mijającą godziną znajdowali się coraz wyżej w miejscach całkowicie pozbawionych wilgoci, co oznaczało, że było tam niewiele strumieni, z których mogliby czerpać wodę.

Na tych wysokościach wspinać się muszą pić co najmniej trzy do pięciu litrów wody dziennie. Dolma od kilku dni nie wypijała ani kropli. Natknęli się na nomadów i poprosili ich o wodę, ale spotkali się z odmową, nomadowie twierdzili, że za pomoc uchodźcom spotka ich kara. Na krótko ukoili pragnienie, kiedy pazerni pasterze, których spotkali na szlaku, sprzedali grupie za bardzo wygórowaną cenę (70 juanów, ok. 10 dolarów) worki z mętną wodą.

Podczas dalszej wędrówki niebo nad nimi pociemniało, zaczęło zanosić się na deszcz. Będąc tutaj, poza ludzkimi siedliskami, stali się zakładnikami pogody. Zaczęli nerwowo spoglądać w górę, przerażeni widokiem chmur i intensywnością porywistego wiatru. Dziewiątego dnia szli ślimaczym tempem spowodowanym niedoborem tlenu w powietrzu oraz stromym podejściem. Przewodnicy doradzili im zacisnąć pasy w talii tak mocno, jak tylko mogą wytrzymać, ponieważ, według nich, pozwoli to utrzymać

krew w górnej części ciała. Na takiej wysokości, powyżej 5500 m n.p.m., krew gęstnieje i ma konsystencję smoły.

Przy każdym kroku Dolma odczuwała ból w udach. Mimo zmęczenia i wysiłku związanego ze stawianiem jednej stopy przed drugą, musieli uważać na każdy swój ruch. Szlak był nierówny i kamienisty, z tego powodu bolały ich kostki, które skręcali podczas chwili nieuwagi. Kontuzja mogła oznaczać porzucenie na szlaku i marną śmierć. Czterdziestodwuletnia kobieta stłumiła jęk, gdy poważnie skręciła sobie kostkę. Bardzo utykała, ale szła wraz z innymi, zaciskając zęby.

Dzieci płaciły najwyższą cenę, zmęczenie ich pokonywało. Kilkoro ociągało się, specjalnie zostając w tyle. Jeden piętnastolatek z Khamu, z długimi, rudawymi włosami, bez przerwy włókł się na końcu. Kiedy podchodzili pod szczególnie stromy stok, powiedział Jamyangowi Samtenowi, że idzie się wysikać. Zniknął za wyłomem skały, odwrócił się, żeby sprawdzić czy nikt nie patrzy i pognął gdzieś w ciemność.

Jamyang wziął pod skrzydła pięcioro lub sześcioro dzieci, pomagał im w drodze i dzielił się swoimi zapasami jedzenia, dodając cukru do *tsampy*, żeby zamaskować jej okropny smak. Dodawało im to energii, ale wkrótce wszystkie zapasy Jamyanga zostały zjedzone.

Grupa dręczona głodem zaczęła podejmować większe ryzyko, żeby zdobyć pożywienie. W jakiejś nienazwanej dolinie Penpa zaproponował, że odkupi owcę od nomadów. Mimo grożącego im głodu, grupa stwierdziła, że jedzenie mięsa byłoby świętokradztwem. Jeden z mnichów, dwudziestopięcioletni Tsundue, nie krył obrzydzenia. Szli na pielgrzymkę, żeby spotkać się z Dalajlamą, a Jego Świątobliwość był zwolennikiem wegetarianizmu, więc to byłoby pogwałcenie celów ich trudnej podróży. Dumnie obnosił się swoją przynależnością do kleru. Podczas gdy inni mnisi i mniszki ubierali się w dzinsy, żeby łatwiej znieść trudy podróży, on upierał się przy swojej brązowej tunice, zupełnie niepraktycznej w tym środowisku i stawiającej go w bardzo złej pozycji, gdyby został złapany przez Chińczyków. Był niewzruszony w kwestii jedzenia mięsa. Twierdził, że przez to mogą ściągnąć na siebie pecha.

Ale w końcu głód zwyciężył. Zeszli na odpoczynek do jakiejś zagrody. Jeden z mężczyzn wyszedł niepostrzeżenie i od nomadów kupił mięso antylopy. Przyszedł do obozu z mięsem, twierdząc, że zwierzę było już martwe, więc nie zrobili niczego złego. Mięso było jednak niezbyt apetyczne – dostali zjełczałe, szaroniebieskie, brzydko pachnące steki.

Kelsang i Dolma nie tknęły posiłku. Następnego ranka ci, którzy jedli antylopę, cierpieli na zatrucie pokarmowe. Jeden z mnichów, Gatsog, leżał w pozycji embrionalnej za kamiennym murem. Penpa również się mocno rozchorował i nie był

w stanie prowadzić uchodźców. Gdy zapadła noc, grupa podzieliła się. Wędrówka w tempie dostosowanym do najsłabszych uczestników wiązała się z niebezpieczeństwem dla tak dużej liczby ludzi. Penpa miał poprowadzić chorych. Ci w lepszej kondycji poszli z Gyaltsemem. Dolma i Kelsang, mniszki z Driru, Jamyang i Choedon znaleźli się w pierwszej grupie. Jeden z chłopaków z Driru oznaczał trasę kamieniami dla tych, którzy zostali w tyle.

Najbardziej niebezpieczny etap podróży rozpoczął się w pobliżu tybetańskiej granicy, u wejścia na Nangpa La. Tuż obok znajdowało się chińskie wojsko.

Po kilku godzinach uchodźcy usłyszeli ciężarówkę jadącą na wolnych obrotach wysoko w górach. Zbiegli w dół, kryjąc się za murem z łupków, aż dopadli strumienia, gdzie znaleźli schronienie w głębokich jamach. Warkot silnika ciężarówki został pochłonięty przez góry. Otrzepali się i wznowili wędrówkę. Siedmioletnia dziewczynka była tak zmęczona, że zasnęła idąc i obudziła się dopiero, gdy się potknęła.

Inne dzieci, zupełnie wyczerpane, zasypiały gdzieś na szlaku. Choedon zauważył, że brakuje kolejnego dziecka. Przez cały czas zajmował się kilkorgiem z nich i z tego powodu wciąż ryzykował swoje bezpieczeństwo. Dziecko nazywane Bagthuk (zupa z kluskami) zostało gdzieś pomiędzy dwiema grupami. Choedon odnalazł go o piątej rano, gdy zaczęło świtać nad górami. Chłopiec spał zwinięty w pozycji embrionalnej, na środku drogi, która prowadziła do bazy wojskowej. Na głowie miał czerwoną czapkę bejsbolową, a wokół szyi zamotany gruby szal. Na ramionach miał duży plecak. Kiedy Choedon sprawdził jego zawartość, okazało się, że był zupełnie pusty, ponieważ chłopiec stopniowo wyrzucał wszystkie ubrania i jedzenie, żeby ich nie dźwigać. Choedon szybko go podniósł i częściowo niosąc, częściowo podtrzymując, zaprowadził do drugiej grupy.

Po nocnej wędrówce pierwsza grupa dotarła do kolejnej chaty pasterskiej, gdzie mogła spędzić dzień. Głód sprawiał, że Dolmę męczyły fale mdłości. Drżała z zimna i łaknienia, szczękała zębami, próbowała się rozgrzać. Nie mając żadnego pożywienia, jej ciało nie mogło wyprodukować ciepła, co oznaczało, że nocą marzła i była bardziej podatna na odmrożenia. Rany, których nabawiła się na nogach i rękach na początku wędrówki, ciągle swędziły i nie chciały się goić.

Ze szlaku mieli widok na błyszczące szczyty Himalajów. Dolmie wydawało się, że nocą kolosalne góry mieniają się silnym, niesamowitym światłem. Okrutny wiatr wzmagął się w ciemności. Niezwykle jasny księżyc odbijał się od ośnieżonych gór i oświetlał panoramę monochromatycznym blaskiem. Czo Oju była wyższa od pozostałych gór. Dolma patrzyła na ten szczyt i myślała o bóstwach, które tam mieszkały. Góra zaznaczała swoją obecność cicho, lecz natarczywie.

Na szlaku napotkali koczownika, spokojnie siedzącego na obmywanej światłem księżycy skale. Człowiek ten ostrzegł ich, że poprzedniego dnia aresztowano w okolicy ośmiu ludzi. Podziękowali mu i poszli dalej, bardziej czujni niż kiedykolwiek wcześniej. Jednak dla jednego z mężczyzn wycieńczenie, wznosząca się na wysokość 5800 m n.p.m. przełęcz oraz żołnierze tam czekający – to było zbyt wiele. Po prostu odwrócił się na pięcie i skierował w stronę Tybetu.

Góry wyglądały jak czekoladowe stożki usypane z piasku. Silne wiatry na granicy wyżyny podrywały pył z dna suchych rzek i rzucały nim w stoki gór. Stopy wędrowców zapadały się w piasku jakby szli przez melasę. Dolma miała założony kaptur oraz maskę, więc z trudem łapała oddech. Zdjęła maskę, żeby odetchnąć. Z każdym wdechem jej zęby pokrywały się zgrzytającym pyłem. Piekły ją oczy, włosy zrobiły się matowe. Kiedy się zatrzymała, czuła pulsowanie krwi w uszach.

Gdy znaleźli się na trzech czwartych wysokości góry, Gyaltzen kazał im się zatrzymać. Pod nimi znajdowała się baza LPZ w Gyaplung jasno oświetlona przez księżyc. Przykucnęła pośrodku lodowcowych wzgórz pokrytych szarym pyłem i nie pasowała do otoczenia. Na bazę składał się duży budynek w kształcie litery H, z czerwonym dachem i pobielonymi ścianami, otoczony wysokim na 3,6 metra szarym murem. Z tyłu budynku znajdowała się zagroda dla psów. Na północno-wschodnim krańcu bazy wznosiła się jedyna wieżyczka strażnicza w kolorze leśnej zieleni, na której żołnierze uzbrojeni w noktowizory i lornetki kontrolowali teren szukając uciekinierów. Widzieli żołnierzy idących przez betonowy plac paradny i nadjeżdżające ciężarówki, z których wysiadali następni. Kilka postaci leniwie okręgało teren.

Gyaltzen kazał im schować się za głazami i szybko podzielił grupę. Było zbyt niebezpiecznie, by mogli pójść wszyscy razem. Zbliżyli się trochę, żeby lepiej widzieć. Baza zagradała im drogę do Nangpa La. Jasny księżyc i rozgwieżdżone niebo sprawiały, że Chińczycy łatwo mogli ich namierzyć. Gyaltzen podzielił grupę (Penpa i jego podopieczni wciąż jeszcze nie dotarli). Najpierw chciał sprowadzić połowę ludzi, a potem miał dać znać pozostałym, że mogą schodzić. Dolma, Kelsang, mniszki z Driru i Choedon znaleźli się wśród tych, którzy mieli iść pierwsi.

Dolma poślizgnęła się i zsunęła się po żwirowym stoku. Z góry poleciały skały obluzowane przez wchodzących ludzi. Ciemne kształty zaczęły spadać tuż obok niej. Jedyne ostrzeżeniem były niewielkie odpryski skalne, które pojawiły się ułamek sekundy wcześniej i prawie powaliły ją na ziemię. Jeden z nich przeleciał tuż obok jej głowy, więc odskoczyła. Traciła równowagę, zachwiała się, ale utrzymała w pionie.

Po kilku godzinach pierwsza część grupy z Gyaltsenem dotarła do brzegu lodowcowego tso (jeziora) Tangyura. Pokryte lodem skały odbijały blask księżycy.

Uciekinierzy rozglądali się nerwowo, wypatrując swoich odciętych od świata towarzyszy. Niektórzy próbowali dawać im znaki latarką. Ludzie na grani sądzili, że mrugające w dole światła to gwiazdy odbijające się w jeziorze. Nawoływania grupy pozostającej na grani wzmogły się. Włączyli latarki i omiatali nimi skały, żeby odnaleźć drogę na dół. Ci na dole szukali dla siebie schronienia, obawiając się, że LPZ zobaczy światła lub usłyszy hałasy. Dziewczynka, którą Dolma pocieszała w pobliżu Tingri, wpadła w histerię. Została rozdzielona z bratem. Nawoływała go. Kilka osób próbowało ją uciszyć. Krzyki dochodzące z grani znowu przybrały na sile.

Gyaltsen doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na uciszenie zagubionej na grani grupy jest ponowne wejście na stok. Dolma, Kelsang i Choedon wraz z pozostałymi, w liczbie około 20 osób, zostali bez przewodnika.

Na górze zagubieni ludzie szukali drogi w dół. Ale w rozrzedzonym, zimnym powietrzu ich woła walki szybko się wyczerpała. Rzucili się na ziemię pokonani przez zmęczenie.

Pod nimi baza LPZ budziła się do życia. Informacje o uchodźcach próbujących przedostać się przez przełęcz dotarły już do dowództwa Wujing.

Pod nieobecność Gyaltsena Lhundrup przejął dowodzenie w grupie uchodźców zgromadzonych na brzegu jeziora. Jedyna droga prowadząca z dala od bazy wojskowej znajdowała się około milę dalej i prowadziła przez śliskie kamienie do niewielkiego, rozklekotanego mostu. W ciemności Dolma niepewnie szła po gładkiej, pokrytej lodem kamiennej nawierzchni. Niektóre z dzieci nie mogły wykrzesać dość energii, by wspinać się po skałach, więc nieliczni dorośli, którym pozostało trochę siły, brali je na ręce. Dolma i Kelsang zostały w tyle.

Stres i poczucie zagrożenia wytrąciły z równowagi Tsheringa, jednego z mnichów. Zaczął bić dziecko, które według niego opóźniało tempo. Krzyczał na przerażonego chłopca, który próbował stłumić swój szloch. Dorośli mieli opiekować się przydzielonymi im dziećmi, ale mnich przez całą drogę strofował dzieciaka, bił go kijem, gdy nie szedł dość szybko, aż opuchła mu twarz. Choedon nie wytrzymał. Rzucił się na Tsheringa ze złością. Zamachnął się, żeby go uderzyć, ale został powstrzymany przez innych.

Wreszcie cała trzydziestoosobowa grupa znalazła schronienie w małej jaskini w zboczu góry. Przez poprzednie dwanaście dni Kelsang szła niewzruszenie i nigdy nie narzekała. Teraz po raz pierwszy pokonała ją zmęczenie.

– Chcę tu zostać i odpocząć – wyszeptała słabym głosem. Wyglądała na wymizerowaną i zabiedzoną. Jej kiedyś pełne usta były suche i popękane. Żyły

odznaczały się na dłoniach. Wycieńczona Dolma położyła się na ziemi obok przyjaciółki.

Jednak Kelsang była dziewczyną z żelaza, w ciągu kilku godzin otrząsnęła się z marazmu. Kelsang zamierzała zobaczyć Dalajlamę i nic nie mogło jej powstrzymać. Wstała. Pozostali poszli za jej przykładem. Wzięli się w garść i ponownie wyruszyli o dziewiętnastej. Nie odeszli zbyt daleko, kiedy usłyszeli krzyk dziecka, odbijający się echem od ścian kanionu. Grupa była zbyt zmęczona i przejęta obawą o własne bezpieczeństwo, więc zignorowała to. Ktoś przekonał ich, że powrót jest zbyt niebezpieczny.

Ale Choedon zawrócił. Po ponad godzinie poszukiwań w okolicach jeziora znalazł dwunastoletnią dziewczynkę siedzącą na kamieniu nad wodą. Cichutko płakała. Choedon chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Nieco dalej na drodze czekała na nich jeszcze jedna osoba. Wyszła im na spotkanie Tenzin Wangmo, jedna z mniszek z Driru. Cała trójka przyspieszyła kroku, żeby dołączyć do reszty grupy.

Zanim do niej dotarli, powrócił Gyaltzen. Jego poszukiwania okazały się bezowocne. Nie odnalazł zagubionej grupy, więc wywnioskował, że zostali aresztowani. Zamilkł, po czym spróbował powiedzieć coś bardziej optymistycznego. Znajdowali się w pobliżu przełęczy. Jeśli nie będą się zatrzymywali, staną na niej przed świtem.

Na brunatnym piargu zaczęły pojawiać się pstre łaty brudnego śniegu i lodu. Im wyżej wchodzili, tym niższa była temperatura. Byli teraz wystawieni na poddmuchy zimnego wiatru. Temperatura sięgała co najmniej  $-4^{\circ}\text{C}$ , ale na nieosłoniętych zboczach spadała do  $-16^{\circ}\text{C}$ . Dolma zatrzymała się, ciaśniej związała sznurowadła, żeby tak nie marznąć. Bardzo głodni i odwodnieni uchodźcy brnęli przed siebie.

Wokół nich wznosiły się olbrzymie granitowe stoki. Wiszące, dziurawe i podtopione lodowce schodziły nisko w dół kularów. Grupa z mozołem przemieszczała się przez morenę, omijając lodowiec przypominający roztopioną piankę. Miał kilkaset metrów szerokości, nacieki lodu oraz wysokie na 2,5 metra kryształowe stożki wyglądające jak zęby rekina.

Teren robił się coraz bardziej wrogi. Dolma i Kelsang szły z opuszczonymi głowami, były zmarznięte, sapały z wysiłku i prawie się ze sobą zderzyły, kiedy Gyaltzen przystanął. Był wczesny ranek, grupa dotarła do Nangpa La.

Choedon, który prowadził dwójkę dzieci trzymając je mocno za rękę, zatrzymał się, żeby się napić i popatrzeć na krajobraz. Stopy wystawały mu z podartych butów. Po dwunastu dniach uchodźcy dotarli do wejścia na Nangpa La, pieszego szlaku położonego na dużej wysokości, przecinającego potężne pasmo Himalajów w odległości kilku kilometrów na zachód od Czo Oju i około 32 kilometrów na północny zachód od

Mount Everestu. Ich bardzo liczna na początku grupa skurczyła się do około 40 osób.

Znaleźli się pośrodku białego pejzażu na 5608 m n.p.m. Ku nim schodził język lodowca, weszli po nim do góry, aż znaleźli się na obludzonym siodle. To było niesamowite. Po obu stronach górowały nad nimi szczyty, które podtrzymywały nieziemskie pole lodowe. Świat pozbawiony był kolorów. Góry i niebo zlały się w jedno, kryształowy horyzont gdzieś się oddalił. Migoczące kurtyny lodowe odbijały promienie słońca.

Poniżej otwierały się potężne szczeliny zamaskowane śniegiem i mostami lodowymi, miały nawet kilkaset metrów głębokości. Lodowiec żył, przemieszczał się o metr w ciągu dnia. Leżała na nim świeża warstwa śniegu, więc nie było wiadomo, gdzie nad strasznymi szczelinami znajdują się lodowe mosty. U ich stóp znajdowały się niewidoczne dla oka zamarznięte przepaście. Kupcy, którzy korzystali z przejścia przez Nangpa La, opowiadali historie o jakach, które niespodziewanie znikają bez śladu na tym niebezpiecznym terenie.

Silne wiatry rzeźbiły w śniegu zwisające ze stoków góry gzymsy, które w każdej chwili mogły się oderwać i spaść. Najcichszy dźwięk lub nieuważny ruch mógł naruszyć potężny nawis śnieżny i posłać go w dół zbocza.

Uciekinierzy, którzy przeżyli przeprawę tym szlakiem, wspominali o ciałach leżących na przełęczy, częściowo przysypanych śniegiem, ich porwane ubrania wystawały gdzieś tam spomiędzy lodu. Tybetańczycy nazywali ten oślepiający krajobraz słowem „biel”. Było tam cicho i śmiertelnie spokojnie.

Przejście przez przełęcz w świetle dnia było niebezpieczne, ponieważ w okolicy czaiły się jednostki LPZ. Uchodźcy byli widoczni z odległości wielu mil. Biorąc pod uwagę nocne zamieszanie, Gyaltzen podejrzewał, że LPZ zostało ostrzeżone o ich obecności, więc szybko musieli dostać się do granicy.

Niedaleko widać było namioty rozstawione na zboczu góry.

Dolma rozpromieniła się, kiedy podeszło do nich kilku ludzi w długich szatach. Wyglądali jak mnisi.



*Zabij jednego, przeraź dziesięć tysięcy.*

Sun Tzu, *Sztuka wojny*

# Śmierć kruków

Zadowolony Benitez poszedł do namiotu kucharzy. Burza już przeszła, szczyt wynurzał się spomiędzy chmur pędzących z zachodu na wschód na wysokości 9000 m n.p.m. Z obozu bazowego Benitez poprowadzi swoją ekipę na jedną noc do obozu I, następnie spędzą noc w obozie II, z którego dokonają ataku szczytowego. Benitez i jego klienci spędzili poranek radośnie pakując jedzenie, ciepłe ubrania i inne niezbędne rzeczy.

Chulidum, szarpa wytyczający trasę, który przejrzał raporty pogodowe, poinformował Beniteza, że za trzy dni rozpęta się wichura. Poprzedniego dnia kłębiaste chmury zasnuły Nangpa La i zapłonęły w zachodzącym słońcu. Ludzie odczuwali presję, ponieważ wielu ekspedycjom kończył się czas określony na zezwoleniach. 30 września 2006 roku na górze było gwarno jak w ulu, ponieważ wspinacze wybierali się na szczyt, zanim zepsuje się pogoda.

Zgodnie ze zwyczajem, wczesnym rankiem przed atakiem szczytowym odprawiano *puja*. Pomiedzy kopułami namiotów unosił się zapach jałowca, szerpowie niskimi głosami odmawiali mantry do buddyjskich bóstw i prosili je o bezpieczną drogę na szczyt. Zimny wiatr szarpał flagami modlitewnymi zawieszonymi na długich linach, niektóre się odrywały i ulatywały ku niebu. Zapach jałowca kojarzył się Benitezowi z początkiem ataku szczytowego. Jego ekscytacja rosła.

Kiedy kręcił się po obozie około ósmej rano, zauważył nędznie ubranych Tybetańczyków przechodzących pomiędzy namiotami. Najstarszy nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Zignorował ich, bo myślał już tylko o wspinacze. Himalaiści przywykli do widoku Tybetańczyków pojawiających się w bazie i parających się handlem. Poszedł więc do namiotu kuchennego i nalał sobie gorącej kawy.

Wspinacze nie zarejestrowali pierwszych strzałów. Większość z nich nadal przebywała w namiotach. Słońce już wstało, ale jeszcze nie wisiało na niebie dość

długo, żeby stępić przenikliwy mróz. Ale potem górskie powietrze przecięły kolejne wystrzały. Zaspani alpiniści rozsunęli suwaki swoich namiotów i wystawili głowy, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Zapach kordytu z wystrzelonych naboju przyćmił aromat jałowca.

Słoweniec, Pavle Kozjek, obudził się na północnym krańcu obozu, gdzie widział, jak strzelano do kruków, które pierzchały w małych, smoliście czarnych eksplozjach skrzydeł.

Ang Tshering, zwykle opanowany *sirdar*, w panice wbiegł do namiotu kuchennego.

– Idą chińscy żołnierze! – krzyknął. – Fatalnie.

Benitez wyjrzał na zewnątrz. W odległości 400 metrów, pomiędzy bazą ABC a znajdującą się pod nią Nangpa La, zobaczył kilka grup żołnierzy idących w stronę obozu i zajmujących strategiczne pozycje do strzału na uskoku moreny. Lodowiec przemieszczał żwir i materię organiczną w stronę pagórkowatego terenu składającego się z wysokich na 18 i 21 metrów stożków ze skał i pyłu oprószonych śniegiem. Sieć szlaków pomiędzy wzgórzami prowadziła do lodowca oddalonego o około dziewięciu kilometrów.

Benitez widział sześciu żołnierzy LPZ, stojących za odłamkiem skały znajdującym się na morenie. Strzelali stamtąd do ludzi przemykających przez znajdującą się w dole ośnieżoną przełęcz. Coraz więcej żołnierzy napływało do obozu i oddawało strzały. Niektórzy opierali swoje karabiny na skałach, by je ustabilizować. Inni najpierw spokojnie mierzyli do celu. Benitez widział kłęby dymu unoszące się z luf. Używali karabinów szturmowych Typu 81, chińskich podróbek kałasznikowów, które nie za bardzo nadawały się dla snajperów. Ale można je przełączyć na ogień pojedynczy, dzięki czemu strzelec wyborowy, mający pewną rękę i wstrzymując oddech, może trafić w cel oddalony o kilkaset metrów. Kilku żołnierzy miało podrabiane okulary słoneczne Gucci lub Armaniego, które chroniły ich przed śnieżną ślepotą. Inni, oślepieni bielą, mieli problemy z wycelowaniem karabinów. Niektórzy wpakowali kilka magazynków w skały, które wzięli za ludzi, przeładowali, zauważyli swój błąd i dalej strzelali w stronę przełęczy.

Wielu wspinaczy podeszło do krawędzi grani w kształcie podkowy, która od strony zachodniej wznosiła się nad Nangpa La. Wśród nich był Sergiu Matei wyposażony w swoją kamerę wideo. Kiedy kilku wspinaczy uniosło aparaty, szybko zostali przywołani do porządku przez żołnierza, który podbiegł do nich machając rękami, żeby ich powstrzymać.

Matei nie dał się tak łatwo zastraszyć. Gdy rozkładał statyw, podszedł do niego żołnierz z karabinem maszynowym, podniósł broń i wycelował ją w Rumuna. Położył

palec na spuście. Niewzruszony Matei zignorował go i zaczął nagrywać. Żołnierz został odwołany przez starszego rangą oficera.

– Wspinacze nic nie robili. Patrzyli tylko, jakby to był jakiś program na żywo – narzekał później Matei. Pod nimi idący rzędem Tybetańczycy, przypominający z tej odległości mrówki, byli celem dla pięciu czy sześciu strzelających żołnierzy. – Strzelali do nich jak do psów. Nie dowierzał temu, co widział, bo na początku nagrania walczył z ustawieniami ostrości w kamerze.

\*

Kilka godzin wcześniej uciekinierzy zeszli z Nangpa La na południe i przecisnęli się między najeżonymi szczytami. Przełęcz wiła się pod obozem i odbijała w kierunku południowo-zachodnim. Grupa około 40 Tybetańczyków z Gyaltsemem zbliżyła się do bazy wspinaczy. Większość z nich chodziła między namiotami. Ryzykowali podchodząc do namiotów w poszukiwaniu jedzenia, ale dręczył ich straszliwy głód. Garstka ruszyła dalej przez Nangpa La.

Prowadziła Kelsang pomagając wyczerpanej mniszce Tenzin Dolmie, wraz z nią szły cztery inne mniszki. Postacie w długich płaszczach, które machały do nich, mogły być mnichami, którzy im pomogą. Być może była to grupa, którą zgubili poprzedniej nocy?

Dolma, Kelsang i cztery inne mniszki zbliżyły się do szarpanych wiatrem pomarańczowych namiotów. Wróciły na szlak prowadzący obok obozu. Dolma zaczęła odczuwać zawroty głowy, ugiwały się pod nią nogi. Kelsang masowała skronie, wysokość sprawiała, że potwornie bolała ją głowa.

Najbardziej wysunięte na północ namioty w ABC należały do ekipy filipińskiej. Według doktora Teda Esguerra, pełniącego rolę lekarza podczas wyprawy, Tybetańczycy wyglądali tak, jakby uciekli ze strefy działań wojennych. Byli tak zagłodzeni i osłabieni, że niektórzy, próbując podkraść jedzenie, zadowalali się mydłem i świecami. Kilkoro z nich przekonało szerpów, by sprzedali im za wygórowaną cenę jakieś kluski i termos herbaty.

Gyaltsem z roztargnieniem przyglądał się uchodźcom pijącym gorącą wodę, którą dostali od ekipy z Filipin. Cały czas oglądał się do tyłu i kontynuował marsz, ignorując prośby uchodźców o wskazanie im drogi. Nagle ruszył biegiem. W oddali pojawiło się kilka postaci w moro, krzyczeli coś i trzymali w pogotowiu karabiny.

Kelsang wrzeszczała i prosiła Lhundrupa o pokazanie, którądy ma iść. Wzruszył ramionami. Zapytała go, czy powinna wyżebrać jakieś jedzenie. Kilku wspinaczy

przerwało swoje zajęcia i zaczęło się im przyglądać, nie wiedząc o co chodzi. Lhundrup dogonił ją.

– Jak mam ich poprosić o jedzenie, skoro nie znam ich języka? – zapytał.

I wtedy znienacka, z przełęcz pod nimi, usłyszeli stłumione wystrzały. Stopniowo stawały się częstsze i głośniejsze. To tylko zachodni turyści puszczaają fajerwerki, mówiła Kelsang, która nie zauważyła zielonych mundurów w oddali. Podtrzymywała Tenzin Dolmę. Uparcie ignorowała strzały, starając się pomóc swojej chorej przyjaciółce.

Mniszki prezentowały się okropnie. Tenzin Dolma nie mogła iść sama, więc Kelsang i pozostałe kobiety podtrzymywały ją na zmianę. Kelsang, osłabiona przez wysokość, nie miała siły, by prowadzić mniszkę i upadła bezradnie na ziemię. Dolma zatrzymała się i chciała pomóc jej się podnieść. Próbowwała pociągnąć przyjaciółkę, ale i ona wywróciła się, bo ugięły się pod nią osłabione nogi.

Pojawili się żołnierze, nadciągając od północy i wychodząc znad krawędzi grani, gdzie znajdowała się baza LPZ. Lhundrup krzyknął:

– Musimy uciekać! Biegnijcie! – Ruszył na południe w stronę Nepalu.

Grupa będzie musiała ponownie przejść przez morenę i Nangpa La. Na przełęcz wznosił się wysoki, stromy stok zwrócony na północ. Za nim była już granica z Nepalem oddalona od nich o dwadzieścia minut marszu.

Wyczerpaną fizycznie Tenzin Dolmę sparaliżował strach i upadła w śnieg. Kelsang próbowała postawić oszołomioną mniszkę na nogi. Żołnierze byli coraz bliżej. Mniszki zatrzymały się i spokojnie wyjęły coś ze swoich plecaków.

– To nas uratuje – zapewniała jedna z nich, wyjmując pigułki, które zostały poświęcone przez Dalajlamę.

Tenzin Dolma próbowała połknąć tabletkę, ale zadławiła się, bo miała zbyt ściśnięte gardło. Kelsang ponownie próbowała postawić mniszkę na nogi. Ale to było niemożliwe.

– Szybciej, biegnij – Dolma popędzała Kelsang. Starła się pomóc przyjaciółce, ale ta odmówiła, każąc Dolmie uciekać, sama zostając przy Tenzin. Dolma nie chciała jej zostawić. Idący za nimi Lhundrup powołał się na swój autorytet. Przekrzykując świst kul powiedział Dolmie, że Kelsang sobie poradzi i kazał jej uciekać.

Po raz pierwszy Dolma oddaliła się od Kelsang.

Niektórzy uciekinierzy wspinali się już na stromy pagórek na północy. Samdhup, psychicznie chora i głucha dziewczynka, próbowała biec po śniegu dźwigając swój plecak. Dechen Pema, która zajmowała się dzieckiem, prosiła ją, żeby zostawiła bagaż. Dziecko odmówiło, chociaż kule świstały wokół jego głowy.

– Nie mogę tego zrobić, bo nie będę miała się w co przebrać! – przekrzykiwała terkotanie karabinów maszynowych. Inni już ją wyprzedzili. Dechen szarpała plecak, próbując zdjąć go z ramion dziewczynki. Wreszcie jej się udało, wyrzuciła go i zaczęły podchodzić pod górę brnąc przez głęboki śnieg. Dechen popychała od dołu swoją wrzeszczącą podopieczną.

Mniszka Sonam Choetso zebrała o jedzenie, kiedy szarpa ostrzegł ją, że zbliżają się oddziały LPZ. Wyrzuciła swój plecak i próbowała uciekać, ale zapadła się po kolana w śnieg. Kule omijały głowę i wbijały się w śnieg u jej stóp. Prący do przodu Lhundrup kazał jej położyć się na ziemi, żeby nie została trafiona. Leżąc w śniegu przypomniała sobie, że ma na szyi zawieszony portret Dalajlamy. Pospiesznie go zdjęła i przywiązała z tyłu kurtki, żeby chronił ją od kul. Następnie podniosła się, zebrała na odwagę i pobiegła, ignorując rozkazy wojska nawołujące do zatrzymania się.

Pewien chłopiec, siedemnastoletni Nawang Kona, zaczął biec, ale po kilku krokach rozpadły mu się buty. Uklęknął, wyjął kawałek sznurka z kieszeni i związał but, chociaż w jego stronę zmierzał już żołnierz. Zabezpieczywszy w kilka sekund obuwie, zerwał się do biegu, porzucając za sobą bagaż. Wielkimi susami minął Dolmę.

– Zostaw torbę! – krzyknął do niej.

Tsultrim Lhodoe, przyjaciel Jamyanga, próbował zabrać ze sobą dziesięcioletnią dziewczynkę. Ciągnął ją przez śnieg, lecz żołnierze podchodzili coraz bliżej. Chwycił wielki plecak, który niosła, i zdjął go z jej pleców. Pociągnął ją za rękę, ale ona nadal nie chciała biec. Więc nie odwracając się już za siebie, odwrócił się i uciekł.

Wiele dzieci, przezuwając jedzenie, które dostały od wspinaczy, po prostu się poddało, z ulgą dały się złapać, żeby wreszcie zakończyć koszmarną wędrówkę. Nie odrywały się od jedzenia, nie zwracały uwagi na nadchodzących żołnierzy. Jeden z oficerów LPZ trzymał pod każdą pachą po jednym schwytanym dziecku.

– Gdzie jest przewodnik? – warknął jeden z żołnierzy. Powolnym gestem jedno z dzieci wskazało na wysoką grań, z dala od obozu, gdzie udał się Gyaltzen. Przewodnik ukrył się tam w śniegu i widział, że żołnierze próbują go namierzyć. Kilku uzbrojonych mężczyzn próbowało wykurzyć go z kryjówki. Podejście na grań było tak strome, że żołnierze wspinali się na czworakach. Gyaltzen po raz ostatni spojrzął w dół, obrócił się na pięcie i pobiegł tak szybko, jak potrafił. W końcu żołnierze zrezygnowali i wrócili do obozu.

Choedon chciał utrzymać przy sobie dwoje uratowanych dzieci, gdy te zebrały o jedzenie. Kiedy jakiś żołnierz kazał mu się zatrzymać, Choedon rzucił plecak i zaczął uciekać zygzakiem. Dzieci poddały się po zaledwie kilku krokach.

Żołnierze chcieli zapędzić Choedona w wąski parów, gdzie mogliby go osaczyć.

Wiedział, czym ryzykuje, jeśli ponownie da się złapać. Zmusił się do nadludzkiego wysiłku, ostro zakręcił, zawrócił i ruszył w górę stromej skarpy, na której stało kilku wspinaczy. Znalazłszy się na półce skalnej, podciągnął się do góry. Stał pomiędzy alpinistami, naciągnął nisko kaptur, żeby osłonić ogorzałą twarz. Po chwili pojawił się wśród nich żołnierz szukający uchodźców. Choedon spuścił głowę i patrzył w dół. Jego czarne skórzane mokasyny były podarte i popękane. Wbił stopy pod śnieg i skulił ramiona. Żołnierz go ominął.

Wśród kadry LPZ było kilku Tybetańczyków. Kiedy ich koledzy, Chińczycy Han, otworzyli ogień, Tybetańczycy krzyczeli, żeby uciekinierzy się zatrzymali. Kiedy niechętnie podnosili broń, udawali, że mają z nią jakieś problemy. Tak naprawdę nie mogli się zmusić do otwarcia ognia w stronę uciekających rodaków. Chociaż raz współczucie przeważało nad rozkazami.

Na Czo Oju ujawnił się głęboki podział wśród chińskiego wojska<sup>[44]</sup>. Chińczycy Han zachowywali się dość beztrzesko. Jeden z nich, pochodzący z Syczuanu, był sprawniejszy fizycznie i poważniejszy od swoich towarzyszy. Biegał ile sił w nogach, celował, strzelał, ścigał uciekające po zboczu mniszki. Mniej więcej co dziesięć kroków zatrzymywał się, żeby wystrzelić.

Widząc Tenzin Wangmo, krzyknął:

– Dokąd się wybierasz, suko!?

Mniszka poczuła jak coś ciepłego omija jej kość piszczelową. Kula rozerwała spodnie i przeszła tuż obok nogi. Kobieta gorączkowo parła przed siebie.

Z najwyższego punktu na przełęczy Thupten Tsering dostrzegł pięć postaci. Z początku myślał, że to mnisi, ale kiedy się zbliżyli, z przerażeniem uświadomił sobie, że to wojsko. Znajdowali się teraz zaledwie trzydzieści kroków za nim i szybko zmniejszali dystans.

Usłyszał jak obrzucają mniszki bluzgami:

– *Thama de!* (Pierdol swoją matkę!)

Funkcjonariusze znajdowali się pięćdziesiąt kroków za Dolmą i mniszkami. Norbu Palden wiedział, że mniszki zostaną zabite lub pojmane, jeśli czegoś nie wymyśli. Odwrócił się i stanął na ścieżce nadciągających żołnierzy. Jamyang i Tsultrim kpili z tego mężczyzny pochodzącego z Kardze, kiedy opowiadał o swoich bójkach z Chińczykami, w które się wdawał ilekroć nadarzyła się okazja. Chłopcy nie wierzyli mu i myśleli, że to tylko czcze przechwałki. Ale Palden nie kłamał, był odważny jak lew. Musiał spowolnić żołnierzy, żeby nie schwytali mniszek. Oddział już się do nich zbliżał.

Norbu Palden wymyślił, że ukryje się za głazem na ścieżce pomiędzy dwoma zapadliskami, które mogły skrywać szczeliny lodowe i zablokować żołnierzy rzucając w nich kamieniami. Zebrał naręcz kamieni ze szlaku i ciskał nimi w zbliżających się funkcjonariuszy. Za jego plecami Dolma i mniszki powoli, lecz bez przerwy wchodziły na czworakach po stromym stoku. Żołnierze zwolnili, Dolma przyspieszyła. Norbu dał mniszkom czas na ucieczkę.

Strzelcy schowali się za skałami. Prawie wszyscy byli Chińczykami Han i źle czuli się na tej wysokości. Po chwili jeden z nich wychynął zza skały i oddał pojedynczy strzał. Huknęło. Kula trafiła do celu.

Norbu Palden upadł na ziemię. Dostał w prawą kostkę. Na śnieg spłynęła krew. Jego ucieczka ku wolności właśnie dobiegła końca. Nie miał wyboru, mógł już tylko czekać na aresztowanie.

Jednak dzięki niemu mniszki zyskały przewagę na prawie pionowym wzniesieniu pokrytym sięgającym do pasa śniegiem. Dotarły do szczytu grani, gdzie mogły skryć się przed gradem kul. Nie zatrzymując się szły jedna za drugą, zapadając się w śniegu, z trudem oddychając rozrzedzonym powietrzem. Dolma bezskutecznie zmuszała swoje ciało do biegu. Kule wbijały się w pokrywą śnieżną wokół niej, podbijając śnieg na wysokość metra. Wydawało jej się, że śni jakiś koszmar, uwięziona w ślamazarnym ciele, które nie mogło funkcjonować bez tlenu. Jej kończyny poruszały się w zwolnionym tempie, nie poddając się panicznemu sygnałom wysyłanym przez mózg, który alarmował o niebezpieczeństwie.

Obejrzała się za siebie na podchodzącą w górę Kelsang.

– Biegnij! – krzyknęła. Widziała, że żołnierz skrócił dystans i dobiegał do jej przyjaciółki. Ogromnym wysiłkiem woli Dolma i Lhundrup dotarli do niewielkiej skały. Dolma schowała się za nią. Wyrównawszy oddech wyjrzała zza kamienia. Poniżej dostrzegła Kelsang prowadzącą Tenzin Dolmę. W tej chwili poczuła podmuch gorącego powietrza i nad jej głową przeleciała kula. Lhundrup pociągnął ją w dół. Pozbawiona tchu wznowiła bieg. Pomiędzy wystrzałami karabinu słyszała okrzyk bólu dochodzący z dołu.

Kelsang, ciągnąc za sobą wyczerpaną mniszkę, usilnie starała się dogonić Dolmę. W ułamku sekundy kula przeszła jej plecy. Upadła do przodu i przetoczyła się na bok. Pozostałe mniszki próbowały ją podnieść, ale bezwładna Kelsang leciała im przez ręce. Wokół jej ciała na białym śniegu wykwitły grzyby z jaskrawoczerwonej krwi. Znajdowała się o kilka minut drogi od granicy.



*Tych, którzy osiągają stan nieśmiertelnego spokoju,  
Nie dręczy już więcej demon śmierci.*

*Uttaratantra Shastra*

## Bardo: stan pomiędzy

Zdumiony Benitez przyglądał się scenie. Stu ludzi było świadkami morderstwa, gdy w biały dzień zaczęto strzelać do nieuzbrojonych kobiet i dzieci. Wspinacze wznosili okrzyki „Do przodu, Tybecie!”, ale po chwili umilkli.

Matei zawzięcie filmował, koniecznie chcąc nagrać to bestialstwo. W oddali jedna z osób poderwała się do przodu, po czym zgięła w pół. Matei wyłączył kamerę.

– Nie chciałem nagrywać niczyjej śmierci – powiedział potem.

Kilka minut później wspinacze powrócili do przygotowań do wejścia na szczyt, niektórzy kazali szerpom przynieść sobie gorącą kawę. Gdy ucichły wystrzały, z nieba zleciały czarne kształty. Jeden kruk, niczym drapieżne widmo, zasiadł na skale tuż za żołnierzem trzymającym broń. Ptak mrugał i czekał. Mówi się, że kruki przynoszą wiadomości od zmarłych.

\*\*\*

Lhundrup dogonił Dolmę i trzy mniszki.

– Gdzie jest Kelsang? – zapytała Dolma.

Lhundrup spuścił głowę i wysforował się do przodu.

Przywarli ciałem do Nangpa La. Lodowy szlak prowadził przez oblodzony, granitowy krajobraz, z obu stron ograniczały ich ramiona gór. Wkrótce dotarli na szczyt przełęczy, gdzie wiatr uformował kamienny filar. Wreszcie stanęli na granicy z Nepalem. Filar został przybrany powiewającym szalami *kata*, flagami modlitewnymi, a także ofiarami złożonymi bóstwom, które pozostawili tu inni uchodźcy. Nareszcie Dolma była wolna. Ale znalazła się tutaj bez swojej najlepszej przyjaciółki. Zaraz po przekroczeniu granicy straciła panowanie nad sobą i zaczęła płakać.

W obozie bazowym panowała napięta atmosfera. LPZ przeczesywało teren w poszukiwaniu uchodźców. Wpychali do namiotów lufy karabinów, szczekali coś do siebie po mandaryńsku. Niektórzy podnosili sprzęt wspinaczkowy i po dokładnym obejrzeniu rzucali go na ziemię. Inni ociągali się, paląc papierosy w nasłonecznionym miejscu i odbierając to jako nagrodę za ciężki poranny wysiłek.

Grupki wspinaczy po kryjomu rozmawiały o tym, co się wydarzyło, ale nikt nie miał śmiałości, żeby stanąć do konfrontacji z Chińczykami. Steve Lawes, brytyjski policjant, tłumaczył:

– Co mogliśmy zrobić? Mieliśmy czekany, a oni kałasznikowy.

Szerpowie ekipy filipińskiej prosili wspinaczy, żeby nie rozmawiali o tym, co widzieli. Alpinieści z nieskrywanym zaskoczeniem patrzyli jak Chińczycy, z którymi podczas burzy śnieżnej stoczyli bitwę na śnieżki, wyłaniają się ze swojego zielonego namiotu w mundurach noszonych przez funkcjonariuszy LPZ. Teraz wszyscy zrozumieli, że zastosowano powszechnie używaną technikę infiltracji dużych grup obcokrajowców. Sześćdziesięcioletni chiński wspinacz, który rozkazywał pozostałym podczas bitwy na śnieżki, żartobliwie nazywany generałem, wyszedł z namiotu ubrany w mundur ze złotymi epoletami zdradzającymi jego wysoką rangę w szeregach LPZ.

Był późny, słoneczny poranek, Norbu Palden w eskorcie żołnierzy z trudem szedł w stronę obozu, podpierając się laską. Pozostawiał za sobą krwawy ślad na śniegu i skałach, a potem bezceremonialnie padł na ziemię. Jeden z żołnierzy kazał mu oddać swoją kurtkę, i podziwiał swój wygląd, gdy założył ją na moro. To był jego łup z dzisiejszego polowania.

Holenderski wspinacz, Frank Berkhout, był zniesmaczony tym, że Chińczycy nie udzielili żadnej pomocy medycznej rannym Tybetańczykom. Na tej wysokości z ran wydobywa się więcej krwi niż na poziomie morza, ponieważ serce bije szybciej, żeby natlenić organizm, stąd i obieg krwi jest szybszy. Norbu robił się coraz bledszy. Holender podszedł do Chińczyków i zażądał dla niego opieki medycznej. Gdy rozmawiał z żołnierzami, zauważył stos jeszcze ciepłych karabinów maszynowych leżących na krześle w namiocie. Chińczycy w końcu opatrzyli ranę postrzałową Norbu. Jakieś piętnaścioro dzieci i Norbu trzymane byli przed dużym, zielonym, chińskim namiotem. Dzieci były przerażone, zobojętniali żołnierze palili papierosy.

W międzyczasie Choedon skorzystał z zamieszania. Gdy siedział nad obozem w niewielkiej jamie śnieżnej, wypatrywał namiot pełniący funkcję toalety. Rzucił się do środka i zakrył tym, co miał pod ręką, naciągając na siebie duży worek w białym

kolorze. Smród był przeokropny. Worek wypełniony był zużytym papierem toaletowym. Przerażenie sprawiło, że nie przejmował się zapachem. Przez wąską szczelinę w tkaninie widział grupę żołnierzy stojącą 20 metrów dalej i rozmawiającą przez radio.

– Mamy jednego z nich – z radiostacji dobiegł metaliczny głos. – Jedna osoba nie żyje.  
– Czterdziestoletni żołnierz ze szczupłą twarzą uważnie nasłuchiwał, bezustannie omiatając wzrokiem zacienioną panoramę. Dzięki temu, że Choedon od wielu lat handlował skórą i kordycepssem, potrafił zrozumieć Chińczyków. Rozpoznał akcent z Syczuanu.

Żołnierze byli pobudzeni tym, że nie mogli odnaleźć Tybetańczyka, który był świadkiem strzelaniny.

– Musi gdzieś tu być – powiedział jeden. Choedon zamarł bez ruchu na widok tego człowieka. Był to ten sam żołnierz, który wcześniej go gonił. Ten sam, który oddał śmiertelny strzał w stronę Kelsang. – Widziałem, jak wmieszał się między obcokrajowców. Musimy go znaleźć – naciskał żołnierz. Był umięśniony, zbliżał się do trzydziestki, miał zdrową, okrągłą twarz i jasnoorzechową cerę. Nosił ścięte po wojskowemu włosy, a pod moro założył szary podkoszulek. Na jego ramionach pyszniły się czerwone epolety, z paska zwisały kajdanki. Przez ramię zarzucił karabin Typu 81. Był zmachany i spocony po biegu w górę zbocza za mniszkami. Dodał: – Ten, który wbiegł między wspinaczy musi być przewodnikiem. Trzeba go znaleźć.

Pojawiło się więcej żołnierzy, prowadzili pojmane dzieci trzymając je na muszce karabinów i przechodząc z nimi w odległości kilku metrów od wspinaczy. Amerykański himalaista, Jim Finley<sup>[45]</sup>, rozpoznał dwójkę dzieci, którym dał skarpety zanim doszło do strzelaniny. Założyły je na ręce jak rękawiczki. Schwytane przez żołnierzy minęły go, spojrzały mu w oczy, ale najmniejszym gestem nie zdradziły, że go rozpoznały. Finley poczuł się niezręcznie i odwrócił wzrok.

Dwoje dzieci ocalonych przez Choedona podczas podróży znalazło się wśród pojmanyh i prowadzonych do chińskiego namiotu. Żołnierz z Syczuanu rozpoznał je, ponieważ były razem z Choedonem, gdy ten odłączył się od grupy.

– Gdzie jest ten brat, z którym byliście? – zagaił. – Jest gdzieś tu wśród nas? – Dzieci nic nie odpowiedziały. Żołnierz naciskał. – No, mówcie. Wiemy, że tu jest. Gdzie go znajdziemy?

Dzieci powoli skinęły głowami i wskazały kilka namiotów.

Wśród tylu ludzi z Zachodu świadek morderstwa popełnionego na Tybetance przez żołnierzy LPZ był w niepewnej sytuacji. Zwołując do siebie tybetańskich szerpów żołnierze kazali im przekazać swoim szefom, że odbędzie się zebranie. Syczuański

żołnierz był najbardziej napastliwy w wygłaszaniu żądań, ponieważ miał pewność, że wspinacze wiedzą, gdzie ukryli się uchodźcy. Poza tym bardzo chciał aresztować człowieka, który widział, jak oddawał śmiertelne strzały. Szerpowie wrócili z pustymi rękami. Nawet tuż po brutalnym morderstwie wspinacze skupiali się głównie na ataku szczytowym i zignorowali ich prośby.

Mimo wszystko, żołnierze zorganizowali zebranie przed namiotem, spodziewając się, że dołączą do nich wspinacze. Jeden z oficerów wyprężył się pośrodku obozu i przechadzał z założonymi do tyłu rękami w otoczeniu podlizujących się akolitów. Ale żaden ze wspinaczy nie przyszedł na zebranie. Wreszcie żołnierze zrozumieli, że nie mają na co czekać. Jeszcze kilka razy na próżno próbowali zwabić alpinistów. Wycofali się, ponieważ wspinacze w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Dzieci oraz schwytni dorośli zostali zaciągnięci do czekających ciężarówek. Żołnierze chcieli jeszcze pozować do fotografii ze swoimi zdobyczami. Kazali Norbu Paledenowi położyć się na śniegu przed stojącymi z tyłu dziećmi i zrobili im zdjęcia.

\*

Sergiu Matei miał półgodzinne nagranie, które wstrząśnie światem, jeśli uda mu się wywieźć je z kraju. W plastikowej obudowie kasety wideo wypalił dziurkę, żeby ją jakoś zaznaczyć, i wsadził ją na dno torby. Po chwili wysłał wiadomość tekstową koledze z rumuńskiej PRO TV, w której opowiedział, że właśnie nagrał grupę chińskich żołnierzy strzelających do nieuzbrojonych Tybetańczyków. Jego kolega był przyzwyczajony do dziwnych żartów Matei, więc zignorował jego esemesa.

Matei pragnął mieć na taśmie nagranie, na którym widać leżące w śniegu ciało. Żołnierze owinęli Kelsang w czerwony koc i zostawili na lodzie. Matei przedyskutował swój plan z duńskim lekarzem Pierre'em Mania. Doktor zalecał ostrożność.

– To zbyt niebezpieczne – powiedział nerwowo, bo akurat obok nich przechodzili żołnierze. Kiedy Matei poszedł po radę do kierownika obozu bazowego, dowiedział się, że taki wyczyn prawdopodobnie skończyłby się jego śmiercią.

Morris Cooper, brytyjski wspinacz, był wstrząśnięty morderstwem i miał straszny dylemat. Należał do ekipy lekarzy.

– Czy mam ryzykować własnym życiem i pójść sprawdzić stan osoby, która albo już nie żyje, albo wkrótce umrze? – wspomina. – Wydawało mi się, że powinienem tam pójść. Ale w końcu nie zrobiłem tego. Czułem się trochę jak tchórz, bo wycofałem się i nie zszedłem.

Steve Lawes miał teleskop wycelowany na ciało Kelsang. O drugiej po południu

oddział LPZ, składający się według niego ze starszych rangą żołnierzy, podszedł do zamarznętego ciała dziewczyny. Niektórzy mieli na sobie długie, czarne płaszcze z napisem na plecach „Policja”, który składał się z dwóch chińskich znaków. Inni mieli białe maski zasłaniające twarze. Dwa razy kopnęli ciało. Po sfotografowaniu sceny, niektórzy pozwolili do zdjęć obok ciała Kelsang niczym myśliwi obok upolowanego jelenia. Kiedy po inspekcji wrócili do obozu, ze złością skonfiskowali teleskop Lawesa.

W międzyczasie przy chińskim namiocie Russell Brice natknął się na tych żołnierzy, którzy nabawili się śnieżnej ślepoty po porannym polowaniu. Doglądał ich, udzielił im pomocy medycznej oraz zaaplikował krople.

Tego samego dnia żołnierze wzięli udział w jakiejś uroczystości przed chińskim namiotem, w samym centrum bazy ABC. Według Lawesa wyglądało to jak ceremonia wręczenia nagród za dobre sprawowanie. Najpierw było przemówienie i wręczono coś kilku osobom. Pod koniec padł rozkaz rozejścia się i wyprężeni żołnierze odwrócili się w prawo. Dwaj żołnierze, którzy nabawili się śnieżnej ślepoty i mieli bawełniane opaski na oczach, odwrócili się w lewo i zderzyli ze swoimi towarzyszami. Niektórzy wspinacze nerwowo zaśmiali się z tej slapstikowej sytuacji.

Około jedenastej trzydzieści młody szarpa wszedł do mesy i powiedział, że w namiocie toaletowym chowa się jakiś człowiek. Matei od razu pobiegł po kamerę. Podeszedł do wskazanego namiotu. Gwałtownie szarpnął za suwak.

– Wyglądał jak zaszczute zwierzę – wspomina Matei. Widok oczu tego człowieka, szeroko rozwartych ze strachu, będzie go prześladował przez długi czas. Tybetańczyk błagał wspinacza o okulary słoneczne, bo bardzo bolały go oczy uszkodzone promieniami odbitego od śniegu światła.

Matei próbował się jakoś porozumieć z oszołomionym Choedonem. Sfrustrowany tym, że nie można się z nim dogadać, widząc, w jakim znajduje się stanie, Matei pobiegł z powrotem do mesy, gdzie starał się przekonać kierownika obozu bazowego do pomocy przerażonemu uchodźcy. Ten odmówił.

– Chińczycy zastrzelą nas, jeśli zostaniemy przyłapani – tak to wyjaśniał Sergiu Matei. – To zbyt niebezpieczne.

Podczas gdy kierownik obozu oraz pracownicy kuchni przyglądali mu się z grozą w oczach, Matei powrócił do toalety z jedzeniem. Gestem dłoni pokazał, że ludzie z karabinami wciąż kręcą się w pobliżu. Wymówił tylko słowo, co do którego miał pewność, że zostanie zrozumiane – „Dalajlama”.

Choedon złożył ręce w geście wyrażającym szacunek. Zrozumieli się nawzajem.

Matei sfilmował spotkanie, później mówił, że zrobił to, żeby mieć dowód na obecność Tybetańczyka w obozie, gdyby ten miał zostać złapany lub zastrzelony. Matei zrobił

także kilka zdjęć.

Z wielką ostrożnością wyciągnął rolnika z toalety. Gdy szli do namiotu kuchennego, mijali kilku żołnierzy. Matei zarzucił rękę na barki Choedona i śmiali się, jakby byli starymi przyjaciółmi. Żołnierze nie obdarzyli ich ani jednym spojrzeniem. W miesie Matei podał Choedonowi gorącą herbatę i płatki. Ukrywał tam Tybetańczyka mniej więcej przez trzynaście godzin.

O wpół do trzeciej w nocy Choedon był gotowy do drogi. Założył polarowe spodnie i ciepłe skarpety, które dostał od Matei. Szlak wydawał się pusty. Przełęcz w dole połyskiwała w świetle księżyca. Matei poklepał Tybetańczyka po plecach, wskazał mu najkrótszą drogę przez lodowiec i życzył szczęścia.

Choedon wyruszył przez zamarznięty krajobraz, pochylił się nisko i szybko biegł w stronę Nangpa La. Ale LPZ ulokowało w bazie wspinaczy wielu żołnierzy oraz rozstawiło gdzieś na śniegu tymczasowe obozy, by powstrzymać Tybetańczyka, o którym wiedzieli, że gdzieś się ukrywa. Sześciu czy siedmiu funkcjonariuszy patrolowało ABC w ciągu dnia. Przed nocą przybyło jeszcze dwudziestu.

Choedon przycupnął za skałą kilkaset metrów od nich. Nie mógł się przedostać na drugą stronę. Zdjął swoją brudną, niebieską kurtkę, zzuł buty i owinał nią stopy, żeby zapobiec odmrożeniom. Polarowe spodnie i grube, wełniane skarpety, które dostał od Matei prawdopodobnie ocaliły mu życie na tym mrozie. O świcie zauważył, że żołnierze rozchodzą się na wszystkie strony. Dalsza podróż była zbyt niebezpieczna. Zawrócił w stronę obozu i dzięki pomocy kilku wspinaczy, ukrył się w jakimś namiocie.

Śmiertelnie wystraszony Choedon przez osiemnaście godzin krył się na tej małej przestrzeni. O północy ponownie postanowił spróbować. Uważając na żołnierzy, poszedł po śladach prowadzących na Nangpa La. Gdy znalazł się na lodowcowej autostradzie, skierował się na południe i tak szybko, jak potrafił szedł w stronę granicy. Dotarł do filaru ozdobionego flagami modlitewnymi przez wdzięcznych Tybetańczyków. Krzyknął ze szczęścia w stronę wiszącej nad nim konstelacji Oriona. Nie marnował czasu, po prostu położył się na ziemi i stoczył w dół stromego lodowca, tam, gdzie leżał Nepal.

*Czy przewyciężyliśmy wroga?  
Żadnego oprócz nas samych.  
Czy osiągnęliśmy sukces?  
To słowo nic tutaj nie znaczy.*

George Leigh Mallory



# Mroczny sekret

Strzelanina pozbawiła Beniteza chęci na wspinanie. Zazwyczaj tryskający energią lider zamilkł i w ciszy wyszedł z klientami z obozu. Tym razem nie czuł żadnego łaskotania w piersi.

Grupa przeszła obok żołnierzy przeczesujących góry z nadzieją na znalezienie Tybetańczyków, którzy chcieliby uciec z kraju. Niewielki punkt, ciało Kelsang, znajdował się na lodzie poniżej nich.

Benitez powłóczył nogami. Opuściła go wola walki o zdobycie szczytu. Przemoc była przerażająca, chciał tylko wszystkich wyprowadzić z obozu dla ich bezpieczeństwa. W porównaniu z tym, co niedawno zobaczyli, wspinaczka wydawała się trywialna, nie warto było się jej poświęcać. Zastanawiał się, czy gdyby był tam ze swoimi kumplami, zszedłby próbować powstrzymać rozlew krwi? Później mówił ludziom, że nie była to tego rodzaju sytuacja, w której człowiek mógłby zachowywać się jak Rambo – żołnierze byli bardzo daleko i wszędzie latały kule. Wbijając stopy w śnieg na stoku, przeżywał na nowo horror, jaki rozegrał się przed jego oczami, oraz swoją bezradność i pytał sam siebie, czy nie próbuje się usprawiedliwiać. „Może zabrakło mi odwagi?” – myślał.

Ekipa Beniteza skurczyła się. Pozostali tylko Jan Anderson, Scott Curtis i Emmanuel Smith (Paul Roger wyruszył dzień wcześniej, żeby przygotować atak szczytowy). Wchodzili pod górę, każde z nich zatopione we własnych myślach. Sześć godzin później dotarli do obozu I i pochowali się w swoich namiotach.

Następnego ranka Benitez posłał Anderson na dół do ABC – okazało się, że jej bóle głowy są zbyt intensywne i nie pozwalają się wspiąć.

Z dwoma pozostałymi klientami Benitez i Rogers wyruszyli w bardzo długą drogę do obozu II. Gruba warstwa śniegu niebezpiecznie zasłaniała szczeliny w lodzie. Mroźne powietrze kęsało ich płuca. Benitez nie miał najmniejszej ochoty wchodzić na szczyt.

Każdy krok wiązał się z wysiłkiem, bo cały czas myślał o tym, co widział dzień wcześniej oraz własnej bierności w obliczu morderstwa popełnionego z zimną krwią. Zanim dotarli do obozu II Benitez aż gotował się ze złości na myśl o tym, czego dopuścili się Chińczycy. Rogers wyczuł, że lider zespołu całkowicie stracił zainteresowanie wspinaczką. Zadzwoił do obozu bazowego, żeby wypytać o szczegóły strzelaniny i rozmawiał przez radio z Henrym Toddem. Todd, według niego, powiedział mu, że kwestia jest „drażliwa” i nie chce o niej rozmawiać przez radio.

Po niespokojnie spędzonej nocy w obozie II Scott Curtis zrezygnował z dalszej wspinaczki. Benitez w pewnym sensie również, co uczynił pierwszy raz w swojej karierze. Jedyne, czego chciał, to opuścić obóz bazowy i wracać do domu. Benitez zaproponował Rogersowi wejście na szczyt. Jego asystent ucieszył się z danej mu szansy. To miał być jego pierwszy ośmiotysięcznik, co mogło mu pomóc w poprowadzeniu większych ekspedycji w przyszłości.

Rogers i Smith musieli wyruszyć wcześniej rano, żeby dotrzeć na szczyt. Benitez pomógł Smithowi założyć raki i upewnił się, że jego butla tlenowa sprawuje się bez zarzutu, po czym życzył obu mężczyznom powodzenia. Wyruszyli o szóstej rano 2 października. Ich latarki czołowe oświetlały ścianę śniegu. Gdy się przejaśniło, gęste cumulusy utworzyły marmurkowy wzór na kobaltowym niebie. Wiatr zwiewał ze szczytu długą, poskręcaną serpentynę śniegu.

Brnęli w górę przez strefę śmierci. W drodze na szczyt Czo Oju Smith wyprzedził Rogersa o trzydzieści minut. Smith zdjął swoją krwistoczerwoną maskę tlenową z czerwonej, ogorzałej twarzy i patrzył na przypominające watę cukrową chmury u swoich stóp. Na zachodzie stał Mount Everest. Poczłł dziwną euforię.

Późnym popołudniem Benitez wraz z Curtisem wrócili do ABC. W drodze do obozu Benitez przystanął, żeby zapytać ekipę Włochów, Il Nodo Infinito, czy przybyły media. Zapadła niezręczna cisza. Pokręcili głowami. Z tego, co Benitez zrozumiał, przez trzy dni po wydarzeniach nic nie przedostało się do mediów.

Matei udzielił długiego wywiadu dla PRO TV przez telefon satelitarny. Ale media międzynarodowe nie podchwyciły historii. Podobnie przepadł wywiad doktora Teda Esguerry, którego udzielił filipińskiej gazecie. Ale podczas gdy Matei i Esguerra zareagowali od razu po strzelaninie, inni wspinacze sprzecjali się tylko i przerzucali pomysłami, co należy zrobić.

Bobby Jackson<sup>[46]</sup>, Amerykanin, który nazywał siebie „łowcą przygód i filantropem” zdradził, że wspinacze nie byli jednomyślni: „Widziałem jak ludzie biegali w panice. Ale co mogliśmy zrobić? Dużo o tym rozmawialiśmy. Byli tacy, którzy mówili: «Boże, nic nie mówcie, bo jeśli chińskie wojsko zechce, w jednej chwili może tu przyjść i zamknąć

górze, wszystkich nas aresztować lub zatrzymać. Więc, Boże Przenajświętszy, niczego nie piszcie w sieci zanim stąd nie wyjedziemy». Była też grupa ludzi, którzy twierdzili, że musimy opowiedzieć światu o tym, co się stało. Kilku mówiło «Zostańmy sławni i zobaczmy, kto pierwszy o tym napisze». Były też i tacy, którzy powtarzali: «Jeśli rozpętały przez to trzecią wojnę światową, to trudno».

Chociaż kilka ekspedycji prowadziło codziennie uaktualniane blogi, opisując w szczegółach swoje wejścia, do świata nie przedostała się tą drogą żadna wzmianka o strzelaninie, którą obserwowało co najmniej stu świadków zaopatrzonych w połączenia satelitarne.

1 października wspinacze przyglądali się jak oddział żołnierzy podszedł do ciała Kelsang, okrył je czerwonym kocem i odciągnął gdzieś poza zasięg ich wzroku. Himalaiści bali się o własne bezpieczeństwo. Po obozie krążyła plotka, że Tybetańczycy zostali zaprowadzeni za lodowiec, gdzie popełniono zbiorową egzekucję, a ich ciała wrzucono do szczeliny. Steve Lawes później wyjaśniał, że „na górze powyżej obozu wciąż znajdowało się dużo ludzi i powstrzymywaliśmy się od nadawania temu rozgłosu, bo nie chcieliśmy sprowadzać na nich niebezpieczeństwa. Chcieliśmy wstrzymać się do czasu aż wszyscy znajdziemy się w Katmandu”.

Benitez był starym przyjacielem Toma i Tiny Sjogren, którzy prowadzili bardzo popularną stronę o wspinaniu, ExplorersWeb (ExWeb). Stopniowo ExWeb stawał się ważnym portalem, zamieszczającym istotne wieści o ekspedycjach górskich. Sjogrenowie nie uznają mainstreamowych magazynów o tym sporcie, uważając, że są miejscem, gdzie współcześni wspinacze przechwalają się swoim przerośniętym ego oraz nadzianymi sponsorami (ExWeb konsekwentnie krytykuje liderów ekspedycji oraz ich firmy za nadmierną eksploatację gór oraz ryzykowanie życiem). W 1996 roku, kiedy na Evereście zginęło jedenaście osób, Sjogrenowie również znajdowali się na stoku, jako członkowie ekspedycji prowadzonej przez Henry'ego Todda. Byli zdegustowani złą organizacją ze strony Todda, więc w końcu odłączyli się od grupy i próbowali sami wejść na szczyt. Potrzebowali jednak jeszcze jednej maski tlenowej. Kiedy jeden z szerpów Todda przyniósł im tlen i dodatkową maskę, sprzęt był pokryty zaschniętą krwią. Domyślili się, że wcześniej należał do wspinacza, który został ranny.

– Po prostu wyczyśćcie to śniegiem – powiedział Todd przez radio. Wkrótce potem para zawróciła nie zdobywszy szczytu.

Od tych wydarzeń na Evereście Sjogrenowie próbowali zdemaskować Todda. Założyli stronę w odpowiedzi na, jak to ujęli, brak obiektywizmu w opowiadaniu o ciemnych stronach alpinizmu. Ich artykuł na ExWeb „Tlen na Evereście – położone najwyżej na świecie laboratorium śmierci” był zjadliwym wystąpieniem zaczynającym się od słów:

„Wyobraźcie sobie, że macie nurkować w najgłębszym oceanie na świecie. Chcielibyście, żeby wasze butle tlenowe napełniał i sprzedawał człowiek skazany za handel narkotykami?”. Sjogrenowie walczyli również z Russellem Brice. Kilka miesięcy wcześniej ostro skrytykowali Brice’a twierdząc, że niewiele uczynił, by uratować życie Davida Sharpa na Evereście. To była pierwsza salwa oddana w coraz bardziej zajadłym konflikcie.

W Kolorado Benitez i Sjogrenowie byli sąsiadami. Łasy na medialny poklask młody wspinacz, który pielęgnował znajomości z reporterami magazynów oraz przedstawicielami mediów, znalazł wspólny cel i zaprzyjaźnił się z właścicielami strony. Sjogrenowie założyli firmę HumanEdgeTech sprzedającą laptopy i telefony satelitarne. Dzięki najnowszej technologii wchodzili w posiadanie i zamieszczali na stronie najświeższe informacje z gór. Benitez testował w terenie ich sprzęt i wysyłał aktualne raporty. Czasami posyłał im tylko bieżące tematy, innym razem pisał całe artykuły. Jednak wielu wspinaczom nie podobało się to, jak Benitez jest przedstawiany na ExWeb, ponadto nie ufali w obiektywizm strony oraz denerwowali ich bezustanny nadzór nad tym, co dzieje się w alpinizmie.

Wróciwszy do ABC, Benitez zadzwonił do Sjogrenów przez telefon satelitarny i przeżył szok, że jeszcze nic nie wiedzieli o strzelaninie. Następnie wysłał do nich mail, w którym opisał całe zdarzenie. W nagłówku wiadomości napisał: „Historia, o której nie mówi się w Tybecie”. W dalszej części relacjonował: „Historia, o której się nie opowiada, wydarzyła się 30 [września] i 1 [października]. Jest tragiczna, zapadająca w pamięć i, wszystko na to wskazuje, całkiem realna dla Tybetańczyków. W nocy z 30 na 1 wyszedłem z namiotu mesy, żeby popatrzeć na Nangpa La (jest to przełęcz pomiędzy Tybetem a Nepalem, zwykle używana przez kupców, lecz również przez ludzi próbujących uciekać). Gdy wpatrywałem się w szeroką połąć przełęczy, zobaczyłem idących gęsiego Tybetańczyków kierujących się ku jej początkowi, co nie było niczym wyjątkowym, jako że szlaki handlowe są otwarte o tej porze roku. Wtem, bez żadnego ostrzeżenia, padły strzały. Potem następne i następne. Idący gęsiego ludzie rzucili się do ucieczki. W górę zbocza. Na wysokości 5806 m n.p.m. Wydaje się, że chińska armia dostała cynk o planowanej ucieczce i pojawiła się na miejscu z bronią. W chwili gdy zaczęto strzelać, zauważyliśmy, że z wijącej się po śniegu linii odrywają się dwa kształty. Rzut oka przez lornetkę potwierdził, że dwie osoby upadły i się nie podnoszą. Zaraz potem w obozie bazowym zaroilo się od chińskich żołnierzy. Uznałem, że najbezpieczniej będzie zabrać moich ludzi w górę zbocza, więc pod wpływem chwili podjąłem decyzję o wyjściu do kolejnego obozu i ataku szczytowym. Historia robi się jeszcze tragiczniejsza. Od Tybetańczyków pozostających w obozie dowiedziałem się, że

zastrzelono siedem, tak, siedem osób [później to sprostowano], a następnie wrzucono ich do szczeliny w lodzie. Wszystko działo się obok dużej reprezentacji wspinaczy z całego świata, pozostających w obozie bazowym, którzy tylko siedzieli i słuchali”.

Benitez chciał napisać dłuższy artykuł o zdarzeniach na Nangpa La. Poprosił, by Sjogrenowie nie publikowali jego nazwiska dopóki bezpiecznie nie wydobędzie się z Tybetu. Wysłał również ten mail do magazynu „National Geographic”.

Tina otworzyła list od Beniteza, gdy sprawdzała pocztę elektroniczną w biurze ExWeb na Manhattanie. Błyskawicznie zamieściła artykuł pod tytułem „Chińscy żołnierze na Czo Oju – Tybetańczycy zastrzeleni na Nangpa La?”. Prawie od razu środki masowego przekazu zaczęły publikować krótkie artykuły o strzelaninie.

Rogers i Smith powrócili do obozu. Ale euforia związana z wejściem na szczyt została przyćmiona faktem, że ponownie znaleźli się na miejscu zbrodni. Inne wyprawy również powróciły, ale radość szybko została stłumiona przez poważny nastrój panujący w obozie bazowym oraz patrolujących go żołnierzy. Panowała przytłaczająca atmosfera, wspinacze chodzili przygaszeni i wystraszeni. Ekipa AC starała się z całych sił uczcić sukces serwując sushi – obiad składający się z łososia i tuńczyka w lepkim ryżu, podlany piwem z Everestu.

Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu, Rogers zgłosił się do Beniteza. Amerykanin ładował sprzęt na jaki, które miały go znieść. Podczas zdawkowej rozmowy dotyczącej logistyki, wypłynął temat strzelaniny. Benitez zwierzył się swojemu asystentowi, że przekazał wieści o zdarzeniu swoim przyjaciołom z ExplorersWeb. W ułamku sekundy Rogers oddalił się i poszedł prosto do Brice’a i Todda.

Po obozie krążyły pogłoski jakoby między innymi Brice i Todd informowali wspinaczy, że najlepiej nic nie mówić o zabijaniu. Kiedy Pavle Kozjek wrócił, był zniesmaczony konspiracyjnym milczeniem w obozie.

– Dla wielu ludzi w obozie bazowym najważniejsze było to, żeby mogli tu kiedyś powrócić. Ze względu na to postanowili nic nie mówić.

Wieści o zdarzeniu docierające na zewnątrz mogły popsuć układy biznesowe. Biznes w Tybecie opierał się na powstrzymywaniu się od komentarzy. Inni wspinacze dostosowali się do zmywy milczenia. Amerykański himalaista, Jim Finley, który dał tybetańskim dzieciom skarpety podczas strzelaniny, powiedział:

– To było tak, jakby nam powiedziano „Och, przecież niczego nie widzieliście”. Ale ja wiem, co widziałem: ciemne kształty, ciała upadające na lód. W obozie bazowym szeptało między sobą, że zachodni wspinacze próbują przekonać ludzi, że nic się nie

wydarzyło. Sądzę, że chodziło im o kontrakty biznesowe.

Brice i Todd wkurzyli się, gdy usłyszeli, że Benitez zamieścił artykuł o strzelaninie oraz jej sprawcach. Kiedy Brice, za którym pojawił się Rogers, przyszedł do namiotu Beniteza o godzinie piętnastej, domagał się, by ten wytłumaczył mu, dlaczego wysłał mail, który mógł wszystkim przysporzyć problemów ze strony Chińczyków.

– Paul powiedział mi, że wysłałeś wiadomość do ExplorersWeb – napadł na Beniteza.  
– Czy cię popierdoliło? – Podważył liczbę zabitych, o której wspomniał Benitez (siedmiu) i powiedział, że przez to wszyscy obecni w obozie mogą mieć kłopoty. Brice prawił kazanie Amerykaninowi twierdząc, że sam kiedyś został postrzelony w górach przez Chińczyków, a Benitez ryzykuje życiem wszystkich wspinaczy w obozie. – Jeżeli chciałeś wysłać ten mail, dlaczego nie poczekałeś aż się stąd wyniesiemy? – pytał.

Rogers zaczął oskarżać Beniteza o to, że szukał poklasku w mediach. Storpedował sprawę wolnego Tybetu twierdząc, że Chiny zmodernizowały region. Co więcej, według Beniteza odniósł się do amerykańskiej hipokryzji w wojnach w Iraku i Afganistanie, mówiąc, że nie tylko Chińczycy powinni być oskarżani o łamanie praw człowieka. Zapytał Beniteza skąd wie, że ci, do których strzelano, nie byli przemytnikami ludzi, wywożącymi dziewczyny do Mumbaju. Na koniec powiedział, że działania Beniteza były nieodpowiedzialne i zapewne doprowadzą do tego, że AC dostanie nieodwołalny zakaz działalności na terenie Tybetu.

Wszystkiemu przysłuchiwali się wstrząśnięci tą sytuacją klienci Beniteza. Oburzony Benitez odparował z pogardą, że słyszał w obozie, iż Brice doglądał morderców, którzy zapadli na śnieżną ślepotę.

– Sądzisz, że to jest właściwe, Russ? – naciskał, odnosząc się do strzelaniny. – Uważasz, że tak należy robić?

– Nie, nie sądzę, że to właściwe! – odparł Brice oddalając się.

Po konfrontacji Benitez schował się w namiocie. Żeby odreagować złość, zdjął raki i zaczął je ostrzyć. Czterdzieści pięć minut później pojawił się Todd.

– Powinno się ciebie obedrzeć za skóry za to, co zrobiłeś – powiedział gniewnie.

Todd był wściekły, że Benitez wspomniał o chińskim wojsku w swoim artykule, który, jak sądził, sprawił, iż wszystkie ekspedycje stały się celami Chińczyków, którzy czytali wszystkie wychodzące z Chin wiadomości. Powiedział Benitezowi, że według niego Chińczycy już znają jego nazwisko, zostanie zatrzymany na granicy i wsadzony do więzienia. Poradził mu też, żeby wyjechał przed swoimi klientami, w przeciwnym razie ich wszystkich narazi na kłopoty.

Benitez nie pozostał dłużny.

– Henry, mam właściwe rozeznanie w tym, co tu się stało. Chciałem pozostać

anonimowy, żeby Chińczycy nie poznali mojego nazwiska, więc jedyną osobą, od której mogli je dostać, jesteś ty. A w zasadzie wasza trójka: ty, Russell lub Paul.

Todd zerwał się na równe nogi i wyszedł. Wkrótce po obozie rozeszła się plotka, że chińskie władze znają już nazwisko Beniteza.

W tym czasie Todd wysyłał wiadomości do swoich kontaktów w prasie proponując im, że opowie własną wersję wydarzeń, w której przedstawi strzelaninę jako nienadzwyczajne wydarzenie, w którym nie było żadnych nieuzbrojonych uchodźców i pielgrzymów, lecz przemytnicy prowadzący kobiety na sprzedaż do domów publicznych. Opublikowanie tego nie pomoże aktywistom z antychińskich organizacji walczących o prawa człowieka, dodał.

Interpretacja Todda rozniosła się po obozie. Powiedział wspinaczom, że ofiary strzelaniny mogły być przemytnikami działającymi w branży erotycznej.

Rogers wpadł do Zielonego, w którym siedzieli Anderson i Smith.

– Wszystko pomieszał – pieklił się. – Zupełnie nie wie, o czym mówi. Ci ludzie byli handlarzami żywym towarem. – Potępił mail Beniteza mówiąc, że naraził innych na niebezpieczeństwo.

Niektórzy wspinacze mieli wrażenie, że kierownicy ekip powtarzali tę historię, ponieważ leżała w ich interesie. Victor Sauders wspomina:

– Od samego początku krążyły pogłoski, że oni [ofiary] byli ludźmi religijnymi i zabito mniszkę lub mnicha. Ale zaraz potem uciszono je, powtarzając, że Chińczycy ich ścigali, ponieważ zostali o coś oskarżeni. Mówiono również, że to nie były mniszki i że wplątani w to byli handlarze ludźmi. Liderzy dużych grup szybko wyciszają takie plotki, bo nie chcą dawać Chińczykom powodów do ingerencji. Ekscytacja wśród wspinaczy nie leży w ich interesie. – Dodał: – Ekipa złożona z piętnastu ludzi jest warta setki tysięcy dolarów. – I jeszcze: – Ludzie wierzyli w to, co chcieli.

Szef innej ekspedycji mówił:

– Sądzę, że ludzie i tak wiedzieli, co się dzieje. Wszyscy mamy skłonność do racjonalizacji naszych motywów. – Dodał – Ale tam chodziło o prawa człowieka. Na naszych oczach doszło do zabójstwa.

Strzelanina i konfrontacja przyczyniły się do nerwowości wśród ekspedycji.

– Wszyscy chcieliśmy zabrać stamtąd ludzi tak szybko, jak to możliwe, ponieważ sytuacja mogła stać się jeszcze gorsza – powiedział jeden z kierowników wyprawy. – Wydawało nam się, że jesteśmy obserwowani, a gdy zaczęto o tym mówić w obozie bazowym, stało się bardzo nieprzyjemne.

Tybetańczycy żyli ze świadomością, że wśród nich znajdują się informatorzy. A teraz zagraniczni wspinacze zastanawiali się, którzy szefowie ekspedycji współpracują

z Chińczykami i mogą na nich donieść, jeśli przekażą na zewnątrz informację o morderstwie. Wspinacze szeptali między sobą i milkli, gdy zbliżali się szerpowie lub Tybetańczycy. Ci, którzy kiedyś pili piwo z Chińczykami w ich obozie, skutecznie ich teraz unikali.

Benitez panikował, myśląc o swojej roli w nagłośnieniu wydarzenia oraz implikacjach wynikających z maila i zastanawiał się, w jaki sposób opuści kraj. Do głębi poruszony konfrontacją z Toddem i Bricem, zadzwonił do przebywającego w Nowej Zelandii Cottera.

– Mówił o tym, że chce wyjechać i spróbować przekroczyć granicę – wspominał tę rozmowę Cotter. – Uważałem, że do jego obowiązków należy zajęcie się grupą i klientami, na tym powinien się skupić. – Cotter, oczywiście, miał doświadczenie z aresztem, zatrzymaniem oraz przesłuchaniem przez oficerów LPZ w Tybecie i wydawało mu się, że jego przewodnik powinien wziąć się w garść. – Z tego, co wywnioskowałem, niepotrzebnie tak się przejmował sytuacją. Nie był przesłuchiwany. Czasami bywa zbyt przewrażliwiony. Wtedy również tak się zachowywał. Nie chciałem, by stchórzył i uciekał, choć taki był jego plan.

Niektórzy klienci Beniteza byli wstrząśnięci atakami na ich przewodnika. W ABC ekipy AC nagle stały się pariasami. Nikt nie chciał z nimi rozmawiać na wypadek, gdyby Chińczycy prowadzili jakąś obserwację.

– Dają nauczkę nowicjuszowi – Benitez poskarżył się Andersen. Jego klienci stali przy nim i oferowali wsparcie.

– Było mi przykro z powodu Luisa – wspomina Scott Curtis. – Był w pewnym stopniu prześladowany przez inne osoby z obozu, które próbowały wpłynąć na nasze postrzeganie tego, co się stało.

W głębi serca Benitez wiedział, dlaczego szefowie wypraw tak się na niego złością.

– Wspinacze zawsze kierują się inaczej pojmowaną etyką – powiedział. – Zwykle wychodzą poza ogólnie przyjęty paradygmat, czyli to, co ty i ja uważamy za normalne. O tym się nie mówi. To jest braterstwo. Wszystko zostaje między nimi.

Coraz bardziej niepokojąc się konsekwencjami swoich działań, dwa dni po pierwszym mailu, Benitez napisał do ExWeb prosząc Sjogrenów o usunięcie przyciągającego uwagę artykułu o strzelaninie. „Docierają do mnie wieści, że strzelano do osób, które handlowały ludźmi, więc dopóki nie dotrę do faktów, lepiej odpuścić, bo różne firmy się denerwują, a mnie obrzucają błotem”.

Ale Sjogrenowie niczego nie odwołali. Tom odpisał Benitezowi, że informacje o siedmiu zabitych uznał za niepotwierdzoną, ale prawdą jest to, że padły strzały, a ludzie upadali na ziemię. Zapewnił Beniteza, że jego nazwisko nie pojawiło się



w związku z tą wiadomością i inni również skontaktowali się z ExWeb potwierdzając historię. Według niego nie było możliwości wycofania publikacji. Zakończył słowami: „Już za późno na odwoływanie czegokolwiek”.

Publikując w sieci opis łamania praw człowieka przez Chińczyków Sjogrenowie nieświadomie wkroczyli na pierwszą linię frontu nowoczesnej cyberwojny toczącej się pomiędzy Chinami a Zachodem<sup>[47]</sup>. Krótko mówiąc, entuzjaści wspinaczki stali się celem doświadczonych chińskich hakerów.

Od momentu pojawienia się artykułu o strzelaninie strona Sjogrenów była atakowana 24 godziny na dobę. Później w ciągu nocy zniknęły z niej wszystkie informacje z Chin. Rano ich skrzynki pocztowe pękały od spamu zawierającego wirusy, które przedostawały się do ich sieci komputerowych i wysyłały dane do sieci w Chinach. Sjogrenowie nie wyszukiwali się w Google. Ktoś zaatakował ich stronę tak, by nie można jej było znaleźć przez wyszukiwarki.

Kiedy wiadomość ze strony ExWeb przedostała się do mediów, do działania przystąpiły grupy protybetańskie. Czuły się urażone tym, że tak niewielu wspinaczy poświadczyło te wydarzenia. Studenci związani z Wolnym Tybetem planowali upublicznić nazwiska himalaistów, którzy nie zajęli stanowiska w sprawie.

ExWeb nawoływała do podawania dalszych informacji, prosiła o zgłaszanie się świadków i przysyłanie zdjęć. 11 października Pavle Kozjek odpowiedział i wysłał mailem zdjęcia żołnierzy LPZ oraz tybetańskich dzieci, które pojмали, a także ujęcie przedstawiające ciało Kelsang na śniegu. Wszystkie agencje informacyjne chciały mieć te zdjęcia. Kozjek wiedział, że jeśli w takim materiale znajdzie się jego nazwisko, może to być koniec jego kariery w Himalajach.

W obozie bazowym było dziwnie spokojnie, ponieważ ludzie próbowali wyjechać do swoich domów. Dni ciągnęły się bez końca. Post Beniteza, umieszczony na stronie ExWeb, elektryzował grupy walczące o wolny Tybet na całym świecie. Przyszedł do niego mail od Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu, w którym poproszono go o potwierdzenie, że strzelanina rzeczywiście miała miejsce i zapytano czy zgodzi się opowiedzieć o tych wydarzeniach. Odmówił, przynajmniej do momentu aż znajdzie się w Katmandu.

Brice i Todd powiedzieli Angowi Tsheringowi, że Benitez wpędzi wszystkich, a szczególnie szerpów, w kłopoty. Ang i Benitez omówili strategię, jak wyjść z tego bez szwanku. Ang zaproponował, że to on będzie mówił, jeśli ich zatrzymają. Starszy szarpa najlepiej wiedział jak przemawiać do chińskich władz. Rogers i Benitez usunęli z komputerów wszelkie ślady kontaktów elektronicznych z ExWebem na temat

strzelaniny.

Po kilku długich dniach spędzonych w obozie grupa Beniteza opuściła ABC jako jedna z ostatnich. Ich sprzęt został zniesiony przez dwadzieścia jeden jaków. Poprzedniej nocy Benitez ostatni raz spojrzął na Czo Oju, górę, którą później nazwie swoim nemezis.

W chińskim obozie bazowym zostali dokładnie sprawdzeni przez żołnierzy, ale nie opóźniono ich wyjścia. Ekspedycja z Filipin miała mniej szczęścia. Wszyscy jej członkowie zostali przesłuchani, a ich ciężarówka przeszukana, zanim dostali zgodę na wyjazd.

Ekipa Beniteza wyjechała z ABC wcześniej rano i dotarła do Tingri o dwudziestej. Następnego dnia wsiedli do land cruisera i ruszyli przez nierówne górskie drogi do Zangmu. Na granicy przesiedli się do jeepa. Widać było zdenerwowanie Beniteza, gdy przenosili bagaże z jednego auta do drugiego. Zaraz potem przejechali przez wiszący na wysokości 60 metrów most Przyjaźni, wybudowany w 1985 roku, który był symbolem podziału pomiędzy chaotycznym, nieuregulowanym, górskim królestwem Nepalu a represyjnym, autorytarnym supermocarstwem XXI wieku, jakim są Chiny. W związku z tym, że w całych Chinach obowiązuje czas pekiński, pomiędzy jednym a drugim końcem mostu jest różnica dwóch i pół godziny.

Kiedy wjechali na most prowadzący do Nepalu, Benitez odetchnął z ulgą. Wreszcie znalazł się w bezpiecznej odległości od Chińczyków. Jednak gdy jechali żyzną, zadrzewioną doliną, drogę zagroziła im czerwona lina przewiązana w poprzek drogi. Jeep został otoczony przez partyzantów maoistycznych z maskami na twarzach niczym bandyci i uzbrojonych w pistolety automatyczne oraz stare karabiny. Poprzedniego roku partyzanci maoistyczni zranili rosyjskiego przedsiębiorcę Alexa Abramowa i jego przewodnika, rzucając ręcznym granatem w ich ciężarówkę. Wojna domowa, w której zginęło już ponad 13 000 osób, zaczęła się w 1996 roku, gdy buntownicy maoistyczni doprowadzili do rebelii mającej na celu obalenie monarchii w Nepalu.

Partyzanci zażądali 5000 rupii (62 dolarów). Ang zdołał obniżyć kwotę do 50 juanów i wreszcie grupa mogła odjechać.

Po Katmandu krążyły złowieszcze pogłoski, jakoby chińska ambasada poszukiwała wspinaczy, którzy byli świadkami strzelaniny w górach, żeby zmusić ich do milczenia. Mail Beniteza został zamieszczony przez agencje informacyjne na całym świecie. Lokalni dziennikarze dobijali się do wspinaczy. W brytyjskiej gazecie „The Independent” zamieszczono nagłówek następującej treści: „Chiny próbują zakneblować usta alpinistom, którzy byli świadkami zabijania Tybetańczyków”.

Wspinacze coraz bardziej się niepokoili. Szef ekspedycji, do której należał Filipińczyk doktor Ted Esguerra, ostrzegł go, żeby ani słowem nie wspominał o tym, co widział i robił. Lekarz ukrył się w kościele Adwentystów Dnia Siódmego w Katmandu, gdzie modlił się o to, by go nie zatrzymano.

Benitez bezpiecznie ulokował swoich klientów w hotelu Tybet, po czym sam zameldował się w Radissonie, żeby wywieść w pole tych, którzy być może go śledzili. Ponownie zatelefonował do Cottera i poprosił go, by skontaktował się z ExWeb. Cotter zadzwonił do Sjogrenów i poprosił ich, żeby usunęli wzmiankę o „amerykańskim przewodniku” w tekście nadesłanym przez Beniteza.

Benitez był przerażony i odczuwał strach nawet we względnie bezpiecznym Nepalu. Siedząc samotnie w hotelu, przytłoczony strachem i odrazą do samego siebie, ciągle na nowo odtwarzał tę scenę w głowie. Czy Todd miał rację? Czy grupa naprawdę składała się z przemytników żywego towaru zmierzających do Mumbaju?

W pokoju hotelowym zaciągnął kotary i zamknął oczy. Zadzwonił telefon. Przecież nikomu nie powiedział, gdzie się zatrzymał.

*Rozbijcie w proch  
dziką agresję kliki Dalajlamy,  
walczcie z separatyzmem  
i wojujcie w imię stabilizacji.*

„Tibet Daily”

# Pojmani przez Wujing

Pielgrzymi zaczęli się poruszać. Jamyang gwałtownie się przebudził i rozprostował zmarznięte kończyny. Wokół niego leżeli śpiący ludzie. Piętnastolatek wstał. Zrobił kilka kroków w stronę krawędzi spadzistej półki skalnej i znieruchomiał. Tuż pod nim rozciągała się baza LPZ w Gyaplung. Słyszał szczekanie psów. Szybko wycofał się z miejsca, gdzie mógł być widoczny.

Grupa składająca się z około 20 osób rozmawiała o tym, co powinni zrobić i rozdzieliła się na dwie części. Jedni chcieli czekać na przewodników, inni uciekać bez nich. W oddali zaterkotał karabin. Poniżej przejechały dwa zielone pojazdy należące do LPZ. Po kilku godzinach część uchodźców pod przywództwem pewnego siebie dziewiętnastolatka postanowiła pójść własną drogą.

– Nie zamierzam tu umierać – powiedział. Przez dwadzieścia cztery godziny pozostała grupka czekała w ukryciu nad bazą LPZ. Byli odwodnieni. Pod nimi lśniła powierzchnia jeziora. Ale nie ośmielili się zejść na brzeg w obawie, że zostaną dostrzeżeni przez żołnierzy.

Dzień później dobiły do nich dwie osoby, trzydziestoletni mężczyzna i czterdziestoletnia kobieta, którzy wcześniej oderwali się od reszty wraz z Penpą. Penpa, powiedzieli, zniknął, gdy udał się na poszukiwanie wody i już po nich nie wrócił.

Grupa musiała podjąć jakąś decyzję, nie mieli jedzenia ani wody, więc nie pozostało im dużo czasu. Mnich Sangya odprawił rytuał polegający na rzuceniu relikwi na ziemię. Postanowiono, że ruszą prosto przez leżący w dole skalisty szlak.

O zmroku, gdy leżeli ukryci na skrawku ziemi w cieniu góry skąpanej w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca i upstrzonej namiotami, usłyszeli jak ktoś krzyczy:

– *Wei! Wei!* („Dzień dobry” po mandaryńsku). *Shang la ya!* (Chodźcie wyżej!)

Zastanawiali się, czy był to jeden z przewodników. Ucieszeni perspektywą wyjścia z trudnej sytuacji, z ulgą ruszyli w stronę tej postaci. Kiedy się zbliżyli, mężczyzna oddał dwa strzały ostrzegawcze w powietrze. Przez megafon jakiś żołnierz kazał im się zatrzymać. Mnisi krzyknęli:

– Uciekajcie!

Jeden z nich zerwał się na nogi i zaczął uciekać, ale potknął się i upadł, wyjąc z bólu. Jamyang, sprawniejszy fizycznie od pozostałych, podbiegł do rzeki, pomagając po drodze dwójce dzieci. W powietrzu świstały już kule. Jamyang, odwróciwszy się, zobaczył przez ramię, że strzelało dwóch żołnierzy. Zatrzymał się.

– Ręce do góry! – krzyknął żołnierz. Funkcjonariusze LPZ podeszli bliżej. – Rzuć plecak na ziemię! – warknęli. – Uklęknij.

Mnich, który odprawiał rytuał, szeptem powiedział:

– Jest ich tylko dwóch. Możemy uciec!

Jamyang przykucnął w gotowości do biegu. Dostrzegł jednak powoli zbliżającą się obławę, nieprzenikniony zielony mur składający się z około 80 żołnierzy. Byli otoczeni.

Jamyang dostał po plecach kolbą karabinu. Żołnierze LPZ zabrali im plecaki i wytrząsnęli ich zawartość na śnieg, następnie zerwali okulary przeciwsłoneczne z oczu uchodźców i założyli je na własne nosy. Skupili swoją uwagę na Sangya, który był oczywistym celem przez swoją brązową tunikę.

– Może byśmy ich od razu zabili? – splunął jeden z żołnierzy. – Mnich jest przywódcą tej bandy.

Zaczęli go bić i kopać. Mnich uniósł w górę ręce zakute w kajdany i błagał, żeby przestali.

Żołnierze poderwali uchodźców na nogi i zaprowadzili ich do ciężarówki stojącej na pobliskiej drodze. Tam Jamyang ponownie spotkał Norbu Paldena. Opierał się plecami o burtę ciężarówki i był przykryty zielonym, wojskowym kocem. Rana postrzałowa na jego lewej kostce wyglądała na zaognioną.

Błady na twarzy Norbu wyjaśnił, jak został postrzelony. Co gorsza, opowiedział Jamyangowi, że zabito jedną mniszkę. W bazie Gyaplung uchodźców oślepiły silne światła i powitały szyderstwa ze strony żołnierzy. Niektórzy trzymali przy sobie owczarki niemieckie.

– Cały dzień się za wami uganiałem, skurwysyny – warknął jeden z nich.

Grupę zmuszono do pozowanych fotografii i nagrano, gdy nerwowo czekała na kolejny ruch wroga. Jeden z mundurowych zaryzykował stwierdzenie, że być może jest ich więcej gdzieś w ukryciu, po czym spojrział poza obszar bazy, gdzie panowało mrozące krew w żyłach zimno.

Zostali zaprowadzeni do celi w białym budynku w kształcie litery H i zamknięci w pomieszczeniu przypominającym refektarz. Przybyło dwóch lekarzy, żeby ich zbadać, zmierzyć wzrost, szerokość ramion i wagę. Zanim wyszli podali uchodźcom pigułki, które, według ich słów, miały leczyć „słaby wzrok”.

Następnie pojawili się śledczy i zaczęli zasypywać pojmanych lawiną pytań. Zapytali Jamyanga o imię.

– Karma – skłamał.

Urzędnik zapisał je. Padły następne pytania: Kto doradził ci ucieczkę do Tybetu? Gdzie zatrzymałeś się w Lhasie? Czy spałeś tam w jakimś domu czy w hotelu? Jakiej marki i koloru były pojazdy, którymi jechałeś z Lhasy? Jak ma na imię przewodnik i ile mu zapłaciłeś? Jak poznałeś przewodników? Jak się nazywają i gdzie się urodzili? Czy znasz Dalajlamę? Czy masz krewnych w Indiach?

Zaprowadzili Jamyanga do celi. Po kilku minutach gdzieś obok zaczęła grać chińska muzyka disco i ściany pomieszczenia wibrowały w rytm piosenek. Pod drzwiami dostrzegł błyskające światła i usłyszał podniesione głosy. Żołnierze świętowali udaną obławę.

Tej samej nocy uchodźcy zostali zapakowani na ciężarówkę i wywiezieni w inne miejsce. Było im niedobrze od jazdy przez kręte, górskie drogi, mieli ściśnięte żołądki ze strachu. Podzielono ich na grupy pod względem płci i wieku i zaprowadzono do sterylnych baraków. Jamyang został wepchnięty do jakiejś celi. Na podłodze dostrzegł jednego lub dwóch innych więźniów. Jednym z nich był chłopiec, który wcześniej w panice odłączył się od grupy. Uśmiechnął się widząc Jamyanga. Na końcu celi było betonowe podwyższenie, na którym leżała cienka mata. Z zewnątrz wpadało jasne światło, przez które nie można było spać.

Kilka godzin później do celi wrzucono dwudziestoosmioletniego mężczyznę z Lhoka. Krwawił z rany postrzałowej w nodze. On również był członkiem ich grupy. Powiedział, że kula rykoszetowała od skały i ugodziła go w nogę.

Wczesnie rano zaczęły się przesłuchania. Najpierw poszedł Tsundue, mnich, który nie chciał zamienić habitu na świeckie ubranie. Po dwóch godzinach dwóch żołnierzy przyciągnęło go z powrotem do celi i rzuciło na podłogę. Miał miazgę zamiast twarzy, był nie do poznania.

Następny był Jamyang. Najpierw szedł ciemnym korytarzem, potem został wprowadzony do małego pokoju. Na jego końcu stało biurko, za którym siedział szeroki w ramionach Chińczyk w ciemnym garniturze i z włosami zabarwionymi henną. Obok niego stał niski, naburmuszony żołnierz LPZ. Po pięciu minutach pobieżnych pytań o to skąd Jamyang pochodził, jego zawód i inne dane osobiste, oficer

zmienił taktykę.

– Co wiesz o Dalajlamie? – zapytał.

– Nic – spokojnie odpowiedział Jamyang.

Śledczy przytaknął.

– Zatem lubisz kłamać? – drażnił się. – Z jakiego powodu znalazłeś się w górach tuż przy granicy? – Wstał i obszedł biurko. Gdy się zbliżył, Jamyang zobaczył, że w ręce trzyma elektrycznego pastucha.

Pierwsze porażenie prądem sprawiło, że Jamyang zemdłał. Był przywiązany skórzanymi pasami do drewnianego krzesła. Kiedy doszedł do siebie, wznowiono przesłuchanie na temat Dalajlamy. Nie chciał nic mówić, więc ponownie został rażony prądem.

– Wiem, że chciałeś dostać się do Indii! – wrzeszczał oficer. – Miałeś zamiar spotkać się z separatystami, prawda? Jaki jest związek pomiędzy Dalajlamą a Tybetańczykami?

Fala białego, gorącego bólu popłynęła w górę od posiniaczonych, krwawiących goleni chłopaka. Jego prześladowca wyjął długi, skórzany pas. Brutalnie bił go po gołych rękach. Piekący ból był nie do wytrzymania. Następnie przełożył pas w taki sposób, że uderzał krawędzią i za każdym razem z rąk chłopca wyrywał kawałki skóry w kształcie półksiężyców. Jamyang wył z bólu. Ale nie przyznał się, że chciał uciec do Indii. Oficer chwycił gumowy pagaj i zaczął okładać nim nogi Jamyanga. Następnie założyli stalowe klamry na jego palce i wykręcili mu ręce za plecy.

Tortury trwały przez cały dzień. Jamyanga zaciągnięto do celi ze świeżymi ranami na rękach. Gdy położył się przy ścianie, podszedł do niego jakiś więzień.

– Źle to wygląda – powiedział. – Musiałeś sobie jakoś na to zasłużyć. Co zrobiłeś?

Jamyang wiedział, że Chińczycy umieszczają szpiegów wśród więźniów. Po przesłuchaniu i torturach osadzeni są łatwym celem, bo pragną współczucia i wsparcia. Jamyang zignorował go i odwrócił się do ściany.

Pod koniec przesłuchań wielu uciekinierów zmuszono do podpisania dokumentu urzędowego, w którym stwierdzali, że nie byli świadkami zamordowania Kelsang Namtso. Ci, którzy nie umieli czytać i pisać musieli odcisnąć kształt kciuka. Kilka razy żołnierze wchodzili do celi z telefonem komórowym, w którym mieli zdjęcie martwej Kelsang. Chcieli wiedzieć, kim była dziewczyna i skąd pochodziła. Wszyscy udawali głuchych.

Dzień po przesłuchaniu Jamyangowi kazano czyścić toalety. Kiedy zareagował, strażnicy więzienni uświadomili sobie, że rozumie język mandaryński. Na następny dzień przyszedł do niego wysoki, szczupły mężczyzna w czarnym garniturze



i okrągłych okularach w białych oprawkach.

– Gdybyś zobaczył martwą osobę, to co byś sobie pomyślał? – zapytał. To było dziwne pytanie. Mężczyzna naciskał. – Bałbyś się?

Jamyang bez namysłu odpowiedział po chińsku:

– Nie, oczywiście, że nie.

Mężczyzna skinął głową, zadowolony z tego, że Jamyang mówi i rozumie po chińsku.

– OK, chodź ze mną – powiedział.

Zakutego w kajdanki Jamyanga wywieziono z garnizonu gdzieś na południe. Przez godzinę podskakiwali na drodze, aż wreszcie dotarli do dużego budynku stojącego na zupełnym odludziu. Chłopak czekał na podwórku, podczas gdy mężczyzna, który go zatrzymał dzień wcześniej, wszedł do środka. Kilku żołnierzy o ziemistych cerach stało w kółku i paliło papierosy. Jakaś postać wyłoniła się z budynku pod eskortą żołnierzy. To był Norbu Palden. Wyglądał na przerażonego. Gdy się zbliżył, Jamyang zapytał go, co się stało.

– Nie – jak otumaniony poruszył tylko ustami nie wydając głosu. Jamyang widział, jak pakują go do jeepa i odjeżdżają.

Następnie pod eskortą przeszedł nieznanemu mu starszemu człowiekowi. Jamyang ponownie próbował wydobyć jakieś informacje.

– Nic nie wiem, nic nie wiem – wymamrotał mężczyzna zanim zniknął. W końcu pojawił się facet w czarnym garniturze.

Podał Jamyangowi białą chusteczkę, którą miał zakryć usta i nos. Skinął głową.

– Chodź ze mną – poinstruował. Popchnął drzwi i weszli do ponurego budynku. Stanęli w dużym pomieszczeniu bez okien. Pośrodku podłogi pod plastikowym przykryciem leżało ciało. Obok położono czarną torbę, a jej zawartość rozsypano. Kilka garści *tsampa*, jakieś zdjęcia przedstawiające tybetańską rodzinę, wełniana czapka i kolorowy szal w białe i srebrne paski.

Mężczyzna podniósł płachtę. Pod nią leżała naga Kelsang Namtso. W jej klatce piersiowej ziała dziura wielkości małego talerza. Jamyang zdusił w sobie wszelkie emocje.

– Teraz już wiesz, dlaczego cię tu przywiozłem – powiedział człowiek w garniturze.

– Nie – odparł Jamyang. – Nie rozumiem.

– Cóż, bardzo dobrze mówisz po chińsku, a my potrzebujemy twojej pomocy. Spójrz na tę mniszkę. Znasz jej imię, wiesz skąd jest?

– Nic nie wiem. – Jamyang pokręcił głową.

– Och, przestań – odrzekł mężczyzna. – Jesteś pewien?

Jamyang umilkł.

– Zostań tutaj – rozkazał mężczyzna i wyszedł.

Zostawszy sam Jamyang zadrżał. Po jakimś czasie, który wydawał mu się wiecznością, mężczyzna wrócił z pięcioma żołnierzami, którzy przenieśli ciało do przedpokoju.

Gdy wracali z powrotem do Tingri zadzwonił telefon tego człowieka. Osoba dzwoniąca mówiła tak głośno, że nawet Jamyang ją słyszał.

– Co zrobimy z ciałem? – pytała. – Musicie dowiedzieć się skąd była i dostarczyć ciało rodzinie – poinstruował głos.

Gdy zbliżyli się do więzienia, mężczyzna znów się odezwał.

– To twoja pierwsza próba ucieczki, więc możemy cię wkrótce zwolnić. Ale jeśli zdarzy się to po raz drugi, zabijemy cię w bardziej okrutny sposób niż mniszkę.

Przejechali przez bramę garnizonu w Tingri.

*Mędrzec nie zmywa grzechów wodą,  
nie koi bólu stworzeń własnymi rękami.  
Nie przekazuje innym tego, co sam rozumie,  
lecz uwalnia pokazując im pokój wszelkiego pojęcia.*

Budda

# Odpowiedzialność wynikająca z oświecenia

Dolma czekała mając nadzieję, że ujrzy Kelsang przechodzącą do Nepalu przez grzbiet wzniesienia. Ale było cicho i nic nie mąciło oślepiającej bieli. Nie chciała wierzyć, kiedy mniszki powiedziały jej, że Kelsang została postrzelona w nogę. Musiała zawrócić. Przytłaczała ją lojalność w stosunku do przyjaciółki.

Lhundrup wiedział, że Dolmę zastrzelą lub złapią, jeśli wróci. Co gorsza, jej powrót naraziłby ich wszystkich na tortury i więzienie. Lhundrup, potykając się, prawie ciągnął przerażoną dziewczynę w stronę Nepalu. Powiedział jej, że musi myśleć o nich wszystkich, nie tylko o sobie.

Brnęli przez śnieg, w pewnym momencie zamrożona, wierzchnia warstwa pękła i Dolma wpadła do dziury aż po uda. Każdy krok mógł wywołać lawinę lub skończyć się wpadnięciem do szczeliny.

Lodowiec stromo schodził na dół. Ciągłe odpadanie sprawiało, że na krawędź przęłeczy staczały się oderwane lazururowe kawałki lodu wielkości samochodu. Na skraju lodowca stało pięć czy sześć pokutników – przerażających rzeźb z lodu.

Na lodowcu leżały pojedyncze kawałki skał. Nie było tu żadnego szlaku. Pod śniegiem kryły się szczeliny. Podłoże bez przerwy się przemieszczało, każdy krok wiązał się z niebezpieczeństwem. Lód poprzecinany był cieniutkimi pęknięciami szerokości kilku centymetrów. Jedyne dźwięki przypominały pischczenie styropianu i dochodził spod ich stóp dotykających krystalicznego śniegu. Na rozciągającym się poniżej horyzoncie widzieli Nanga Gysum, strażnika Nangpa La, odcinającego się od marmurkowego nieba jak smukły grot strzały, do krawędzi którego przywarł śnieg z obu stron łączący go z niższymi szczytami.

Po godzinie lub dwóch grupa napotkała kupców z jakami, którzy chcieli przejść przez Nangpa La. Lhundrup zatrzymał się, żeby z nimi porozmawiać. Poczekał aż Dolma odejdzie na tyle daleko, żeby nie słyszeć.

– Postrzelono tam mniszkę – powiedział im.

Zapytał, ile kosztowałyby zebranie wiadomości o Kelsang i, jeśli żyła, zabranie jej z powrotem do Driru. Po krótkim targowaniu umówili się na kwotę 200 juanów (30 dolarów). Lhundrup od razu im zapłacił, zobowiązując ich do dostarczenia ciała do Driru, gdyby dziewczyna nie żyła.

Dwie godziny później kupcy próbowali dotrzeć do ciała, ale zobaczywszy, że w górach jest mnóstwo żołnierzy LPZ nie ośmielili się zatrzymać i poszli dalej.

Grupa zeszła do Nepalu i znowu musiała zmierzyć się z niebezpieczeństwem: nepalska policja, podobnie jak chińska, często zagrażała uchodźcom. Funkcjonariuszy opłacano, żeby deportowali ich do Chin, zdarzało się, że gwałcili, rabowali, a nawet mordowali. Za uciekinierów z Tybetu przygraniczne oddziały LPZ płaciły grube pieniądze, więc Nepalczycy polowali na nich dla zysku.

Nieskazitelny śnieg pokrywający zamarznęty lodowiec opadał w stronę poszarpanej krawędzi lodospadu, na której wytworzyły się nawisy oraz sterczące seraki. Przed lodospadem znajdowała się płaska, skalista przestrzeń, zwana Dzasampa, od dawna wykorzystywana przez nomadów, kupców i uchodźców. Wzniesiono tam potężne, kamienne ściany, które chroniły od porywistych wiatrów. Wyczerpani do cna, odczuwający skutki śnieżnej ślepoty, opuszczeni Tybetańczycy rzucili się na ziemię. Większość wyrzuciła bagaże podczas strzelaniny. Nieliczni mieli koce, jedzenie i ubrania na zmianę. Dzieci drżały. Niektóre miały ślady odmrożeń na palcach rąk i stóp. Dolma, która rezolutnie nie pozbyła się swoich rzeczy, podzieliła się kocem z dwójką dzieci.

Mimo potwornego zmęczenia, Dolma źle spała. Kiedy się obudziła, poczuła palący ból w oczach. Kiedy dotarli do obozu wspinaczy podarowała swoje okulary Lhundrupowi, który bardzo cierpiał. Chociaż protestował, nalegała, żeby je wziął, mówiąc, że ma długie włosy, którymi może zakryć oczy. Wówczas mnich przyjął je z wdzięcznością, a Dolma zapłaciła wysoką cenę za swój altruizm. Gdy próbowała je otworzyć, wypełniały się łzami.

Po kilku godzinach z bieli lodowca zeszły Dechen Pema, Samdhup i jeszcze jedna mniszka. Wyglądały żałośnie, były zagubione. Ledwie uszły z życiem. Po tym jak kula przeszła nogawkę spodni Dechen, razem z Samdhup i tą trzecią mniszką ukryły się w śniegu. Po upływie półtorej godziny już tylko od czasu do czasu dało się słyszeć pojedynczy wystrzał. Potem zapadła cisza. Leżały skulone w załamaniu skalnym tuż nad obozem wspinaczy. Gdy wstało słońce, śnieg wokół nich się stopił, a ich ubrania nasiąkły wodą. Po pięciu godzinach, o piętnastej, odważyły się wyrzeć. Zobaczyły jakieś postaci kręcące się po obozie. Na przeciwległym stoku widziały żołnierzy

wchodzących pod górę.

Mniszki postanowiły to wykorzystać. Kuląc się wybiegły z kryjówki i odnalazły ślady stóp pozostałych uchodźców. Kilka minut później natknęły się na ciało Kelsang leżące na ścieżce. Dechen zatrzymała się, podeszła bliżej i uklękła. Kelsang leżała na boku, miała szkliste, martwe oczy. Dechen ostrożnie odgięła jej prawą rękę. Z rany na piersi sączyła się krew, plamiąc jej *chuba* i śnieg wokół ciała, który już zdążył z powrotem zamarzać. Dechen łagodnie opuściła ramię Kelsang.

Stwierdziły, że mogły zostać zauważone przez żołnierzy znajdujących się po drugiej stronie przełęczy, ponieważ ci odwrócili się i szli w ich stronę. Nie tracąc ani sekundy wycieńczone dziewczyny rzuciły się w stronę granicy. Były rozbite psychicznie i fizycznie, przerażone, zagubione i umierały z głodu. Wreszcie Dechen wyjęła poświęcony jęczmień z torby i podzieliła go między całą trójkę. Przeżuły suche ziarna, a potem rzuciły się na ziemię i na czworakach zaczęły pochłaniać śnieg, żeby popić strawę. Ta niewielka ilość pokarmu dodała im energii. Maszerowały nocą, idąc po oświetlonych blaskiem księżycy śladach zostawionych przez Dolmę i Lhundrupa.

Lhundrup pomachał im, mniszki się zbliżyły. Szeptem poprosił je, żeby nie mówiły Dolmie o tym, co stało się z Kelsang. Kiedy Dolma prosiła o informację o swojej przyjaciółce, mniszki mówiły, że została postrzelona w nogę i aresztowana przez LPZ. Dolma zmartwiła się i znowu chciała zawrócić, sądząc chyba, że uda jej się uwolnić Kelsang. Tym razem również Lhundrup przekonał ją, żeby tego nie robiła.

Musieli ruszać. Aż przykro było na nich patrzeć, gdy kuśtykali przez usiane głazami pola i ogromne rumowiska skalne. Ci, którzy nabawili się śnieżnej ślepoty, byli prowadzeni przez widzących. Krajobraz wyglądał tak, jakby giganci porozrzucali tam swoje zabawki – głazy wielkości domów i rozkładające się ciała padłych jaków.

Po kilku godzinach wkroczyli do doliny Bhote Koshi, szerokiej równiny o płaskim podłożu w kształcie litery U, pokrytej piaskiem, skałami i nielicznymi zaroślami typowymi dla pustyni. Tutaj powietrze było lepsze. Czuli, że odzyskują przytomność umysłu, jakby zadziałała jakaś magia, a ich mózgi znowu zaczęły funkcjonować. Znalazłszy się z dala od rażącej bieli krajobrazu, oczy Dolmy zaczęły wracać do normy. Stoki gór, wznoszących się z jednej strony, gęsto porastały wrzosy oraz karłowate zarośla. Przeszli przez prowizoryczny, drewniany most łączący dwa brzegi wąskiej rzeki.

Gdzieś w oddali majaczyły poorane bruzdami szczyty z lodowymi żyłami. Po prawej stała chatka z kamienia otoczona zagrodą dla owiec. Kawałek dalej znajdował się lodowcowy strumień. Zwisający w rogu żółty szyld obwieszczał: „Witamy w pensjonacie Arya”. Dwuizbowa chatka miała wypaczony, metalowy dach

i pomalowaną niebieską farbą rurę od piecyka, z której sączył się dym.

To była pierwsza kryjówka w Nepalu po przekroczeniu Nangpa La. Ruszyli przez chrzęszczące aluwialne podłoże w stronę skrzypiących, drewnianych drzwi. W środku śmierdziało potem i było gorąco. Na ścianach wisiały plastikowe płachty w kolorze czerwonym, białym i niebieskim, które spełniały funkcję izolacyjną. Płomienie lizały brudne od sadzy czajniki i rondle, w których coś gotowało się na piecu stojącym na stosie płaskich kamieni. Niezbyt czyste przybory kuchenne wisiały nad prowizorycznym zlewem i blatem. Na półkach aż do samego sufitu stały opakowania makaronu. Wąskie drzwi prowadziły do bogato wyposażonej spiżarni na tyłach; drugie wiodły do pokoju z rzędami łóżek polowych.

Kalden<sup>[48]</sup>, mężczyzna koło sześćdziesiątki w brudnej bejsbolówce i upapranej, pierwotnie kremowej kurtce, usadził ich na ławach i podał im jakieś niechlujne menu, które zdjął z niskiego stołu. Następnie zastąpił je pojedynczymi kartkami papieru z pozaginanymi rogami. Pierwsze menu było dla wspinaczy i kupców, to drugie, w którym ceny były niższe – dla Tybetańczyków. Schludnym pismem po tybetańsku podano ceny za jedzenie i zakwaterowanie: jedna noc – 50 nepalskich rupii (Rs), torebka gotowanych ziemniaków – 120 Rs, drewno opałowe na osobę – 20 Rs, kubek tybetańskiego piwa lub wina – 15 Rs, dzban tego samego – 100 Rs.

Kalden uśmiechnął się. Odkąd wraz z rodziną uciekł z ogarniętego walkami Tybetu w 1959 roku, mieszkał w tej dolinie na wysokości 3600 m n.p.m. Przechodziły tędy tysiące Tybetańczyków. Znał po imieniu większość tybetańskich przewodników, ale w ostatnich latach dość cynicznie myślał o tym, co robią. Uważał ich za biznesmenów nastawionych na zysk i niezainteresowanych losem swoich podopiecznych. Problemem często byli pozbawieni eskorty uchodźcy. Wygłodzeni, przerażeni potrafili wyłamać drzwi lub powybijać szyby w oknach, żeby dorwać się do jedzenia. Zdarzało się, że go oszukiwali, nie płacąc za jedzenie przed wyjściem. Pewnego razu, gdy był na wzgórzu poza domem, wpadł w zasadzkę zastawioną przez uciekinierów. Związali mu ręce pod nogami i ukradli zegarek oraz kamień dzi, który nosił na szyi.

Kalden widział ludzi w każdym możliwym stanie, każdego miesiąca zdarzały się kobiety przenoszące dzieci w plecakach. Raz czy dwa przyjmował poród w swojej chacie. Jedna kobieta przekroczyła Nangpa La, żeby urodzić w Nepalu ze względu na politykę jednego dziecka w Chinach. W okolicy znajdowały się groby, niektóre dość świeże. Leżeli w nich ci, którzy zapłacili najwyższą cenę za rzucenie wyzwania przełęczą. Pewnego roku podczas straszliwej, trwającej cały tydzień burzy śnieżnej Kalden musiał wprowadzić do domu aż dwadzieścia jaków. Z zamieci wyłoniło się czterdziestu uchodźców i szukało miejsca między zwierzętami, pragnąc się rozgrzać.

Dzisiejsi przybysze z wdzięcznością wypili herbatę z masłem i poszli spać.

Dwa dni później w bezpiecznym domu pojawił się Gyaltsen. Ledwie uszedł z życiem. W ABC uchodźcy rozpięchli się na widok żołnierzy przedzierających się przez śnieg. Gyaltsen schował się w namiocie należącym do ekipy filipińskiej. Kucharz i lekarz, doktor Ted Esguerra, ukryli go pomiędzy bagażami i zapasami. Reszta ekipy złościła się, że lekarz naraził ich na niebezpieczeństwo. On jednak ich zignorował. Kilka minut później przy namiocie zjawiała się banda żołnierzy LPZ z objawami choroby wysokościowej i poprosiła o kawę. Gdy podpierali się na karabinach, piersi unosiły im się jak miechy. Ekipa pokręciła głowami i powiedziała, że nie mają ich czym poczęstować. W namiocie Gyaltsen zakopał się głębiej pod pakunkami. Tej nocy szerpowie wzięli biały worek do żywności, wycięli w nim dziury na ręce i głowę i nałożyli go na tułów przewodnika. Miał pomóc mu w kamuflażu na śniegu. W świetle księżycy Gyaltsen niepostrzeżenie wymknął się z obozu.

Grupa ponownie ruszyła w drogę. Szeroka na milę płowa dolina wyglądała jak niekończący się krajobraz księżycowy z aluwialnym łóżyskiem rzeki i zamarzniętymi polami pełnymi głazów. Pylisty szlak był tylko cienką dróżką znaczoną odchodami jaków i porzuconymi butami. Porywiste wiatry szalały w całej dolinie wzbijając w górę perłowe obłoki. Zardzewiały, żółty znak głosił: „Droga do Nangpa La”. Po raz pierwszy Dolma ujrzała szerpów z koszami przymocowanymi pasami do pleców. Nepal na pierwszy rzut oka wyglądał dziwnie i niezachęcająco. Na środku wyludnionej doliny leżały *chorteny*, które miały służyć za drogowskazy. Stosy kamieni zostały gładko oszlifowane przez wiejące tu wiatry.

Thame, jedna z pierwszych wsi, do której dotarli odkąd wyszli z bezpiecznego domu, była lodowatą osadą Szerpów przycupniętą na stoku wielkiego kanionu na wysokości 3800 m n.p.m. Wieś stała przy liczącym 6608 m n.p.m. wzniesieniu Thamserku, teraz owiniętym szalem mgieł. Gyaltsen ostrzegł ich przed nepalską policją przebraną za turystów. W tamtych dniach również Wujing była znacznie bardziej agresywna, funkcjonariusze przekraczali granicę, łamiąc międzynarodowe przepisy, i zapędzali się w poszukiwaniu uchodźców nawet do tej wsi.

Za osadą szlak zrobił się wąski i stromy, prowadził zygzakiem wokół gór oraz przez metalowy most wiszący nad głębokim wąwozem. Poniżej z hukiem płynęła i gwałtownie pieniała się rzeka Bhote Koshi, wypływająca z lodowca, mlecznobiały prąd rzeźbił w skałach głębokie żleby. W połowie mostu powiew zimnego powietrza posłał w ich stronę kaskadę wody.

Po drugiej stronie mostu promienie słońca wydobywały ze skał płaskorzeźby przedstawiające twarze Padmasambhavy. Znajdowali się więc w dolinie Khumbu:



peyul lub świętej dolinie, co do której Padmasambhava przewidział, że Tybetańczycy będą w niej szukać schronienia w czasach konfliktu.

Kilkaset stóp poniżej Dolma zobaczyła bursztynowe lasy jałowca i sosny. Na niebie ujrzała kilka orłów unoszących się na ciepłych prądach powietrza. Świat zdawał się budzić do życia. Zeszli dwa kilometry poniżej Nangpa La. Powrócił jej zmysł węchu, z doliny docierał do niej zapach żyznych lasów.

Po szlaku szybkim krokiem zbliżał się do nich jakiś człowiek w jaskrawoczerwonej kurtce North Face. Był wysoki, miał skórę koloru miedzi i krótkie siwe włosy ze schludnym przedziałkiem. Jampa<sup>[49]</sup> był podporą wielu kryjówek w Nepalu. Zaprowadził grupę do następnego takiego miejsca. Tam wyjął duży, zatłuszczony zeszyt, w nim zapisywał uchodźców, którym pomógł. Skrupulatnie dodawał imiona do swojego spisu, odnotowując również ich wiek i pochodzenie. Później mógł zadzwonić do biura ONZ w Katmandu i powiedzieć, ilu osobom udało się przedostać.

Buty uchodźców, zwłaszcza trampki na cienkich podszwach, były dziurawe jak sito. Kilka osób błagało Jampę o nowe obuwie. Skontaktował się więc z przyjacielem, który zjawił się z tuzinem nowych, tanich butów. Podczas dwutygodniowej podróży Dolma zakupiła już trzecią parę.

Tej nocy we wsi pojawił się wyczerpany człowiek. Utykał, miał poparzenia słoneczne, był bosy i potwornie zmęczony. Choedon. Gdy wszedł do kryjówki zapadła nagła cisza. Wszyscy patrzyli oniemiałi. Byli niemal pewni, że rolnik o gołęmbim sercu został zastrzelony. Choedon uśmiechnął się. Kiedy usiadł na podsunętym mu krześle, zobaczyli, że ma popękane, krwawiące stopy. Ktoś ukradł mu buty, gdy zasnął przy szlaku. Przez dwa dni szedł boso po nepalskich szlakach trekkingowych.

Z wyraźną ulgą opowiedział im o swojej ucieczce. Z wdzięcznością przyjął gorącą herbatę, którą ktoś wcisnął mu do ręki.

O piątej rano grupa skierowała się do Namche Bazar, stolicy Szerpów. Gdzieś na szlaku pojawił się Penpa. Utrzymywał, że jakoś udało mu się uciec przed żołnierzami, ale musiał opuścić prowadzoną grupę. Z przodu czarnych spodni miał dziurę po kuli. Zamienił kilka zdawkowych słów z Lhundrupem i szedł obok niego. Później jego opowieść wzbudziła podejrzenia. Wielu sądziło, że sprzedał grupę donosicielom. Skąd tak duży oddział żołnierzy wiedział, gdzie dokładnie spodziewać się uchodźców? To, że wszyscy, którzy zostali postrzeleni (z wyjątkiem Kelsang) dostali w nogi mogło wskazywać, że niektórzy żołnierze raczej chcieli ich okaleczyć niż zabić.

Po kilkugodzinnej wędrówce na odległym górskim stoku ukazały się niebieskie dachy pensjonatów w Namche. Miasto leży na tarasach i klifach w półkolistym wklęśnięciu. Obok widać szczyt Kwangde. W znajdującym się 30 metrów niżej kanionie pędu

nabiera płynąca na południe rzeka. Niezliczone sklepy w wąskich, wybrukowanych uliczkach sprzedają rzeczy niezbędne podczas wspinaczki oraz sztukę i rzemiosło Szerpów. Handlarze z Tybetu oferują swoje towary w samym środku miasta – różową sól, podrobione kurtki i tani sprzęt elektroniczny. Miasto pełni również funkcję nepalskiego garnizonu. Groźni nepalscy żołnierze w charakterystycznych błękitnych mundurach wycofali się z pobliskich baz do miasta po bezustannych atakach ze strony maoistów.

Grupa nie zatrzymywała się w tym miejscu, było to zbyt niebezpieczne. Jampa pożegnał się z nimi na szlaku po drugiej stronie miasta, informując ich o położeniu punktów kontrolnych. Gdy schodzili z górskich szlaków, hałaśliwe grupy turystów podchodziły pod górę w drogich ubraniach trekkingowych. Niektórych szerpowie znosili na plecach – okazało się, że pokonała ich wysokość.

Gdzieś po drodze Lhundrup zdołał znaleźć działający telefon. Zadzwoił do wuja Kelsang, mnicha z klasztoru Sera, w tybetańskiej osadzie na uchodźstwie w Bylakuppe, w południowych Indiach. Lhundrup opowiedział mu o strzelaninie. Kalsang Chonjour źle przyjął tę wiadomość. Wiedział, że jego siostrzenica zmierza do Indii i jej rodzice denerwowali się podróżą jedynej córki. Gdy odłożył słuchawkę, nie mógł się przemóc, żeby do nich zadzwonić. Zwlekał przez kilka dni, recytując mantry w świątyni i paląc kadzidła.

W dalszej części szlaku żyzne listowie zmieszało się ze znajomym zapachem świeżo ściętego drewna. Uchodźcy zbliżyli się do górskiej wsi Lukla. Na stoku znajduje się pojedynczy pas startowy o długości 600 metrów. Ze względu na strategiczne położenie wieś jest pod stałą kontrolą wojska nepalskiego, a policjanci w cywilnych ubraniach spacerują pomiędzy turystami szukając we wsi maoistycznych rebeliantów. To niebezpieczne miejsce dla Tybetańczyków, nie z powodu obecności wojska nepalskiego, lecz powszechnego bezprawia<sup>[50]</sup>.

Chcąc okrążyć wieś, Gyaltzen poprowadził ich poza szlakiem, przez głęboki wąwóz. Kilka kilometrów dalej weszli w gęste zarośla bambusa. W przeciwieństwie do jałowego klimatu wyżyny tybetańskiej, tutaj, pod zielonym baldachimem lasu, w powietrzu czuć było wilgoć. Twarz Dolmy napuchła od upału i zmęczenia. Gdy mniszki zaczęły ociekać potem, rozpięły swoje ciężkie *chuba* i obwiązały się nimi w pasie.

Kilka godzin później grupa wróciła na szlak z dala od rozmieszczonych na workach z piaskiem gniazd karabinów maszynowych i punktów kontrolnych otaczających Luklę. Byli już blisko głównej autostrady łączącej Katmandu z Dramem. Na trasie było 13 punktów kontrolnych i wszędzie pełno nepalskich oficerów bezpieczeństwa.

Na drodze grupa wsiadła do autobusu i pojechała na południe, do tybetańskiej osady w pobliżu Phablu. Stamtąd udała się pieszo do Kotari, głównego węzła transportowego tego odległego regionu oraz niebezpiecznego przystanku położonego w pobliżu granicy z Chinami. To była zapuszczona przygraniczna osada, stały tam budynki z polnych kamieni, ulice były błotniste, wąskie i dziurawe. Chińczycy płacili krocie nepalskim żołnierzom za wydanie tybetańskich uchodźców. Czasem widziano ich, jak prowadzą skutych Tybetańczyków do granicy, gdzie przekazują ich prosto w ręce LPZ. Wracali niosąc skrzynki silnego chińskiego piwa, które zabierali do budynku komisariatu.

W mieście zostali zaprowadzeni do małego, dwupiętrowego prywatnego domu, który był ostatnim bezpiecznym schronieniem na ich trasie. Przywitali ich zażywny mężczyzna i jego żona; zaprosili do pokoi na tyłach, prosząc, by nie rozmawiali z nieznajomymi.

Wkrótce potem udali się po jedzenie. Na ulicach było aż gęsto od spalin z dieslowskich silników. Lhundrup poradził im, żeby wymienili chińskie juany na walutę nepalską. Juany mogły ich łatwo zdradzić. Kiedy Dolma zaszywała pieniądze w płaszczu, podszedł do niej Penpa.

– Która mniszka została zastrzelona? – zapytał swobodnie.

Nie miał pojęcia, że wszyscy próbują oszczędzić Dolmie prawdy. Dziewczyna zdołała już zapanować nad sobą, miała bowiem nadzieję, że plotki o śmierci Kelsnag okażą się nieprawdziwe. Zaczęła teraz rozdzierająco szlochać. Lhundrup pomógł jej się podnieść i zaprowadził ją do pokoju hotelowego.

– Czy Kelsang naprawdę została zabita w górach? – zapytała Choedona.

Ten potwierdził skinieniem głowy i pokrótce, ze spokojem opowiedział jej, co zobaczył. Pięć dni po strzelaniu Dolma położyła się twarzą w dół na łóżku, wstrząsał nią konwulsyjny szloch. Lhundrup dopytał innych o szczegóły i przedstawił Dolmie całą relację. Kelsang nie żyła.

Kilka godzin później Tybetańczycy weszli do specjalnie podstawionego autokaru, którym mieli zostać zawiezieni do Katmandu. Kiedy siedzieli na miękkich, szarych fotelach z białymi, bawełnianymi zagłówkami w komfortowym, klimatyzowanym autobusie, nie mogli się powstrzymać od uśmiechu. Jechał z nimi urzędnik z UNHCR – Ośrodka Przyjęć Uchodźców z Tybetu – JangChup Rabjor, trzydziestoosmioletni były indyjski żołnierz, który skutecznie odpychał żądania pieniężne nepalskiej policji. Czasami UNHCR płaciło „mandaty” nepalskiej policji za uwięzionych Tybetańczyków, przebijając ofertę Chińczyków.

Przejechanie 112 kilometrów po wyboistych szosach obstawionych patrolami i punktami kontrolnymi zajęło im dwanaście godzin. Mozolnie przedzierali się przez zapchane ulice, klucząc pomiędzy trąbiącymi rykszami motorowymi. Kierowali się w stronę pierwszego prawdziwego ośrodka dla uchodźców, położonego na wschodnim krańcu miasta. Drogę blokowały krowy, rozgdakane kury wyskakiwały spod kół autobusu. W końcu autokar zatrzymał się przed ciężką, brązową, metalową bramą na końcu krętej ulicy. Nie było tam żadnych szyldów.

Ochroniarz otworzył bramę i wczesnym popołudniem autokar wjechał na dziedziniec Ośrodka Przyjęć Uchodźców z Tybetu. Setki uciekinierów przyglądało się nowo przybyłym. Mniszki i mnisi po przekroczeniu Nangpa La ponownie założyli swoje brunatne szaty. Dzieci bawiły się. Rodziny wylegiwały się w ciepłe popołudniowe słońca. Gdy wyszli z autokaru, po raz pierwszy od 22 dni doświadczyli uczucia spokoju. Razem przeszli stepy, tundrę, lodowce, przekroczyli szczeliny w lodzie oraz najwyższe pasmo górskie na świecie. Pozostało z nimi jedynie troje dzieci.

Ośrodek był ogromnym, jasnożółtym, dwupiętrowym budynkiem z osłonecznionymi tarasami wychodzącym na południe. Dolma została ostrzeżona, że nie powinna sama wychodzić poza teren i zaprowadzono ją do ponurej sypialni, gdzie pod ścianami stały rzędy metalowych łóżek. Chińska ambasada w Katmandu próbowała nie dopuścić do rozprzestrzenienia się informacji o incydencie, więc wychodzenie z ośrodka było niebezpieczne.

Po kilku godzinach Dolmę zaprowadzono do kliniki działającej przy ośrodku. Przed wejściem zauważyła kobietę po amputacji obu stóp na skutek odmrożeń. Inna straciła wszystkie palce u nóg. W jednym z pokoi administracyjnych na ścianie wisiały przerażające zdjęcia przedstawiające ofiary odmrożeń: poczerniałe palce i twarze, amputowane stopy, zamrożone oczy prowadzące do stałej ślepoty.

Mimo niedożywienia, Dolma była w dobrym stanie fizycznym. Inni nie mieli tyle szczęścia. Kilku nabawiło się odmrożeń. Inni mieli straszliwie spuchnięte i popękane stopy, w które wdała się infekcja podczas wędrówki przez skały, lód i śnieg w nieprzystosowanym do tego obuwiu.

\*\*\*

W pokoju hotelowym Beniteza wciąż dzwonił telefon. Niechętnie podniósł słuchawkę.

– Czy dodzwoniłam się do Luisa Beniteza? – zapytał damski głos.

Zaschło mu w gardle.

– Kim pani jest? – warknął zniecierpliwiony. – Skąd ma pani ten numer? Wie pani,

gdzie teraz jestem?

– Proszę się nie rozłączać – powiedziała.

Benitez jeszcze raz zapytał, jak jej się udało go namierzyć.

Kobieta była w kontakcie z Elizabeth Hawley, odważną byłą dziennikarką, obecnie po osiemdziesiątce, która jest legendą wśród alpinistów. Przez cały czas uzupełnia Himalajską Bazę Danych, dodając do niej każdą ekspedycję, dlatego jest to najbardziej rzetelne źródło wiedzy o wyprawach. Słynie z przywiązania do szczegółów oraz ciętego języka. Przez lata drobiazgowo sprawdzała wszelkie informacje, dzięki czemu udało jej się zdemaskować wspinaczy, którzy kłamliwie twierdzili, że zdobyli szczyty. Po raz pierwszy pojawiła się w Katmandu w latach 60. jako reporterka pracująca dla magazynu „Time”, dla którego pisała artykuły polityczne z tego niewielkiego, górskiego królestwa. Szybko jednak odkryła niszę w reportażach dotyczących coraz bardziej aktywnej grupy himalaistów, którzy wzmoгли aktywność po udanym wejściu na Everest przez Hillary’ego. Wiedziała o wszystkim, co działo się w Katmandu, miała najlepsze kontakty. Benitez blisko przyjaźnił się z Hawley. Tylko ona jedna wiedziała, gdzie może się podziewać.

Kobieta po drugiej stronie linii nazywała się Kate Saunders i była szefem do spraw komunikacji w Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu (ICT), największej protybetańskiej organizacji. Zadzwoiła do Hawley, by zasięgnąć informacji o wspinaczach, którzy byliby skłonni z nią porozmawiać, a Hawley wskazała jej miejsce pobytu Beniteza. Saunders, czterdziestodwuletnia brunetka, nosząca okulary w metalowych oprawkach, jest bezkompromisowym orędownikiem Tybetu. Ze swojego biura ICT w Waszyngtonie zarządza kompleksową siecią informacyjną obserwującą wydarzenia w Tybecie, dzięki którym może lobbować zachodnie rządy.

Saunders i pracownicy miejskiego biura w Waszyngtonie zostali zelektryzowani dochodzącymi do nich wieściami o strzelaninie. Dotarcie do niezależnych świadków, którzy mogliby poświadczyć łamanie praw człowieka przez Chińczyków w Tybecie, zwłaszcza Amerykanów, jest praktycznie niemożliwe. Ta strzelanina była pierwszym incydentem, kiedy obcokrajowcy widzieli morderstwo popełnione przez członka chińskiej maszyny militarnej od czasów inwazji w 1950 roku. Researcher Chris Ratke i Saunders pragnęli opowiedzieć tę historię całemu światu. Saunders przez cztery dni nie zmrużyła oka, próbując odnaleźć wspinaczy, którzy chcieliby zeznać, co widzieli. Chociaż dzwonili i wysyłali maile do przewodników górskich oraz biur wynajmujących przewodników, wielu z nich niczego nie wiedziało.

4 października Ratke zadzwonił do głównej siedziby International Mountain Guides (Międzynarowych Przewodników Górskich) w Ashford w stanie Waszyngton.

Właściciel, Eric Simonson, powiedział, że poprzedniego dnia rozmawiał z szefem ekspedycji, Mikiem Hamillem, ale ten nie wspominał o żadnej strzelaninie. Jednak Philip Desjardins z tej samej ekipy powiedział, iż był to główny temat rozmów w obozie bazowym, gdy 3 października wrócił z ataku szczytowego. Następnego dnia Simonson zadzwonił do Ratke i zostawił mu wiadomość, że ekipa potwierdza, iż doszło do strzelaniny, jedna osoba została zabita, a siedem czy osiem postrzelonych. Powiedział, że nie chce, by informacja przedostała się do mediów, zanim jego grupa wraz z klientami nie wyjedzie bezpiecznie z kraju.

Wielu zachodnich wspinaczy nie chciało się angażować i odmówiło udzielenia wywiadu. Niczego nie mogli zyskać, mówiąc głośno o zamordowaniu Kelsang, dostaliby jedynie zakaz wstępu na najpotężniejsze pasmo górskie.

– Niewiarygodnie trudno było namówić ludzi do mówienia – powiedziała Saunders. – Chcieli się tylko ukryć. Kiedy dotarli do Katmandu, wsiadali do samolotu i wracali do domów.

Wyjątkiem był brytyjski policjant Steve Lawes, który pierwszy ze wspinaczy nie chciał występować pod pseudonimem. Jego opowieść ukazała się w brytyjskiej prasie i później zainteresowały się nią inne agencje informacyjne. Po nim zaczęli się wypowiadać kolejni wspinacze.

Benitez nie uległ jej prośbie i nie chciał pojawić się w mediach pod własnym nazwiskiem. Ale, kalkulowała Saunders, jeśli udałoby jej się zorganizować spotkanie, podczas którego mógłby stanąć twarzą w twarz z uchodźcami, poruszyłaby jego sumienie i może zgodziłby się złożyć zeznania? Benitez zgodził się na spotkanie z osobami, które przeżyły strzelaninę. Przynajmniej się dowie, czy w grupie naprawdę byli handlarze żywym towarem.

W międzyczasie zaczęto o tym pisać w mediach. W Ośrodku dla Uchodźców dzielny pracownik ICT, Kunchok Chodak, próbował przesłuchać uchodźców, by poznać szczegóły zdarzeń. Zwrócił się do około 40 osób, lecz większość z nich wahała się i bała – Dolma Palkyi była wśród nich wyjątkiem. Była zła o to, co stało się z Kelsang i chciała rozmawiać o okrucieństwie, jakiego dopuszczono się na Nangpa La. Chodak przekazał informację do głównego biura ICT, że zamordowaną Tybetanką była siedemnastoletnia mniszka Kelsang Namtso.

Benitez, kryjąc się pod zasłaniającą oczy niebieską bejsbolówką, niespokojnie czekał w lobby hotelowym. Przypadkiem z restauracji wyszedł Russell Brice z partnerem biznesowym. Brice uśmiechnął się, podał mu rękę na powitanie, jakby nic między nimi nie zaszło.

Kunchok Chodak wyprowadził Beniteza z hotelu, zanim został zauważony przez

dziennikarzy. W centrum dla uchodźców Beniteza powitał dyrektor, Kalsang Chung. Po wymianie grzeczności Benitez został zaprowadzony do ośrodka zdrowia. Szedł za dyrektorem, rozglądając się wokół, patrząc na bawiące się dzieci, mniszki i mnichów jedzących ryż z metalowych misek i ludzi o kulach kuśtykających po terenie ośrodka.

Dyrektor zaprowadził go do takiej sali w klinice, w której stosowano tylko tradycyjne tybetańskie kuracje oparte na ziołach. Uciekinierzy, których leczyli, panicznie bali się strzykawek, antybiotyków i innych zdobyczy zachodniej medycyny.

Znalazłszy się na tarasie, Benitez przeszedł obok grupy Tybetańczyków w stanie głębokiej traumy. Wyglądali jak obszarpańcy, zmordowani i ogorzali od wiatru. Za nimi stała młoda kobieta z długim, czarnym kucykiem, która nie potrafiła powstrzymać szlochu. Kilka dziewcząt robiło co mogło, żeby ją pocieszyć.

Przez ostatnie trzy tygodnie Benitez i Dolma mijali się na drogach przecinających dwa państwa i szlakach górskich najwyższego pasma na świecie. Wreszcie stanęli naprzeciw siebie. Dyrektor wyjaśnił, że zastrzelona mniszka była najlepszą przyjaciółką Dolmy.

Dyrektor zaprosił wszystkich do swojego biura. Benitez zawahał się. Idąc tam, czuł pewność, że zdarzy się coś, co na zawsze zmieni jego życie. Przed drzwiami zwalczył silną chęć rzucenia się do ucieczki. Z ciężkim sercem wszedł wreszcie do biura i usiadł. Dyrektor powiedział dziewczynom, jakiego odważnego, wręcz heroicznego czynu dokonał ten Amerykanin. Benitez był zażenowany. Robiono z niego bohatera, kiedy, tak naprawdę, odwrócił się plecami i poszedł z klientami w góry.

– Uważałem, że nie zasłużyłem na pochwały, które padały z jego ust – przyznał później. – Czułem zażenowanie, ponieważ niczego nie zrobiłem.

Kiedy Dolma spojrzała na Beniteza, zauważyła, że jego oczy wypełniają się łzami. Dlaczego, zastanawiała się, ten Amerykanin płacze?

Benitez był zdruzgotany. Płakał nad sobą, nad swoim żalosnym zachowaniem w górach, płakał nad Kelsang Namtso, siedemnastoletnią mniszką, której nigdy nie spotkał. Przysiągł opowiadać o tym, co się stało, ilekroć będzie miał taką możliwość.

Kiedy wychodził, Kunchok Chodak zapytał go, czy miałby coś przeciw rozmowie z kilkoma lokalnymi dziennikarzami, którzy już na niego czekali.

– Musi pan mieć świadomość, że być może nie zostanie pan już wpuszczony po tym do Tybetu – ostrzegł wspinacza. – Chińczycy mogą na zawsze zakazać panu wstępu.

Benitez miał wrażenie, że wpadł w zasadzkę. Mimo wszystko zamierzał z nimi porozmawiać.

*Największym osiągnięciem jest bezinteresowność.  
Najwyższą wartością jest opanowanie.  
Największą zaletą jest służenie innym.  
Najważniejszą zasadą postępowania jest ciągła czujność.  
Najlepszym lekiem jest nieposiadanie niczego.  
Najlepszym działaniem jest niepoddawanie się regułom.  
Największą magią jest przekształcanie pasji.  
Największą hojnością jest nieprzywiązywanie się.  
Największym dobrem jest spokój umysłu.  
Największą cierpliwością jest pokora.  
Największy wysiłek nie ma związku z wynikiem.  
Najwspanialszą medytacją jest uwolnienie umysłu.  
Największą mądrością jest nieprzejmowanie się pozorami.*

Uczony buddyjski Atisha



# Zdemaskowane kłamstwo

Kiedy informacja o zabiciu Kelsang ukazała się w światowych mediach, Chiny szybko próbowały zatuszować sprawę. 12 października rzecznik Liu Jianchao zorganizował konferencję prasową w Chińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Pekinie. Elegancko prezentując się w odprasowanym garniturze, powiedział zebrany dziennikarzom:

– Jeżeli doniesienia są prawdziwe, wówczas właściwy wydział przeprowadzi dochodzenie. Do zadań chińskiej policji granicznej należy pilnowanie nienaruszalności chińskiej granicy.

Tego samego dnia Xinhua, chińska agencja informacyjna, wydała bardziej szczegółowe oświadczenie. Xinhua jest potężnym narzędziem w rękach Partii Komunistycznej Chin używanym do pisania historii na nowo i promowania własnego wizerunku i programu. Zatrudniająca 10 000 osób agencja pozostaje pod kontrolą wydziału propagandy Partii Komunistycznej. Jej główną rolą jest promowanie wizerunku Chin jako spokojnej, harmonijnej, rozwijającej się światowej potęgi. Według Reporterów bez Granic „Xinhua pozostaje w samym sercu cenzury i systemu dezinformacji usankcjonowanych przez Partię Komunistyczną Chin”.

W informacji prasowej Xinhua stwierdziła: „Wcześniej rano dnia 30 września około 70 osób próbowało nielegalnie przekroczyć granicę między Chinami a Nepalem w Tybetańskim Regionie Autonomicznym i jedna z nich zginęła na skutek konfliktu z funkcjonariuszami ochrony pogranicza, powiedział w czwartek przedstawiciel wydziału właściwego dla tego regionu. Niewielki oddział chińskich żołnierzy strzegących granic natknął się na grupę i próbował przekonać jej członków, żeby zawrócili do domów. Ale nielegalni uciekinierzy odmówili i zaatakowali żołnierzy. W takich okolicznościach „pogranicznicy zostali zmuszeni do samoobrony i zranili dwóch uciekinierów” – podało źródło. Jedna z rannych osób zmarła w szpitalu na

skutek niedotlenienia związanego z wysokością 6200 m n.p.m., druga została opatrzona w lokalnym szpitalu. Wstępne przesłuchania wykazały, że była to próba nielegalnego przekroczenia granicy na dużą skalę. W dalszym ciągu toczy się dochodzenie w tej sprawie”.

W oficjalnym oświadczeniu Xinhua znalazło się kilka tropów zdradzających przebieg incydentu na Nangpa La. W rzeczywistości to zdarzenie doprowadziło do rozłamu w agencji. Kilku młodszych dziennikarzy było wstrząśniętych historią i nie chciało publikować bezczelnego wypierania się oczywistych faktów. Wewnętrzne źródło informacji w organizacji podało, że to generałowie Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej rozkazali Biuru Informacyjnemu Rady Państwa wydanie takiego oświadczenia.

– Wielu ludzi w Xinhua, a nawet w wydziale propagandy złościło się, że muszą opowiadać jawne kłamstwa – przyznała osoba związana ze sprawą.

Nie mając większego wyboru, reporterzy puścili tę historię, ale celowo pozostawili niezgrabny język, sugerujący, że maczali w tym ręce przedstawiciele Partii Komunistycznej.

Chińczycy nie sądzili, że pojawi się jakikolwiek dowód, który zaprzeczy ich wersji zdarzeń. Doniesienia w gazetach i w radiu były nieistotne. Skoro tylko nieliczni wspinacze chcieli świadczyć, a i ci upierali się przy pseudonimach, nie było żadnego twardego dowodu, że wszystko odbyło się inaczej. Historia zabicia Kelsang zniknęła już z międzynarodowych wiadomości.

A jednak rumuński wspinacz wyjeżdżał właśnie z gór wywożąc bezsporny dowód, o istnieniu którego chińskie władze nie miały pojęcia.

Sergiu Matei wypił piąte piwo tego wieczoru. Alkohol spożywany w ponurym barze w Katmandu pomógł mu ukoić skołatane nerwy. Odkąd zszedł ze stoku Czo Oju, nosił nagranie morderstwa w saszetce podróźnej, którą ciasno zapiął w pasie.

Czekając na zejście z Czo Oju, Matei był przerażony. Wyobrażał sobie, że żołnierze LPZ przejmują taśmę, a jego aresztują. Zaczął żałować, że nakręcił tę scenę i zastanawiał się, ile może go to kosztować, jeśli zostanie złapany. Może straci życie? Wolność? Mroczna machina bezpieczeństwa w Tybecie doprowadzała do autocenzury. Matei zaczął mieć obsesję na punkcie zniszczenia taśmy i wyobrażał sobie, że wrzuca ją do lodowej szczeliny. Zabijanie nie było problemem, tłumaczył sobie. To jakaś sprawa pomiędzy Chińczykami a Tybetańczykami. Gdy schodził z góry z jakami zauważył splątany kłęb srebrnych kajdanek wiszących na drewnianym słupie przed obozem Chińczyków. Odbijało się od nich światło słoneczne, a on poczuł mdłości ze

strachu. Ale przez cały czas trzymał taśmę przy sobie. Musiał wywieźć stąd tę historię.

Będąc w Katmandu Matei desperacko pragnął znaleźć się w domu. Rozważał posłanie taśmy pocztą do Rumunii, ale martwił się, że paczka może zostać po drodze otwarta i przypadnie na zawsze. Udzielił jeszcze jednego wywiadu telefonicznego dla PRO TV, stojąc na dachu hotelu.

Kiedy bezpiecznie znalazł się na lotnisku w New Delhi, podszedł do niego jakiś urzędnik, powiedział, że pracuje dla linii lotniczych i zaczął go przesłuchiwać. Matei był przekonany, że mężczyzna pracuje dla Chińczyków, więc zaczął się pocić ze strachu.

– Jaki jest pana zawód? – zapytał.

Matei szybko starał się wymyślić coś jak najodleglejszego od operatora kamery w serwisie informacyjnym.

– Jestem dentystą – skłamał. Jak tylko to zrobił, pożałował. A jeśli ten człowiek będzie chciał, żeby to jakoś udowodnił?

– Więc był pan na wyprawie wspinaczkowej? – pytał mężczyzna. – W Tybecie? – Matei przytaknął. – Na jaką górę?

Matei zawahał się.

– Na Annapurnę – skłamał ponownie.

Mężczyzna nie wyłapał geograficznej pomyłki – Annapurna leży w Nepalu. Przytaknął tylko. Wtedy miarka się przebrała.

– Dlaczego pan mnie o to pyta? – rozzłościł się Matei. – To należy do obowiązków celników, nie pana!

Mężczyzna uklonił się grzecznie i zniknął. Siedząc w samolocie Matei dotknął saszetki w pasie i uśmiechnął się z ulgą, gdy maszyna wzbiła się w powietrze.

14 października, dzień po oficjalnym zaprzeczeniu przez Chiny w światowych mediach, iż na Czo Oju doszło do nadużyć, Matei wylądował na Międzynarodowym Porcie Lotniczym w Bukareszcie. Udał się prosto do siedziby PRO TV, gdzie czekała już na niego ekipa producentów. Matei przekazał im dowód, za który mógł zapłacić życiem.

W zaciemnionych studiach telewizyjnych ośnieżone góry sprawiały wrażenie dziewiczo białych. Odgłos wstrzałów odbijał się echem w montażowni. Rozległ się pełen szacunku pomruk, gdy współpracownicy Matei zrozumieli, co ich ekscentryczny kolega uchwycił na taśmie. Trzy godziny później, podczas wydania wiadomości nadawanego w Bukareszcie o siedemnastej, wyemitowano nagranie przedstawiające

zabicie Kelsang Namtso.

Chińska wersja wydarzeń na Nangpa La została podważona przez przerażający film, zarejestrowany przez Matei. Wkrótce po emisji międzynarodowe agencje informacyjne zaczęły masowo wydzwaniać do PRO TV. W ciągu dnia dowód na popełnienie morderstwa został zakupiony przez BBC i CNN.

Rząd Stanów Zjednoczonych zareagował pierwszy. Przedstawiciele Departamentu Stanu z niepokojem obejrżeli nagranie – niezbity dowód łamania praw człowieka w Tybecie przez Chińczyków. Ambasador Clark T. Randt, najdłużej urzędujący ambasador w Chinach, wystosował do rządu chińskiego oficjalną notę – najwyższą formę dyplomatycznego sprzeciwu.

Państwa Unii Europejskiej wystosowały notę podczas „Dialogu w sprawie praw człowieka między UE a Chinami”, który odbył się w Pekinie. Tego samego dnia holenderski minister spraw zagranicznych Bernard Bot oświadczył, że Chińczycy powinni zidentyfikować i ukarać osoby odpowiedzialne za strzelaninę oraz odniósł się do nagrania, nazywając je „okropnym i wstrząsającym”. W Londynie poseł Harry Cohen, zasiadający w Izbie Gmin, potępił incydent z użyciem broni, uznając go za pogwałcenie polityki ONZ dotyczącej broni palnej i zażądał przeprowadzenia przez Chiny dochodzenia oraz zapewnienia, że nigdy już nie dojdzie do takich „odrażających i nieakceptowalnych czynów”.

\*\*\*

W miarę jak wzmagало się międzynarodowe poruszenie, stało się jasne, że jak najszybciej należy wsadzić grupę z Nangpa La, przebywającą w Tybetańskim Ośrodku dla Uchodźców w Katmandu, do autobusu zmierzającego do Indii. Personel ośrodka doskonale zdawał sobie sprawę z obecności tybetańskich szpiegów, którzy na rozkaz chińskiej ambasady podawali się za mnichów i przedostawali do instytucji.

Katmandu było niebezpiecznym miastem, podziemnym światem, gdzie jak do czyścica trafiali błakający się między supermocarstwami Chin i Indii. Mieszkali tam Tybetańczycy, którzy wcześniej służyli w Ludowej Policji Zbrojnej lub Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i odmówiono im wjazdu do Indii, przemytnicy zwierzęcych skór i wszechobecni szpiedzy na usługach chińskiego i indyjskiego rządu. Nie można było nikomu ufać. Chińczycy naciskali na rząd Nepalu, by zamknął w kraju wszystkie tybetańskie urzędy oraz Ośrodek dla Uchodźców z Tybetu.

Kilka dni przed wyjazdem, na tablicy informacyjnej znajdującej się na ścianie przed sypialnią Dolmy, ktoś przypiął fotografię zrobioną przez Pavle Kozjeka

przedstawiającą Kelsang na śniegu. Ciało mniszki było czarną kropką na tle przykrytego białym śniegiem wzgórza. Pod tablicą zebrała się grupa dzieci, więc Dolma widziała zdjęcie zaledwie przez kilka sekund, zanim wstrząśnięta wbiegła z powrotem do swojego pokoju. Tego wieczora pokazano w ośrodku nagranie zarejestrowane na taśmie wideo. Dolma patrzyła na scenę zamordowania Kelsang nakręconą przez zachodnich wspinaczy z punktu znajdującego się nad przełęczą.

Dolma dostała dokument, który pozwalał jej wyjechać z Nepalu do Indii. Według prawa międzynarodowego była nielegalną imigrantką, ale funkcjonowała „umowa dżentelmeńska” między UNHCR i rządem nepalskim, według której nie aresztowano tybetańskich uchodźców, ale należało ich deportować tak szybko, jak to możliwe. Mimo to uchodźcy byli bez przerwy prześladowani i czasami zatrzymywano ich, gdy próbowali wydostać się z kraju.

Po 38 godzinach autokar wjechał do New Delhi. Beładnie rozrzucone ulice wypełniały pojazdy i smog, na horyzoncie odcinały się wielkie żurawie. Dolma nigdy nie widziała takiej rozległej panoramy. Skręcili w Raisina Road, szeroką aleję z obu stron zwieńczoną wypiełgnowanymi trawnikami i imponującymi fasadami ambasad oraz indyjskich ministerstw i udali się do Press Clubu w Indiach, gdzie Rząd Tybetański na Uchodźstwie zwołał konferencję prasową.

W Press Clubie czekali na nich rozgorączkowani przedstawiciele mediów. Przy stole zastawionym mikrofonami i dyktafonami Dolma siedziała pomiędzy Choedonem i mnichem Thuptenem Tseringiem. Poza tym w pomieszczeniu było mnóstwo kamer. Dolma w różowej kurtce, ze związanymi włosami, wyglądała skromnie wśród reporterów.

Konferencja zaczęła się od pokazania wstrząsającego filmu nakręconego przez Matei. Thupten Tsering z podnieceniem opowiadał dramatyczną historię ich ucieczki przed oddziałem LPZ. Dolma spuściła wzrok i patrzyła na swoje ręce. Błyskały flesze, dziennikarze przekrzykiwali się. Kiedy jeden z nich zapytał Thuptena dlaczego wyruszył w tę niebezpieczną podróż, dumnie odpowiedział, że chciał otrzymać właściwe tybetańskie wykształcenie.

Siedząc w blasku reflektorów pod uważnym spojrzeniem dziesiątek pytających oczu, Dolma uświadomiła sobie, że mówiąc o tym, co widziała i pojawiając się w telewizji utrudni sobie, a może nawet uniemożliwi, powrót do Tybetu. Postanowiła jednak opowiedzieć światu, co stało się Kelsang.

– Nie potrafię wyrazić wszystkich moich emocji – zaczynała się. – Kelsang tam umarła, a ja jestem zdruzgotana jej śmiercią.

Podczas konferencji Tybetańczycy po raz pierwszy mówili w wolnych mediach

o łamaniu praw człowieka w Chinach. Wreszcie przyszła kolej Choedona. Wcześniej pokazano nagranie, na którym widać jak przerażony rolnik ukrywa się w namiocie toaletowym.

– Nigdy wcześniej się tak nie bałem – przyznał. Kiedy jakiś dziennikarz zapytał go, czy kiedykolwiek powróci do Tybetu, zamilkł na chwilę, po czym pokręcił głową. – Nawet jeśli chciałbym wrócić, nie będę mógł – powiedział. – Moje zdjęcie pojawiło się już w telewizji.

Kiedy kilka tygodni później pojawili się funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, żona Choedona, Yeshe Dolma, była z dziećmi w domu. UBP przesłuchało ją, chcąc wiedzieć, gdzie przebywa Choedon. Czy wiedziała, co zamierzał zrobić jej mąż? Dzieci przyglądały się w trwodze, widząc strach na twarzy matki.

– Nie wiem, gdzie on jest – twierdziła. – Wyjechał w interesach i nie mówił, kiedy wróci.

Po kilku godzinach nieustannego przepytывania mężczyźni poszli sobie.

Kilka dni później pojawił się u niej krewny, mający kontakty we władzach lokalnych i przyniósł ostrzeżenie. Yeshe Dolma powinna za wszelką cenę wyjechać. UBP mieli wrócić, żeby ją aresztować. W ciągu kilku godzin pozbierała najpotrzebniejsze rzeczy, pożegnała się z teściami i wyruszyła z dziećmi w noc. W Lhasie przyjaciel pomógł jej znaleźć nielegalnego przewodnika. Żeby mu zapłacić, zgodziła się sprzedać rodzinne gospodarstwo.

Droga przez Nangpa La była obecnie zbyt ryzykowna, więc tybetańscy przewodnicy szybko się dostosowali i korzystali z nowych tras. Skupili się na jałowych, odległych wąwozach pomiędzy Nepalem a Tybetem. Żona i dzieci Choedona przez cały dzień maszerowali z przewodnikiem, zanim dotarli do wsi położonej nad głębokim jarem. Stamtąd udali się nad przepaść, gdzie pospiesznie zainstalowano wyciąg. W ostatnich miesiącach przemytnicy udoskonaliли liny przeciągnięte nad wąwozem, dzięki którym przekazywali sobie nielegalne skóry, podrobiony sprzęt elektroniczny, walutę i narkotyki.

Rodzina spojrzała na drżącą linę, którą w ciemnościach kołysał wiatr. Na jej końcu był hak. Yeshe Dolma mocno go złapała. Zawisała nad wąwozem, na nepalską stronę przeciągnął ją jakiś mężczyzna. Lina trzeszczała i huśtała się nad przepaścią. Kiedy bezpiecznie znalazła się po drugiej stronie, prowizoryczny wyciąg został posłany na stronę tybetańską. Gdy jej syn i córka byli przeprawiani przez wąwóz, Yeshe Dolma musiała stłumić w sobie krzyk i strach, który uwiązał jej w gardle.

Do Juchen zaczęły przedostawać się informacje, że coś złego przydarzyło się Kelsang i Dolmie. Lhundrup zadzwonił do Kalsanga Chonjoura, wuja Kelsang, żeby donieść mu o śmierci jego siostrzenicy podczas ucieczki z Tybetu. Nie powiedział jednak, że została zastrzelona. Wymamrotał coś o problemach żołądkowych. Kalsang Chonjour z kolei, przetrawiwszy wiadomość otrzymaną od Lhundrupa, nie miał odwagi zatelefonować do swojej siostry w Juchen, by powiedzieć, że nie żyje jej jedyna córka. Zwlekał przez wiele dni, odmawiał mantry w świątyni i palił kadzidła, modląc się o wskazówki.

Co gorsza, kilka dni później dotarły do niego pogłoski, jakoby jego krewna została zastrzelona przez chińskich żołnierzy strzegących pogranicza. Z początku małomówny mnich nie wierzył w tę historię, wydawała mu się zbyt naciągana. Kelsang, z tego co pamiętał, była trzymającą się na uboczu, spokojną dziewczyną. Nie wdawała się bójki, więc jak mogła zostać zastrzelona? Mimo wszystko, nie zadzwonił do siostry.

Informacja o strzelaninie nagle dotarła do wszystkich, gdy indyjska telewizja pokazała film nagrany przez Matei. Tysiące mnichów w tybetańskich klasztorach w Bylakuppe w południowych Indiach siedziało przed telewizorami i wpatrywało się w Nangpa La, przez którą przedostało się wielu z nich. Kalsangowi Chonjourowi zaschło w gardle, gdy oglądał telewizję. Wreszcie wykonał telefon do ojca Kelsang i przekazał mu wiadomość. Mnich starał się pocieszyć szwagra.

– Umarła szybko. Nie cierpiała.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a następnie usłyszał głośny płacz.

Rodzice Kelsang wiedzieli, że od władz Tybetu nigdy nie uzyskają odpowiedzi na swoje pytania. Nikt nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za zamordowanie ich córki. W rozpaczy zadawali sobie pytanie, dlaczego spośród 70 osób zginęło tylko ich dziecko? Dlaczego Kelsang?

Kilka tygodni później na lokalny komisariat przyszła paczka dla rodziny Kelsang. Nawet policjanci nie potrafili się zmusić do jej dostarczenia. Kazali jakiemuś człowiekowi zanieść pieniądze, które Kelsang miała w kieszeni w chwili śmierci. Ponadto w paczce było zdjęcie jej zakrwawionego ciała. Po oddaniu rodzinie około 1000 juanów, mężczyzna szybko ulotnił się z wioski. Nie przekazał im fotografii.

Ciało Kelsang Namtso nigdy nie zostało zwrócone rodzinie.

*Świat robi się coraz mniejszy,  
coraz bardziej współzależny...  
[O]becnie, bardziej niż kiedykolwiek indziej,  
trzeba się kierować poczuciem  
Uniwersalnej Odpowiedzialności.*

Jego Świątobliwość, czternasty Dalajlama



# Kundun

Dolma głęboko zasnęła i prawie przegapiła przystanek w Dharamsali, w ziemi obiecanej, o której tak marzyły z Kelsang. Grupa uchodźców przez trzynaście godzin zmierzała na północ autokarem, który wiozł ich z Delhi do doliny Kangra, wijącej się przez górskie przełęcze i lasy cedrowe. Światła mijanych domów od czasu do czasu rozpraszały ciemność.

Dolma przypomniała sobie, jak razem z Kelsang zastanawiały się nad wyglądem domu Dalajlamy. Wyobrażały sobie smukłą cytadelę, wznoszącą się triumfalnie na rozległej równinie, dobrze widocznej z odległości wielu mil, w wyobraźni widziały też wieżowce i błyszczące samochody jeżdżące w tę i z powrotem pod pałacem. Ale jak takie miasto mogłoby znaleźć się tutaj, w górach?

Gdy zaczęło świtać, autobus z piskiem opon w chmurze pyłu zatrzymał się na małym, bezludnym placu. Ze swojego miejsca kierowca krzyknął coś w hindi, nawet się nie odwracając. Około 40 Tybetańczyków wyjrzało przez szyby na opustoszałe miasto; na zewnątrz były tylko bezpańskie psy i znudzeni taksówkarze. To niemożliwe, pomyślała Dolma, żeby Jego Świątobliwość mieszkał w takim zapuszczonym miejscu.

Bezceremonialnie pobierali swoje rzeczy i wysiedli pod czujnym okiem policjantów. Znaleźli się w obcym kraju, którego języka nie znali. Jakiś młody Tybetańczyk, który przechodził obok, pożałował ich i zatrzymał się, by wskazać grupie kierunek do Ośrodka Przyjęć dla nowo przybyłych.

Po krótkim spacerze przez wąską ulicę z zamkniętymi na cztery spusty sklepami, dotarli do ponurego budynku na stromym wzgórzu. Ciężka brama prowadząca do środka nie była zamknięta, ktoś gestem zaprosił ich do środka. Weszli za nim do ciemnej klatki schodowej i wspięli się na sam dach. Kilku służących przybyło z parującą herbatą i *tsampa*. Tybetańczycy przysiedli na swoich torbach. Gdy wstał

ranek, Dolma spojrziała na tarasy na pobliskich stokach otulone poranną mgłą. Na wietrze powiewały wstęgi kolorowych flag modlitewnych. Czerwonolice mały skakały po dachu, próbując wykraść jedzenie. Ledwie nowo przybyli skończyli herbatę, pojawił się tłum dziennikarzy.

– Jak zastrzelono mniszkę? – pytał jeden reporter. – Jak się żyje w waszym regionie? Dlaczego uciekliście? – I tak dalej.

Po krótkim lunchu uchodźcy udzielali dalszych wywiadów. Wychodząc z Ośrodka Przyjęć, Dolma zauważyła plakat z napisem: „Jeden świat, jedno marzenie, wolny Tybet”. Poniżej był obrazek przedstawiający dwie ręce spętane kajdankami w formie kółek olimpijskich.

Dharamsala była ciasnym, prowizorycznym miastem, w równej części świętym, jak kiczowatym. Młodzi Khamowie szaleli po ulicach na motocyklach royal enfield ubrani w modne okulary przeciwsłoneczne i kowbojki. W przydrożnych kafejkach turyści sączyli cappuccino z pianką, na której widniał wykonany czekoladą napis „Wolny Tybet”. Wszędzie, za ladą sklepów spożywczych, w kafejkach internetowych, na stojakach wystawionych przed sklepami z pamiątkami sprzedającymi paszminy i indyjskie misy modlitewne, były wizerunki Dalajlamy.

Inaczej niż na otwartych przestrzeniach Tybetu i ogromnych pasmach górskich, gdzie można było wędrować przez osiemdziesiąt dni w całkowitej samotności, na wąskich ulicach Dharamsali kłębił się tłum mniszek, mnichów i turystów. Na tablicach ogłoszeniowych wisiały plakaty reklamujące „Lekcje jogi na powietrzu”, kursy kuchni tybetańskiej, masaż, stawianie horoskopów oraz tradycyjną medycynę tybetańską. W kafejce internetowej Peace Cyber Café, jednej z wielu, obok turystów siedzieli mnisi i pochyleni nad komputerami rozmawiali przez Skype’a z przyjaciółmi i rodziną.

W innej części Dharamsali znajdował się Tybetański Rząd na Uchodźstwie – ponure, zagrzybione żółte budynki wypełnione starymi meblami i bakelitowymi telefonami stały wokół błotnistej placu, na środku którego wzniesiono stupę. Przed wejściem do Wydziału Finansów znajdowała się wciąż będąca w użyciu budka telegraficzna.

Chociaż turyści rozkoszowali się bliskością Dalajlamy, pomiędzy Tybetańczykami i Hindusami dało się odczuć napięcie na tle rasowym. Ze swojej strony Chiny wysyłały do Dharamsali chmary szpiegów.

– Przysyłali tu złodziei, morderców i gwałcicieli – stwierdził były ochroniarz Dalajlamy. – To byli Tybetańczycy, odsiadujący długie wyroki w tybetańskich więzieniach, jeśli udali się na przespīgi do Indii, żeby donosić o Dalajlamie i Rządzie na Uchodźstwie, dostawali szansę na skrócenie kary.

Obecnie Chiny rutynowo posyłają prowokatorów z doświadczeniem wojskowym, którzy podsycają niechęć pomiędzy Tybetańczykami a ich gospodarzami w Indiach<sup>[51]</sup>.

Wieści o zamordowaniu Kelsang wstrząsnęły Dharamsalą. Zwolennicy Wolnego Tybetu już w październiku 2006 roku postarali się, żeby informacja obiegła media.

Tybetańczycy byli poruszeni. Tysiące ludzi odbyło podróż przez Nangpa La. Film Sergiu Matei przedstawiający upadającą na śnieg Kelsang był przemożnie smutny, a jednak przedstawiał również Tybetańczyków idących grupą i prących do przodu, nie zatrzymujących się pod naporem żołnierzy. Było to pierwsze nagranie, pokazujące jak łamie się prawa człowieka w Tybecie od czasu chińskiego najazdu w 1950 roku.

Od 2002 roku, kiedy zaczęły się rozmowy pomiędzy wysłannikami Dalajlamy i Chinami, Rząd na Uchodźstwie zwrócił się do tybetańskich aktywistów z prośbą o powstrzymanie eskalacji protestów, chcąc w ten sposób zawstydzić Chińczyków. Miano nadzieję, że powiedzie się podejście Dalajlamy, zwane Drogą Środka, które postulowało autonomię pod rządami chińskimi. Ale niektórzy młodzi Tybetańczycy na uchodźstwie odrzucali tę politykę, uważając ją za zbyt łagodną. W tybetańskiej społeczności na uchodźstwie doszło do rozłamu na tym tle. Przeciwnicy Jego Świątobliwości byli czasami nazywali antydalajlamistami, co dla Tybetańczyka jest określeniem stawiającym go poza marginesem społeczności w Dharamsali.

– Strzelanina wszystko zmieniła – wspominał Tenzin Tsundue, długoletni tybetański aktywista. Kiedy informacja dotarła do Chin, delegacja tybetańska wysokiego szczebla spotkała się w Pekinie z chińskimi przedstawicielami władz. – Spotkaliśmy się z Chińczykami, żeby rozmawiać, a oni i tak zabijali nas w górach. To była prowokacja. Dała początek nowemu ruchowi protestacyjnemu w Tybecie.

Po raz pierwszy od lat setki Tybetańczyków wyszły na ulice, ignorując apele Rządu na Uchodźstwie o zachowanie spokoju.

Lodi Gyari, przedstawiciel Dalajlamy u Amerykanów oraz główny negocjator z Chińczykami, odbywał trwające wiele dni rozmowy dotyczące przyznania większej autonomii Tybetańczykom. Chińczycy zwlekali, chcąc dyskutować o tym, którą z luksusowych rezydencji w Pekinie zajmie Dalajlama, jeśli zgodzi się zamieszkać w Chinach.

Chińczycy nie okazali żadnych emocji, kiedy Gyari żarliwie opowiadał im o morderstwie.

– To było bardzo smutne nie dlatego, że jestem Tybetańczykiem, lecz dlatego, że jestem człowiekiem – powiedział. – Ponadto było bardzo inspirujące. Dało Tybetańczykom poczucie odwagi i szacunku do samych siebie.

Ofiara Kelsang miała wielką moc: Tybetańczycy parli ku wolności mimo ostrzału, świat odpowiedział na przemoc.

Przedtem przez ponad 50 lat notorycznie łamano prawa człowieka Tybetańczyków, co, mimo współczucia, przyczyniło się do znużenia tematem. Świat uodpornił się na straszne opowieści o tybetańskich więźniach religijnych torturowanych w takich miejscach, jak więzienie Drapchi. Film Matei sprawił, że kwestia łamania praw człowieka przez Chińczyków znów wypłynęła na światło dzienne.

– Można o tym słuchać, ale nie widzi się tego – powiedział Gyari. – Jednak dzięki nagraniu wszyscy byliśmy świadkami.

W 1989 roku jeden człowiek stanął na drodze czołgom na placu Tiananmen i stał się bohaterem w obliczu przytłaczającej siły i opresji. Dla Tybetańczyków śmierć Kelsang znaczyła tyle samo. Oto siedemnastolatka z rolniczego regionu Tybetu, która opiera się potęgze nowoczesnych Chin i wybiera wolność oraz Jego Świątobliwość Dalajlamę.

W Dharamsali ulice prowadzące do Tsuglag Khang, głównej katedry, przemieniły się w potok żółtych płomieni świec zapalonych podczas czuwania przez setki śpiewających ludzi. Po latach trzymania się w ryzach, Tybetańczycy wreszcie otwarcie wyrażali swój ból. Kiedy na schodach katedry, na prowizorycznie zaaranżowanym ekranie, wyświetlono film nakręcony przez Sergiu Matei, zapadła cisza. Ludzie płakali. Niektórzy uderzali się w piersi i zawodzili, kiedy ciało Kelsang upadło na śnieg.

Kilka godzin później Dolma wróciła do Ośrodka, kręciło jej się w głowie od wywiadów. Gdy znalazła się sypialni, szeptem powiedziała mniszkom:

– Nigdy bym się nie spodziewała, że ludzie tak przejmą się śmiercią Kelsang. Myślałam, że została postrzelona i umarła na darmo. Nie przyszło mi do głowy, że ludzie będą się tym tak interesować. – Mniszki zgodziły się z nią.

Rano w Ośrodku Przyjęć niespodziewanie pojawił się jakiś urzędnik, który poinformował grupę z Nangpa La, że zostanie przyjęta przez Jego Świątobliwość podczas specjalnej audiencji. Dolma spędziła wiele godzin w ciasnej łazience ośrodka, żeby się przygotować. Od jednej z mniszek pożyczyła czystą, bladoczerwoną *chuba*, umyła włosy i spięła je radośnie różową spinką.

Przygotowując się do spotkania, Choedon wyrzucał sobie, że nie przywiózł żadnego prezentu z Tybetu dla Jego Świątobliwości. Ale wtedy sama myśl o zobaczeniu Dalajlamy wydawała mu się niemal niedorzeczna. Wydał 150 rupii na *khata* (biały szal ceremonialny), najlepszy, jaki był w sklepie, po czym spojrzął na resztę pieniędzy: 1350 rupii. Tysiąc włożył do koperty, by złożyć Jego Świątobliwości w ofierze.

Ulice McCleod Ganj tętniły życiem, gdy członkowie grupy z Nangpa La, rzucający się w oczy przez powagę malującą się na ich zaróżowionych, świeżo umytych

i pachnących mydłem twarzach, schodzili w dół wzgórza na Temple Road, prowadzącą do siedziby Dalajlamy. Znajdowała się za wysokim murem, wokół którego każdego dnia przechadzali się Tybetańczycy. Najpierw podeszli do punktu kontrolnego, gdzie znajdowała się bramka z wykrywaczem metali, pilnowana przez hinduskich żołnierzy w owijaczach (ciasno związanych, sięgających od kostek do kolan ochraniaczach z materiału) wyposażonych w pistolety maszynowe. Zanim przeszli przez bramkę i obok budki strażniczej, zostali pobieżnie przeszukani. Wybrukowana droga łagodnie pięła się w górę.

Znalazłszy się w środku, Dolma i pozostali zostawili za sobą gwar Dharamsali oraz trudy podróży. Na szczycie wzgórza rosły drzewa. W powietrzu unosił się zapach sosen. Nad nimi latały skowronki, śpiew ptaków spływał z nieba.

Nad małym kamiennym kręgiem, ozdobionym różami w glinianych donicach, wznosił się wspaniały budynek z zielonym dachem. Wokół niego kręcili się tybetańscy ochroniarze z bronią ukrytą pod marynarkami. Grupa została wprowadzona przez duże wrota. Ostrożnie stąpali po luksusowym, szkarłatnym dywanie. Niektórzy chłopcy z Driru zaczęli zdejmować buty, ale uśmiechnęty mnich powiedział im, że nie muszą tego robić. Zostali zabrani do eleganckiego pomieszczenia wykończonego drewnem, gdzie poproszono ich, by usiedli na podłodze w dwóch rzędach.

Naprzeciw nich stało jedyne w pomieszczeniu krzesło.

Czekali w ciszy, z drżeniem serc, tylko od czasu do czasu spokój zmaćcił czyjś kaszel lub szept. Ściany pomieszczenia były przykryte najbogaciej zdobionymi *thangka*[\[52\]](#), jakie Dolma kiedykolwiek widziała. Jeden z nich przedstawiał Buddę w momencie oświecenia pod drzewem Bodhi. Na dużej, ozdobnej gablotce z lewej strony pustego krzesła stała jasno oświetlona, złota statuetka Maitreya, Buddy przyszłości.

Po lewej stronie gablotki były na wpółotwarte, przeszkłone drzwi przesłonięte firankami. Za nimi widzieli szkarłatne sylwetki chodzących w tę i z powrotem mnichów. Dolma starała się nie zerkać na nich, ale wciąż z głośno bijącym sercem odwracała oczy w tamtą stronę. Choedon nie skrywał swojego zainteresowania. Chcąc zobaczyć, co dzieje się za drzwiami, wyciągał szyję tak bardzo, że aż bolały go mięśnie.

Nie wypowiedzieli ani słowa, czekając uniesienie i w napięciu, niektórzy aż drżeli z przejęcia. W tym samym pomieszczeniu przyjmowano głowy państw oraz międzynarodowych celebrytów, którzy przybywali na audiencję u Dalajlamy. Myśli Dolmy galopowały, myślała o matce, zamordowaniu Kelsang, swoim dzieciństwie w spokojnej wiosce, które teraz zdawało się tak odległe.

Po upływie pół godziny po drugiej stronie drzwi doszło do małych zawirowań, po czym pomieszczenie wypełniło się szkarłatnymi tunikami. Nagle Dolma znalazła się

twarzą w twarz z czternastym Dalajlamą, Tenzinem Gyatso. Zdawało się jej, że patrzy na postać boską, duszę swojego kraju. Świat zwolnił i znalazł się w nieskończonym wymiarze, gdzie nie istniał czas ani żadne ograniczenia.

Dalajlama miał szeroką twarz, jasne spojrzenie oraz usta jak płatki róż, które układały się w uśmiech. Z jego postawy można było z łatwością wyczytać wszystkie uczucia, jakie przechodziły mu przez myśl.

Dalajlama uśmiechał się, rozglądając się po sali.

Mózg Dolmy niewystarczająco szybko przetwarzał informacje. Zdawało się jej, że Dalajlama był niczym te góry, które mijali, idąc przez Nangpa La. Nie umiała określić czy był wielki, czy mały, ale jego obecność odczuwała niewiarygodnie silnie. Płakała ze szczęścia i ze smutku.

– To był najszczęśliwszy i zarazem najsmutniejszy dzień mojego życia – powiedziała później. – Nigdy wcześniej się tak nie czułam.

Płakała za matką, którą chciała mieć tu przy sobie i której prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy. Płakała za Kelsang, która miała tu być. Wracała myślami do czasów, gdy razem z przyjaciółką chowały w górach w pobliżu Juchen wizerunki Jego Świątobliwości. A teraz był tu we własnej osobie. Kelsang zapłaciła życiem za to spotkanie.

Dolma szlochała, Jego Świątobliwość rozplynał się przed jej załzawionymi oczami. Inni, wciąż nie dowierzając, że to się dzieje naprawdę, z trudem próbowali stłumić szloch. Emocje były przytłaczające. Wśród uchodźców dało się odczuć przemożne poczucie wspólnoty w obecności świętego przywódcy. Dolma odniosła wrażenie, że w niepamięć odeszły wszystkie nieporozumienia, kłótnie i sprzeczki dotyczące jedzenia mięsa czy kierunku dalszej wędrówki, do jakich doszło w grupie podczas podróży. Niektórzy czuli się tak przytłoczeni, że nawet nie podnieśli wzroku, żeby spojrzeć na Dalajlamę. Dolma poczuła, że ktoś delikatnie klepie ją w ramię. Dawa Dorjee z Ośrodka Przyjęć wyszeptał:

– Uważaj. Patrz na Jego Świątobliwość. – Obawiał się, że moment przeminie, a Dolma niczego nie zapamięta.

Dalajlama ukoił ich, wlał w serca pocieszenie i spokój.

– Wszystko będzie dobrze – mówił ze współczuciem.

Dalajlama jako głowa państwa, a zarazem duchowy przywódca Tybetu, jest nie tylko najwyższym orędownikiem liczącej dwa i pół tysiąca lat religii, lecz także każdego dnia ma do czynienia ze światowymi rządami prosto z XXI wieku. Wkrótce miał udać się z wizytą państwową do Włoch. Jednak najważniejsze dla niego było osobiste powitanie tysięcy Tybetańczyków, którzy ryzykując życiem przeprawiali się przez Himalaje,

podobnie jak on sam, z nikłą nadzieją na audiencję.

Wiedział, tak jak oni, że najkrótszy czas spędzony z Jego Świątobliwością miał niezmierzoną duchową wartość w życiu doczesnym i w przyszłych wcieleniach.

Ten przygarbiony siedemdziesięcioletni mężczyzna stojący naprzeciw grupy oraz moc wiary, którą rozpalał, budziły strach we wschodzącej superpotędze Chin. Pomimo działającej z wyrafinowaniem i wszystkowiedzącej chińskiej policji oraz wojska, Dalajlama wzbudzał wiarę silniejszą niż śmierć, a także lojalność wśród Tybetańczyków. Był żywym dowodem na to, że Chiny nie mogły wyrugować tego, co Tybetańczycy mieli w sercach, bez względu na podejmowane próby.

Tego dnia Dalajlama uśmiechał się i zachęcał wszystkich do rozluźnienia, zajął miejsce na zwykłym, drewnianym krześle, a grupa z Nangpa La siedziała wokół niego na podłodze. Dolma była zachwycona samym faktem siedzenia wśród nich. W szybkim przemówieniu, w którym jego głos przybierał barwę od podekscytowanego falsetu do poważnego basu, Dalajlama pytał, kto z nich pochodzi z Amdo, Lhasy, Nagchu, Utsnag.

Choedon nawet nie podniósł oczu, gdy Jego Świątobliwość zapytał, kto przybył z Kardze, podniósł tylko rękę i wpatrywał się w podłogę. Przed spotkaniem Choedon przysiągł sobie, że opowie Jego Świątobliwości o wszystkich trudach, z jakimi musiał się zmierzyć w czasie podróży, żeby tu dotrzeć, jak ciężka to była wędrówka i oczywiście o okropnym morderstwie, którego dopuścili się chińscy żołnierze. Kiedy przysłuchiwał się Dalajlamie, pochylił z szacunkiem głowę i zauważył jego gołe ręce. Skóra na nich była stara i pomarszczona. Choedon, który podczas podróży opiekował się dziećmi, poczuł teraz wszechogarniające uczucie życzliwości oraz opiekuńczości w stosunku do Jego Świątobliwości.

Z początku Choedon nie usłyszał, kiedy Dalajlama zapytał, który z nich na filmie ukrywał się w namiocie toaletowym. Wahając się, podniósł rękę. Jego Świątobliwość poprosił go, by wstał. Mężczyzna podniósł się i złożył ręce. Z pochyloną głową wybuchnął szlochem.

Dalajlama pocieszał go.

– Wszystko dobrze, już dobrze – przemawiał do niego łagodnie. – Nie obawiaj się. Do takich tragicznych sytuacji dochodziło już wcześniej, ale nie mieliśmy żadnych dowodów – powiedział. – Dzięki zainteresowaniu międzynarodowej społeczności oraz organizacjom wspierającym Tybet to morderstwo stało się znane na świecie. – Jego Świątobliwość umilkł na chwilę. – Mówcie o tym, co się wydarzyło, ale bądźcie szczerzy opowiadając tę historię. – Dalajlama miał świadomość, że Tybetańczycy często upiększali opowieści o horrorze zgotowanym im przez Chińczyków, więc starał

się im uświadomić, że uczciwość jest najlepsza. Chodeon pociągnął nosem i przytaknął.

Z uprzejmym uśmiechem Dalajlama powiedział zebranym, że mają się pilnie uczyć w szkole, a ci, którzy chcą wstąpić do klasztoru, powinni zostać dobrymi mnichami i mniszkami. Odwrócił się w stronę zebranych za nim urzędników i poinstruował ich, że należy otoczyć tę grupę szczególną uwagą.

Następnie Dalajlama zwrócił się do swojego prywatnego sekretarza w szarej tunice, który kazał licznym asystentom rozdać grupie upominki na szczęście. Czekali w rzędzie aż Dalajlama pobłogosławi ich, kładąc dłonie na głowach. Kiedy nadeszła pora na Dolmę, Jego Świątobliwość został poinformowany, że jest to dziewczyna z tej samej wsi co Kelsang. Dalajlama uśmiechnął się i skinął na nią.

Dolma ukloniła się. Poczowała miękki dotyk na swoich włosach. Gdy się wyprostowała, usłyszała:

– Już dobrze, nie musisz się już martwić. Już tu jesteś. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Wszystko będzie dobrze. A teraz pilnie się ucz. – Dolma przytaknęła. Dalajlama uśmiechnął się.

Po audiencji uchodźcy dostali manilowe koperty, w których znaleźli obrazki przedstawiające Buddę oraz pastylki poświęcone przez Jego Świątobliwość. Kiedy nadeszła pora Choedona, próbował wręczyć Dalajlamie kopertę z pieniędzmi, ale Jego Świątobliwość pokręcił głową.

– Nie trzeba – powiedział, obrzucając Choedona troskliwym spojrzeniem.

Rolnik skinął głową i schował pieniądze do kieszeni. Urzędnicy zadbali o zrobienie każdemu indywidualnego zdjęcia z Dalajlamą. Mnisi z grupy zgięli się w pół w ukłonach dziękczynnych. Mnich Thupten Tsering dostał zdjęcie, na którym stoi obok Dalajlamy. Rozpierała go radość, bezskutecznie próbował ukryć szeroki uśmiech.

Po udzieleniu błogosławieństw Dalajlama zaproponował, żeby wyszli na zewnątrz i zrobili sobie grupową fotografię. Gdy wychodzili, Dolma odwróciła się. Tuż za nią szedł sam Dalajlama. Dolma zawahała się, nie wiedząc czy powinna się odsunąć na bok, czy też przyspieszyć kroku. Jakiś urzędnik łagodnie ją popchnął.

– Szybciej – powiedział.

Na zewnątrz ustawili się w dwóch rzędach, pod jakimiś postrzępionymi młodymi drzewami, i pozowali do ostatniego grupowego zdjęcia, uwieczniającego tych, którym udało się ukończyć morderczą podróż z dalekich miasteczek do Dharamsali. Potem nastąpił koniec. Grupa znalazła się poza pałacem, oszołomiona i niedowierzająca.

Następnego dnia Dolma zadzwoniła do matki, żeby jej wszystko opowiedzieć. Rozmawianie o tym przez telefon było niebezpieczne, ale nie mogła zwalczyć swojej



ekscytacji. Nyima była oczarowana.

– To było tego warte. To było tego warte. – Westchnęła z ulgą.

*Nigdy się nie poddawaj  
Nieważne, co się dzieje  
Nieważne, co dzieje się wokół ciebie  
Nigdy się nie poddawaj.*

Jego Świątobliwość, czternasty Dalajlama

# Determinacja

Po dwóch tygodniach Dolma spakowała swoje nieliczne rzeczy i razem z jedenastoma innymi osobami z grupy Nangpa La wsiadła do autobusu, opuszczając Ośrodek Przyjęć. Pojazd przeciskał się przez wąskie ulice Dharamsali, wymijał autobusy wiozące turystów. Kierowali się na południowy wschód, przejeżdżali obok plantacji herbaty, na których pracowały ciemnoskóre kobiety w jaskrawożółtych lub liliowych sari. Kolory odznaczały się żywymi plamami na tle zielonych wzgórz.

Po 50 milach dotarli do tybetańskiej osady w Bir. Za zwartą osadą z zaśmieconymi ulicami oraz indyjskimi wsiami znajdowała się szkoła dla tybetańskich dzieci w Suja, u stóp Himalajów. Była to jedna z wielu Wiosek Dzieci Tybetańskich (TCV), szkół założonych przez siostrę Dalajlamy, panią Yabshi Tsering Dolma, w celu zapewnienia edukacji młodym Tybetańczykom w duchu ich kultury.

Kiedy Dolmę prowadzono do biura szkoły, zauważyła setki dzieci, niektóre krzyczały i grały na boisku do koszykówki. Pewne siebie, emanujące radością były dumne z tego, że wyszły poza status uchodźcy.

Dolma dostała niebieską koszulę i szare spodnie, po czym udała się do sypialni dziewcząt, dwupiętrowego budynku, w który stały wyszczerbione drewniane łóżka, po cztery w każdym pokoju.

Następnego dnia, po raz pierwszy w życiu, Dolma rozpoczęła swoją formalną edukację. Dołączyła do 861 tybetańskich dzieci, które przybyły z ojczyzny, żeby uczyć się tybetańskiej kultury. W klasie Dolma siedziała obok dzieci, którym z powodu odmrożeń, jakich nabawiły się na Nangpa La, amputowano kończyny. Oddalenie od rodziców było bolesne. Rodzice dzwonili do szkoły lub prosili przyjaciół i krewnych, by dowiedzieli się czy ich dzieci przeszły przez Nangpa La, lecz często okazywało się, że ich nie ma. Brakuje dokładnych danych dotyczących liczby dzieci, które zmarły na Nangpa La, próbując uciec do Indii.

Dolma szybko dostosowała się do wymogów punktualności w szkole. Wstawała o piątej rano, o szóstej zaczynała poranne modlitwy, po czym szła na zajęcia, które zaczynały się o dziewiątej.

Wielu Tybetańczyków, którzy wychowali się w Indiach i nigdy nie byli w Tybecie, postrzegało *sanjor*, nowo przybyłych, jako źródło ciekawych informacji. Czuli się zakłopotani obecnością zaniedbanych, zgrzebnych rodaków, po których z daleka widać było, że pochodzą ze wsi. Dolmę często pytano czy kiedykolwiek widziała telewizor, telefon komórkowy lub samochód.

Po raz pierwszy Dolma miała dostęp do nieprzefiltrowanych informacji na temat tego, co działo się na świecie i zobaczyła jak on wygląda poza okupowanym przez Chińczyków Tybetem. Na lekcjach historii Tybetu Dolma dowiedziała się o królach i odkryła, że Tybet miał kiedyś własną walutę, administrację i, oczywiście, niepodległość. Nauczyła się o porwaniu Penchen Lamy oraz prawdziwej naturze Dalajlamy, którego świat postrzegał przez pryzmat Pokojowej Nagrody Nobla.

Czasami do szkoły przychodzili członkowie Gu Chu Sum, organizacji zrzeszającej byłych tybetańskich więźniów politycznych, żeby opowiedzieć o brutalnych metodach, z jakimi się zetknęli. Dolma poznała kilka „śpiewających mniszek”. Wśród nich była Nyima, dwudziestoosmiolatka, która została wtrącona do więzienia i spędziła dwadzieścia miesięcy w metalowej klitce za to, że nie chciała śpiewać pieśni ku chwale Przewodniczącego Mao. Przez cały ten czas nie mogła się wykąpać i tylko raz opuściła celę.

– Zdjęłam pas i zawiązałam na nim supeły, żeby służył mi za różaniec – powiedziała Dolmie. – Współczułam strażnikom więziennym, że muszą wykonywać taką pracę. – Kiedy ją wypuszczono, uciekła przez Nangpa La.

Po kilku tygodniach nowego życia Dolma ujrziała jakąś zgarbioną postać z rękami w kieszeniach, która weszła na teren szkoły i skierowała się do budynku administracji. Wydawało jej się, że rozpoznaje nastroszone czarne włosy, ale nie była pewna. Kiedy człowiek zbliżył się do niej, zauważyła zuchwałą minę. Poobijany, zmęczony, wynędzniały Jamyang Samten posłał jej triumfujący uśmiech.

Dolma nie posiadała się z radości. Myślała, że Jamyang już nie żyje.

Dwa miesiące wcześniej Jamyang siedział w wojskowym autobusie zbliżającym się do ponurego więzienia na południowy zachód od Xigazê w Deschen Podrang w Tybecie. W 2003 roku Chińczycy przekształcili siedzibę firmy budowlanej w Nowy Ośrodek Przyjęć „Snowland”, mający zreformować tych, którzy zostali przyłapani na ucieczce. Jamyang, którego rano zwolniono z Tingri, obijał się na tyłach ciężarówki wraz z 40

pojmanymi uchodźcami. Nie było żadnej rozprawy sądowej, tylko zatrzymanie. W „Snowlandzie” piętnastolatek został zaprowadzony do sterylnej pomieszczenia, gdzie oficerowie LPZ zabrali mu pieniądze i dobytek, zrobili zdjęcia.

Jamyang wraz z 18 mężczyznami został zabrany do celi, przedtem musiał oddać pasek i sznurowadła. Pod sufitem znajdował się rząd zakratowanych okien. W kącie stała jedyna toaleta.

Po przesłuchaniach w Tingri większość więźniów skazanych na odsiadkę była w bardzo złym stanie. Każdego dnia Jamyanga wyprowadzano z celi, żeby pracował lub żeby go ukarać. Strażnicy uwielbiali poniżać i gnębić więźniów. W pierwszym miesiącu więzienia, każdego dnia, przez jakiś czas Jamyang musiał stać na dziedzińcu, na palącym słońcu, i trzymać w wyciągniętych rękach krzesło i butelkę na głowie. Za pierwszym razem, gdy się wywrócił i butelka potoczyła się po ziemi, strażnik ponownie kazał mu zająć pozycję i ostrzegł go:

– Jeśli jeszcze raz upadniesz, poniesiesz konsekwencje.

Wytrzymał mniej niż trzy minuty. Kiedy krzesło spadło na ziemię, został pobity.

Po jakimś miesiącu Jamyang został wysłany do pracy, spędzał wiele godzin na polu oraz na placu budowy. Około południa więźniowie dostawali chochlę jęczmienia, kubek czarnej herbaty i czasami miskę zupy z makaronem. Wielu nie wytrzymało ciężkiej pracy w pełnym słońcu. Kiedy Jamyang uświadomił sobie, że może uniknąć kary, udał, że zemdłał w polu. Kiedy drzwi celi zamykały się, więźniowie doglądali nawzajem swoich ran i próbowali podnosić się na duchu.

– OK, Chińczycy nas pozamykali i chcą ukarać – powiedział jeden z chłopaków. – Ale musimy zachować optymizm.

Dzięki sile ducha mogli triumfować nad swoimi oprawcami. Nocami śpiewali o dziewczynach przetrzymywanych w celach dla kobiet. Te ze złością krzyczały przez okna, żeby się zamknęli, ale oni nie mieli takiego zamiaru. Ośmielone, śpiewały w odpowiedzi, znając na pamięć słowa tybetańskiej piosenki ludowej o wiejskim podrywaczku i jego pięknej kochance. Kiedy pieśń dziewczyn wybrzmiała do końca, Jamyang zachęcił swoją grupę do zaśpiewania refrenu wyśmiewającego pilnujących ich chińskich strażników więziennych. Na szczęście oni nie rozumieli tybetańskiego.

Przez kilka tygodni rodzice i krewni pojmanych dzieci przyjeżdżali do więzienia, by zaprosić urzędników na lunch i zapłacić im 100 juanów (15 dolarów) za ich uwolnienie (wielu dowiedziało się, gdzie przebywają ich dzieci od urzędników, którym udało się ich odnaleźć). W więzieniu w Xigazê opłata za uwolnienie wzrastała do 500 juanów (80 dolarów). Mniej więcej 30 dzieci zostało stopniowo wypuszczonych, gdy przybyli po nich krewni. Wszyscy zostali zmuszeni do podpisania dokumentów,

w których deklarowali, że już nigdy nie podejmą próby ucieczki. Jeśli złamaliby dane słowo, uwięzionoby ich rodziców.

Po 45 dniach w więzieniu „Snowland”, Jamyang, wraz z 30 innymi osobami wreszcie został zwolniony. Po oddaniu reszty pieniędzy – rzekomo na opłacenie grzywny – został ostrzeżony przez starszego oficera, że jeśli ponownie złapią go na próbie ucieczki, nie uniknie kary śmierci.

Jamyang wraz z kilkoma chłopcami zostali wysadzeni gdzieś w centrum Xigazê. Wszystko co posiadali to ubrania, które mieli na sobie. Miał posiniaczoną i poranioną twarz. Jego jedyną nadzieją było dotarcie do klasztoru Tashilhunpo, gdzie zamierzał błagać mnichów o pomoc.

Zbliżył się do pierwszego mnicha, którego zauważył, i wyjaśnił, w jakiej krytycznej sytuacji się znalazł. Mnich pokiwał głową. Pozwolił Jamyangowi skorzystać ze swojego telefonu komórkowego, by mógł zadzwonić do wuja w Lhasie. Po tej rozmowie mnich zaprowadził Jamyanga na dworzec autobusowy i wręczył mu bilet do Lhasy.

Kilka godzin później Jamyang dotarł na dworzec w Lhasie. Gdy wychodził z autobusu zapytał kierowcę jak dotrzeć do świątyni Jokhang. Chiński kierowca, który szydził z wyglądu Jamyanga, kiedy wsiadał do pojazdu, powiedział mu, że ma spadać. Po horrorze przeżyтым na Nangpa La, tygodniach tortur, Jamyang nie wytrzymał. Kopnął dźwignię zmiany biegów i obsypał kierowcę przekleństwami. Zaskoczony kierowca uderzył chłopaka w twarz. Wybuchła bójka, kilku mnichów siedzących w autobusie wstało, żeby powstrzymać Jamyanga. Po chwili na miejsce przybyło dwóch oficerów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Nastolatek stracił wszelkie hamulce.

– Nie chcę was w moim kraju – powiedział ze złością. Tego rodzaju obelgi mogły znowu zaprowadzić go do więzienia. Mnisi wyprowadzili go na tyły dworca zanim się doigrał.

Znalazłszy się w pobliżu świątyni Jokhang, Jamyang okrążył kilka razy Barkhor, potem udał się do domu wuja. Kiedy wszedł do środka, wuj był bardzo zły.

– Twoi rodzice wiedzą, co zrobiłeś – krzyczał.

Chłopak spędził kilka przygnębiających dni, włócząc się po ulicach Lhasy. Pragnął uciec, żeby udowodnić, że nie można go złamać. Chciał pokonać Chińczyków na ich własnym boisku, zemścić się. Nie miał jednak zamiaru sprawiać przykrości swoim rodzicom.

Ojciec Jamyanga jechał do Lhasy na motocyklu, żeby odebrać syna, kiedy został zmieciony z drogi przez osuwającą się ziemię. Zginął na miejscu. Dowiedziawszy się o tym, Jamyang wyszedł na Barkhor i chodził wkoło z rękami w kieszeniach, próbując

powstrzymać łzy. Jak mógł stanąć przed matką wiedząc, że przyczynił się do śmierci ojca? Nie mając nic do stracenia, postanowił, że ucieknie po raz ostatni.

Powiedział wujowi o swojej decyzji. Wiedząc, że nie wpłynie na upartego krewnego, wuj zapłacił 500 juanów (73 dolary) skorumpowanym urzędnikom za pozwolenie na wyjazd Jamyanaga do Indii. Chłopak wraz z przewodnikiem wyruszyli ciężarówką do Dramu.

Na miejscu Jamyang wynajął drugiego przewodnika za 3000 juanów (450 dolarów), żeby pomógł mu się dostać do Ośrodka Przyjęć w Katmandu. Jamyanga rozpieszczała radość. Kilka dni później został zawieszony do Dharamsali.

W lodowatej wodzie Bhagsu Falls, wielkiego wodospadu za McCleod Ganj, zmył z siebie zapach więzienia i drogi. Zimna woda przypominała mu o Tybecie. Przepisał ubrania, by przygotować się na spotkanie z Dalajlamą.

Jego Świątobliwość przemawiał przez pół godziny przed główną świątynią, Tsuglag Khang, do grupy przybyszy z Tybetu. Dalajlama zapytał, kto ze zgromadzonych był aresztowany po strzelaninie na Nangpa La. Jamyang przełknął ślinę i wstał. Dalajlama znał doskonale opowieści o torturach, więc jego oczy posmutniały, kiedy spojrzał na wymizerowanego Jamyanga.

– Zapłaciłeś swoim cierpieniem, żeby się tu znaleźć – powiedział ze współczuciem Dalajlama. Dodał jeszcze, że trudno zrozumieć pokój, jeśli zostało się potraktowanym w taki sposób, ale Jamyang powinien spróbować wybaczyć swoim prześladowcom i zapomnieć o bólu. – Teraz jesteś tutaj, cierpienie dobiegło końca – powiedział. – Musisz przyłożyć się do nauki, żeby stać się dobrym, silnym Tybetańczykiem.

Jamyang przytaknął. Gdyby miał taką możliwość, chętnie przyłączyłby się do walki o wyzwolenie. Chociaż starał się, trudno mu było odsunąć myśli o zemście.

– Spróbuję im wybaczyć – powiedział.

\*

Mniej więcej w tym samym czasie, w listopadzie 2006 roku, żona Choedona, Yeshe Dolma z czteroletnim synem Tenzin Dorje i dwuletnią córką Lobsang Youdon, wysiadła z autobusu na dworcu w Dharamsali. Choedon zamknął ich w mocnym uścisku. W końcu byli bezpieczni.

Choedon i jego rodzina zamieszkali w ciasnym dwupokojowym mieszkaniu w pobliżu dworca autobusowego, pośród małych, betonowych budynków z cynowymi dachami oraz tarasami z widokiem na miasto. To była duża zmiana w porównaniu z ich obszernym domem na farmie, stojącym na tybetańskim stepie, który pozostawał

w rękach rodziny od wielu pokoleń. Dumnie udekorowali swoje ciasne mieszkanie plakatami z Dalajlamą oraz flagą Tybetu.

Nigdzie jednak nie mogli znaleźć pracy na roli, więc żyli z dnia na dzień, utrzymując się z pieniędzy otrzymywanych od nadmiernie obciążonego Rządu na Uchodźstwie, który wypłacał im około 700 rupii miesięcznie (15 dolarów). W porównaniu z pieniędzmi, które Choedon mógł zarobić w Tybecie na sprzedaży kordycepsu chińskiego było to niewiele. Czasami pojawiały się jakieś ekipy telewizyjne, żeby przeprowadzić z Choedonem wywiad o morderstwie popełnionym na Nangpa La i zostawiały mu jakieś pieniądze.

Nocami dzieci nie mogły spać, ze względu na wycie zdziczałych psów włóczących się po Dharamsali. Mówiono, że byli to nieposłuszni mnisi, którzy złamali śluby w przeszłości i za karę odrodzili się jako psy.

Rodzina wmieszała się w tłum turystów, którzy schodzili do położonego na wzgórzach miasta. Przybysze z Zachodu rezerwowali miejsca na nauki Jego Świątobliwości z dużym wyprzedzeniem, często wypychając Tybetańczyków z kolejki. Wielu nowobogackich Hindusów przyjeżdżających do Dharamsali zachowywało się wyzywająco w pobliżu nowych, klimatyzowanych hoteli, w których się stołowali. Chociaż wiedzieli, kim jest Dalajlama, nie mieli pojęcia o Tybecie. Jeden ze sprzedawców opowiadał, że przychodzili do sklepów, gdzie w witrynach wisiały znaczki z napisem „Wolny Tybet” i prosili o gratisowe „Tybety” sądząc, że to jakaś darmowa próbka mydła, czy czegoś w tym rodzaju<sup>[53]</sup>.

Jako uchodźca Chodeon nie mógł kupić żadnej nieruchomości. Kiedy więc Hindusi rozwinęli infrastrukturę turystyczną wokół osoby Dalajlamy, Tybetańczycy nie mogli zakładać własnych przedsiębiorstw ani innych inwestycji. Gdyby to zrobili, przyznaliby się, że nie mają zamiaru wracać do Tybetu i chcą zostać w Indiach na stałe.

Choedon odczuwał żal. Co prawda był dumny z tego, że ocalił dzieci na Nangpa La i dzięki niemu ludzie na świecie lepiej rozumieją Tybet, jednak nic nie mogło przyćmić faktu, że jego życie na wygnaniu było ponure i bez perspektyw na pracę czy dostatek w przyszłości. Choedon i Yeshe Dolma próbowali znaleźć zachodnich sponsorów, którzy mogliby pomóc im w wykształceniu dzieci oraz zapewnieniu jakiejś przyszłości, skoro nie mieli żadnych innych opcji. Rodzina dołączyła do 140 000 Tybetańczyków na uchodźstwie oczekujących na złoty bilet, który dałby im możliwość ucieczki do Ameryki, Australii lub Europy.

Kilka tygodni po audiencji u Dalajlamy większość z 41 Tybetańczyków, którzy



wędrowali wraz z Dolmą, powróciło do Tybetu, niektórzy trasą wiodącą przez Nangpa La. Lhundrup, a z nim kilku mnichów i mniszek, wyruszyli do tybetańskich osad na południu Indii w Bylakuppe w pobliżu Mysore. Wielu z nich zadowoliło się spotkaniem z Dalajlamą.

Mniej więcej połowa Tybetańczyków, którzy pielgrzymują do Dharamsali, powraca do Tybetu. Dalajlama i rząd zachęcają ich do tego i namawiają, żeby zanosili do kraju wiedzę, którą zdobyli, język oraz kulturę i uchronili je od tego, co Dalajlama nazywa „kulturowym ludobójstwem”. Dla wielu Tybetańczyków z młodszych pokoleń, wychowywanych w szybko modernizującej się Lhasie, życie w Indiach wydaje się zbyt trudne, mimo że daje szansę na zdobycie prawdziwego wykształcenia. Wielu wytrzymuje tylko kilka miesięcy w szkole, po czym wraca do Tybetu.

Jamyang dołączył do klasy Dolmy i szybko nadrobił zaległości w nauce. Kiedy podwinął rękawy, dziewczyna zobaczyła blizny na przedramionach, które powstały, gdy poddawano go torturom podczas aresztu. Jego śpiew spodobał się w Indiach tak bardzo, że już wkrótce występował przed całą szkołą na poniedziałkowych porannych prezentacjach, a później śpiewał dla Dalajlamy podczas jego oficjalnej wizyty w szkole.

Tydzień po przybyciu do szkoły Suja, Jamyang opowiedział Dolmie o wstrząsającym doświadczeniu, związanym z pokazaniem mu ciała Kelsang. Tej nocy Dolma płakała, kryjąc się przed wzrokiem pozostałych. Wyznanie Jamyanga w jakiś sposób dało jej wreszcie poczucie, że uda się jej odciąć od śmierci przyjaciółki. Nadal jednak zadawała sobie pytanie czy Kelsang mogłaby przeżyć, gdyby została przy niej. Czy dałaby radę uciec?

Dolma coraz częściej nie mogła zasnąć i leżąc na dolnym poziomie piętrowego łóżka, wyglądała przez okno sypialni i patrzyła na uliczną latarnię oświetlającą koronkowe firanki. Wciąż na nowo odtwarzała w myślach śmierć Kelsang obwiniając się za to, że zostawiła przyjaciółkę, gdy zaczęła się strzelanina. Co mogłoby się stać, gdyby chwyciła Kelsang za rękę i pociągnęła za sobą? Udałoby się jej?

W samotności pielęgnowała swój smutek, wśród innych zachowywała się altruistycznie, wysłuchiwała tych, którzy cierpieli, przez co zyskała sympatię dzieci w szkole. Jednak rany psychiczne odniesione podczas podróży przez Nangpa La cały czas się pogłębiały. Samdhup, upośledzona dziewczynka, wycofała się, odizolowała od innych i łatwo popadała w irytację. W nocy, kiedy Dolma wyłączała światło w sypialni, zaczynała szybko i głośno oddychać. Coraz bardziej uzależniała się od Dolmy, często mówiła o śmierci Kelsang. Nauczyciele zabrali ją do lamów, którzy odprawili za nią modły. Stan Samdhup poprawił się na jakiś czas, ale wkrótce znowu było gorzej. W końcu Samdhup wróciła do Tybetu, ale nie wiadomo dokładnie, co się z nią stało.

Mówi się, że została zatrzymana na moście Przyjaźni lub zaginęła, próbując przedostać się przez Nangpa La.

\*

Podczas przygotowań do igrzysk olimpijskich w 2008 roku w Tybecie dało się odczuć narastający niepokój. W miesiącach, które nastąpiły po przybyciu Dolmy do Dharamsali liczba uchodźców przedostających się przez Nangpa La dramatycznie spadła. Konsekwencje strzelaniny były przykre i długotrwałe.

– Wydarzenia na przełęczy wszystko zmieniły – przyznał oficer ochrony Rządu na Uchodźstwie. Podwojono, a w niektórych przypadkach nawet potrojono miesięczne uposażenie informatorom opłacanym przez UBP i LPZ. Na terenach przygranicznych organizowano spotkania chińskich urzędników z nomadami. Policja płaciła krocie za informacje o uciekinierach. Rozdawano telefony komórkowe wszystkim mieszkańcom wsi położonych w pobliżu Nangpa La, z których można było zadzwonić do LPZ lub wysłać wiadomość o uchodźcach. Na środku przełęczy postawiono wieże obserwacyjne. W międzyczasie Nepalczycy znajdowali się pod presją ze strony Chin, które naciskały na zamknięcie instytucji tybetańskich w Katmandu i aresztowanie uchodźców przekraczających granicę.

Chiny nie robiły nic, by załagodzić reakcję świata na okrucieństwo, którego się dopuściły. Centrum Informacji o Prawach Człowieka i Demokracji w Hong Kongu stwierdziło w raporcie, że generał Meng Jinxi został skrytykowany za incydent i zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Karą dla Menga, członka Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej, było nieuczestniczenie w delegacji na kongres partii, który odbywał się co pięć lat. Tak jakby został potępiony nie za sam incydent, lecz za to, że doszło do niego na oczach świadków z Zachodu.

W Tybecie po strzelaninie i w przededniu olimpiady w areszcie osadzono wszystkich podejrzanych obywateli, w szczególności nielegalnych przewodników. Wspinacze przebywający na Czo Oju 18 października 2007 roku, czyli rok po incydencie, słyszeli strzały, gdy żołnierze LPZ otworzyli ogień do grupy około 30 Tybetańczyków przechodzących przez Nangpa La. Pojmano jakieś siedem osób, w tym trzech mnichów ze wschodniego Tybetu. Pozostałym udało się dotrzeć do Katmandu. Tym razem żołnierze strzelali w miejscu niewidocznym dla wspinaczy. Ponownie Chiny wyparły się wszystkiego.

– Jesteśmy w kontakcie z właściwymi instytucjami w sprawie informacji, jakoby chińska policja otworzyła ogień do ludzi przechodzących przez Nangpa La – powiedział

Liu Jianchao podczas konferencji prasowej.

– To sfabrykowane informacje – powiedział chiński rzecznik prasowy. – Są bezpodstawne.

Przez wieki Nangpa La służyła jako zawór bezpieczeństwa podczas niepokojów w Tybecie. Nagłe obostrzenia przyczyniły się do narastającego niezadowolenia i frustracji związanych z coraz większą chińską opresją w miesiącach poprzedzających olimpiadę. Zabójcze napięcie wzrastało.

*Jeśli jesteś przywiązany do doczesnego życia,  
Nie jesteś osobą religijną.  
Jeśli zależy ci na doczesnej egzystencji,  
Nie znasz transcendentnego wyrzeczenia się.  
Jeśli jesteś przywiązany do własnych korzyści,  
Nie masz ducha oświecenia.*

Manjushri objawiający się Sachen Kunga Nyingpo

# Na krawędzi

Benitez żonglował telefonami, w międzyczasie robiąc przegląd sprzętu i listy żywności, kiedy nadszedł ważny mail. Był marzec 2007 roku, sześć miesięcy po strzelaninie na Czo Oju, a on właśnie przygotowywał się do poprowadzenia wyprawy na Everest.

Benitez został w liście zaproszony do Dharamsali, gdzie Dalajlama chciał podziękować mu za to, co zrobił. Benitez westchnął. W głębi serca pragnął, żeby wreszcie przestano stawiać go w świetle reflektorów w związku z tą sprawą. Konfrontacja, do jakiej doszło między Bricem i Toddem na górze została już prawie zapomniana i Benitez starał się jak mógł, żeby odzyskać pozycję u Cottera i zapewnić sobie partnerstwo w AC. Większy rozgłos w kwestii uchodźców z Tybetu nie pozwolił mu trzymać się na uboczu, co było o tyle istotne, że za kilka tygodni będzie miał do czynienia z nepalską i chińską strażą graniczną na Evereście, a poza tym był szalenie zajęty. Benitez odpisał i grzecznie odmówił, usprawiedliwiając się brakiem czasu.

Powrócił do domu z Czo Oju w październiku 2006 roku jako człowiek rozdarty pomiędzy moralną potrzebą opowiedzenia o morderstwie oraz świadomością, że będzie musiał za to zapłacić. Starły się złożone przez niego przyrzeczenie, że opowie światu o tym, co zobaczył, i miłość do gór. Nie zgodził się na kilka ważnych wywiadów dotyczących śmierci Kelsang w CNN i BBC, które, jak sądził, mogły zaszkodzić jego karierze.

Wróciwszy do pakowania, Benitez zaczął uświadamiać sobie, jaką szansę właśnie odrzucił. Ponownie wysłał wiadomość, tym razem przyjmując zaproszenie.

Poleciał do Nepalu tydzień wcześniej, żeby dać sobie czas na spotkanie z Dalajlamą. Kiedy Ang Tshering usłyszał, że Benitez spotka się z Jego Świątobliwością zawiózł go prosto na rynek, gdzie zakupili całe torby religijnych błyskotek, by Dalajlama pobłogosławił je dla szerpów. Następnego dnia Benitez pojechał pociągiem do

Dharamsali, gdzie wraz z innymi gośćmi miał wziąć udział w konferencji prasowej organizowanej przez Tybetański Ośrodek Praw Człowieka i Demokracji. W duchu denerwował się, że znowu dał się złapać w „zasadzkę medialną”, ale zrobił to, o co go poproszono. Niedługo potem spotkał się z Jego Świątobliwością. Patrząc wprost na Beniteza Dalajlama poradził mu:

– Po prostu bądź uczciwy, opowiedz tę historię, pamiętaj, żeby pomagać ludziom podczas drogi do wyznania prawdy. Nie jesteśmy tu sami.

Po spotkaniu Benitez był roztrzęsiony. Jego filozofia jako himalaisty polegała na tym, by pracować nad swoim charakterem, wykorzystując doświadczenie nabyte przy zdobywaniu gór. Zaczął myśleć, że sam powinien skorzystać z tej lekcji.

– Gdzieś po drodze skręciłem w złą stronę – przyznał. Uświadomił sobie, że zagubił się w biznesie wspinaczkowym i uodpornił na politykę krajów, w których prowadził interesy.

Z Dharamsali udał się prosto na Everest. Po raz szósty stanął na szczycie góry, która go definiowała. Tym razem patrzył na świat odczuwając głęboki niepokój.

Przyglądając się radosnym wspinaczom wokół siebie, myślał nad sensem tego wszystkiego.

– Uświadomiłem sobie, że nie jestem strażakiem ani policjantem, kimś, kto ratuje ludzkie życie – powiedział. – Jedyne, co osiągnąłem, to zostałem himalaistą, kimś, kogo ludzie nie do końca rozumieją. Ponieważ tak naprawdę nie ma sensu robić tego, co robię.

Benitez wrócił z Everestu i audiencji u Dalajlamy z jeszcze większym mętlikiem w głowie. Szukając stabilizacji postanowił ożenić się ze swoją dziewczyną z Ameryki. Cotter przyleciał z Nowej Zelandii, żeby zostać jednym ze świadków na ślubie. Dał Benitezowi do zrozumienia, że w najbliższym czasie nie zamierza zaoferować mu partnerstwa w firmie.

Po Czo Oju wspinała kariera Beniteza zaczęła przygasać. Postanowił rozglądać się za innymi możliwościami zawodowymi.

Dziewięć miesięcy po zejściach na Czo Oju Benitez podjął decyzję, by zabrać głos w sprawie morderstwa Kelsang Namtso w „Men’s Journal” i opowiedzieć o zмовie milczenia Brice’a i Todda<sup>[54]</sup>.

Po raz pierwszy przewodnik wyraził zgodę, by jego nazwisko pojawiło się w związku ze strzelaniną w jednej z największych gazet w USA. Po raz pierwszy także złamał pakt milczenia zawiązany przez społeczność wspinaczy. Benitez prowadził grupę na Ama Dablam w Nepalu, gdy ukazał się artykuł. Todd również był na tej samej górze. Szybko rozeszło się, że Todd jest wkurzony. Benitez spodziewał się, że zajęte przez

niego stanowisko zjedna mu przychylność wspinaczy, dojdzie do debaty o morderstwie uciekinierki z Tybetu i może doprowadzi to „istotnej zmiany”, jak to ujął. Ku jego zaskoczeniu wielu wspinaczy uznało, że Benitez pozuje na bohatera, który rozdmuchuje jakieś wydarzenie.

Ci, którzy go krytykowali, powoływali się na dotychczasowe parcie na media, jakie przejawiał młody wspinacz. Mówili, że wprowadzenie przez niego Erika Weihenmayera na Everest należy postrzegać bardziej jako wyczyn kaskaderski niż akt altruizmu, a jego posty wysyłane z gór na blog, w których podkreśla swoje zaangażowanie w ratowanie innych, są tylko autopromocją.

Po artykule Cotter, który wspierał stanowisko Beniteza w debacie o morderstwie, uznał, że ten pławi się w świetle reflektorów, przyciągając uwagę mediów nie do sprawy Kelsang, lecz do swojej osoby.

– W zbyt dużym stopniu stał się częścią historii, przez co prawdziwa wersja straciła moc – podsumował Cotter.

Niektórzy uważali, że Benitez niesłusznie przypisał sobie zasługi w rozpromowaniu zdarzenia, podczas gdy prawdziwym bohaterem był Matei, zdobywający międzynarodowe uznanie. Nieznany kamerzysta z Rumunii odbierał wyrazy uznania w kraju i za granicą. Kiedy jechał na stację benzynową, żeby zatankować samochód, podchodzili do niego obcy ludzie i gratulowali mu odwagi. W 2007 roku został zaproszony na galę Cinema for Peace w Berlinie, gdzie razem z Richardem Gere pozował do fotografii na czerwonym dywanie. Hollywoodzki aktor, znany ze swojej przyjaźni z Dalajlamą, obejmował ramieniem kamerzystę jak starego kumpla. Gere wygłosił pełną pasji przemowę o Kelsang Namtso. Później Matei tańczył z Sharon Stone. Żeby się otrząsnąć, wyszedł na zewnątrz na papierosa. Podszedł do niego Christopher Lee.

– Jesteś tu dzisiaj prawdziwą gwiazdą – zwrócił się do Matei. – Nikt z nas nie miałby dość odwagi, żeby zrobić to, co ty.

Benitez twierdził, że Matei jest dziennikarzem, więc po prostu wykonywał swój zawód. On natomiast mógł nawet stracić pracę, gdyby zaczął mówić. Mógł dostać zakaz wstępu w Himalaje, skąd czerpał najwięcej zysków. Miał więc wielki dylemat. Powiedział przyjaciółom, że prawdopodobnie będzie zmuszony zrezygnować z wykonywania zawodu, który kochał najbardziej na świecie, jeśli zacznie publicznie wypowiadać się o morderstwie. Trudno będzie mu wyrównać poniesione straty.

Z kolei szerpowie nie byli zadowoleni z rozgłosu w mediach, jaki za sprawą Beniteza zyskała branża organizująca wspinaczki, oraz sposób, w jaki prowadziła interesy. Ang Tshering był sceptyczny w kwestii nagłaśniania sprawy morderstwa:

– Tak, to ważne, by mówić o tych rzeczach, ale jak nie ma ekspedycji nie zarabiamy. A szerpowie muszą mieć pracę.

Po publikacji artykułu Cotter kazał Benitezowi skupić się na swoim fachu i nie udzielać więcej wywiadów. Benitez został również wykreślony z grupy, która szła na Czo Oju. Tybet na razie nie wchodził w grę. Wciąż pracował w AC, ale krytyka pod adresem Todda i Brice'a zaczęła, jak zauważył, uniemożliwiać mu wykonywanie obowiązków. W symbiotycznym świecie himalaistów przyszłość Beniteza zależała od partnerów biznesowych AC. Firma polegała na dostawach tlenu od Todda i czasem wykorzystywała koneksje Brice'a, żeby załatwić u Chińczyków pozwolenia i sprzęt w Tybecie. Cotter rozumiał złość Todda o to, że Benitez wypowiadał się publicznie na jego temat. W styczniu 2008 roku, na krótko przed kolejną wyprawą na Everest, która miała dojść do skutku w marcu, Benitez złożył rezygnację z pracy w AC. Rozmowy o partnerstwie w firmie upadły, a on nie lubił, gdy mu odradzano udzielanie się w mediach. Stwierdził, że branża związana ze wspinaczką na najwyższe szczyty „upadła moralnie”.

W międzyczasie znalazł nową pracę w Outward Bound, w programie szkoleń dla pracowników korporacji. Od samego początku zaczął budować swoją markę, propagując „etyczne przywództwo”. Zaczął nadskakiwać mediom i próbował zjednać sobie ich uwagę, wracając do tematu Kelsang Namtso.

– Kiedy wreszcie zdecydował się o tym mówić przed kamerami, było trudno zorganizować wywiad, ponieważ takie informacje szybko się dezaktualizują – wspomina Kate Saunders z ICT.

Himalaista wziął udział w prestiżowym cyklu wykładów Brooks International, by opowiedzieć o odpowiedzialnych i etycznych praktykach w biznesie. Jedno z jego wystąpień, „Morderstwo na wysokości 19 000 stóp”, skupia się na incydencie na Czo Oju. Zarobił na nim 5000–10 000 dolarów. Szybko odkrył, że chociaż jego korporacyjni klienci uwielbiali motywacyjne wystąpienia o tym „jak znaleźć swój własny Everest”, niewielu chciało mu płacić za to, by przyszedł do ich biura i opowiadał o zamordowaniu w górach siedemnastolatki, uciekinierki z Tybetu. Dyrektorzy średniego szczebla nie mieli zamiaru wykonywać ćwiczeń, których celem było wzmacnianie zespołu w cieniu ponurej historii.

Mimo to, jeśli tylko Benitez miał okazję udzielić wywiadu do gazety lub pojawić się gdzieś w mediach, nie miał żadnych zahamowań. Bardzo się jednak złościł, kiedy dziennikarze nie przedstawiali go w takim samym świetle, w jakim postrzegał siebie.

– On lubi znajdować się w centrum zainteresowania – powiedział Jeff Jackson, wydawca magazynu „Rock and Ice”. Pisząc o Benitezie wspominał: „Być może czuje się



zbyt pewnie w blasku reflektorów”.

Benitez nie zwalniał tempa. W 2009 roku dał świadectwo w hiszpańskim Sądzie Najwyższym w Madrycie w sprawie, w której na mocy „represji wszechświatowej”, próbowano skazać chińskich przywódców za przestępstwa przeciw ludzkości. Strzelanina na Nangpa La była dowodem. Zaproszono również Matei, ale nie stawiał się na rozprawę. Benitez szlochał podczas składania zeznań. Rozpłakał się ponownie podczas wywiadu do filmu dokumentalnego.

Chociaż opowiadał o morderstwie ilekroć go o nie zapytali, prywatnie Benitez odczuwał paradoks sytuacji, w której się znalazł, i żałował tego, co stracił.

– To trochę tak, jakbym był królem, a potem ktoś zdarł mi koronę z głowy – skarżył się.

Krytycy natomiast wytykali, że sam odszedł z AC, kiedy nie doczekał się od dawna upragnionej propozycji zostania partnerem.

– Czasami za bardzo go ponosi – powiedział jego brat, David.

Im częściej pytano Beniteza o Czo Oju, tym bardziej się plątał. Raz skromnie przyznawał, że wiadomość, którą wysłał z gór „była tylko prywatnym mailem do ExWeb”, później buńczucznie przyznawał, że chciał „by wieści się rozeszły”. Wyglądało to tak, jakby nadal przebywał na Czo Oju, a jego ego walczyło z sumieniem.

Podczas gdy osoba Beniteza stawała się coraz bardziej kontrowersyjna, on sam tęsknił za górami oraz tym, co nazwał „wyjątkowym bractwem”.

– Brakowało mi bycia częścią tego kręgu, tej prawdziwej elity ludzi. Obracamy milionami dolarów, wspinamy się na najwyższe góry na świecie. Bywamy w towarzystwie i pozostajemy w zażyłych stosunkach z bardzo zamożnymi ludźmi. To jest bardzo egocentryczne – powiedział. – Moje ego bardzo za tym tęskniło.

W domu miał szafę pełną sprzętu od swoich starych sponsorów. Odczuwał nostalgię, kiedy wyjmował z niej kurtki przypominające mu o dawnej chwale.

Nadal był niewolnikiem gór. Na dużej wysokości stał ponad szefami korporacji, którzy zawierzali mu swoje życie. Jednak w salach konferencyjnych nowojorskich firm prezesi nie polegali na nim w takim samym stopniu. Potrzebował ich, by doświadczać przerażającego majestatu ośmiotysięczników. Powiedział im:

– W sali konferencyjnej czy w klasie lekcyjnej jest sporo rzeczy, za którymi można się schować, ale tam nie ma za czym się ukryć. Tam wszystko dzieje się bardzo szybko.

W czasie gdy Benitez wzdychał do gór, jego małżeństwo rozpadło się i zakończyło rozwodem. Na próżno starał się powrócić do AC, nie dostał żadnej odpowiedzi od Cottera. Zaczął zastanawiać się, czy zajął właściwe stanowisko.

– Rozumiem to, patrząc z perspektywy szefa firmy – wyjaśniał. – To bardzo trudny

wybór, jeśli ma się finansową i moralną odpowiedzialność. W swojej naiwności, chociaż dużo mnie to kosztowało, mogłem sobie pozwolić na bycie idealistą.

Russell Brice zachowuje milczenie i odmówił udzielenia wywiadu do tej książki. W mailu napisał: „Nadal będę na własny sposób wspierał ludność Tybetu i Nepalu, inni robią to inaczej, a media czasem za bardzo się spieszą, żeby wydać przemyślaną opinię”.

W 2006 roku Dolma i Luis, dwoje ludzi o zupełnie odmiennych życiorysach, przez kilka dni poruszali się w obrębie Himalajów. Ich ścieżki przecięły się w Ośrodku Przyjęć w Katmandu, gdzie mogli dowolnie rozporządzać własnym losem. Dolma postanowiła otwarcie mówić o zamordowaniu Kelsang. Wychudzona, fizycznie wyczerpana uciekinierka z niebezpieczną i niepewną przyszłością, zebrała się na odwagę w kraju, którego nie знаła. Stawiła czoło represyjnej potędze chińskiego rządu, by przerwać zмовę milczenia i opowiedzieć światu o śmierci przyjaciółki.

Przez kolejne lata Benitez odczuwał konsekwencje tego spotkania. Wreszcie dostrzegł, jak naprawdę jest w górach, gdzie sam zagrzewał do walki i prowadził na szczyt swoich bogatych klientów. Sześciokrotny zdobywca Everestu stanął twarzą w twarz z tym, czym naprawdę była odwaga. Gdy wchodził na spotkanie w Katmandu, uświadomił sobie z pełną mocą, że on sam niewiele znaczył w tej historii.

– Nie obchodziło ich kim jestem – wspominał.

W kolejnych latach Benitez zmagał się z kwestią moralności oraz własną definicją wolności w świetle tego, czego się nauczył. Przez wieki narcystyczni zachodni łowcy przygód dążyli do podbojów, sławy i bogactwa na najwyższych punktach ziemi. Pragnęli również doznać objawienia na szczytach zdobytych gór. Ale zamiast tego niektórzy odkrywali, że wiedzą była mozolna, cienista ścieżka i anonimowa, trudna podróż odbywana w pojedynkę; wiedza oznaczała wyrzeczenie się swojego ego w sytuacji wcale nieprzynoszącej chwały. Youngusband wyruszył na podbój Tybetu dla chwały Imperium Brytyjskiego, ale powrócił jako mistyk po krwawej inwazji na Lhasę. Lamowie w Tybecie od dawna dziwią się ludziom z Zachodu, którzy ryzykują życiem, żeby wspiąć się na szczyt<sup>[55]</sup>. Lama w klasztorze Rongbuk przyznał:

– Zawsze wypełniało mnie współczucie, że podejmują się tak trudnego i niepotrzebnego zadania.

Po latach pojęcie wolności przez Beniteza odzwierciedlało wysoce indywidualistyczne zachodnie wyobrażenie wolności osobistej. Na własne potrzeby Benitez zdefiniował ją jako prawo do powrotu do branży górskiej, aczkolwiek zrobił to jako człowiek odmieniony, świadomy swoich niedoskonałości.

Ostatecznie wybierał góry.

– Tam zawsze będę odczuwał największą wolność.

\*

Wydostawszy się bezpiecznie z Tybetu poza zasięg Chin, Sergiu Matei próbował wpaść w zwykłe życie w Bukareszcie. Nigdy nie opuścił go niepokój, jakiego doświadczył na Czo Oju, chociaż był już w domu i mógł czuć się bezpiecznie.

Ucieszyła go informacja, że Choedon dotarł do Dharamsali, walił pięścią w ściany z taką siłą, że aż popękał tynk. Jednak satysfakcja z udanej ucieczki Tybetańczyka nie przyćmiła jego własnych demonów.

Rumunia zmagająca się z trudną przeszłością. W pustce pozostawionej przez komunizm kraj został zarażony korupcją i zorganizowaną przestępczością. Matei zaczął doskwierać ciągły strach przed inwigilacją. Stał się niewolnikiem lęku, którego po raz pierwszy doświadczył w Himalajach. Był przekonany, że polują na niego chińscy agenci.

Przyjeżdżali do niego dziennikarze, żeby przeprowadzić wywiady, a on nigdy im nie odmawiał, ale za każdym razem bał się konsekwencji mówienia wprost. Raz czy dwa odebrał telefony od ludzi, którzy zadawali mu pytania o jakieś szczegóły, chcieli się dowiedzieć jak wywiózł taśmę, o której godzinie i przez które granice przejeżdżał. Z początku zakładał, że to dziennikarze, ale kiedy zapytał, szybko mu dziękowali i rozłączali się. Podejrzewał, że Chińczycy zbierają informacje o sposobach naruszenia zasad bezpieczeństwa.

Rumuńskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przyznało mu Walthera P99T na gumowe kule. Nie był z niego zadowolony, więc poszedł kupić prawdziwą broń.

Szefowie Matei postanowili, że dla jego bezpieczeństwa najlepiej będzie, gdy ukryją taśmę z nagraniem z Nangpa La. Według Matei taśma wideo zawiera nigdy nierozpowszechnione nagranie przedstawiające reakcję wspinaczy oraz to, jak mówią innym, że najlepiej nic nie robić w sprawie, której byli świadkami. Niektórzy ze złością radzili, by nie ukrywał Choedona, bo może im przysporzyć kłopotów. PRO TV sprzedała licencję różnym kanałom telewizyjnym na fragment nagrania o długości dwóch minut i dziesięciu sekund, lecz cały film nigdy nie był pokazywany. Wszystkie prośby o jego udostępnienie zostały odrzucone. Krążą plotki, że prawa do niego mają Chińczycy.

Nie da się jednak powstrzymać siły, z jaką oddziałuje film. Jak tylko został wyemitowany, znalazł się na YouTube. Szybko rozszedł się po Internecie, każdy, kto

niał połączenie z siecią mógł zostać świadkiem. Chociaż nie można go odtworzyć w Chinach i Tybecie, chińscy cenzorzy są bezsilni, bo film jest nadal oglądany na całym świecie. Matei sprawił, że Kelsang Namtso stała się nieśmiertelna.

Mimo że film został zamknięty w jakimś nieznanym miejscu, pamięć o tych doświadczeniach oraz śmierć Kelsang wciąż odtwarzały się w jego głowie w zapętleniu odpowiadającemu zainteresowaniu jego filmem w Internecie. Nocą budził się obłąany zimnym potem, z rozkołatanym sercem. Wciąż widział tę samą scenę, której był świadkiem tuż przed wyłączeniem kamery: Kelsang zgina się wpół trafiona kulą, po czym upada na prawy bok w śnieg. Następnie, i to jest najgorsze ze wszystkiego, próbuje się czołgać. Koszmarowi czasem towarzyszyły oczy Choedona – wystraszone i wielkie jak spodki – kiedy Matei znalazł go w toalecie.

Ten incydent przywołał wspomnienia z okresu dorastania w Rumunii pod rządami komunistów podczas krwawej tyranii Nicolae Ceaușescu. Matei pamiętał, że kiedy był chłopcem, oficerowie Securitate (tajnej policji) przyszli do jego domu, żeby przesłuchać ojca po tym, jak publicznie rzucił garścią owsa w portret Ceaușescu. Jego dzieciństwo upłynęło pod znakiem kolejek po chleb, olej i przydział cukru.

Himalaje, które symbolizowały wolność, a niektórym dawały perspektywę rozgłosu i bogactwa, stały się dla Matei czymś w rodzaju muru berlińskiego.

– Nigdy nie wrócę, by wspinać się w Himalajach, ponieważ nie zamierzam płacić Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, żeby zabijała ludzi – powiedział. – Inwestujecie w morderstwo. Nie zamierzam się do tego dokładać.

Nie przejmował się, że nie zdobył ośmiotysięcznika. Nauczył się tam ważnej życiowej lekcji. Nie miał ochoty na powrót w góry. Ludzie z Zachodu, wychowywani w państwach demokratycznych, postrzegają wolność jako prawo do zarabiania pieniędzy i prowadzenia własnego interesu. Wspinacze na Czo Oju z byłego Bloku Wschodniego, którzy doświadczyli rządów represyjnych reżimów, postrzegają wolność jako wartość, do której każdy ma prawo. Zabicie Kelsang jest zagrożeniem ich własnej w takim samym stopniu, jak Tybetańczyków.

To było nie po myśli wspinaczy z Zachodu, którzy nadal nie chcieli wypowiadać się na temat tego, co widzieli.

– Wolność znaczy dla mnie co innego, niż dla kogoś wychowanego w wolnym kraju – mówi Matei. – Wiem, ile kosztuje.

Wielu wschodnich Europejczyków zbojkotowało Himalaje po strzelaninie. Pavle Kozjek miał świadomość, że jeśli jego nazwisko będzie podawane w kontekście zdjęć przedstawiających zabijających żołnierzy, prawdopodobnie zniszczy to jego karierę himalaisty. Kozjek powiedział ExWeb:

– Sądzę, że Chiny są dla mnie zamknięte. Nawet jeśli mnie wpuszczą, będę się martwił, czy pozwolą wyjechać. Chociaż zdobyłem wszystkie ośmiotysięczniki, jest mi przykro z tego powodu. W sumie lubię ludzi i ten kraj, ale nie zgadzam się z takim traktowaniem własnych obywateli. – Później dodał: – Wspinam się od 30 lat i w tym czasie zaszło sporo zmian. Wspinaczka stała się biznesem jak każdy inny. Komercyjne wyprawy zabierają ludzi na szczyt i z powrotem, przysparzając im sławy. Prawdziwy himalaista wie, że jeśli na szali jest życie człowieka, wszystko staje się mniej ważne, łącznie z sukcesem w górach.

Kozjek zginął dwa lata później, próbując zdobyć Muztagh Tower na K2 w górach Karakorum, w sierpniu 2008 roku.

Matei został nominowany do International News Emmy za nagranie z 2007 roku. Nie zwyciężył, ale to było bez znaczenia. Przyznał, że decyzja, by sfilmować strzelaninę została podjęta spontanicznie, zgodnie z instynktem operatora kamery. Ale potem nie mógł się zmusić do zarejestrowania umierania Kelsang, co było wbrew wszelkim regułom.

– Himalaje postrzegałem jako świętość, więc nie mogłem sfilmować czegoś takiego – powiedział. Jego opowieść o wybawieniu zaczęła się, kiedy wyłączył kamerę i bez zastanowienia poszedł ratować Choedona.

W kolejnych latach PRO TV straciła finansowanie wydarzeń zagranicznych i Matei ledwie wiązał koniec z końcem. Podczas gdy zachodnie kraje wspierają obiektywne, wolne media, Chiny zainwestowały 6,6 miliarda dolarów w międzynarodową ekspansję kontrolowanej przez partię agencji Xinhua oraz People's Daily, które mają na celu promocję wizerunku „łagodnej władzy” na świecie.

W grudniu 2008 roku Dalajlama spotkał się z Matei w Warszawie. Jego Świątobliwość wraz ze świtą popędzali ambasadora podczas audiencji, żeby móc ciepło powitać Rumuna.

– W ciągu dwóch minut udało ci się dokonać tego, co ja próbuję zrobić od 50 lat. – To, według słów Sergiu Matei, powiedział Dalajlama, ściskając serdecznie jego rękę i uśmiechając się z entuzjazmem.

Matei rozpromienił się i powiedział:

– Tak, Chińczycy naprawdę dostali po dupie!

Zaskoczony Dalajlama zwrócił się do swojej świty.

– Co to znaczy? – zapytał.

Zdenerwowany asystent pochylił głowę z szacunkiem, zbliżył się o krok z kurczowo złożonymi dłońmi.

– Powiedział, że Chińczycy poczuli się zażenowani, gdy zobaczyli nagranie.

Dalajlama przyjął to do wiadomości i poklepał Rumuna po ramieniu.

– Tak, jak najbardziej.

Podczas rozmowy Matei wciąż się uśmiechał, po czym pod wpływem impulsu chciał objąć Jego Świątobliwość. Dalajlama roześmiał się i poczochnął Rumuna po rudej brodzie.

Dalajlama udzielił Matei duchowego wsparcia w związku z tragedią.

– Musisz otrząsnąć się z tego – powiedział. – Nie umarła na próżno. Jest w tym jakiś powód.

Matei skinął głową. W kolejnych miesiącach zaczął odczuwać większy spokój. Ustały koszmary senne. I kawałek po kawałku uwalniał się od strachu, który wziął go w posiadanie.

*Z początku ich słowa są jak miód na nożu.  
Ale wiemy, że jeśli polizesz miód,  
odetniesz sobie język.*

Takster Rinpocze, najstarszy brat Dalajlamy

# Niespokojne Himalaje

10 marca 2008 roku Dolma i Jamyang brali udział w porannym apelu, gdy dyrektor szkoły obwieścił, że źle się dzieje w Tybecie. To była pomyślna data, 49. rocznica upadku powstania Tybetańczyków przeciw chińskim rządóm z 1959 roku.

Po wieczornych zajęciach cała szkoła została wezwana na specjalną modlitwę. Dyrektor powiedział, że w kraju doszło do protestów na szeroką skalę, co doprowadziło do napiętej sytuacji. Uczniowie zaczęli panikować, nie wiedząc, co dzieje się z ich bliskimi.

Tybetańczycy zostali doprowadzeni do ostateczności. Rozgoryczenie, które narastało od kilku dekad wreszcie wybuchło z zabójczą siłą. Incydent na Nangpa La był powszechnie znaną tajemnicą w Lhasie. Chociaż w Tybecie nie można było obejrzeć nagrania, opowieść o zamordowaniu Kelsang podsyciła żal związany z chińską opresją.

Protesty rozpoczęły się w klasztorze Drepung w Lhasie, gdzie mnisi mieli już dość wzmożonej przed olimpiadą reedukacji patriotycznej i zaczęli domagać się uwolnienia mnichów, którzy zostali aresztowani za świętowanie przyznania Dalajlamie w Stanach Zjednoczonych Złotego Medalu Kongresu w 2007 roku. Niezadowolony tłum mnichów z klasztoru Sera wyszedł na Barkhor powiewając zakazaną tybetańską flagą i wykrzykując zakazane słowa: *Bo Rangzen!* (Wolny Tybet!). *Gyawa Rinpoche kutse trilo tenpa sho!* (Niech żyje Dalajlama!).

Za każde z tych zdań wymówionych w miejscu publicznym groziła kara więzienia. Rozdawali nielegalnie wydrukowane ulotki wzywające do wyzwolenia Tybetu. Zostali pobici i aresztowani.

11 marca protesty się nasiliły. Setki mnichów z Sera, Ganden i Drepung wyszły na Barkhor i żądały uwolnienia aresztowanych towarzyszy. Trzy dni później zamieszki w świątyni Ramoche w północno-wschodniej części Lhasy stały się bardziej brutalne.



Tybetańczycy plądrowali prowadzone przez Chińczyków sklepy, palili skradzione rzeczy na ulicach. Chociaż wszystkie chińskie sklepy zostały zdemolowane i ograbione, na klamkach, tych będących w posiadaniu Tybetańczyków, zawiązano białe szale *kata*. Pozostały nietknięte. Krążyły pogłoski, że sklepy i hotele, które atakowano najbardziej zawzięcie, współpracowały z UBP, tam zastawiano pułapki na uciekinierów i znajdowali się donosiciele przekazujący informacje policji.

Chińczycy Han pracujący jako taksówkarze wyciągani byli z pojazdów i zabijani, natomiast samochody należące do UBP i LPZ, pojazdy straży pożarnej i auta rządowe podpalano. W płomieniach stanęły też szkoły w Lhasie, na których od dawna skupiała się złość Tybetańczyków, niezadowolonych, że są miejscem indoktrynacji dzieci retoryką komunistyczną. Flaga Chin spłonęła na ulicy. Policijni informatorzy zostali pobici, kilku straciło życie.

Kiedy wieści o wzmożonych protestach dotarły do Tybetańczyków w innych regionach kraju, zamieszki wybuchły na całej Wyżynie Tybetańskiej. Zaatakowano budynki rządowe, flagi chińskie zastąpiono tybetańskimi. Władze obawiały się wybuchu rewolty na kilka miesięcy przed olimpiadą.

W kolejnych dniach cała wyżyna została odcięta od świata. Turystów i zagraniczne media deportowano. Nie wpuszczano żadnych dziennikarzy. Zablokowano Internet, linie telefoniczne i telefonię komórkową. Ostrzeżono organizacje pozarządowe (NGO), że jeśli ktoś wyśle za granicę informacje o protestach, zostanie aresztowany, a jego organizacja będzie zmuszona opuścić kraj. Władze wyznaczyły nagrodę w wysokości 1000 juanów (146 dolarów) za każdego, komu zostanie udowodnione przekazywanie informacji na zewnątrz. Użytkownicy Google News China w Pekinie nie mogli wyszukać żadnych wiadomości o Tybecie.

Z Indii napływały apele Dalajlamy o zachowanie spokoju.

Siły pacyfikacyjne nadeszły z Chengdu, dowództwa LPZ. Nie niepokojone przez zachodnich obserwatorów oddziały chińskie zabrały się do roboty. UPB wkraczało do domów byłych więźniów politycznych, zabierało im komputery i telefony. Zaatakowała też LPZ, która od dawna ćwiczyła się w najazdach na klasztory. Do klasztoru Sera wkroczyło 2000 oficerów LPZ, ubranych w czarne moro i maski narciarskie, strzelając do protestujących gazem łzawiącym. Oddziały wojskowe i ciężki sprzęt załadowano na pociągi jadące tybetańską linią Qinghai w stronę Lhasy. Zanim wydalono BBC, stacja nadała, że widziano około 400 transportowców wiozących 4000 żołnierzy zmobilizowanych w Tybecie.

W sieci wybuchła wojna propagandowa, w której walczyli chińscy nacjonałiści i tybetańscy uchodźcy. Okazało się, że kilka postów, napisanych przez blogerów

podających się za Tybetańczyków, którzy oferowali wsparcie terrorystom, tak naprawdę zostało zamieszczonych przez chińskich nacjonalistów.

16 marca 2008 roku, do prawie 3000 mnichów z klasztoru Ngaba Kirti w Amdo dołączyli mieszkańcy miasta. Na głównym placu policja otworzyła ogień, zabijając co najmniej dziesięciu, być może nawet dwudziestu ludzi. Ciała zabrano do klasztoru, żeby je tam sfotografować. Zdjęcia przeszmutowano i wysłano mailem do mnichów w klasztorach w Dharamasali.

W Dharamasali doszło do gwałtownych protestów, gdy w mieście rozpowszechniono zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało leżącego na wznak martwego dwudziestoletniego Tybetańczyka z raną postrzałową w sercu. Ktoś napisał na fotografii CHIŃSCY MORDERCY! Na innym, szesnastoletnia uczennica, Lhundrup Tso, leżała w kałuży krwi.

\*

10 marca, czyli tego samego dnia, gdy doszło do zamieszek, zakazano wszystkich ekspedycji górskich na Everest i Czo Oju. W oficjalnym komunikacie podawano niezliczone powody, w tym: „wzmożoną aktywność i zatłoczone szlaki” oraz „naciski ekologów obawiających się, że ekspedycje mogą spowodować zagrożenie bezpieczeństwa”. Tak naprawdę Chiny nie chciały narażać się na krytykę ze strony wspinaczy związanej z protestami w Tybecie. Chiński zespół szybko dokonał wejścia na Everest ze zniczem olimpijskim.

Russell Brice miał nadzieję, że ocali go gorliwe nadskakowanie Chińczykom. Po strzelaninie na Czo Oju Brice przyznał, że nie chciał się narażać swoim chińskim partnerom biznesowym, więc wybrał milczenie.

– Jesteśmy na uprzywilejowanej pozycji, mogąc wspinać się na Czo Oju, położonej w bardzo drażliwym punkcie – przytaczano jego słowa<sup>[56]</sup>. – Nie chcemy tego nadużywać, ponieważ nie będziemy tam mogli wrócić; Chińczycy nas nie wpuszczą. Budowaliśmy to zaufanie przez wiele lat. – Przyznał, że pomagał żołnierzom wyleczyć śnieżną ślepotę, ale zastrzegł, iż wynikało to ze współczucia. Powiedział: – To byli cierpiący ludzie.

Wkrótce Brice przekonał się, że Chińczycy nie troszczyli się o swoich partnerów biznesowych i bez znaczenia była dla nich ich lojalność. Brice i Himex, podobnie jak pozostali, dostali zakaz wspinania się na Everest od strony północnej.

Niektóre ekspedycje starały się o pozwolenie na wejścia w Nepalu, żeby ich klienci nie wycofali zadatków. Wkrótce po tym jak Chińczycy zakazali wspinania się

w Himalajach od strony północnej, nepalski minister turystyki, Prithvi Subba Gurung, ogłosił, że strona południowa Everestu również zostanie zamknięta, żeby zapobiec problemom podczas wnoszenia przez Chińczyków znicza olimpijskiego na szczyt góry. Za zamknięcie Everestu rząd nepalski przyjął nieznaną kwotę od rządu chińskiego.

Chiny bezustannie przypochlebiały się Nepalowi, przyznając im miliardowe, niskooprocentowane pożyczki oraz przeprowadzając szkolenia wojskowe (w kooperacji pomiędzy LPZ a oddziałami maoistycznymi). Planowano przedłużenie linii kolejowej do Katmandu. W międzyczasie Chińczycy zaczęli bardziej naciskać na Nepal, żeby wypenił organizacje humanitarne związane ze sprawą Tybetu. W przededniu olimpiady chcieli, żeby spłacono zaciągnięte długi.

Najwyższy szczyt świata stopniowo stawał się strefą zmilitaryzowaną. Nad górą latały chińskie odrzutowce, w obozach rozstawiono oddziały snajperów i wojska. Skonfiskowano należące do wspinaczy telefony satelitarne i laptopy. Z aparatów fotograficznych pozabierano karty pamięci. Ścisłe kontrolowano wszelką komunikację na górze.

Himalaistów skutecznie zniechęcono do wyrażania i manifestowania jakiegokolwiek wsparcia dla Tybetu. Szefowie ekspedycji wydali władzom amerykańskiego wspinacza, kiedy w zaufaniu powiedział im, że ma w plecaku flagę Wolnego Tybetu, którą zamierza zatknąć na szczycie. Wszyscy dziennikarze bezceremonialnie zostali wydalen z góry. Chińczycy wyciągnęli lekcję po strzelaninie na Nangpa La, że zachodni świadkowie mogą zagrażać ich interesom.

Podczas gdy bezustannie filmowano i pokazywano w mediach chińskich wspinaczy niosących na szczyt olimpijski znicz, krwawe zamieszki w Tybecie były objęte całkowitym zakazem publikacji. O 9.18 w czwartek 8 maja zespół chińskich wspinaczy wszedł ze zniczem na Mount Everest. Płomień olimpijski migotał na wietrze wiejącym na wysokości 8848 m n.p.m., gdy Nyima Cering krzyknął:

– Jeden świat, jedno marzenie!

W kolejnym miesiącu ogień olimpijski, który objechał sześć kontynentów, w „harmonijnej podróży” powrócił do Tybetu, co jeszcze wzmogło kontrowersje. Chińczycy zadbali o to, by pochodni wszędzie towarzyszyła grupa odzianych na niebiesko biegaczy, czyli tak zwany Oddział Ochrony Świętego Płomienia. Z początku Chiny twierdziły, że w jego skład wchodzi studenci, którzy zgłosili się na ochotnika. Ale kiedy w Londynie wybuchły protesty i doszło do aresztowań, okazało się, że byli to oficerowie LPZ z oddziałów ochrony rządu.

23 czerwca przez Lhasę przeniesiono pochodnię z ogniem olimpijskim, miasto

zamknięto i patrolowano przez oddziały zmilitaryzowane policji. Około tysiąca Tybetańczyków przetrzymywanych bez wyroku czekało w niepewności w więzieniach. Dwa tygodnie wcześniej, 10 czerwca, w Nepalu, pod wpływem nacisków chińskiego rządu, nepalska policja wkroczyła do domu dyrektora Ośrodka Przyjęć Uchodźców z Tybetu, Kalsanga Chunga (tego samego, który przedstawił Luisa Beniteza Dolmie i grupie z Nangpa La). Weszli również do domów Ngwang Sangmo i Tashi Dolmy ze Stowarzyszenia Tybetańskich Kobiet w Katmandu. Wszystkich stamtąd zabrano i przetrzymywano przez kilka tygodni, dopóki zagraniczne ambasady i ONZ nie zażądały ich uwolnienia.

W sierpniu 2008 roku świat przyglądał się najdroższej olimpiadzie w historii, którą zainaugurowała w Pekinie wspaniała ceremonia otwarcia, kosztująca 100 milionów dolarów. Komentatorzy otrzymali zakaz wspominania podczas relacji o Tybecie, w którym właśnie dochodziło do najbardziej brutalnych wydarzeń od czasów ucieczki Dalajlamy w 1959 roku.

Marzenie Mao o mocarnych Chinach zostało częściowo zrealizowane za sprawą ognia olimpijskiego na Evereście i Igrzysk Olimpijskich w Pekinie, które zaakcentowały potęgę Chin XXI wieku. Himalaiści przebywający na Czo Oju w momencie zastrzelenia Kelsang postrzegali olimpiadę w Chinach jako kolejny dowód na uwikłanie Zachodu w wielki spisek Chin. Pewien brytyjski wspinacz powiedział:

– Cała społeczność międzynarodowa przytaknęła Chinom, sankcjonując olimpiadę w Pekinie, prowadząc handel, pozostając pragmatyczną i ignorując kwestie związane z prawami człowieka, ponieważ nie są ważniejsze od ekonomii... ponieważ świat podejmuje decyzje, a te doskonale zostały odzwierciedlone przez zachowanie wspinaczy. Nie sądziliśmy, że możemy cokolwiek zmienić wypowiadając się na ten temat.

Polityka ustępstw dobrze służy Chinom. Niewiele państw ma ochotę podważać wizerunek spokojnego, łagodnie rozwijającego się supermocarstwa, więc władze poczynają sobie coraz zuchwalej. Świat nie podejmuje się rozwiązania problemu łamania praw człowieka. Wpływ Chin na politykę światową wzrasta, gdyż stają się coraz bardziej aktywne w krajach rozwijających się w Afryce i Ameryce Południowej, budują drogi, finansują inwestycje, podobnie jak kiedyś w Tybecie.

W międzyczasie amerykańska „miękką siłą” staje się coraz słabsza.

W światowych mediach wiele miejsca zajmowały rozgrywki olimpijskie, w tym samym czasie dochodziło do przemocy w Tybecie.

Według Tybetańskiego Rządu na Uchodźstwie zginęło 220 ludzi<sup>[57]</sup>. Nie sposób

określić prawdziwej liczby ofiar, przede wszystkim dlatego, że ciała pozbywano się w tajemnicy. Mówiono o tym, że wiele spalono w nowym krematorium w okolicy miejscowości Yabda w dolinie Toelung. Jeden ze świadków twierdził, że widział wypełnioną trupami ciężarówkę. Większość ciał zabitych nie została zwrócona rodzinom.

Chińskie media podały, że zatrzymano 4434 Tybetańczyków. Według jednego z raportów, po 14 marca w wyniku zatrzymań z każdego gospodarstwa domowego zniknęła jedna osoba<sup>[58]</sup>. Klasztory zostały poddane tak intensywnym sesjom reedukacji patriotycznej, że wielu mnichów popełniło samobójstwo. W klasztorze Ngaba Kirti w Amdo Labsang Linpa napisał list, który znaleziono przy jego ciele: „Ani minutę dłużej nie chcę żyć pod okupacją chińską, a co dopiero przez cały dzień”. Samobójstwo jest napiętnowane w buddyzmie, jako że w dużym stopniu ogranicza szanse na dobrą reinkarnację.

W 2008 roku w Tybecie, jak za sprawą czarów odżył horror rewolucji kulturalnej. W Ngawa, w prowincji Syczuan, nagrano film, na którym grupa żołnierzy LPZ stoi za rządem Tybetańczyków i zmusza ich do zgięcia się wpół, by pokazać zawieszane na szyjach tabliczki z wypisanymi na nich zbrodniami. Więźniów przetrzymywano w magazynie na stacji kolejowej w Lhasie. Pod koniec kwietnia 2008 roku 675 mnichów oraz setki innych więźniów zaprowadzono do pociągów, które zawiozły ich do obozów pracy i obozów reedukacyjnych na jałowych ziemiach Qinghai, gdzie dawniej Chiny testowały broń atomową i sprzedawały Zachodowi ziemię pod wysypiska odpadów nuklearnych<sup>[59]</sup>.

Lobsang Gyaltzen został skazany na śmierć za „podpalenie dwóch sklepów odzieżowych w centrum Lhasy 14 marca oraz spowodowanie śmierci właściciela sklepu, Zuo Rencuna”. Inny oskarżony, znany jedynie pod imieniem Loyar, został skazany na śmierć za udział w podpaleniu salonu sprzedającego motocykle, na skutek czego zginęli właściciel, jego żona i dwóch synów. Według Xinhua obaj Tybetańczycy „musieli zostać skazani na śmierć, żeby załagodzić złe nastroje”. Wyrok został wykonany przez oddział egzekucyjny LPZ w październiku 2009 roku.

W tym czasie Chiny zaczęły upowszechniać własną wersję powstania, podobnie jak to zrobiły po strzelaninie na Nangpa La. Opublikowano „oficjalne” nagranie, przedstawiające mnichów rzucających kamieniami i demolujących sklepy, natomiast nie pokazano żadnych ujęć, na których widać żołnierzy z bronią, polujących na Tybetańczyków. Ponieważ na miejscu nie było żadnych niezależnych obserwatorów, którzy mogliby sfilmować zajścia, tak jak się stało na Czo Oju, chińska wersja nie mogła zostać podważona. Stacja telewizyjna CCTV (Chinese Central Television)

wyemitowała sceny przedstawiające policję wkraczającą do tybetańskich domów. Skomentowano to w następujący sposób: „Rząd Centralny zainwestował dużo środków finansowych oraz zasobów ludzkich, żeby pomóc Tybetowi w rozwoju Regionu Autonomicznego po pokojowym wyzwoleniu w latach 50. Od tej pory w regionie panuje dobrobyt, jakiego nigdy wcześniej tam nie było. Tybetańczycy jednogłośnie twierdzą, że jedność i stabilizacja oznaczają szczęśliwe życie, podczas gdy oddzielenie regionu od Chin mogłoby skończyć się katastrofą”.

Tybet ponownie pokryła zasłona milczenia. Chiny nie wpuściły do kraju Louise Arbour, Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Praw Człowieka. W Tybecie wszyscy obywatele musieli obowiązkowo poddać się reedukacji patriotycznej. Zaczął się okres najbardziej rygorystycznie przestrzeganego zakazu wolności słowa i kontaktów ze światem zewnętrznym. Ustanowiono specjalny oddział UBP oraz 108 LPZ do walki z „rozprzestrzenianiem plotek”, co jest eufemistycznym zwrotem, określającym kontakt ze światem i wymianę informacji.

W kolejnych latach tybetański filmowiec Dhondhup Wangchen został skazany na sześć lat więzienia za nagrywanie filmu dokumentalnego, w którym rozmawiał ze zwykłymi Tybetańczykami na temat obecności Chińczyków w Tybecie. Jego rozmówcy odważnie i szczerze wypowiadali się przed kamerą, decydując się na występowanie pod własnym nazwiskiem. Inni zostali uwięzieni za umieszczanie zdjęć Dalajlamy na chińskiej wersji Facebooka. Wyrażanie tybetańskiej tożsamości w jakiegokolwiek formie stało się przestępstwem. Śpiewacy ludowi wykonujący tybetańskie pieśni trafili do więzienia. Po powstaniu do 505 klasztorów żeńskich i męskich wysłano w ciągu roku 2300 urzędników.

*W czasach powszechnego fałszu  
mówienie prawdy jest aktem rewolucyjnym.*

George Orwell

# Cena wolności

Podczas powstania w Tybecie Dolma schroniła się wraz z mniszkami Lobsang Samten i Thinley Wangmo w klasztorze żeńskim Dolma Ling. Znalazły tam wytchnienie od doniesień o przemocy i protestach. Pomędzy klasztorem a pensjonatem rozciągały się piękne, zadbane trawniki. Na ścianach budynków wiły się kwitnące powoje.

Pomimo zamieszek w Nagchu, Driru, które znalazło się pod kontrolą wojska, nie ucierpiało zanadto. Chociaż po powstaniu Dolma stale dzwoniła do matki, odchodziła od zmysłów, gdy następnego tygodnia linia telefoniczna przestała działać. Z początku każdego dnia Radio Free Asia i Voice of America nadawały wiadomości o horrorze rozgrywającym się w Tybecie, ale wiadomości powoli zaczynały zniknąć z anteny.

Kilka dni po wybuchu powstania Dolma spotkała się ze mną na łąkach za szkołą. Usiadła po turecku, w palcach obracała listek koniczyny. Gdy rozpoczęła się lekcja, na boisku ucichły głosy dzieci.

Dolma staje się kobietą: jej twarz straciła dziewczęcą puciołowatość, uśmiecha się z pewnością siebie i współczuciem. Staje się podobna do matki, Nyimy, całkowicie niezależnej, a jednak delikatnej, pełnej dobroci. Jej dłoni już nie pokrywają zgrubienia od ciężkiej pracy na polach w Juchen. Jest dumna ze swoich ubrań, wciąż widać silny wpływ matki. Tego dnia ma na sobie strój modny w Delhi, który kupiła dzięki pieniądzom przesyłanym przez Nyimę.

Jednak na zawsze straciła prawdziwy dom. Nie może wrócić do Tybetu, ponieważ publicznie wypowiadała się o zamordowaniu Kelsang. Wywiad chiński rzuci się na nią, jak tylko spróbuje przekroczyć granicę. Szczerze mówi:

– Jestem pewna, że jeśli pojechałabym do domu spotkać się z mamą, spędziłabym resztę życia w więzieniu, ponieważ Chińczycy (władze) wszystko o mnie wiedzą.

Kiedy Dolma zaczęła udzielać wywiadów w mediach, regularnie dzwoniła do domu, żeby upewnić się, że nie wyciągnięto żadnych konsekwencji wobec jej rodziny, jednak



cały czas podejrzewała, że zapłacili za jej szczerość. W późniejszych latach Nyima poprosiła córkę, żeby nie dzwoniła do niej zbyt często (połączenia z Indii są kontrolowane).

Mimo to Dolma nigdy nie złamała przyrzeczenia, że będzie opowiadać o zamordowaniu swojej przyjaciółki. Powiedziała:

– Śmierć Kelsang sprawiła, że zrobiło się głośno o Tybecie. Dzięki niej więcej ludzi uświadomiło sobie, że już wcześniej dochodziło do podobnych sytuacji, ale nikt ich nie zauważał. Cierpię za każdym razem, gdy o tym opowiadam – przyznała. – Kiedyś płakałam, gdy o tym mówiłam. Już nie płaczę. Jestem silna.

Dolma słyszała o wspinaczach, którzy wypowiadali się pod pseudonimami, oraz o tych, którzy w ogóle nie chcieli mówić o morderstwie. Nie ma im tego za złe.

– Nie winię ich za to, że nie chcieli mówić – powiedziała. – Jest mi tylko przykro, że myślą wyłącznie o sobie. Przez to świat jest bardzo mały. Zamiast pomagać innym, nie mają odwagi ani determinacji, żeby ich zrozumieć. Im więcej myślą tylko o sobie, tym bardziej zamykają się w kręgu bez wyjścia. To cena, którą płacą.

Dolma zamyśliła się.

– Tak, jest mi smutno, bo mój smutek zdaje się nie mieć końca – powiedziała po chwili. – Śmierć Kelsang na Nangpa La, to, że nie mogę wrócić do domu, bo opowiedziałam tę historię. – Kaszle, zasłaniając dłonią usta. – Z drugiej strony, kiedy opowiedziałam o Kelsang, ludzie dowiedzieli się o jej tragedii. Więc jeśli ta historia pomaga, nie ma znaczenia, czy wrócę do domu, czy nie.

Na Nangpa La jednym cięciem zakończyło się dzieciństwo Dolmy. Nadal żałuje kilku rzeczy:

– Jak przyjechałam do Indii, do miejsca, gdzie nikogo nie znam, wiele razy było mi bardzo ciężko, tęskniłam za mamą, za domem, ale z drugiej strony cieszę się, że dostałam tę otwierającą oczy szansę. Gdy mieszkałam w domu, nie wiedziałam czym naprawdę jest smutek. Nie umiałam być odpowiedzialna i nie wiedziałam jak żyć ani jak zaangażować się społecznie, nigdy nawet nie myślałam, by stanąć na własnych nogach. Może dlatego, że pochodzę z bardzo małej wsi. Czasami jestem szczęśliwa, czasami smutna, ale takie jest życie. Tego nauczyłam się, gdy tu przyjechałam.

Milknie, żeby pomyśleć.

– Uszczęśliwia mnie raczej to, co sobie myślę i jak postrzegam pewne rzeczy, a nie to, co fizycznie istnieje na świecie.

Według tej nauki stara się żyć każdego dnia, kiedy tęskni za domem i miękkim uściskiem Nyimy, *geshe* Kalsangiem oraz potężnymi górami nad Juchen, gdzie niegdyś bawiła się z Kelsang.

Dolma zastanawia się jak wygląda jej matka, czy bardzo się postarzała: czy ma siwe włosy i zmarszczki? Czy minie dziesięć czy piętnaście lat zanim będzie mogła znowu zobaczyć rodzinę? A może nigdy ich nie zobaczy? Czy Tybet będzie wtedy wolny?

Pewien mnich przywiózł jej z Juchen zdjęcie Nyimy i Kyizom, które Dolma postawiła przy łóżku. Na fotografii obie się uśmiechają. Kyizom, w grubej, żółtej kurtce jest drobniutka i bardzo szczupła. Nyima trzyma na zdjęciu koło modlitewne i uśmiecha się dumnie. Obie są silnymi kobietami. Dolma znajduje pocieszenie i ulgę w zdjęciu przedstawiającym matkę i siostrę.

Każdego miesiąca dzieci ze szkoły Suja wracają do Tybetu. Dolma też chciałaby wrócić, ale nie mówi o tym głośno. Kiedy naciskam, przyznaje:

– Tybetańczycy należą do Tybetu, tam narodziła i rozwinęła się nasza kultura. Mój dom jest piękny, równiny, ośnieżone góry, krystaliczne, niezanieczyszczone wody, to wszystko należy do Tybetańczyków mieszkających na wyżynie. Tybet jest klejnotem. Gdybym miała wybór, wolałabym tam mieszkać.

Dolma nie ma zapewnionej przyszłości w Indiach. Mimo coraz większej elokwencji, nabytej dzięki opowiadaniu o swoich doświadczeniach na Nangpa La, z trudnością przyswaja język angielski. Po trzech latach w Suja School będzie musiała rozpocząć naukę zawodu, prawdopodobnie w szkole gastronomicznej.

Jej wolność jest kwestią sporną. Za wolność w Indiach zapłaciła uwięzieniem. Stojąc pomiędzy cywilizacjami Wschodu i Zachodu Dolma jest rozdarta pomiędzy ideologiami politycznymi. Na demokratycznym Zachodzie wolność słowa jest wartością, ale jej szczerą wypowiedź, obywatelki zamkniętej społeczności, doprowadziła do dożywotniego zesłania.

Jednak marzenie Kelsang i Dolmy oraz ich uparte dążenie do wolności, czegoś, czego nigdy nie zaznały, ale podświadomie czuły, że znajduje się po drugiej stronie Himalajów i jest reprezentowane przez Dalajlamę, było warte podjętego ryzyka. Dwie dziewczyny z rolniczej części Tybetu przeciwstawiły się supermocarstwu, bo nie chciały wierzyć w to, co im wmawiano na temat wolności i Dalajlamy. Wyruszyły, żeby odnaleźć prawdę, wbrew Chinom, propagandzie, nie zważając na koszty.

W Kelsang i Dolmie, nieskażonych złem naszych czasów, cynizmem, niczym przez pryzmat odbijała się kondycja ludzka. Ich wędrówka, a przede wszystkim jej zwieńczenie, rzuciło światło na mieszkańców Zachodu, często angażujących się tylko we własny interes. Firmy organizujące wspinaczkę, eskortujące bogatych i najbardziej rozpieszczonych członków zachodniej społeczności na szczyty Himalajów, po cichu pogardzają swoimi chińskimi gospodarzami, lecz swoim zachowaniem usprawiedliwiają ich działania.

Decyzja Dolmy, żeby opowiadać o Kelsang zawsze, gdy nadarzy się ku temu okazja, jest dla niej powodem do dumy.

– Pokazujemy, że chiński pomysł na Tybet nie jest tym, czego byśmy pragnęli – mówi.

Dolma, która na początku niezbyt chętnie opuszczała dom, częściowo przejęła zapał Kelsang. Na uchodźstwie zaakceptowała odpowiedzialność zrzuconą na jej młode ramiona. Ostatecznie definicją wolności dla Dolmy jest świadomość, że wiedza – nieważne jak bolesne było jej nabycie i uświadomienie sobie – jest oczyszczająca. I rzeczywiście nowe pokolenie Tybetańczyków, zarówno w Tybecie, jak i poza nim, broni wartości demokratycznych i wolności słowa z przekonaniem, że to, co dzieje się w ich kraju, nie powinno być żadną tajemnicą. Walka o Tybet zaczęła się od wewnątrz.

Podczas naszej rozmowy Dolma spoglądała w zadumie na góry. Za szkołą w kierunku północnym ciągnęły się pola na szmaragdowozielonych tarasach, zwieńczone lasami oraz ośnieżonymi górami Dhauladhar, czasami nazywanymi Himalajami Zewnętrznymi. Szkliste szczyty zarysowujące się śmiało na horyzoncie były iście sielankowym widokiem. Za nimi, w Tybecie, był niepokój, chaos, krwawa przemoc. Po tej stronie Himalajów wszystko wyglądało tak spokojnie i wonnie. Czerwone, niebieskie i żółte parolotnie unosiły się leniwie nad nami, niczym nasiona mlecza, wykorzystując górskie prądy powietrza.

Dolma lubi towarzystwo mniszek, ale w głębi serca zastanawia się, czy życie w klasztorze jest jej powołaniem. Do tej chwili nie złożyła ślubów i nie ma pewności czy kiedykolwiek się na to zdecyduje. Jednak nawet po śmierci swojej przyjaciółki dotrzymuje obietnicy złożonej Kelsang, że pozostanie na ścieżce do duchowego zbawienia. Nie przerwie tego nawet śmierć.

Podczas rozmowy na twarzy Dolmy pojawiał się uśmiech. Jeszcze raz została przyjęta na audiencji u Dalajlamy, podczas której Jego Świątobliwość opowiedział jej o Kelsang i karmicznym powodzie jej śmierci.

– Jego Świątobliwość powiedział mi, że Kelsang będzie miała dobrą reinkarnację. – Umilkła na chwilę. Oczy jej błyszczały, zerwała kolejną koniczynkę. – Dzięki temu, że opowiadałam o jej śmierci, ludzie się za nią modlili. I Jego Świątobliwość modlił się za nią. Z tego powodu mogła się dobrze odrodzić. Wróciła. Jest gdzieś w Tybecie.

# Epilog

Brudni tybetańscy uchodźcy z widocznymi odmrożeniami przechodzili tuż obok nas, gdy przemierzaliśmy jałowe górskie szlaki, kierując się w stronę granicy Tybetu. Jeden z nich, któremu zamarzły oczy na mrozie, zatrzymał się, żeby wyżebrać krople do oczu. Zamrugnął z bólu, gdy wkropiłem mu płyn do oczu, po czym podziękował i ruszył w dół.

Minęły dwa miesiące od śmierci Kelsang Namtso na Nangpa La. Wydawca magazynu „Mail on Sunday” poprosił, bym dokładniej zbadał tę sprawę.

Wkrótce wraz z Kunchokiem, moim tłumaczem, i Ramshem, który będzie moim przewodnikiem w górach, znalazłem się w Nepalu u podnóża Himalajów. Robiliśmy co w naszej mocy, żeby uchodzić za turystów podczas wędrówki do Tybetu.

– Nikomu nie mów, kim jesteś ani co robisz – wyszeptał Kunchok, gdy powoli brnęliśmy przez osadę Phakding. – Nikomu nie ufaj.

Moim celem było przebycie trasy, jaką pokonali uchodźcy od granicy z Tybetem oraz Nangpa La, następnie chciałem udać się do Katmandu, a stamtąd do Dharamsali w Indiach.

Im wyżej wchodziliśmy, tym częściej dostrzegałem różnicę pomiędzy turystami i podróżnikami, a tymi idącymi w drugą stronę – uchodźcami, którzy wyglądali jakby uciekali z kraju objętego działaniami wojennymi. Trudno było zrozumieć, że ludzie wypoczywali w kraju, w którym powstanie maoistów pochłonęło 13 000 istnień ludzkich.

Za Namche Bazar w drodze na Nangpa La usilnie staraliśmy się uniknąć rebeliantów maoistycznych. Ciężko oddychaliśmy w rozrzedzonym grudniowym powietrzu, gdy dochodziliśmy do Thame. Kiedy weszliśmy do wioski, przy niskim, kamiennym murze stał kulący się na zimnie Nepalczyk z kapturem na głowie i białymi słuchawkami iPoda w uszach. Przeszępując z nogi na nogę udawał, że go nie

interesujemy.

– Nie patrz na niego – ostrzegł mnie szeptem Kunchok. – Jest z policji. Prawdopodobnie został opłacony przez Chińczyków.

Gdy weszliśmy do pensjonatu w Thame, wokół pieca stało i grzało się kilka młodych kobiet w maskach na twarzach. Na nasz widok wybiegły w zimną noc. Kunchok odczekał kilka chwil i ruszył za nimi. Po godzinie wrócił. Potem dziewczęta zgodziły się ze mną porozmawiać.

Około północy Kunchok zabrał mnie z pensjonatu i zaprowadził do stojących w kręgu namiotów pośrodku wsi.

– Szybciej – powiedział, rozglądając się wokół i przytrzymując dla mnie rozchyłone wejście do namiotu. Pospiesznie wsunąłem się do ciasnego wnętrza. Jakiś tuzin ludzi siedział wokół dymiącego ogniska podsycanego łajnem jaka.

Kunchok tłumaczył, więc dowiedziałem się, że dwóch braci eskortowało trzy siostry do Nepalu. Chciały zostać mniszkami. Siostry uśmiechały się do mnie nerwowo i chichotały, kiedy podniosłem aparat. Nigdy wcześniej nie widziały osoby z Zachodu.

Bracia, silni mężczyźni w brudnych kurtkach, pracowali jako tragarze dla zachodnich ekspedycji na Czo Oju, kiedy zastrzelono Kelsang. Według nich żaden z himalaistów nic nie zrobił na miejscu przestępstwa. Kilka lat wcześniej, podczas innej wyprawy na Czo Oju, również zatrudnili się jako tragarze, i wówczas widzieli jak tybetański uchodźca wpadł do szczeliny, a wspinacze, choć mieli odpowiedni sprzęt, nie pomogli mu. Ich zdaniem ludziom z Zachodu Tybetańczycy byli raczej obojętni.

Kilka dni później dotarliśmy do granicy z Tybetem, skąd wróciliśmy do Namche. Po drodze spotykaliśmy innych uchodźców rozmieszczonych w kryjówkach, gdzie beczynn timerali czekali na kolejny, niebezpieczny etap podróży do Indii.

Prawie miesiąc zajęło nam przejście szlaku uchodźców, którego zwieńczeniem było przybycie do Dharamsali, gdzie, wraz z 40 nowo przybyłymi tybetańskimi uchodźcami wzięłem udział w spotkaniu z Dalajlamą.

– Mamy pokolenie na obczyźnie oraz kolejne pokolenie, które podąża tą samą ścieżką – serdecznie powiedział Dalajlama. – Ważne jest, abyście zrozumieli, co musicie robić na uchodźstwie. Podkreślam wagę edukacji. Jego celem jest, by kolejne pokolenie Tybetańczyków skorzystało z oferowanego im wykształcenia i dzięki niemu stanęło do walki o swoje prawa w Tybecie.

Dalajlama opowiadał, że osobiście czuł się oszukany przez Mao, który obiecał zmodernizować Tybet. Po chińskim najeździe na kraj w 1950 roku, Dalajlama udał się na rozmowę do Pekinu. Był pod wrażeniem przemowy Mao o rozwoju i równości dla wszystkich.

– Powiedział mi, że dołączyliśmy do ojczyzny i w swoim czasie Tybetańczycy pomogą Chińczykom. – Dalajlama zamilkł, zahaścił się na piętach i zaczął się śmiać. – Może Mao robił sobie ze mnie żarty! A może naprawdę tak myślał!

Zdaniem Dalajlamy nowoczesne Chiny obecnie interesują się tylko zarabianiem pieniędzy.

– Na papierze są komunistami, ale w rzeczywistości to kapitaliści. – Umilkł, po czym znowu roześmiał się z tego absurdu. – To taka dziwna sytuacja!

Po pogadance Dalajlama powitał każdego Tybetańczyka.

Kiedy zebrani wyszli ze świątyni, dostałem znak od asystentów Dalajlamy. W pustym pomieszczeniu zwróciłem się do niego i zapytałem o śmierć Kelsang Namtso. W jednej chwili spowaźniał.

– Strzelanie do ludzi to nic nowego! – powiedział wzburzony. – Tylko tym razem byli świadkowie z Zachodu. Od lat strzelają do nas i zabijają! – Dalajlama nawet nie ukrywał swojej złości. Jego głos rozbrzmiewał w całej świątyni.

Wówczas po raz pierwszy spotkałem Dalajlamę. Nie spodziewałem się, że będzie taki zdenerwowany. Kiedy opanował swój gniew, zaproponował, żebyśmy wyszli na zewnętrzny taras za główną świątynią.

Na dworze Dalajlama odprężył się, ale jego słowa stały się jeszcze mocniejsze. W dyskretnej odległości stał tybetański ochroniarz w skórzanej kurtce z pistoletem maszynowym w dłoniach. Zanim wpuszczono mnie na ten teren, musiałem przejść przez wykrywacz metalu i zostałem obszukany.

Gdy zaczął mówić, stało się jasne, że śmierć Kelsang wyzwoliła w Dalajlamie silne, osobiste poczucie niesprawiedliwości. Okoliczności morderstwa sprawiły, że trudna sytuacja Tybetu pojawiała się w międzynarodowych mediach. Przywódca był zły, że dopiero śmierć młodej dziewczyny zwróciła uwagę świata na niesprawiedliwość Chińczyków. Apatia Zachodu w kwestii Tybetu była, według niego, skutkiem rasizmu i ewidentnego egoizmu.

– W latach 60., 70. i 80. wiele wycierpieliśmy – wyjaśnił. – Lecz oni [Zachód] kierowali spojrzenie na Rosję, nie Chiny. – Ciężko oddychał mówiąc: – Być może dlatego, że jesteśmy Azjatami, więc nic ich nie obchodzimy! – zachnął się i ukradkiem spojrzął na nadgarstek. – Więc, jak pan widzi, dochodzi do dyskryminacji nawet u tych, którzy przestrzegają praw człowieka!

Zreflektował się i starał złagodzić swój wybuch.

– To musi się zmienić. Niech pan zobaczy, co stało się w Rosji. To samo wydarzy się tutaj. W krótkiej perspektywie jestem pesymistą, lecz odległą przyszłość postrzegam optymistycznie.

Zanim odszedłem, Dalajlama udzielił mi rady. Powiedział mi to, co mówił każdemu związanemu z incydentem na Nangpa La.

– Bądź szczery i mów prawdę.

Wydało mi się, że to dziwna rada. Dlaczego miałbym tego nie robić?

Dwa lata później przypomniałem sobie o słowach Dalajlamy, kiedy w Tybecie wybuchły zamieszki, a wkrótce potem doszło do załamania gospodarczego. Wówczas Zachód również liczył na pomoc Chin. A potem zignorował doniesienia o rozlewie krwi w Tybecie podczas olimpiady. Wyglądało na to, że prawda była zbyt okrutna, by stanąć z nią twarzą w twarz.

W czasie spotkania Dalajlamę zadziwiły paradoksy. Największe na świecie państwo komunistyczne stało się światowym bankierem i dostawcą. Kiedy zacząłem zagłębiać się w historię Kelsang Namtso, okazało się, że prawie wszystko, co wiąże się z Tybetem związane jest ze sprzecznościami.

Uderzył mnie kontrast pomiędzy uprzywilejowanymi mieszkańcami Zachodu i przyciśniętymi biedą Tybetańczykami na dachu świata. Zestawienie obu kultur uświadomiło mi, że Zachód jest gotów zaakceptować niewygodny dylemat moralny, żeby tylko dostać to, czego potrzebuje.

Moje poszukiwanie prawdy o śmierci Kelsang zaczęło się od dwóch artykułów, a skończyło na wydaniu książki, którą teraz trzymasz w dłoniach. To, czego dowiedziałem się po drodze, stanowiło dla mnie wyzwanie i bezustannie wprawiało w zdumienie.

Od samego początku pojawiały się problemy z dotarciem do informacji. Zacząłem od wykonania kilku telefonów do sinologów i tybetologów pracujących na amerykańskich uczelniach oraz do zespołów doradców. Niewielu odpowiedziało na moje telefony i wysłane wiadomości. Mówienie o łamaniu praw człowieka w Tybecie może skończyć się stałym zakazem wjazdu do Chin.

Przedstawiciele kilku organizacji charytatywnych oraz pozarządowych również odmówili udzielenia wywiadów. Bali się, że Chińczycy zamkną ich, jeśli przyłapią na wkraczaniu na polityczną ścieżkę.

Zaskakująca liczba organizacji pozarządowych zajmujących się prawami człowieka wie stosunkowo niewiele o Tybecie. Z jednej strony, sprawa jest wielce skomplikowana. Jednak przede wszystkim chodzi o to, że zdobywanie informacji o Tybecie jest zbyt kosztowne i niebezpieczne.

Nawet Międzynarodowa Kampania na rzecz Tybetu, której celem jest pozyskiwanie informacji, wykonuje syzyfową pracę. Kate Saunders z ICT stwierdza:

– Nadal nie wiemy, co wydarzyło się podczas protestów w marcu 2008 roku.

Potrzeba miesięcy, a nawet lat, żeby dotrzeć do prawdy. A najczęściej, przyznając ze smutkiem, niczego się nie dowiadujemy. Rozprawy sądowe odbywają się w tajemnicy, ludzie znikają. Nigdy nie poznamy całej prawdy.

Bardzo niewiele osób zapuszcza się poza rejony turystyczne w Tybecie i dociera do odległych zakątków wyżyny lub w Himalaje. Ci, którym się to udaje, są często bardzo powściągliwi i nie dzielą się wiedzą, wykorzystując ją raczej podczas płatnych wykładów i przedsięwzięć komercyjnych przynoszących im określone korzyści.

– Nie nazwałbym tego okrucieństwem – stwierdził znany himalaista, jako powód odmowy wywiadu. – To była tylko jedna osoba.

Ludzie, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać naciskali, żeby nie podawać ich nazwisk, nie cytować ich wypowiedzi i nie przytaczać w książce nazw ich szanowanych organizacji. Zacząłem pracę w lutym 2008 roku. Miesiąc później w Tybecie zawrzało i wszyscy obcokrajowcy dostali zakaz wstępu. To, co miało być trudne, stało się prawie niewykonalne. Musiałem pracować niejawnie, podróżując i zbierając materiały w nieprzychylnych okolicznościach.

Oprócz trudności w docieraniu do informacji o Tybecie, byłem wstrząśnięty rozmiarem absurdu, z jakim zetknąłem się podczas pracy. Wspinacze będący świadkami zamordowania Kelsang bali się nie tylko odmowy wjazdu do kraju na kolejne wyprawy, ale również tego, że wypowiedź na ten temat może zaszkodzić ich karierze w kraju zamieszkania.

– Proszę, nie podawaj mojego nazwiska, moja firma prowadzi interesy w Chinach – powtarzało się jak refren. Inni próbowali zrzucić z siebie odpowiedzialność twierdząc, że to, co wiedzieli nie miało większego znaczenia lub też celowo mówili ogólnikowo.

– To przez dużą wysokość – powiedział jeden. – Trudno zapamiętać, co tam się stało. Przerażenie i strach związane z Chinami zdają się przybierać na intensywności.

– W Stanach Zjednoczonych i innych krajach działa sieć chińskich informatorów, więc wszędzie odczuwa się strach – powiedział Ben Carrdus, pracownik Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu. Wybuchały chiński nacjonalizm rozprzestrzenia się wśród społeczności młodych chińskich ekspatriantów na całym świecie. Zbierając informacje, szukałem współpracowników mówiących po mandaryńsku. Jak tylko wśród chińskiej społeczności rozeszły się wieści, że moja książka jest o łamaniu praw człowieka w Tybecie, tłumacze natychmiast zrywali ze mną kontakt.

Zacząłem również zauważać, że wszelkie protybetańskie demonstracje w różnych krajach napotykają świetnie zorganizowanych prochińskich antydemonstrantów.

– Chińskie ambasady opłacają studentów i organizują im autokary, które wiozą ich



na miejsce – wyjaśnił Carrdus. – To standardowy sposób, w jaki partia załatwia swoje sprawy. – Wydział Pracy ze Zjednoczonym Frontem jest łączem pomiędzy Pekinem a chińskimi konsulatami i organizacjami studenckimi w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Udałem się do Kanady, gdzie spotkałem chińską dysydentkę, pisarkę Sheng Xue, elokwentną kobietę o filigranowym wyglądzie, która uciekła z mężem po wydarzeniach na placu Tiananmen. W swoim podmiejskim domu w Ontario zorganizowała dla mnie wywiad z Hanem Guangshengiem, uciekinierem z Chin, który kiedyś kierował więzieniem w Shenyangu i był wiceszefem w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w mieście. Po wywiadzie Sheng Xue pokazała mi, jakie ataki każdego dnia muszą znosić z mężem. Ich automatyczna sekretarka oraz skrzynki mailowe były wypełnione oskarżeniami. Dla młodych chińskich nacjonalistów Sheng Xue jest zdrajczynią ojczyzny.

W tym samym czasie odkryłem powiększającą się sieć obserwatorów Chin – naukowców i dziennikarzy, którzy obsesyjnie zbierają dane o „pokoju wzroście Chin”. Z determinacją starają się udowodnić światu, że wzrost nie miał nic wspólnego z pokojem.

Trudno dotrzeć do faktów, lecz na każdym kroku napotyka się sieć spisków. Poznałem kilka osób, które postawiły się Chinom i w związku z tym dużo straciły. Brian McAdam, kanadyjski dyplomata, przez 30 lat pracował w konsulatach na całym świecie, ostatnio w Hong Kongu jako oficer imigracyjny. Próbował zrobić porządek z korupcją w konsulacie kanadyjskim, gdy odkrył, że wizy kupują gangsterzy powiązani z rządem chińskim. Z dnia na dzień stracił pracę i reputację.

Obecnie prowadzi prężną kampanię przeciwko Chinom ze swojego domu w Toronto. Wszystkie okna jego domu są kuloodporne.

– Prawdopodobnie wydają się ogarnięty szaleństwem i teoriami spiskowymi – powiedział, rozmawiając ze mną w piwnicy. – Ale to dlatego, że rzeczywiście taki jestem.

Nawet ci, którzy pracują w organizacjach związanych z prawami człowieka są skażeni; świadomi zagrożenia inwigilacją wpadają w paranoję. Kiedy podczas jednej z moich licznych wizyt Carrdus oprowadzał mnie po miejskiej siedzibie organizacji pozarządowej w stanie Waszyngton, wskazał okno stojącego naprzeciw budynku, z którego można było zobaczyć salę konferencyjną Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu.

– Sądzymy, że stamtąd prowadzą obserwację.

Carrdus, weteran od dekady zajmujący się sprawą Tybetu, powiedział, że musi się

pilnować, żeby nie popaść w jakąś chorobę.

– Czasem wracam po pracy do domu i mam wrażenie, że ktoś manipulował przy włączniku światła albo chodził po moim mieszkaniu. – Uśmiecha się niepewnie. – A potem muszę się wziąć w garść.

Ze względu, że jest tak niewiele danych o Tybecie, a jeszcze po dokładnym sprawdzeniu większość z nich okazuje się dezinformacją, trudno było sprostać wymaganiom, jakie sobie postawiłem pisząc tę książkę. Po analizie odkrywałem, że to, co napisałem było umiejętnie podsuniętą mi propagandą z jednej lub drugiej strony. Prawie każdy aspekt współczesnego Tybetu jest kontrowersyjny, to jak stąpanie po niepewnym gruncie, gdzie fakty uległy wymieszaniu.

Wydobycie informacji innych niż ogólniki jest trudne nawet od znanych osób społeczności tybetańskiej na uchodźstwie, jeśli w ogóle zgodzą się na spotkanie. Nikomu nie ufają, są tajemniczy i oziępli.

Umawiałem się na wywiady, po czym moi rozmówcy rozmyślali się, bali i nie stawiali na spotkanie. Kilka razy zdarzyło się, że z wahaniem zaczynali opowiadać, a po chwili docierało do nich, jaką cenę przyjdzie im lub ich rodzinom w Tybecie zapłacić za szczerość i miłki. Zdobycie ich zaufania zajęło mi wiele miesięcy. Niektórzy członkowie grupy z Nangpa La odpowiadali wymijająco i trzymali się na dystans.

– Tybetańczycy przywykli do trzymania języka za zębami i nieopowiadania o niczym – powiedział Corrdus. – Trudno nam, ludziom z Zachodu, zrozumieć jak to jest, gdy dorasta się w rzeczywistości ciągłych prześladowań i że taki człowiek nie chce mówić niczego, co może wpędzić go w kłopoty.

Przez trzy lata chciałem zobaczyć twarz Kelsang Namtso, żeby wyobrazić sobie dziewczynę, której życie i śmierć stały się moją obsesją. W końcu okazałem się wystarczająco godny zaufania. Mnich z klasztoru Sera w południowych Indiach, który przeszedł Nangpa La, wyjął spomiędzy fałd tuniki ziarniste, niewyraźne zdjęcie, przeschmuglowane z Juchen przez wysoko położone przełęcz. Trzymałem fotografię jakby była złotem. Na zdjęciu uśmiechała się tajemniczo i zuchwale i była taka, jak ją sobie wyobrażałem. Rada Dalajlamy, żebym po prostu mówił prawdę o jej śmierci, czasem wydawała się zadaniem niemożliwym do udźwignięcia. A jednak książka powoli nabierała kształtu. A prawda, zawsze niekompletna i często niedoskonała, nigdy, przenigdy nie była taka, jak się spodziewałem.

# Przypisy

[1] W dokumencie Chińskiego Ministerstwa Ziemi i Zasobów mówi się o 44 milionach dolarów, w 1999 roku rozpoczęto badania z wykorzystaniem tysiąca naukowców, którzy przez siedem lat pracowali w tajemnicy i oszacowali, że wartość złóż metali wynosi ok. 128 miliardów dolarów. Przebadano wówczas tylko połowę płaskowyżu.

[2] Według przedstawicieli Komunistycznej Partii Chin oraz danych opublikowanych w „Mining Tibet: Mineral Exploration in Tibetan Areas of the PBC” przez Tibet Information Network.

[3] Nyima i inne imiona pojawiające się w książce są wymyślone, aby chronić tożsamość opisanych osób.

[4] „Wilk w szatach mnicha, potwór z ludzką twarzą i sercem bestii”. Wypowiedź Zhanga Qingliego, cytowana przez Paula Lina w „Taipei Times”, 25 kwietnia 2008.

[5] Xinhua za „Tibet Daily”, 1 czerwca 2000.

[6] Pasożytniczy grzyb, atakujący larwy motyla nieboska chmielanka, które zabija i dalej rośnie na ich ciałach. Jest wysoko ceniony przez Chińczyków jako afrodyzjak oraz ze względu na właściwości lecznicze (od zmęczenia po choroby nowotworowe).

[7] Wprowadzenie kontroli w tej materii było raczej trudnym zadaniem ze względu na ścisły związek religii i tożsamości Tybetańczyków. Tybetański buddyzm jest integralną częścią miejscowej tożsamości, dlatego też nacjonalizm tybetański jest postrzegany jako zagrożenie dla jedności Chińskiej Republiki Ludowej.

[8] Pseudonim.

[9] Pseudonim.

[10] Weinhenmayer, Erik, *Touch the Top of the World: A Blind Man's Journey to Climb Farther Than Eye Can See*. New York: Plume, 2002.

[11] Congressional Executive Commission on China Special Topic Paper 2008–2009.

- [12] Międzynarodowa Komisja Prawników, *Tibet: Human Rights and the Rule of Law*, 1997.
- [13] Avedon, John F., *In Exile From the Land of Snows: The Definitive Account of the Dalai Lama and Tibet Since Chinese Conquest*. New York: Random House, 1984.
- [14] Congressional Executive Commission on China Annual Raport 2009, przypis dolny 26.
- [15] Shakya, Tsering, *The Dragon in the Land of Snows*, London: Penguin, 1999.
- [16] Na przestrzeni wieków u Tybetańczyków wytworzyły się szersze arterie, które dostarczają tlen do mięśni dwa razy szybciej niż u osób z Zachodu. Ich naczynia krwionośne są pokryte tlenkiem azotu, przez co arterie łatwej się rozszerzają, by szybciej niż zwykle dostarczyć organizmowi krew z tlenem. Krwioobieg produkuje antyoksydanty, które neutralizują tlenek azotu. Ponadto Tybetańczycy dosłownie częściej oddychają, wykonując średnio więcej wdechów na minutę, niż ludzie urodzeni na poziomie morza.
- [17] Klasztory na obczyźnie mają takie same nazwy jak te pozostające w Tybecie. Klasztor Sera był również w Lhasie.
- [18] Hopkirk, Peter, *Trepassers on the Roof of the World*. New York: Kodansha America, 1995.
- [19] Hopkirk, Peter, *Trepassers on the Roof of the World*. New York: Kodansha America, 1995.
- [20] Isserman, Maurice and Steward Weaver, *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes*. New Haven and London: Yale University Press, 2008.
- [21] Isserman, Maurice and Steward Weaver, *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes*. New Haven and London: Yale University Press, 2008.
- [22] Alexander, Carol, *Greatest Mountaineer*, „National Geographic”, listopad, 2006.
- [23] Buchanan, Rob, *Why David Breashears Cannot Let Everest Go*, „Men’s Journal”, czerwiec, 2006.
- [24] Achenbach, Joel, *The Man and His Mountain*, „Washington Post”, czerwiec, 1992.
- [25] Fickling, David, *We Knocked the Bastard Off*, „The Guardian”, 2003.
- [26] Wywiad autora z detektywem Greensladem.
- [27] Qi Jinfang, chiński wiceminister rolnictwa, Agencja Informacyjna Xinhua, marzec, 1998.

[28] Kristensen, Hans M., *Extensive Nuclear Missile Deployment Area Discovered in Central China*, FAS Strategic Security Blog, Washington, 15 maja 2008, <http://www.fas.org/blog/ssp/2008/05/extensive-nuclear-deployment-area-discovered-in-central-china.php>.

[29] Spencer, Richard, *Pollution Kills 750,000 in China Every Year*, „Daily Telegraph”, 4 lipca 2007.

[30] – Policja posiada bardzo dużo hoteli, restauracji i sklepów w Lhasie – mówi Pasang Migma, były oficer wywiadu kryminalnego w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego (Zianshi). – Nie jestem w stanie wymienić, które należą do policji, bo lista byłaby zbyt długa. Nawet my, policjanci, nie wiedzieliśmy czasami, kto był funkcjonariuszem, a kto nie. Jeśli nie mieliśmy praw własności do jakiegoś interesu, płaciliśmy ludziom, którzy donosili nam o uchodźcach i innych sprawach. Dlatego wiemy wszystko.

Korupcja nie była niczym niezwykłym. W 1998 prawnicy i policja wzięli udział w spotkaniu, podczas którego, według Pasang Migma, omawiali plany nalotu na burdele i bary karaoke w Lhasie. Zanim do tego doszło, każdy właściciel takiego przybytku powrócił do Chin, ponieważ został wcześniej ostrzeżony przez skorumpowanych oficerów wyższej rangi.

[31] Isserman, Maurice i Stuart Weaver, *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes*, New Haven and London: Yale University Press, 2008.

[32] Tichy, Herbert, *Cho Oyu: By Favour of the Gods*, London: Methuen, 1955.

[33] Hopkirk, Peter, *Trepassers on the Roof of the World*, New York: Kodansha America, 1995.

[34] Pseudonim.

[35] Chiński Czerwony Krzyż podawał 2000–3000, wywiad NATO aż 7000. Komunistyczna Partia Chin w późniejszych latach szacowała, że było 200–300 ofiar śmiertelnych.

[36] Według Amnesty International 72% wszystkich egzekucji na świecie przeprowadza się w Chinach. Prawdziwa ich liczba jest tajemnicą państwową, ale organizacja szacuje, że w 2008 roku zabito 1718 obywateli za 60 przestępstw – od fałszerstw podatkowych i sprzeniewierzeń po poważne zbrodnie, takie jak morderstwo.

[37] Podniebny pochówek to bardzo stara tradycja w Tybecie. Ciała zmarłych zostawia się sępom na pożarcie.

[38] Pseudonim.

[39] Pseudonim.

[40] Jinpa, Jigme Kalden, Dechen Pema i Samdhup to pseudonimy.

[41] Schmidt wspinał się na jednym pozwoleniu z Henrym Toddem.

[42] Maloney i Schmidt powrócili na Czo Oju we wrześniu 2009 roku. Po wejściu na szczyt, dzięki czemu siedemdziesięcioletni Maloney został najstarszym amerykańskim zdobywcą ośmiotysięcznika, obaj zatrzymali się na noc w obozie II. Maloney odwrócił się do Schmidta i powiedział: – Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Właśnie zdobyłem tę piękną górę. – Następnego dnia okazało się, że klient Schmidta zmarł we śnie.

[43] Przekład z języka angielskiego Paweł Lipszyc (przyp. tłum.).

[44] Tybetańczycy są czasami zmuszani do wstąpienia do LPZ, aby podtrzymać iluzję, że chińskie wojsko składa się z różnych mniejszości etnicznych, wchodzących w skład współczesnych Chin. Jednakże rzeczywistość jest inna. Szkolenie tybetańskiego funkcjonariusza LPZ opiera się na dyskryminacji i jest znacznie trudniejsze niż w przypadku Chińczyka Han. Według jednego źródła Tybetańczycy są bici, jeśli nie uczą się chińskiego i za najmniejsze przewinienia muszą wykonywać skłony, wisząc głową w dół nad rozbitym szkłem. Czasami za karę za niezasłanie łóżka w określonym czasie muszą leżeć na lodzie. Służba w LPZ trwa dwa-trzy lata i kończy się wręczeniem certyfikatu, uprawniającego do preferencyjnego traktowania w przyznawaniu pracy lub mieszkania. Jest to powód, dla którego Tybetanczyki zwykle zaciągają się do służby. Jednak po jej odbyciu są często traktowani jak pariasi przez lokalną społeczność.

[45] Pseudonim.

[46] Pseudonim.

[47] W 2008 roku w biurze Dalajlamy odnotowano powtarzające się cyberataki na sieci komputerowe oraz wykryto, że ktoś przechwytyje korespondencję elektroniczną. Information Warfare Monitor dostała zlecenie zbadania tej sprawy. Okazało się, że sieć komputerowa zwana Ghostnet zainfekowała 1295 komputerów w 103 krajach na świecie. Trzy z czterech serwerów Ghostnetu znajdowały się na Hajnaniu, w Guandongu i Syczuanie w Chinach. Czwarty był w USA.

[48] Pseudonim.

[49] Pseudonim.

[50] Kilka miesięcy wcześniej Tybetanka uciekająca wraz z mężem z Tybetu schroniła się w jakimś domu we wsi przy granicy. Mężczyźni z okolicy włamali się do ich pokoju, wywlekli jej męża i zamknęli go w pobliskiej chacie. Następnie przez



szesnaście dni wielokrotnie ją gwałcili, po czym pozwolili odejść.

[51] Agentami są często byli oficerowie LPZ. Były żołnierz, Lei Xun, został wyrzucony z LPZ i zmuszony do podjęcia misji szpiegowskiej przeciw Tybetańskiemu Rządowi na Uchodźstwie. Próbował zastawić pułapkę na urzędników, namawając ich do przyłączenia się do spisku, który miałby na celu przeprowadzenie zamachu na życie Hu Jintao lub wysadzenie linii kolejowej. Tybetańczycy z Rządu na Uchodźstwie dali mu jasno do zrozumienia, że wolą doprowadzić do wyzwolenia Tybetu bez przemocy. Xun został złapany w 2008 roku. Tibetinfo.net, [dostęp:] 20 stycznia 2009 roku.

[52] Malowany lub haftowany zwój o tematyce religijnej (przyp. tłum.).

[53] Angielskie słowo *free* oznacza wolny oraz darmowy (przyp. tłum.).

[54] Autorem artykułu, który ukazał się w październiku 2007 roku był Jonathan Green.

[55] MacDonald, Alexander W., *The Lama and the General Kailash: „A Journal of Himalayan Studies”*, 1973.

[56] Heil, Nick, *King of Hill*, „Outside”, maj 2008.

[57] Według Chińczyków było tylko 19 ofiar śmiertelnych w Lhasie, podczas gdy obrażenia odniosło 61 policjantów.

[58] Międzynarodowa Kampania na rzecz Tybetu. „Władze przyznają się do 4 tysięcy zatrzymanych; tysiące zniknęły podczas trwających represji,” komunikat prasowy, 14 kwiecień 2008.

[59] Międzynarodowa Kampania na rzecz Tybetu. „Nuclear Tibet: Nuclear Weapons and Nuclear Waste on the Tibetan Plateau”, 1993.

# Bibliografia

- Avedon, John F., *In Exile from the Land of Snows: The Definitive Account of the Dalai Lama and Tibet Since the Chinese Conquest*. New York: Random House, 1984.
- Baker, Ian, *The Heart of the World: A Journey to Tibet's Lost Paradise*. New York: Penguin, 2004.
- Barber, Noel, *From the Land of Lost Content: The Dalai Lama's Fight for Tibet*. Boston: Houghton Mifflin, 1970.
- Bernbaum, Edwin, *Sacred Mountains of the World*. San Francisco: Sierra Club Books, 1990.
- Bernbaum, Edwin, *The Way to Shambala*. Boston and London: Shambala Publications Inc., 2001.
- Bishop, Peter, *The Sacred Myth of Shangri-La*. London: Adarsh Books, 2000.
- Chan, Victor, *Tibet Handbook: A Pilgrimage Guide*. Chico: Moon Publications Inc., 1994.
- Chang, June, and Jon Halliday, *Mao: The Unknown Story*. New York: Anchor, 2005.
- Coffey, Maria, *Explorers of the Infinite*. New York: Penguin, 2008.
- David-Neel, Alexandra, *Magic and Mystery in Tibet*. New York: Dover Publications, 1971.
- Dunham, Mikel, *Buddha's Warriors: The Story of the CIA Backed Tibetan Freedom Fighters, the Chinese Invasion and the Ultimate Fall of Tibet*. New York: Penguin, 2004.
- Dowman, Keith, *The Power Places of Central Tibet*. London: Routledge & Kegan Paul Ltd., 1988.
- Fishman, Ted C., *China Inc: How The Rise of the Next Superpower Challenges America and the World*. New York: Scribner, 2005.
- French, Patrick, *Younghusband: The Last Great Imperial Adventurer*. London: Harper



Perennial, 2004.

French, Patrick, *Tibet, Tibet*. New York: Vintage, 2003.

Goldstein, Melvyn C., Dawei Sherpa, and William R. Siembenschuh, *A Tibetan Revolutionary: The Political Life and Times of Bapa Phunsto Wangye*. Los Angeles: University of California Press, 2004.

Goldstein, Melvyn C., *The Snow Lion and the Dragon*. Los Angeles: University of California Press, 1997.

Hanbury-Tracy, John, *Black River of Tibet*. London: Frederick Mueller, 1938.

Hawley, Elizabeth, *Himalayan Database: The Expedition Archives of Elizabeth Hawley*. Golden: The American Alpine Club.

Hilton, Isabel, *The Search for the Panchen Lama*. New York: Norton, 1999.

Hilton, James, *Lost Horizon*. New York: Pocket Books, 1933.

Hopkirk, Peter, *Trespassers on the Roof of the World*. New York: Kodansha, 1982.

Iyer, Pico, *The Open Road*. New York: Viking, 2008.

Isserman, Maurice, and Stuart Weaver, *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes*. New Haven and London: Yale University Press, 2008.

Kaulback, Ronald, *Salween*. New York: Harcourt Brace and Company, 1939.

Kodas, Michael, *High Crimes: The Fate of Everest in an Age of Greed*. New York: Hyperion, 2008.

Klesiath, Michelle C., *Heavy Earth, Golden Sky. Tibetan Women Speak About Their Lives*. Lulu, 2007.

Kurlantzick, Joshua, *Charm Offensive: How China's Soft Power Is Transforming the World*. New Haven and London: Yale University Press, 2007.

Krakauer, John, *Into Thin Air*. New York: Villard, 1997.

Lee, Dick, and Colin Pratt, *Operation Julie: How the Undercover Police Team Smashed the World's Greatest Drug Ring*. London: Hutchinson, 1978.

Lopez, Donald S., *Prisoners of Shangri-La: Tibetan Buddhism and the West*. Chicago: The University of Chicago Press, 1998.

Lustgarten, Abraham, *China's Great Train: Beijing's Drive West and the Campaign to Remake Tibet*. New York: Henry Holt, 2008.

Marshall, Steven, *Hostile Elements: A Study of Political Imprisonment*. London: Tibet Information Network, 1999.

Meyer, Karl E., and Shareen Blair Brysac, *Tournament of Shadows: The Great Game and the Race for Empire in Central Asia*. New York: Basic Books, 1999.

Navarro, Peter, *The Coming China Wars*. New York: FT Press, 2008.

- Palin, Michael, *Himalaya*. London: Thomas Dunne Books, 2004.
- Seth, Vikram, *From Heaven Lake: Travels through Sinkiang and Tibet*. New York: Vintage, 1987.
- Shakya, Tsering, *The Dragon in the Land of Snows*. London: Penguin, 1999.
- Simpson, Joe, *Storms of Silence*. London: Mountaineers Books, 1997.
- Tendler, Stewart, and David May, *The Brotherhood of Eternal Love*. London: Panther Books, 1984.
- Thurman, Robert, *Essential Tibetan Buddhism*. New York: Harper-Collins, 1995.
- Tichy, Herbert, *Cho Oyu: By Favour of the Gods*. London: Methuen, 1955.
- Weihenmayer, Erik, *Touch the Top: A Blind Man's Journey to Climb Further Than the Eye Can See*. New York: Plume, 2002.
- Hutton, Will, *The Writing on the Wall: China and the West in the 21st Century*. London: Little, Brown, 2007.
- Smith, Warren W., Jr., *Tibet's Last Stand*. Lanham: Rowman and Littlefield, 2010.
- Raporty Tybetańskiego Centrum Praw Człowieka i Demokracji:
- „Death Penalty in China: 2005 Special Report”.
  - „Uprising in Tibet 2008”.
- Raporty Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu:
- „Like Gold That Fears No Fire: New Writing from Tibet”, 2010.
  - „Tracking the Steel Dragon”, 2008.
  - „Dangerous Crossing – Conditions Impacting the Flight of Tibetan Refugees”, 2003 Update, 2004 Update, 2005 Update, 2006 Report.
  - „Tibet at a Turning Point: The Spring Uprising and China's New Crackdown”, 2008.
  - „A Great Mountain Burned by Fire: China's Crackdown in Tibet”, 2009.

# Podziękowania

Ta książka mogła powstać tylko dzięki pomocy i wsparciu otrzymanym od bardzo wielu ludzi, którzy łaskawie poświęcili mi swój czas, kiedy o to prosiłem. Przepraszam wszystkich, których pominąłem.

Najbardziej, najszczerzej wdzięczny jestem Dolmie Palkyi, która nigdy, przenigdy nie uchylała się przed obowiązkiem mówienia o tym, co stało się z jej najlepszą przyjaciółką, Kelsang Namtso. Dolma była moją inspiracją.

Dziękuję Wam, oddanym i nieustrudzonym tybetańskim przewodnikom i tłumaczom w Dharamsali i terenach przygranicznych w Himalajach – moim dozgonnym przyjaciółom – Tenzin Loesel, Karmie Spirit, Kunchokowi Chodakowi i Ngawang Sangdrol.

Istotną rolę w powstaniu tej historii odegrała pomoc wszystkich osób z Międzynarodowej Kampanii na rzecz Tybetu. Zasługują na uznanie z powodu niezwykle trudnej pracy, jaką jest docieranie do prawdy o Tybecie. Dziękuję zwłaszcza Kate Saunders, która przeczytała rękopis, zwracając uwagę na wierność faktom oraz takie przedstawienie bohaterów z Tybetu, by nie ponieśli żadnych konsekwencji. Dziękuję Chrisowi Ratke i Benowi Carrdusowi, którzy z cierpliwością spełniali moje żądania.

Robbie Barnett z Columbia University poświęcił mi mnóstwo czasu i udostępnił swoje imponujące archiwa.

Miałem niezwykle szczęście, mogąc pracować z redaktorem, którego mądrość, rady i, przede wszystkim, współczucie widoczne są w całej książce. Moje najszczerze podziękowania kieruję do mistrza tej opowieści i najlepszego nauczyciela, jakiego kiedykolwiek miałem, Morgena Van Vorsta. Jestem również wdzięczny Clive'owi Priddle, Melissie Raymond oraz fantastycznemu zespołowi z PublicAffaire. Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszego wsparcia podczas pisania swojej pierwszej książki.

Szczególne podziękowania kieruję do przyjaciół pisarzy, którzy czytali pierwsze szkice i udzielali rad, gdy nie szło mi najlepiej. Są to: Todd Pitock, Mikel Dunham, Brendan I. Koerner, Gabriel Cohen, Matteo Pistono i Torty Conner – temu ostatniemu dziękuję za piwa Kingfisher oraz trafne przeczucia, gdy byłem w Dharamsali, ale nie pamiętam w jakiej kolejności się zdarzyły.

Dziękuję również Rachel Oldroyd oraz ekipie magazynu „Live, Mail on Sunday”, którzy pierwsi zwrócili uwagę na tę historię i wysłali mnie do Nepalu. Ponadto Bradowi Wienersowi z „Men’s Journal”, który zlecił mi napisanie o konflikcie wśród himalaistów na Czo Oju. To ten artykuł doprowadził do powstania książki.

Luis Benitez niestrudzenie odpowiadał na pytania dotyczące wspinaczki oraz Czo Oju i poświęcił dużo czasu tej książce.

Moi agenci, Jody Hotchkiss i Gay Salisbury, byli niezbędni w opowiedzeniu tej historii światu.

Jestem wdzięczny organizacjom, które przyznały mi granty, by ułatwić pracę nad tym projektem. Są to: Investigative Reporters i Editors and the Fund for Investigative Journalism. Ich altruizm jest teraz o tyle ważniejszy, że środki przyznawane na dziennikarstwo śledcze są coraz skromniejsze.

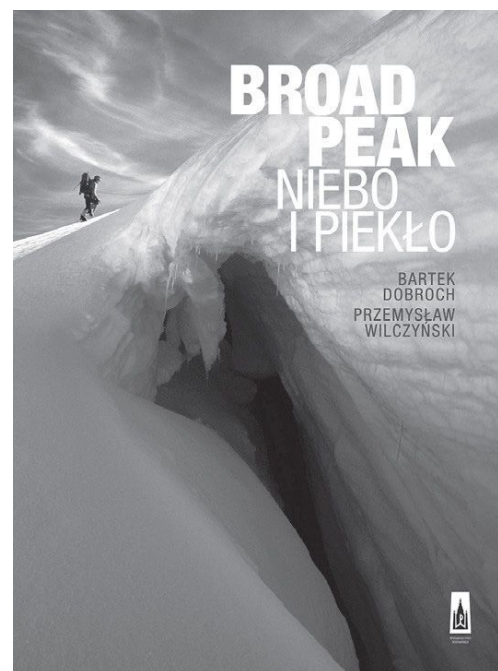
Dziękuję również: Lobsangowi Choedonowi, Jamyangowi Samtenowi, Jamiemu Pastor Bolnick, Francesce Eldridge, Michaelowi Kodasowi, Guyowi Cotterowi, Bobowi Thurmanowi, Edwinowi Bernbaum, Karmie Rinchen, Kunga Tashi, Manuelowi Bauerowi, Rebecce Novick, Mike’owi Faginowi z West Coast Weather LLC, Amy Goldsmith i Marii Savio.

Dziękuję także tym, którzy pomogli, ale nie mogą być wymienieni z nazwiska – ta lista jest bardzo długa – dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzyliście.

## O autorze

Jonathan Green jest nagradzanym pisarzem i dziennikarzem. Pisał o dżihadystycznej milicji w Sudanie, handlu kokainą, pochodzącą z kontrolowanych przez partyzantów dżungli w Kolumbii, korupcji w bogatym w złoża ropy Kazachstanie, niszczeniu lasów deszczowych na Borneo oraz łamaniu praw człowieka w kopalniach złota w Afryce Zachodniej. Otrzymał nagrodę Amnesty International za pisanie o prawach człowieka, nagrodę American Society of Journalists and Authors za reportaże poruszające istotną tematykę oraz zdobył tytuł reportera roku przyznaną przez Press Gazette Magazine and Design Awards. Jego artykuły drukowane są m.in. w „Men’s Journal”, „The New York Times”, „Fast Company”, „The Financial Times”, brytyjskim wydaniu „GQ”, „Esquire” oraz „The Mail on Sunday”. Mieszka z żoną w Massachusetts.

## POLECAMY RÓWNIEŻ



Czy wraz z tragedią na Broad Peak kończy się w Polsce himalaizm, jaki znaliśmy dotychczas? Autorzy próbują odpowiedzieć na to pytanie, analizując krok po kroku najważniejsze wydarzenia podczas polskiej wyprawy na Broad Peak w 2013 roku. Przeprowadzają dramatyczne rozmowy ze świadkami wydarzeń, przyjaciółmi tragicznie zmarłych i ich rodzinami. Dokonują wiwisekcji etyki polskiego himalaizmu. Piszą też o granicach pasji, zastanawiają się, czy wspinaczka jest hymnem wolności, czy też raczej najwyższe góry powinniśmy nazywać Himalajami egoizmu?